

KLUB MARTINI

TESS GERRITSEN

NAJBARDZIEJ ZNANA NA ŚWIECIE
AUTORKA KRYMINAŁÓW MEDYCZNYCH

WYBRZEŻE SZPIEGÓW

To najlepsze miejsce, żeby zniknąć.
Dopóki nie upomni się o ciebie przeszłość.

ALBATROS

TESS GERRITSEN

WYBRZEŻE SZPIEGÓW

Z angielskiego przełożył
Janusz Ochab

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:

THE SPY COAST

Copyright © Tess Gerritsen 2023

All rights allowed

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Mieszka

Zdjęcia na okładce: Pavel Talashov/Shutterstock (krew na śniegu); Freepik

(lis)

ISBN 978-83-8361-100-6

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatro

s



Niniejszy produkt nie jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia do dowolnego użytku. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest legalne i nie podlega żadnym sankcjom.

;:-))

woblink

woblink.com

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku **JamaNiamy**

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział pierwszy.

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty.

Rozdział piąty.

Rozdział szósty.

Rozdział siódmy.

Rozdział ósmy.

Rozdział dziewiąty.

Rozdział dziesiąty.

Rozdział jedenasty.

Rozdział dwunasty.

Rozdział trzynasty.

Rozdział czternasty.

Rozdział piętnasty.

Rozdział szesnasty.

Rozdział siedemnasty.

Rozdział osiemnasty.

Rozdział dziewiętnasty.

Rozdział dwudziesty.

Rozdział dwudziesty_pierwszy.

Rozdział dwudziesty_drugi

Rozdział dwudziesty_trzeci

Rozdział dwudziesty_czwarty.

Rozdział dwudziesty_piąty.

Rozdział dwudziesty szósty.

Rozdział dwudziesty siódmy.

Rozdział dwudziesty ósmy.

Rozdział dwudziesty dziewiąty.

Rozdział trzydziesty.

Rozdział trzydziesty pierwszy.

Rozdział trzydziesty drugi.

Rozdział trzydziesty trzeci.

Rozdział trzydziesty czwarty.

Rozdział trzydziesty piąty.

Rozdział trzydziesty szósty.

Rozdział trzydziesty siódmy.

Od autorki

Podziękowania

W idyllicznym miasteczku Purity na wybrzeżu Maine niewiele się dzieje. To idealne miejsce dla ludzi, którzy wolą żyć anonimowo. Jak piątka byłych agentów CIA, którzy nazwali siebie Klubem Martini, od ich ulubionego drinka — wstrząśniętego, nie mieszanego.

Maggie Bird przed kilkunastoma laty, po misji, która skończyła się tragicznie, odeszła z Agencji i długo szukała dla siebie miejsca. Znalazła je na farmie w Purity i wreszcie poczuła się bezpiecznie.

Nie na długo jednak, bo podrzucone pod jej dom zwłoki kobiety, która dzień wcześniej wypytywała o jej ostatnią operację w CIA, burzą nowe życie Maggie. Była agentka wie, że to wiadomość od wrogów. Nie chce zdradzać policji szczegółów ze swojej przeszłości, bierze więc sprawy we własne ręce i zwraca się o pomoc do przyjaciół z Klubu Martini.

Okazuje się, że z byciem szpiegiem jest trochę tak jak z jazdą na rowerze: człowiek nie zapomina, jak się to robi.

TESS GERRITSEN

Amerykańska autorka thrillerów, z zawodu lekarka. W 1987 roku ukazała się debiutancka powieść Gerritsen, ale jej kariera pisarska nabrała rozpędu w roku 1996, gdy opublikowała swój pierwszy thriller medyczny *Dawca* (prawa filmowe zakupił Paramount). Zrezygnowała wtedy z prowadzonej na Hawajach praktyki lekarskiej i całkowicie poświęciła się karierze literackiej. Jej powieści regularnie trafiają na listy bestsellerów i ukazują się w 30 językach. Na podstawie cyklu Rizzoli & Isles powstał serial *Partnerki*. *Wybrzeże szpiegów* to pierwsza książka z serii Klub Martini.

tessgerritsen.com

Tej autorki

DAWCA

CIAŁO

INFEKCJA

NOSICIEL

GRAWITACJA

OGRÓD KOŚCI

IGRAJĄC Z OGNIEM

KSZTAŁT NOCY

WYBRZEŻE SZPIEGÓW

STUDENTKA

(wspólnie z Garym Braverem)

Jane Rizzoli & Maura Isles

CHIRURG

SKALPEL

GRZESZNIK

SOBOWTÓR

AUTOPSJA

KLUB MEFISTA

MUMIA

DOLINA UMARŁYCH

MILCZĄCA DZIEWCZYNA

OSTATNI, KTÓRY UMRZE

UMRZEĆ PO RAZ DRUGI

SEKRET, KTÓREGO NIE ZDRADZĘ

WYSŁUCHAJ MNIE

Dla Willa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Diana

Paryż, dziesięć dni temu

Kiedyś była złotą dziewczyną. Jak bardzo wszystko się zmieniło, pomyślała, patrząc w lustro. Jej włosy, niegdyś przetykane jasnymi jak promienie słońca pasemkami, teraz miały barwę, której nie dało się określić inaczej jak „szarość zdechłej myszy”. Był to najmniej rzucający się w oczy kolor, jaki udało jej się znaleźć na półkach Monoprix. Poszła tam na zakupy po tym, jak sąsiad powiedział jej, że pytał o nią jakiś mężczyzna. Musiała to uznać za sygnał, że coś jest nie w porządku, choć pojawienie się tego człowieka mogło się okazać całkiem niewinne. Być może był to jej cichy wielbiciel albo kurier, który próbował dostarczyć przesyłkę, wołała jednak się przygotować. Wybrała się więc do sklepu Monoprix w trzeciej dzielnicy, po drugiej stronie miasta, gdzie nikt jej nie znał, i kupiła farbę do włosów oraz okulary. Właściwie zawsze powinna mieć takie rzeczy pod ręką, ale z każdym rokiem coraz bardziej lekceważyła zagrożenie. Zrobiła się nieostrożna.

Przyjrzała się sobie i doszła do wniosku, że nowy kolor włosów to za mało. Sięgnęła po nożyczki i zaczęła rujnować fryzurę z L'Atelier Blanc, za którą zapłaciła trzysta euro. Każde ciachnięcie nożyczek było kolejnym rozcięciem na tkaninie jej starannie budowanego nowego życia. W miarę

jak na płytki łazienki opadały kolejne kosmyki świeżo obciętych włosów, jej żal zamieniał się we wściekłość. Wszystko, co planowała, wszystko, co ryzykowała, waliło się w gruzy. Bez względu na to, jak sprytny jest człowiek, zawsze jest ktoś sprytniejszy. Nie wzięła pod uwagę tego, że ktoś może ją przechytryć, i to był błąd. Przez zbyt wiele lat była tą najmyślniejszą, która wyprzedzała wszystkich o dwa kroki i potrafiła wyprowadzić każdego w pole. Tajemnica jej sukcesu polegała na tym, że nie przejmowała się za bardzo zasadami, choć innym niekoniecznie podobało się takie podejście. Owszem, czasami popełniała przez to błędy i dochodziło do niepotrzebnego rozlewu krwi. Narobiła sobie po drodze wrogów, a niektórzy ze współpracowników nią pogardzali, ale dzięki jej wysiłkom zawsze udawało się zrealizować misję. Dlatego była złotą dziewczyną.

Do teraz... Ciach.

Raz jeszcze przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, tym razem chłodnym i krytycznym okiem. W ciągu dziesięciu minut, których potrzebowała na obcięcie swoich cennych loków, przeszła przez wszystkie etapy żałoby po utraconym życiu. Zaprzeczenie, złość, przygnębienie. Teraz dotarła do etapu akceptacji i była gotowa ruszyć naprzód, zrzucić skorupę starej Diany i dać życie nowej. Już nie złotej dziewczynie, lecz kobiecie, której doświadczenie nadało twardość hartowanej stali. Przetrwaj i to.

Zamiotła ścięte włosy i wrzuciła je do worka na śmieci, razem z pustym opakowaniem po farbie. Nie było czasu na wyczyszczenie mieszkania, co oznaczało, że zostanie w nim mnóstwo śladów jej obecności, ale nic nie mogła na to poradzić. Miała tylko nadzieję, że paryska policja jak zwykle będzie się kierować seksistowskimi uprzedzeniami i uzna, że kobieta, która tutaj mieszkała – uznana za zaginioną – została uprowadzona. Że była ofiarą, a nie sprawczynią.

Włożyła okulary i zmierzwiła świeżo przycięte włosy, nadając im pozory artystycznego nieładu. Jej wygląd nie uległ radykalnej zmianie, ale miała nadzieję, że to wystarczy, by zwieść sąsiadów, których mogła spotkać po drodze. Zawiązała worek ze śmieciami, przeszła z nim do sypialni i wzięła torbę. Jaka szkoda, że musi tu zostawić swoje piękne buty i ubrania; powinna jednak podróżować tylko z niewielkim bagażem, a poza tym pełna szafa porzuconych cennych ciuchów uprawdopodobni wersję o uprowadzeniu. Prócz garderoby zostawiała też dzieła sztuki i antyki gromadzone przez lata, gdy jej konta bankowe pęczniały: chińskie wazy, obraz Chagalla, rzymskie popiersie sprzed dwóch tysięcy lat. Będzie jej brakowało tych przedmiotów, ale musiała się zdobyć na pewne poświęcenie, jeśli chciała ocalić życie.

Niosąc torbę podróżną i worek z włosami, przeszła z sypialni do salonu i westchnęła z żalem. Skórzaną sofę szpeciły plamy rozbryzganej krwi, które szerokim łukiem przechodziły na ścianę, na której wisiał Chagall, niczym abstrakcyjne przedłużenie samego obrazu. Pod obrazem leżało bezwładne ciało mężczyzny, źródło krwi. To on był pierwszym napastnikiem, który wszedł do jej mieszkania, więc z nim rozprawiła się najpierw. Wyglądał jak typowy macho, który dzięki długim godzinom spędzonym na siłowni dorobił się potężnych bicepsów, ale nigdy nie pracował nad umysłem. Nie mógł wiedzieć, że tak skończy się dla niego ten dzień, i umarł z wyrazem zdumienia na twarzy. Nigdy pewnie nie przypuszczał, że zginie z ręki kobiety.

Ktoś prawdopodobnie nie poinformował go dokładnie, z kim będzie miał do czynienia.

Usłyszała za sobą przytłumiony oddech i odwróciła się, by spojrzeć na drugiego mężczyznę. Leżał na skraju drogiego perskiego dywanu i jego

krwew wsiąkała w misterny wzór z winorośli i tulipanów. Ku jej zdumieniu niedoszły zabójca wciąż żył.

Podeszła do niego i trąciła czubkiem buta jego ramię.

Powieki mężczyzny zadrżały i uniosły się powoli. Spojrzał na nią i próbował sięgnąć po broń, lecz Diana już wcześniej odtrąciła ją kopniakiem w bok, poruszał więc bezradnie dłonią, co przypominało rybę trzepoczącą się w sieci, dogorywającą we własnej krwi.

– *Qui t'a envoyé?* – spytała.

Dłoń mężczyzny zaczęła się poruszać jeszcze gwałtowniej. Kula, która trafiła go w szyję, musiała uszkodzić kręgosłup, bo nie był w stanie nawet podnieść ręki, szarpał nią jedynie konwulsyjnie. Może nie znał francuskiego. Powtórzyła więc po rosyjsku:

– *Kto ciebia poslal?*

Nie dostrzegła choćby przebłysku zrozumienia w jego oczach. Albo jego mózg przestał już funkcjonować, albo nie znał również rosyjskiego, co było dość niepokojące. Wiedziałyby, jak poradzić sobie z Rosjanami, ale jeśli tych ludzi nasłał ktoś inny, sprawa się komplikowała.

– Kto próbuje mnie zabić? – spytała po angielsku. – Powiedz mi, a daruję ci życie.

Jego ręka przestała trzepotać. Znieruchomiał i spojrzał prosto na Dianę. Zrozumiał pytanie. Rozumiał również, że nie ma znaczenia, czy powie jej prawdę, czy nie; i tak już nie żył.

Usłyszała męskie głosy dobiegające z korytarza. Czy przysłali innych jako wsparcie? Zbyt długo zwlekała i zabrakło jej czasu, by przesłuchać tego. Wycelowała w jego głowę lufę wyposażoną w tłumik i wystrzeliła dwa pociski.

– Dobranoc – szepnęła.

Potrzebowała zaledwie dwóch sekund, by wyjść przez okno na schody pożarowe. Rzuciła ostatnie spojrzenie na mieszkanie, by zachować w pamięci słodko-gorzki widok. To miejsce dało jej namiastkę szczęścia; korzystała tu z owoców ciężkiej pracy. Teraz mieszkanie wyglądało jak rzeźnia, zbryzgane krwią dwóch ludzi, których nie znała.

Zeszła po schodach i znalazła się w alejce przy budynku. O jedenastej wieczorem ulice Paryża wciąż tętniły życiem, bez trudu wmieszała się więc w tłum przechodniów na głównej ulicy. Usłyszała w oddali wycie syren, ale nie przyspieszyła kroku. Nie mogło chodzić o nią; minęło za mało czasu, żeby policja zdążyła zareagować.

Pięć przecznic dalej wrzuciła worek z włosami do restauracyjnego śmietnika i szła dalej, z torbą przewieszoną przez ramię. Miała w niej wszystko, czego potrzebowała w tej chwili, a nie brakowało jej środków. Na początek miała aż nadto.

Najpierw jednak musiała się dowiedzieć, kto chce jej śmierci. Wcześniej zakładała, że zabójców przysłali Rosjanie, ale teraz nie miała już pewności. Kiedy wkurzysz wiele organizacji, masz wielu wrogów, którzy stosują zabójcze metody. Tylko jak odkryli jej nazwisko? I dlaczego po szesnastu latach chcieli jej się dobrać do skóry?

Skoro znali jej nazwisko, to musieli wiedzieć również o pozostałych. Wyglądało na to, że przeszłość w końcu ich dopadła.

Tak właśnie skończyły się mrzonki o spokojnej emeryturze. Czas wracać do pracy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Maggie

Purity, stan Maine, teraz

Coś tu umarło.

Stoję na swoim polu i pochylona wpatruję się w krwawe ślady odcisnięte w śniegu. Zabójca ciągnął ofiarę i choć z nieba wciąż opadają w ciszy grube płatki, nie zdążyły jeszcze pokryć tropów sprawcy ani wyłobień pozostawionych przez ciało ciągnięte w stronę lasu. Widzę smugi krwi, rozsypane dokoła pióra i kępki czarnego puchu drżące na wietrze. Tyle zostało z jednej z moich ulubionych kur rasy araukana, która z podziwu godną regularnością składała ładne niebieskie jajka. Choć śmierć jest tylko jednym z wielu punktów w większym kręgu życia i choć widziałam ją już wielokrotnie, ta strata dotyka mnie szczególnie, wzdycham więc ciężko, wypuszczając w powietrze wirujący obłoczek pary.

Zerkam przez siatkę na to, co zostało z mojego stada liczącego teraz trzydzieści sześć sztuk; to dwie trzecie z pięćdziesięciu, które zaczęłam hodować wiosną. Minęły zaledwie dwie godziny, odkąd otworzyłam kurnik i wypuściłam je na zewnątrz, i w tym czasie drapieźnik zdążył je dopaść. Mam teraz tylko jednego – ostatniego – koguta, który przetrwał wiele ataków orłów i grabieże szopów pracy. Przechadza się dumnie po zagrodzie, popisując się nietkniętym ogonem i nie okazując najmniejszego

zaniepokojenia tym, że jego harem znów się pomniejszył. Co za bezużyteczny fiut!

Jak wielu z nich.

Kiedy się prostuję, dostrzegam kątem oka jakiś ruch i spoglądam w stronę lasu widocznego za siatką. Rosną tam głównie dęby i klony, a wśród nich nieliczne nędzne świerki, które walczą o blask słońca z potężnymi sąsiadami. W zaroślach, niemal całkowicie niewidoczna, kryje się para ślepiów przyglądających mi się czujnie. Przez moment patrzymy na siebie bez ruchu, dwoje wrogów rozdzielonych zaśnieżonym polem bitwy.

Powoli odsuwam się od przewoźnego kurnika. Nie wykonuję żadnych gwałtownych ruchów, nie wydaję żadnych dźwięków.

Nieprzyjaciel obserwuje mnie przez cały czas.

Zamarznięta trawa chrzęści pod moimi nogami, gdy zmierzam powoli do terenowej minicieżarówki Kubota RTV. Otwieram cicho drzwi i sięgam po strzelbę wciśniętą za siedzenia. Zawsze jest naładowana, żebym nie musiała tracić czasu na wyjmowanie amunicji i wsuwanie pocisków. Obracam broń lufą w stronę drzew i starannie celuję.

Huk wystrzału wydaje się głośniejszy od grzmotu. Wystraszone wrony zrywają się z drzew, wzlatują gwałtownie ku niebu, a kury gdaczą przeraźliwie i biegną w panice do kurnika. Opuszczam broń i mrużąc oczy, wpatruję się w zarośla.

Nic się tam nie porusza.

Podjeżdżam kubotą przez pole na skraj lasu i wysiadam. W poszyciu dominują krzaki jeżyn, a warstwę martwych liści i chrustu skrywa śnieg. Każdemu mojemu krokowi towarzyszy trzask łamanych gałęzi. Nie dostrzegłam jeszcze śladów krwi, ale jestem pewna, że je zobaczę, bo zawsze wiesz – czujesz to jakoś w kościach – kiedy twoja kula trafi w cel.

W końcu widzę dowód, że nie chybiłam: liście skropione krwią. Leży tu porzucone przez zabójcę okaleczone truchło mojej kury.

Brnę dalej, odpychając na boki gałęzie, które łapią mnie za spodnie i sięgają do moich oczu. Wiem, że jest tu gdzieś niedaleko, jeśli jeszcze nie martwy, to ciężko ranny. Zdołał uciec dalej, niż przypuszczałam, ale prę naprzód, wypuszczając z ust obłoczki pary. Kiedyś potrafiłam biec przez ten las sprintem, nawet z ciężkim plecakiem na ramionach, nie jestem już jednak tą samą kobietą co kiedyś. Nadmierna eksploatacja i upływ czasu pozbawiły moje stawy dawnej elastyczności, a nieudane lądowanie po skoku ze spadochronem skończyło się skomplikowaną operacją i metalowym sztyftem w kostce, która boli mnie teraz zawsze, gdy spada temperatura lub ciśnienie. Jak teraz. Starzenie się to okrutny proces. Usztynił mi kolana, pokrył niegdyś kruczoczarne włosy siwizną, pogłębił zmarszczki na twarzy. Wciąż mam jednak bystry wzrok i nie zatraciłam umiejętności odczytywania i interpretacji tropów. Kucam przy odcisniętym w śniegu śladzie łapy i dostrzegam plamkę krwi na liściach.

Zwierzę cierpi. Z mojej winy.

Podnoszę się na równe nogi. Kolana i biodra protestują, choć kiedyś potrafiłam bez problemu wyskoczyć z samochodu sportowego i natychmiast poderwać się do sprintu. Przedzieram się przez krzewy jeżyn, wchodzę na polanę i w końcu widzę moją nemezis, leżącą nieruchomo w śniegu. Samica. Wygląda na zdrową i dobrze odżywioną, ma lśniące rude futro. Jej pysk jest otwarty, widać wyraźnie ostre jak brzytwa zęby i szczęki na tyle silne, by jednym kłapnięciem złamać kark kurczaka. Kula trafiła ją prosto w pierś, jestem więc zdumiona, że zwierzę zaszło tak daleko, nim padło. Trącam je butem, by się upewnić, że jest martwe. Mimo że udało mi się rozwiązać ten problem, nie czuję wcale satysfakcji z uśmiercenia lisicy. Wzdycham głęboko, z żalem, a nie zadowoleniem.

W ciągu sześćdziesięcioletniego życia napatrzyłam się już wystarczająco na śmierć.

Futro jest zbyt cenne, by porzucać je w lesie, więc chwytam lisicę za ogon. Dzięki moim kurczakom nie brakowało jej pożywienia; jest teraz tak ciężka, że muszę ją ciągnąć za sobą, pozostawiając w śniegu i liściach krwawą koleinę. Podnoszę martwe zwierzę i wrzucam na pakę pojazdu. Ląduje na niej ze smutnym głuchym odgłosem. Choć skóra do niczego mi się nie przyda, znam kogoś, kto z radością ją przygarnie. Wsiadam do kuboty i jadę przez pole, do chaty sąsiada.

□ □ □

Luther Yount lubi przypaloną kawę; czuję ją na jego podjeździe, gdy wysiadam z kuboty. Widzę stąd mój dom stojący po drugiej stronie pokrytego śniegiem pola, na pagórku za rzędem klonów cukrowych. Nie jest zbyt wielki, ale solidny, wzniesiony w 1830 roku, jak twierdziła agentka nieruchomości. Wiem, że mówiła prawdę, bo dotarłam do oryginalnego aktu własności farmy Blackberry. Wierzę tylko w to, co sama mogę potwierdzić. Z mojego domu rozciąga się niczym nieprzesłonięty widok na wszystkie strony, więc jeśli ktoś się zbliża, widzę go już z daleka, zwłaszcza w pogodny zimowy poranek, gdy krajobraz jest surowy i biały.

Słyszę muczenie krów i gdakanie kur. Od chaty Luthera do stajni prowadzą ślady pozostawione w śniegu przez buty w niewielkim rozmiarze. Zostawiła je jego czternastoletnia wnuczka, Callie, która codziennie rano dogląda swoich zwierząt.

Wchodzę ciężkim krokiem na werandę i pukam do drzwi. Luther otwiera, a ja wciągam smród kawy, która zbyt długo stała na kuchence. Gospodarz wypełnia całe wejście, siwobrody Święty Mikołaj w czerwonej kraciastej koszuli i spodniach z szelkami. Oddycha chrapliwie, czemu

trudno się dziwić, skoro jego chatę zawsze wypełniają tumany kurzu, a czasami również dym z pieca.

– Dzień dobry, Maggie – wita mnie.

– Dzień dobry. Przywiozłam prezent dla ciebie i Callie.

– Z jakiej okazji?

– Bez okazji. Pomyślałam po prostu, że będziesz wiedział, co z tym zrobić. Jest na kubocie.

Nie fatyguje się zakładaniem kurtki, wychodzi na zewnątrz w wełnianej koszuli, dżinsach i zimowych butach. Idzie za mną do samochodu, kiwa głową z podziwem na widok martwej lisicy, a potem gładzi jej futro.

– Ślicznotka. Więc to był ten strzał, który słyszałem rano. Zdjęłaś ją jedną kulą?

– Tak. Ale zdołała jeszcze przebiec z pięćdziesiąt metrów w głąb lasu.

– To pewnie ta sama, która zabrała dwie kury Callie. Dobra robota.

– Mimo wszystko trochę mi jej szkoda. Chciała tylko przeżyć.

– Jak my wszyscy.

– Pomyślałam, że przyda wam się to futro.

– Na pewno nie chcesz go zatrzymać? Jest ładne.

– Będziesz wiedział, co z nim zrobić.

Sięga do paki i podnosi truchło. Musi włożyć w to trochę wysiłku, więc rzezi jeszcze głośniejsze.

– Wejdz, proszę – zaprasza mnie, tuląc martwe zwierzę niczym dziecko.

– Właśnie zaparzyłem kawę.

– Hm... dziękuję, ale nie.

– Więc przynajmniej weź trochę świeżego mleka.

Z tego akurat chętnie skorzystam. Mleka od karmionej świeżą trawą i sianem krowy rasy jersey nie da się porównać z niczym, co piłam przed

przeprowadzką do Maine; jest tak gęste i słodkie, że warto ryzykować i pić je bez przegotowania. Wchodzimy do chaty i Luther rzuca martwą lisicę na ławkę. W kiepsko ocieplonym pomieszczeniu jest niemal równie zimno jak na zewnątrz, i to pomimo ognia płonącego w piecu. Nie zdejmuję kurtki, choć gospodarz czuje się chyba całkiem komfortowo tylko w koszuli i dżinsach. Nie chcę kawy, ale i tak stawia na stole w kuchni dwa kubki. Niegrzecznie byłoby odmówić.

Siadam.

Luther podsuwa mi dzbanuszek ze śmietanką. Wie, że nie lubię czarnej kawy – tak naprawdę tylko tej, którą on parzy – i że nie jestem w stanie oprzeć się śmietance od krowy Callie. W ciągu dwóch minionych lat, odkąd wprowadziłam się na sąsiednią posesję, miał okazję wiele się o mnie dowiedzieć. Wie zatem również, że co wieczór gaszę światła około dziesiątej i że wstaję wcześnie, by nakarmić i napoić kury. Wie, że nie umiem jeszcze zbyt dobrze nacinać klonów, że jestem raczej samotniczką i że nie urządzam głośnych imprez. Dziś dowiedział się, że celnie strzelam. Wciąż jednak nie wie o mnie wielu rzeczy. O których nigdy mu nie powiem. Cieszę się, że nie należy do ludzi zadających zbyt wiele pytań. Cenię dyskretnych sąsiadów.

Ja natomiast wiem bardzo dużo o Lutherze YOUNCIE. Niektórych rzeczy można się domyślić o człowieku, rozglądając się jedynie po jego domu. Widać, że sam zrobił półki na książki, podobnie jak grubo ciosany stół w kuchni, gdzie z belki pod sufitem zwisają pęczki suszonego tymianku i oregano z ogrodu. Ma mnóstwo książek dotyczących zadziwiająco szerokiego spektrum tematów, od fizyki cząstek elementarnych po hodowlę zwierząt. Na niektórych podręcznikach widnieje jego nazwisko, ślad po wcześniejszym wcieleniu Luthera YOUNTA, gdy był wykładowcą inżynierii mechanicznej na jednym z wydziałów Massachusetts Institute of

Technology. Potem opuścił uczelnię, Boston i być może kilka demonów, by odrodzić się jako rozmamłany, ale szczęśliwy farmer. Wiem to wszystko nie dlatego, że sam mi powiedział; sprawdziłam go dokładnie, podobnie jak wszystkich pozostałych sąsiadów, nim kupiłam farmę Blackberry.

Luther przeszedł pomyślnie tę kontrolę. Dlatego czuję się całkowicie swobodnie, gdy siedzę przy jego stole i pijam kawę.

Na werandzie słychać ciężkie kroki, a po chwili otwierają się drzwi i do chaty wpada podmuch zimnego powietrza oraz czternastoletnia Callie. Luther uczy ją sam, dzięki czemu dziewczynka jest czarującą dzikuską, pod wieloma względami mądrzejszą, ale też naiwniejszą od rówieśniczek. Podobnie jak jej dziadek nie przejmuje się zbytnio wyglądem: na jej roboczej kurtce widać smugi brudu, a w brązowych włosach tkwią zabłąkane kurze pióra. Wnosi dwa kosze świeżo zebranych jajek i stawia je na blacie w kuchni. Jej twarz jest zarumieniona od zimna, wygląda tak, jakby ktoś ją spoliczkował.

– Cześć, Maggie! – woła, wieszając kurtkę.

– Patrz, co nam przyniosła – zwraca się do niej Luther.

Dziewczynka spogląda na martwą lisicę leżącą na ławie i przesuwa dłonią po jej futrze. Robi to bez wahania, bez śladu odrazy. Mieszka z Lutherem przez większość życia, odkąd jej matka przedawkowała heroinę i zmarła w Bostonie, nauczyła się więc obcować ze śmiercią.

– O, jeszcze ciepła – mówi.

– Od razu ją tutaj przywiozłam – odpowiadam. – Pomyślałam, że ty i twój dziadek zrobicie z tym coś pożytecznego.

Uśmiecha się do mnie, rozpromieniona.

– Futro jest piękne. Dziękuję! Myślicie, że wystarczy na czapkę?

– Tak mi się wydaje. – Luther kiwa głową.

– Wiesz, jak to zrobić, dziadku?

– Sprawdzę i jakoś do tego dojdę. Nie możemy pozwolić, żeby zmarnowało się coś tak ładnego, prawda?

– Chciałabym zobaczyć, jak to robisz – wtrącam.

– Chcesz też zobaczyć, jak obdzieram to zwierzę ze skóry?

– Nie. To akurat potrafię robić.

– Naprawdę? – Śmieje się. – Nie przestajesz mnie zaskakiwać, Maggie.

Callie wkłada jajka do zlewu. Odkręca kran i zaczyna je czyścić szmatką pod strumieniem bieżącej wody, by wyglądały na nieskazitelnie czyste, gdy włoży je do kartonów. W miejscowej spółdzielni sprzedaje je po siedem dolarów za tuzin. To wcale nie jest dużo jak na jajka z wolnego wybiegu, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę pracę, jaką trzeba włożyć w hodowlę, koszt karmy i nieustającą walkę z rysiami, lisami i szopami. Tych dwoje nie utrzymuje się wyłącznie ze sprzedaży jajek; Luther ma zainwestowane spore pieniądze w akcje. To kolejna informacja na jego temat, do której zdołałam się dokopać. Kury należą do Callie; to ona zarabia na jajkach i trzeba przyznać, że jest już całkiem sprawną biznesmenką. Nigdy dotąd nie znałam czternastolatki, która potrafiłaby równie sprawnie zabić i wypatroszyć starą nioskę.

– Szkoda, że musiałaś zabić tę lisicę, ale ja też straciłam już dużo kur – mówi.

– Na jej miejsce pojawi się zaraz jakiś inny drapieżnik – wtrąca jej dziadek. – Tak to już jest na tym świecie.

Callie spogląda na mnie.

– A ile ty straciłaś?

– Sześć tylko w tym tygodniu. Ta lisica zabrała dziś rano jedną araukanę.

– Może ja też powinnam kupić parę araukan. Klientom podobają się niebieskie jajka. Pewnie dostałabym za nie trochę więcej.

– Niebieskie jaja, brązowe jaja – prycha lekceważąco Luther. – Wszystkie smakują tak samo.

– Chyba powinnam już iść – mówię i wstaję od stołu.

– Tak szybko? – dziwi się Callie. – Dopiero co przyszałaś.

To jedna z bardzo nielicznych czternastolatek, które chętnie rozmawiają z kobietą w moim wieku, ale ona jest niezwykle dziewczyną. Czuje się tak swobodnie w towarzystwie dorosłych, że czasami zapominam, jak bardzo jest młoda.

– Wrócę, kiedy twój dziadek zabierze się do szycia czapki dla ciebie.

– Zrobię na kolację kurczaka i pierogi.

– W takim razie na pewno wrócę – obiecuję.

Luther dopija kawę i również wstaje.

– Poczekaj chwilę, dam ci to mleko. – Otwiera lodówkę, czemu towarzyszy melodyjne pobrzękiwanie szklanych butelek ustawionych na półkach. – Gdyby nie te cholerne przepisy, moglibyśmy sprzedawać mleko z własnego straganu. Siedzielibyśmy tylko i zbierali pieniądze.

Pieniądze, których wcale nie potrzebuje. Niektórzy lubią obnosić się z bogactwem, ale Luther wydaje się nim raczej zakłopotany. A może po prostu nie chce prowokować losu i ukrywa to, co ktoś być może chciałby mu zabrać. Wyjmuje cztery butelki, wypełnione mlekiem z grubą warstwą śmietany na wierzchu, i wkłada je do papierowej torby.

– Kiedy ktoś znowu do ciebie wpadnie, Maggie, poczęstuj go tym. A potem przyślij go od razu tutaj, żeby kupił więcej. Oczywiście to by była prywatna sprzedaż. Nie będziemy w to wciągać stanu Maine.

Biorę od niego mleko i jestem już przy drzwiach, gdy dociera do mnie to, co właśnie powiedział. Odwracam się do niego.

– Jak to „ktoś znowu” do mnie wpadnie? – pytam.

– A nikt cię wczoraj nie odwiedził?

– Nie.

– Hm... – Luther spogląda na wnuczkę. – Może coś źle usłyszałaś?

– Co usłyszała źle? – rzucam.

– Wczoraj na poczcie była jakaś pani – tłumaczy Callie. – Pytała o drogę do farmy Blackberry. Mówiła, że jest twoją przyjaciółką.

– Jak wyglądała? Była młoda, stara? Jakiego koloru miała włosy?

Callie jest zaskoczona tym gradem pytań.

– Była chyba dość młoda. I bardzo ładna. Nie widziałam jej włosów, bo miała czapkę. I ładną puchową kurtkę. Niebieską.

– Nie powiedziałaś jej, jak do mnie trafić, prawda?

– Nie, ale powiedział jej Greg z poczty. Coś się stało?

Tego nie wiem. Stoję przy otwartych drzwiach, owiewana chłodnym powietrzem, i trzymam w ręce torbę z butelkami mleka.

– Nikogo nie oczekiwałam. Po prostu nie lubię niespodzianek – odpowiadam i wychodzę z chaty.

Coś się stało? – zastanawiam się.

To pytanie wciąż mnie dręczy, gdy jakiś czas później wjeżdżam do miasta, by odebrać zakupy. Kto pytał o drogę do mojej farmy? Być może nic się za tym nie kryje, może ktoś szuka poprzedniej właścicielki, nie wiedząc, że zmarła trzy lata temu, w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat. Podobno była legendarną postacią, głównie za sprawą nieprzeciętnego intelektu i nieprzyjemnego usposobienia. Kobieta w moim typie. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód, dla którego ktoś mógłby pytać o farmę Blackberry. Nie robił tego nikt, odkąd dwa lata temu sprowadziłam się do Purity.

I chcę, żeby tak zostało.

W mieście zaliczam tę samą trasę co zwykle: sklep z paszą, poczta, spożywczy. W tych miejscach bez trudu wtapiam się w tło złożone z innych siwowłosych kobiet, otulonych zimowymi kurtkami i szalikami. Podobnie jak one rzadko przyciągam spojrzenia. Podeszły wiek daje anonimowość, najskuteczniejsze przebranie.

W spożywym przechadzam się niezauważona po wąskich sklepowych alejkach, pchając przed sobą wózek. Wkładam do niego płatki owsiane, mąkę, ziemniaki i cebulę. Przynajmniej jajek nigdy nie muszę kupować. Dział z alkoholem w tym małym miasteczku jest żałosny, ale mają tu dwa rodzaje szkockiej single malt i choć nie przepadam za żadną z nich, kupuję butelkę. Staram się nie naruszać zapasu trzydziestoletniej longmorn, bo nie wiem, kiedy będę miała szansę go uzupełnić. Jakakolwiek whisky jest lepsza niż żadna.

Kiedy stoję w kolejce, by zapłacić za zakupy, można mnie wziąć za jedną z tutejszych rolniczek, gospodynię domową albo emerytowaną nauczycielkę. Przez lata uczyłam się nie wyróżniać z tłumu, nie przyciągać uwagi, więc teraz przychodzi mi to bez trudu, co jednocześnie cieszy mnie i smuci. Czasami tęsknię do czasów, gdy mnie zauważano, kiedy nosiłam krótkie spódniczki i szpilki i czułam na sobie męskie spojrzenia.

Kasjerka wbija na kasę ceny i robi wielkie oczy, gdy pojawia się suma.

– To będzie... oj... dwieście dziesięć dolarów.

Podnosi na mnie wzrok, jakby oczekiwała, że będę protestować, ale wcale nie zamierzam tego robić. Wiem, że to whisky jest taka droga. No cóż...

Płacę i wynoszę torby z zakupami na zewnątrz. Ładuję je właśnie do mojego pick-upa, gdy dostrzegam kątem oka Bena Diamonda, ubranego jak zwykle w czarną skórzaną kurtkę. Wchodzi do Marigold, kawiarni po

drugiej stronie ulicy. Jeśli ktokolwiek trzyma w tym mieście rękę na pulsie, to on. Być może wie, kto o mnie pytał.

Przecinam ulicę i wchodzę za nim do Marigold.

Siedzi w boksie w towarzystwie Declana Rose'a. Jak zwykle obaj są zwrócenii twarzami do wejścia; nie potrafią się pozbyć tego nawyku nawet teraz, na emeryturze. Declan wygląda w tweedowej marynarce jak nauczyciel historii, którym zresztą kiedyś był. Choć ma sześćdziesiąt osiem lat, jego lwia grzywa przetykana pasmami siwizny jest równie gęsta jak wtedy, gdy go poznałam, niemal czterdzieści lat temu. W odróżnieniu od dobrodusznego na pozór Declana, Ben Diamond wygląda dość groźnie, pewnie przez ogoloną głowę i czarną skórzaną kurtkę. Trzeba mieć wrodzone zdolności przywódcze, by prezentować się tak w wieku siedemdziesięciu trzech lat, a właśnie tyle ma. Kiedy do nich podchodzę, obaj podnoszą wzrok.

– Ach, Maggie! – wita mnie Declan. – Dosiądź się do nas.

– Dawno cię nie widziałem. Co porabiałaś? – pyta Ben.

Wsuwam się do boksu.

– Musiałam rozwiązać problem z lisem.

– Rozumiem, że lis już opuścił ten świat.

– Dziś rano. – Podnoszę wzrok na przechodzącą obok kelnerkę. – Kawę poproszę, Janine.

– Przynieść menu?

– Nie dziś, dziękuję.

Ben przygląda mi się uważnie. Potrafi wiele wyczytać z twarzy – to jeden z jego talentów – prawdopodobnie wyczuwa więc, że przyszedłam tu nie bez powodu. Czekam, aż Janine przejdzie dalej, po czym zadaję pytanie:

– Kto mnie szuka?

– Ktoś cię szuka?

– Była tu wczoraj jakaś kobieta i podobno pytała na poczcie o drogę do farmy Blackberry.

Spoglądają po sobie, a potem patrzą na mnie.

– Nie słyszałem o tym – mówi Ben.

Janine przynosi mi kawę, lurowatą, ale przynajmniej nie przypaloną, jak u Luthera. Czekamy, aż kelnerka odejdzie, i dopiero wtedy wracamy do rozmowy. To po prostu siła przyzwyczajenia. Declan i Ben zawsze wybierają ten boks, bo czują się tutaj jak na odizolowanej bezpiecznej placówce, z dala od ciekawskich uszu.

– Martwi cię to? – pyta Declan.

– Nie wiem, czy powinno – odpowiadam.

– Pytała konkretnie o ciebie? Czy tylko o farmę?

– Tylko o farmę. Może nie powinnam się tym przejmować. Bo niby skąd mogła wiedzieć, że tam mieszkam?

– Mogą się dowiedzieć wszystkiego, jeśli naprawdę im na tym zależy.

Milkniemy, gdy dwaj klienci wstają od stołów i przechodzą obok nas, idąc do kasy. Dzięki temu mam okazję zastanowić się nad słowami Declana: „jeśli naprawdę im na tym zależy”. Od lat liczę na to, że nie warto zadawać sobie trudu, by śledzić moje poczynania. Zawsze mają jakieś ważniejsze sprawy na głowie, a ja jestem tylko płotką. No może trochę większą płotką. Po co szukać kobiety, które nie chce, by ją znaleziono? Odkąd szesnaście lat temu odeszłam z Agencji, stopniowo stawałam się mniej czujna. Właściwie tak przywykłam do roli prowincjonalnej hodowczyni kur, że naprawdę zaczęłam się za nią uważać. Ben jest teraz tylko emerytowanym sprzedawcą sprzętu hotelowego, a Declan emerytowanym nauczycielem historii. Znamy prawdę, ale nie zdradzamy nawzajem swoich tajemnic, bo musimy strzec własnych.

Ta wzajemna zależność daje nam poczucie bezpieczeństwa.

– Będziemy mieli oczy i uszy otwarte – obiecuje Ben. – Dowiemy się, kim jest ta kobieta.

– Byłabym wdzięczna. – Kładę na stole dwa dolary za kawę.

– Przyjdiesz dziś na literacką grupę dyskusyjną? Ostatnio byłaś dwa miesiące temu. Brakuje nam ciebie.

– O jakiej książce rozmawiacie?

– O *Osobliwościach miast i dziwach podróży* Ibn Battuty. Ingrid ją wybrała – mówi Ben.

– Już to czytałam.

– Więc możesz nam ją streścić – proponuje Declan. – Bo Ben i ja nie odrobiliśmy pracy domowej. Spotykamy się dziś wieczorem w domu Ingrid i Lloyda. O szóstej, pijemy martini. Po kilku kieliszkach może uda nam się odpuścić dyskusję o książce i przejść od razu do miejscowych plotek. Możemy na ciebie liczyć?

– Zastanowię się.

– Czyli odmawiasz – kwituje groźnie Ben.

Próbuje mnie nastraszyć. Zawsze zastanawiałam się, na ile sprawdzały się jego gangsterskie metody, gdy pracował w terenie. Na mnie z pewnością nigdy to nie działało.

– No dobrze, będę – mówię.

– A ja dopilnuję, żeby nie zabrakło lodu do twojej ulubionej wódki – zapewnia mnie Declan.

– Belvedere.

– Maggie, doprawdy... – Parska śmiechem. – Myślisz, że mógłbym o tym zapomnieć?

Oczywiście, że pamięta, jaka jest moja ulubiona wódka. Pod jego gęstymi włosami kryje się bystry umysł, obdarzony niezwykłą pamięcią i talentem do języków, dzięki czemu opanował ich aż siedem. Ja poddałam się po trzech.

Wracam do samochodu i jadę do domu wyboistymi bocznymi drogami, przez czarno-biały krajobraz, na który składają się głównie nagie drzewa i pokryte śniegiem pola. Nie przypuszczałam, że w takim otoczeniu będę spędzać jesień życia. Dorastałam w miejscu, gdzie królowały pył, upał i oślepiająco jasne lata, tak że pierwsza zima w Maine była dla mnie wyzwaniem. Nauczyłam się, jak rąbać grube pniaki, jak jeździć po lodzie i rozmrażać zamrożone rury. Przekonałam się w ten sposób, że człowiek nigdy nie jest za stary, by przystosować się do nowego otoczenia. Kiedy byłam młoda i wyobrażałam sobie idealne miejsce na emeryturę, marzyłam o willi na szczycie wzgórza na Ko Samui albo o domku wśród drzew na półwyspie Osa, gdzie wsłuchiwałabym się w śpiew ptaków i głosy wyjców. Takie miejsca znałam i uwielbiałam, ale nie mogłabym się w nich ukryć.

Bo tam właśnie spodziewaliby się mnie zastać. Bycie przewidywalnym jest podstawowym błędem.

Dzwoni telefon.

Spoglądam na ekran i gwałtownie hamuję. Zjeżdżam na pobocze i wpatruję się w obrazy na wyświetlaczu. To nagranie z systemu alarmowego w moim domu. Ktoś właśnie tam wszedł.

Mogłabym wezwać na pomoc miejscowych policjantów, ale z pewnością zadawaliby pytania, na które pewnie nie chciałabym odpowiadać. W komendzie w Purity pracuje tylko sześciu pełnoetatowych funkcjonariuszy i jak dotąd nie miałam powodów, żeby się z nimi kontaktować. Chcę, by tak zostało, nawet jeśli oznacza to, że będę musiała radzić sobie sama.

Wjeżdżam na drogę i jadę dalej.

Zanim docieram do rzędu klonów i parkuję przed domem, tętno przyspiesza mi do galopu. Przez chwilę siedzę w samochodzie i przyglądam się werandzie. Wszystko wygląda całkiem normalnie. Drzwi frontowe są zamknięte, a łopata do śniegu jest tam, gdzie ją zostawiłam, oparta o stertę drewna na opał. Włamywacz nie chce, bym wpadła na to, że coś mi grozi.

Utrzymam go więc w przekonaniu, że nie wiem o jego obecności.

Wysiadam z samochodu, zanoszę ziemniaki i paszę dla kur na werandę i rzucam worki tak, że głośno lądują na deskach. Kiedy wyciągam klucze, wszystkie moje zmysły są niezwykle wyostrzone. Każde doznanie jest zwielokrotnione: szelest nagich gałęzi drzew, pocałunek zimnego wiatru na policzku.

Zauważam, że cienka nić na ościeżnicy została zerwana.

Wydaje się, że w epoce wyrafinowanej elektroniki to bardzo prymitywne zabezpieczenie, ale systemy cyfrowe mogą zawieść i można je zhakować. Kilka miesięcy temu przestałam być tak ostrożna: coraz częściej nie chciało mi się mocować włókna, cienkiego jak pajęczka nić, ale po rozmowie z Lutherem wróciłam do tego środka ostrożności.

Otwieram drzwi, popycham je butem i zaglądam do przedsionka. Buty stoją w równym szeregu pod ławką, płaszcze wiszą na haczykach. Na podłodze widać naniesione z zewnątrz błoto i piasek.

Na razie wszystko wygląda całkiem normalnie. Drzwi po lewej prowadzą do salonu. Zaglądam tam i widzę tylko sofę, fotele, drewno ułożone przy kominku. Ani śladu włamywacza.

Skręcam w prawo i omijając deskę, która zawsze przeraźliwie skrzypi, wchodzę do kuchni. Filiżanka po kawie i naczynia po śniadaniu w zlewie, skórki po grejpfrucie w koszu na kompost. Na stole skrzą się rozsypane drobiny cukru. Właściwie nic się nie zmieniło od momentu, gdy wyszłam

z domu, prócz jednego szczegółu: w powietrzu unosi się zapach nieznanego mi szamponu.

Za moimi plecami rozlega się skrzywienie tej irytującej deski. Odwracam się i staję twarzą w twarz z kobietą.

Jest młoda i gibka, porusza się ze swobodą i wdziękiem sportowców. Niewiele ponad trzydzieści lat, proste czarne włosy z równo obcięta grzywką, ciemne oczy, słowiańskie kości policzkowe. Wydaje się zadziwiająco spokojna, mimo że lufa walthera, którego noszę przy sobie od porannej rozmowy z Callie, jest skierowana prosto w jej pierś.

– Dzień dobry, Maggie Bird – mówi. – Nie mogę uwierzyć, że się spotykamy. Dlaczego wybrałaś sobie właśnie takie nazwisko? Ptak?

– A czemu nie?

– Niech zgadnę. Ptak, bo „wolny jak ptak”?

– Każdy ma prawo marzyć.

Przyciąga sobie krzesło. Siada przy kuchennym stole i niedbałym gestem zgarnia na bok kryształki cukru, który rozsypałam przy śniadaniu, jakby w ogóle nie przejmowała się tym, że wystarczy jeden mój ruch, a pożegna się z życiem.

– To naprawdę nie jest potrzebne – mówi, wskazując głową na walthera.

– Ja o tym zdecyduję. Na razie patrzę na kogoś, kto wszedł do mojego domu bez zaproszenia. Nie mam pojęcia, kim jesteś ani po co tu przyszłaś.

– Mów mi Bianca.

– To prawdziwe imię czy pseudonim?

– Czy to ważne?

– Policja będzie chciała zidentyfikować zwłoki.

– Och, daj spokój. Jestem tu, bo mamy problem. I przydałaby się nam twoja pomoc.

Przyglądam jej się przez chwilę, patrzę na opuszczone swobodnie ramiona i długie, szczupłe nogi. Nawet na mnie nie patrzy, zajęta skórką przy paznokciu.

Siadam naprzeciwko niej i kładę walthera na stole.

Zerka na broń.

– Rozumiem, dlaczego masz przy sobie broń. Uchodzisz za wyjątkowo nieufną osobę.

– Tak?

– Dlatego przysłali właśnie mnie. Pomyśleli, że uznasz kobietę za mniejsze zagrożenie.

– Skoro tak dobrze mnie znasz, to na pewno wiesz, że wypadłam już z gry. Hoduję teraz kury. Bardzo mi się podoba to zajęcie.

Na jej ustach nie pojawia się nawet cień uśmiechu. Nie ma poczucia humoru, skupia się wyłącznie na swoim zadaniu, jest kobietą z misją. Agencja najwyraźniej zaostrzyła zasady rekrutacji od czasów, gdy dla nich pracowałam.

– Nie wiem, dlaczego cię wysłali – mówię – ale zobaczyłaś mnie, więc wiesz, że lata świetności mam już dawno za sobą i że się rozleniwiłam. Nie interesuje mnie ta praca.

– Zapłacą ci.

– Mam wystarczająco dużo pieniędzy.

– To byłaby niezła suma.

– Naprawdę? – Unoszę brwi. – To niepodobne do skąpego Wujka Sama.

– To zadanie miałoby dla ciebie szczególne znaczenie.

– Tak czy inaczej, nie jestem zainteresowana. – Zrywam się z krzesła i choć ten gwałtowny ruch przyprawia mnie o bolesne klucie w kolanie, jestem zbyt dumna, by okazywać przy niej, że cierpię. – Odprowadzę cię.

Powiedz im, że jeśli znów kogoś do mnie przyślą, to niech ten ktoś zapuka do drzwi, jak normalny człowiek.

– Diana Ward zniknęła.

Nieruchomieję. Przez moment wpatruję się w nią w milczeniu, ale widzę jedynie profesjonalny chłód i twarz kompletnie pozbawioną wyrazu.

– Żyje? – pytam w końcu.

– Nie wiemy.

– Gdzie ją ostatnio widziano?

– W Bangkoku, tydzień temu. Potem zniknęła, a jej telefon komórkowy jest wyłączony.

– Od lat jest na emeryturze. Odeszła z Agencji wkrótce po mnie. Co was obchodzi, gdzie jest teraz?

– Martwimy się o nią. Właściwie martwimy się o wszystkich, którzy byli zaangażowani w operację Cyrano.

Nie potrafię ukryć zaskoczenia, gdy słyszę tę nazwę. Czuję się tak, jakbym miała wstrząśnienie mózgu.

– Dlaczego ta sprawa wraca właśnie teraz? – pytam.

– Niedawno ktoś włamał się do cyfrowego archiwum Agencji. Oczywiście nieautoryzowane wejście do sieci uruchomiło alarm i zostało szybko zablokowane, ale okazało się, że ten ktoś był zainteresowany tylko plikiem dotyczącym operacji Cyrano.

– To sprawa sprzed szesnastu lat.

– A informacje pozostają utajnione, dla dobra wszystkich zaangażowanych w nią osób. Obawiam się jednak, że nazwiska wyszły na jaw, dlatego staramy się was wszystkich znaleźć i sprawdzić, jak sobie radzicie. Czy nie potrzebujecie pomocy. Muszę przyznać, że nigdy nie spodziewałabym się znaleźć cię w takim miejscu.

Spogląda na sosnowy stół, na żeliwne patelnie zawieszane na ścianie. Na zewnątrz znów zaczęło padać, za oknem wirują wielkie płatki śniegu. Kiedy taki opadnie, cudownie się spaceruje. Bianca nie wygląda jednak na kobietę, która mogłaby zachwycać się śniegiem.

– Jak widzisz, osiadłam tutaj i mam nowe nazwisko – mówię. – Jestem całkiem bezpieczna.

– Ale Diana może mieć kłopoty.

– Diana i kłopoty? – Parskam śmiechem. – To twarda dziewczyna, doskonale potrafi o siebie zadbać. Jeśli to wszystko, z czym do mnie przysłaś, chyba czas się pożegnać.

Podchodzę do drzwi i otwieram je. Mimo strumienia zimnego powietrza, który wpływa do domu, nie zamykam ich; czekam, aż kobieta wyjdzie.

W końcu przechodzi na werandę, a potem odwraca się i wbija we mnie wzrok.

– Pomóż nam ją znaleźć, Maggie. Musisz wiedzieć, dokąd mogła wyjechać. Pracowałyście razem.

– Szesnaście lat temu.

– Ale prawdopodobnie i tak znasz ją lepiej niż ktokolwiek inny.

– Tak, pewnie masz rację. I właśnie dlatego głównie mnie obchodzi, co się z nią stanie – mówię i zamykam jej drzwi przed nosem.

ROZDZIAŁ TRZECI

JO

Niektórych facetów trzeba dźgnąć mocniej, pomyślała Jo Thibodeau, obserwując, jak ratownicy medyczni wsuwają do karetki nosze z Jimmym Kielym. Była niemal pewna, że wróci do zdrowia, co zależnie od punktu widzenia należało uznać za dobrą lub złą wiadomość. Dobrą, bo jego żona, Megan, nie zostanie oskarżona o zabójstwo. Złą, bo oznaczało to, że po powrocie Jimmy znów zamieni życie Megan w piekło, a Jo i jej podwładni po raz kolejny będą musieli interweniować i przerywać niekończącą się tragedię, jaką było życie tej pary. Nawet w tak małym miasteczku jak Purity nie brakowało dramatów, które czasami rozgrywały się za zamkniętymi drzwiami, tak że nie słyszało się płaczu ani odgłosów uderzeń pięści. Czasami wychodziło to na jaw, a sąsiedzi, którzy wcześniej widywali podbite oczy i stale zaciągnięte zasłony, kiwali głowami i mówili: „Wiedzieliśmy, że kiedyś do tego dojdzie”.

Tego wieczoru doszło i kilkanaścioro sąsiadów stało na parkingu pubu Whale Spout, słuchając, jak Jimmy wykrzykuje groźby z karetki, i to na tyle głośno, że zagłuszały muzykę dobiegającą z lokalu.

– Poczekaj tylko, ty suko! Poczekaj, aż wrócę do domu!

Szkoda, że nóż nie trafił w jego płuco.

– Pożałujesz jeszcze!

Gdy karetka odjechała, migając światłami, Jo odetchnęła głęboko, wypuszczając w mroźne powietrze obłoczek pary. Tłum zgromadzony na parkingu wcale nie miał ochoty się rozchodzić, bo to było najbardziej ekscytujące wydarzenie w Purity, odkąd Fernald Hobbs, prowadząc pick-upa, dostał udaru i wjechał przez warsztat szkutniczy do zatoki. Choć było dziesięć stopni mrozu i znów zaczął padać śnieg, wszyscy stali jak zahipnotyzowani przez koguty dwóch radiowozów. Zresztą dla ludzi, którzy wychowali się w Maine, dziesięć stopni mrozu to całkiem przyjemna temperatura.

– Proszę, idźcie już do domu, kochani! – zawołała Jo. – Nie ma tu czego oglądać!

– Zasłużył sobie na to, Jo! – odpowiedziała jej Dorothy French.

– O tym zdecyduje ława przysięgłych. A teraz idźcie już wszyscy do domu, zanim sobie coś poodmrażacie. Bar będzie dziś zamknięty.

Jo miała nadzieję, że skoro jedyny w mieście lokal z alkoholem nie będzie czynny, reszta nocy upłynie w miarę spokojnie. Chyba że ktoś wpadnie samochodem w zaspę albo jakieś dziecko otworzy sobie drzwi i wyjdzie samo z domu. Zimna pogoda oznacza dla gliniarza różnego rodzaju komplikacje, od wypadków po zagubione dzieci. Jeśli dorzucić do tego nudę czy złość wywołaną długim pobytem w domu, skłóconą parę, która wypila za dużo alkoholu, to masz...

Masz to, co się właśnie wydarzyło w Whale Spout.

Jo weszła do baru i tupnęła kilka razy, żeby otrząsnąć buty ze śniegu. W środku było gorąco jak w cieplarni; temperaturę ustawiono na co najmniej dwadzieścia pięć stopni. Co za marnotrawstwo energii! Jo spojrzała na pub, w którym przepracowała kilka letnich sezonów. Nalewała wino i robiła koktajle dla hord opalonych turystów, którzy mówili, że jej nadmorska wioska jest „urocza”, i pytali, co ludzie robią tu zimą.

Robimy właśnie to, pomyślała. Tyjemy, pijemy za dużo i działamy sobie na nerwy. Wciągnęła w nozdrza drożdżowy zapach piwa i przemknęło jej przez głowę, że z rozkoszą wypiłaby szklanekę chłodnego sea dog, ale to musiało poczekać. Rozpięła kurtkę, zdjęła rękawiczki, wełnianą czapkę i skupiła się na powodzie, dla którego się tu znalazła: przygarbionej młodej kobiecie siedzącej przy stoliku w kącie, pilnowanej przez stojącego obok funkcjonariusza.

Megan Kiely bez wątpienia przeżyła lepsze chwile niż ta. W szkole średniej była jedną z najpopularniejszych dziewczyn. Ruda, pełna życia, śmiała się tak głośno, że słycać ją było z drugiej strony boiska. Nadal miała rude włosy i zabójczą figurę, ale w wieku trzydziestu dwóch lat nie potrafiła się już śmiać i była cieniem dawnej siebie.

– Cześć – powiedziała Jo na tyle głośno, by przekrzyczeć dudniącą muzykę.

Megan podniosła wzrok i odpowiedziała beznamiętnym tonem:

– Cześć, Jo.

– Mike, zostawisz nas na chwilę? – poprosiła Jo podwładnego. – I wyłącz tę cholerną muzykę, dobrze?

Poczekwała, aż Mike przejdzie za bar i wyłączy głośniki. Cudowna cisza, wreszcie. Kiedy usiadła przy stoliku, naprzeciwko Megan, poczuła coś lepkiego na blacie stołu. Spojrzała w dół i zobaczyła krew rozsmarowaną na nasadzie dłoni. Była to z pewnością krew Jimmy’ego, bo jego żona nie miała otwartych ran, tylko opuchnięte oko, które do rana z pewnością zamieni się w paskudne limo.

– No dobrze – rzuciła Jo. – Pogadamy?

– Nie.

– Wiesz, że musimy.

– Tak. – Megan westchnęła ciężko. – Wiem.

Jo wyjęła papierową serwetkę z pojemnika na stole i wytarła rękę z krwi.

– Co się stało? – spytała.

– Uderzył mnie.

– Gdzie?

– W twarz.

– Pytam, gdzie to się stało.

– W domu. Nawet nie pamiętam, co go wkurzyło... A, tak, późno wróciłam od mamy. Kiedy mnie walnął, uciekłam. Przyszłam tutaj, bo pomyślałam, że poczekam, aż ochłonie. Ale przylazł za mną. Wpadł tu, zobaczył, że siedzę przy barze, i od razu się na mnie rzucił. A ja... po prostu zareagowałam. Wzięłam nóż do steków i zaczęłam się cofać. Nie pamiętam tego. Wiem tylko, że krzyczał, wszędzie była krew, a ja trzymałam w ręce nóż.

Jo spojrzała na Mike'a.

– Już zapakowaliśmy go do worka – powiedział. – I mamy sześciu świadków, którzy to widzieli. – Wzruszył ramionami. – Prosta sprawa.

Tyle że sprawa wcale nie była prosta. Owszem, to, że żona dźgnęła nożem męża, wydawało się jednoznaczne, ale była też smutna historia kobiety, która zakochała się zbyt młodo, wyszła za mąż zbyt młodo i wpadła w pułapkę.

– Pójdę do więzienia, prawda? – wyszeptała Megan.

– Tę noc spędzisz w areszcie. Jutro rano twój prawnik coś wymyśli.

– A potem?

– Istnieją okoliczności łagodzące. Ja to wiem i wie o tym większość ludzi w tym mieście.

Megan skinęła głową i roześmiała się smutno.

– Właściwie cieszę się, że będę w areszcie. Przynajmniej spokojnie się wyśpię i nie będę się martwić, że...

– To nie musi tak wyglądać – przerwała jej Jo.

– Ale tak wygląda. – Megan spojrzała na nią. – Właśnie tak.

– Więc zmień to. Powiedz Jimmy’emu, żeby się odpieprzył.

Megan uśmiechnęła się lekko.

– Tak, ty byś tak powiedziała. Jo Thibodeau, która niczego się nie boi. Nic się nie zmieniłaś od czasu szkoły średniej. – Pokręciła głową. – Co ty w ogóle jeszcze robisz w tym mieście? Mogłabyś wyjechać. Zamieszkać gdzie indziej. W jakimś ciepłym miejscu, na przykład na Florydzie.

– Nie lubię upałów.

– Chodzi o to, że nie musisz być tutaj.

– To prawda, nie muszę. Ty też.

– Ty nie trafiłaś na niewłaściwego faceta.

– Zawsze możesz to zmienić.

– Łatwo ci powiedzieć! Nie rozumiesz, jakie to trudne.

– Nie. – Jo westchnęła. – Pewnie nie rozumiem.

Tak jak nie rozumiała, dlaczego Megan dała się nabrać na słodkie słówka Jimmy’ego Kiely’ego i trafiła w jego ramiona. No ale faceci tacy jak Jimmy zwykle trzymali się z dala od Jo. Wszyscy chłopcy w mieście wiedzieli, że gdyby ktoś uderzył Jo Thibodeau, oddałaby mu dwa razy mocniej.

Wstała i pomogła Megan się podnieść.

– Ktoś powinien zająć się twoim okiem – powiedziała. – Mike zawiezie cię najpierw do szpitala. Potem przyjmujemy cię do aresztu.

– I wtedy będę się mogła porządnie wyspać.

Megan mogła liczyć na spokojną noc, bo miała być jedyną lokatorką aresztu w Purity, który o tej porze roku był niemal zawsze pusty. Jo uważała to za jedną z zalet zimy. Żadnych pijanych turystów, którzy pływali ryczącymi motorówkami po zatoce, żadnych drobnych kradzieży popełnianych przez znudzonych nastolatków przyjeżdżających na wakacje do domu. Gdy noce robiły się coraz dłuższe i zaczynał padać śnieg, Purity zapadało w sen zimowy, stawało się spokojniejszą, mniej kłopotliwą wersją siebie.

Właśnie taką senną wersję Purity widziała później, gdy jechała Main Street, mijając witryny sklepów wygaszone już o dziewiętnastej i puste chodniki pokryte lodem lśniącym w blasku latarni. Zaczarowane miasteczko uśpione w zimową noc. Choć wyglądało jak miejsce, w którym zatrzymał się czas, Jo w ciągu trzydziestodwuletniego życia widziała tu już zdecydowanie zbyt wiele zmian. Tam, gdzie niegdyś mieścił się sklep, w którym sprzedawano stare filizanki z różnych kompletów i wyblakłe pocztówki, teraz mieścił się sklep z pamiątkami, w którym sprzedawano głównie dzemy, galaretki i cukierki w kolorowych opakowaniach. Bar, do którego jej ojciec chodził na colę z lodami, zamieniono najpierw na sklep z winem, a potem na lokal o nazwie Fine Grind, gdzie sprzedawano tyle wersji kawy, że trzeba by było kupić słownik języka włoskiego, żeby wiedzieć, co się zamawia. Na szczęście działał wciąż sklep żelazny, choć jego osiemdziesięcioletni właściciel chciał już przejść na emeryturę, można więc było założyć, że wkrótce zamiast młotków i śrubokrętów będą tam sprzedawane T-shirty. W ceglanych budynkach, które miały po sto pięćdziesiąt lat, nieustannie zmieniały się interesy i właściciele, bo jedyną rzeczą, na jaką można liczyć w życiu – nawet w małym miasteczku – są ciągle zmiany.

Pomyślała o tym, co powiedziała jej Megan: „Co ty w ogóle jeszcze robisz w tym mieście? Mogłabyś wyjechać”. To prawda, mogła wyjechać z Purity, wiedziała jednak, że nigdy tego nie zrobi – bo tego nie chciała. Tu się wychowała, tu wychowali się jej ojciec i dziadek, i jego dziadek; rodzina Thibodeau od dwustu pięćdziesięciu lat zapuszczała głęboko korzenie w tę kamienistą glebę. I teraz obowiązkiem Jo było chronić to miejsce, siedemdziesiąt pięć kilometrów kwadratowych rozciągających się od zatoki Penobscot do wzgórz Cameron. Teren ten obejmował ziemie uprawne, lasy, jezioro, mnóstwo stawów, które miały nazwy albo nie, oraz miasteczko z przystanią i warsztatem szkutniczym. Większość z trzech tysięcy mieszkańców okolicy miała domy wzdłuż nabrzeża, gdzie czuło się zapach oceanu.

W ten zimowy wieczór było jednak zbyt zimno, by dało się go wyczuć, nawet gdy Jo podjechała na nabrzeże, zaparkowała i opuściła szybę. Nasłuchiwała, czy w pobliżu nie dzieje się coś niepokojącego, ale słyszała tylko plusk wody uderzającej o wał nadmorski. Dwa należące do miasta miejskie szkunery, *Amelie* i *Samuel Day*, przykryto na zimę brezentem, wyglądały więc jak statki widma, kołyszące się powoli na cumach. Gdy nadejdzie lato, będą codziennie – jeśli tylko pogoda pozwoli – wypływać na ocean, wypełnione od steru po rufę pasażerami płacącymi za rejs. Miejscowi nazywali ich „codziennym połowem” i choć chętnie przyjmowali od turystów pieniądze, nie podobały im się chaos i zamieszanie związane z ich pobytem w mieście.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Maggie

Kiedy zajeżdżam przed piękny biały dom w stylu kolonialnym, należący do Lloyd'a i Ingrid, widzę po drugiej stronie ulicy czarne subaru Bena Diamonda, a nieco dalej granatowe volvo Declana, co oznacza, że jest już cały gang. Przyglądanie się pojazdom na ulicy, notowanie w myślach, kto przyjechał, a kto jeszcze nie, należy do mojej drugiej natury. Trudno się pozbyć starych nawyków.

Drzwi otwiera Lloyd.

– Ach, zastanawialiśmy się, kiedy przyjdiesz – mówi, gdy wchodzę do domu, wnosząc swój wkład do kolacji.

– Pysznie pachnie – rzucam, wręczając mu naczynie. – Co gotowaliście?

– Próbuję pierwszy raz w życiu ugotować porchettę. Ale najpierw martini! Declan trzyma już w lodzie belvedere.

Wieszam płaszcz i wchodzę do salonu, gdzie w kominku płonie ogień – prawdziwy, z drewna, a nie wkład gazowy. W powietrzu unosi się zapach curry i czosnku, a na stoliku czekają różnego rodzaju przystawki: salami, mortadela, oliwki i sery. W tym domu tylko Lloyd zajmuje się gotowaniem, a sądząc po jego brzuchu, zjada większość tego, co szykuje. Uczestnicy spotkania stoją ze szklankami przy kominku.

Nazwaliśmy te wieczorne spotkania „klubem literackim”, ale tak naprawdę przychodzimy, żeby wypić razem po kilka drinków.

I poplotkować. Plotki były walutą naszego minionego życia, nim trafiliśmy do spokojnego zakątka Maine. Ben Diamond osiadł tu jako pierwszy, dziewięć lat temu. Przeszedł wcześniej na emeryturę, żeby opiekować się chorą żoną, i poszukiwania idealnego miasteczka zaprowadziły go do Purity. Znalazł tu wszystko, czego potrzebował: księgarnię, przyzwoitą bibliotekę, kawiarnię, w której podawano espresso, i żadnych obiektów nuklearnych w pobliżu.

Rok po przeprowadzce jego żona zmarła, ale został w Purity. Kilka lat później namówił Ingrid i Lloyda, a potem Declana, by się tu przenieśli. Jestem pewna, że jest wielu innych, którzy spokojnie spędzają emeryturę w różnych miejscach Maine, stanu, w którym Agencja miała wiele kryjówek. Nie mam pojęcia, kim są ci ludzie ani gdzie mieszkają, Ben jednak z pewnością wie. Bo wie wszystko.

Declan podaje mi drinka. Szklanka jest tak zimna, że jej dotyk sprawia mi ból, ale lubię to.

– Podobno miałaś dzisiaj niezapowiedzianego gościa – zwraca się do mnie Ingrid.

Spoglądam na Declana, bo tylko on mógł jej o tym powiedzieć. Wzrusza przepaszająco ramionami.

– Nie czekałeś zbyt długo, żeby się podzielić wiadomościami – mówię.

– Uważałem, że powinni o tym wiedzieć. Kiedy w tym miasteczku pojawia się ktoś z zewnątrz, lepiej zachować ostrożność.

– Powiedz nam o niej – prosi Ingrid.

Pociągam łyk cudownie zimnego martini.

– Mówiła, że nazywa się Bianca.

Pozostała trójka podchodzi, by przyłączyć się do rozmowy. Zawsze mają wyczułone uszy na cenne informacje.

– Bianca. Nic mi to nie mówi – rzuca Ingrid.

Pozostali kręcą głowami.

– Nowa twarz – opowiadam. – Tuż po trzydziestce, mniej więcej metr siedemdziesiąt wzrostu, sześćdziesiąt kilo. Czarne włosy, brązowe oczy.

– Jakiś akcent?

– Nie zauważyłam. Może brytyjski, bardzo poprawna wymowa. Niewykluczone, że mieszkała tam przez kilka lat.

Kiwają głowami, przyswajając te wiadomości. Nie muszą robić notatek; wszystko jest już zapisane na stałe w ich mózgach.

– Co ona tu robi? – pyta Ingrid, poprawiając apaszkę. W mieście, gdzie czysta koszula i dżinsy uchodzą za szykowne ubranie, nie zrezygnowała z eleganckiego stylu ubierania się. Jej siwe włosy są starannie ułożone i spięte grafitową klamerką w kształcie motyla, pod szyją ma idealnie związaną jedwabną apaszkę. Choć może wydawać się próżna, za jej beznamiętnym wyrazem twarzy kryje się umysł geniusza, który potrafi złamać każdy szyfr.

– Przyjechała w związku z jakąś starą sprawą, w którą byłam wplątana – mówię, żałując, że zwierzyłam się Declanowi. – Nic szczególnie interesującego.

– A jednak na tyle ważnego, że przyjechała za tobą aż tutaj. Kiedy zajmowałaś się tą... sprawą?

– Wiele lat temu. – Odwracam się i rzucam Declanowi ponure spojrzenie. Nie wygląda na zakłopotanego. – Stara historia – dodaję.

– Więc dlaczego zwracają się z nią do ciebie dopiero teraz?

– Wiesz, jak to jest z tym nowym pokoleniem – mówi jej mąż, Lloyd. – Nie znają dobrze starych spraw. Chcą, żebyśmy im wszystko wyjaśniali.

Ingrid w odróżnieniu od niego czuje, że za tą wizytą Bianki kryje się więcej, niż im mówię, i draży dalej:

– Czego od ciebie chciała?

Pociągając łyk martini, zastanawiam się, co odpowiedzieć.

– Wiele lat temu współpracowałam z pewną kobietą – odzywam się w końcu. – Zniknęła im z oczu, więc chcę, żebym pomogła im ją znaleźć.

Lloyd prycha.

– Najpierw mówią nam, że jesteśmy za starzy do tej pracy. A potem, kiedy sobie uświadamiają, że nie wiedzą, co robią, przychodzą do nas i proszą o pomoc. Niech sami się uczą, w terenie, jak my kiedyś. – Stuka palcem w głowę. – Wszystko nadal mam tutaj. Każdy najmniejszy szczegół, gdyby tylko chcieli spytać.

Ben wydaje się zaniepokojony. Jest najstarszy wśród nas i uważamy go za nieoficjalnego przywódcę tego małego kręgu.

– Nie podoba mi się to – kwituje.

– A co konkretnie ci się nie podoba? – pyta Lloyd.

– Przyjeżdża tu bez zapowiedzi i prosi cię o pomoc. Dziwne... To miasto jest naszą prywatną strefą zdemilitaryzowaną. Mieszkamy tu dlatego, że chcemy, by zostawili nas w spokoju.

– Ja jej tu nie zapraszałam – zaznaczam.

– Bianca... Bianca... – Ingrid szuka tego imienia w swojej niezwykłej pamięci. – W którym dziale pracuje?

– Nie powiedziała. Gdybym miała zgadywać, stawiałabym na Daleki Wschód. Ale tylko dlatego, że kobietę, której szukała, widziano ostatnio w Bangkoku.

– Może to pseudonim? – sugeruje Declan.

– Albo pracuje tak krótko, że jeszcze o niej nie słyszeliśmy – dodaje Ingrid.

Myślę o kobiecie, którą poznałam w kuchni mojego domu. O jej pewności siebie. O bijącej od niej sile.

– Ona nie jest żółtodziobem – zwracam się do Ingrid. – Na pewno pracowała już w terenie.

– Więc muszę spytać przyjaciół z Agencji. Może coś o niej wiedzą.

– Spytaj przy okazji, czy zamierzają do mnie wysłać jeszcze jakichś gości.

Lloyd podchodzi do barku i robi sobie drugie martini.

– A może byśmy tak przeszli do sedna? – proponuje. – Declan przyniósł swoje słynne curry z koźliną. A ja przez kilka godzin opalałem boczek ze szczeciny, więc okażcie mojej porchetcie należyty szacunek.

Teoretycznie to spotkanie literackie, ale nikt jeszcze nie wspomniał o tytule, o którym mieliśmy dyskutować. Ibn Battuta i jego przygody w średniowiecznym świecie będą musiały poczekać, aż napełnimy żołądki i wymienimy plotki.

Przechodzimy do jadalni i wkrótce na stole pojawia się wyśmienite curry Declana, perski ryż Bena, wieprzowa rolada Lloyda i moja sałatka tajska. Przepisy na te potrawy zebraliśmy podczas długich lat pracy w odległych miejscach. Życie za granicą naprawdę zmienia kulinarne przyzwyczajenia.

Patrzę na krąg twarzy zgromadzonych przy stole, na siwe lub siwiejące włosy... lub ich brak, jak w przypadku Bena. W tych głowach kryje się razem ponad sto lat doświadczenia, ale czas płynie nieubłaganie. Przychodzą młodzi ludzie, a my stajemy się niepotrzebni. Żyjemy sobie spokojnie w małym miasteczku, rozmawiamy o książkach, które przeczytaliśmy, o przyrządzonych przez nas potrawach i o tym, gdzie

w internecie można znaleźć najlepszy cynamon i pieprz syczański. Chyba nie mamy powodu do narzekań.

Dzwoni mój telefon.

To dziwne, bo mój numer zna tylko kilka osób, z których część jest tutaj. Spoglądam na wyświetlacz i widzę, że to Luther Yount. Pewnie chce mi jeszcze raz podziękować za futro z lisa, które dałam mu rano.

– Witaj, Luther – mówię, świadoma, że moi towarzysze przestali jeść i się przysłuchują. To nawyk, którego chyba nie potrafimy się pozbyć: podsłuchiwanie.

– Co tam się dzieje? – pyta Luther.

– Jestem na kolacji u przyjaciół.

– Och, dobrze. Cieszę się, że nic ci nie jest.

– Dlaczego miałyby mi coś być?

– Coś się dzieje w twoim domu. Słyszałem syreny i pomyślałem, że może wybuchł pożar. Wszedłem właśnie na werandę i widzę radiowozy na twoim podjeździe. Gdy tylko Callie włoży buty, pójdziemy zobaczyć, co się stało.

– Nie, nigdzie nie idźcie. Trzymajcie się od tego z dala. Zaraz wracam do domu. – Kończę rozmowę i widzę, że cztery pary oczu wpatrują się we mnie wyczekująco. – Muszę jechać. Coś dzieje się w moim domu.

Declan odkłada serwetkę.

– Pojadę z tobą.

– Nie, zostań, proszę, i dokończ kolację. Poradzę sobie z tym.

Odprawia mnie do wyjścia. Zawsze zachowywał się ze staroświecką uprzejmością, być może dlatego, że jest synem dyplomaty, albo dlatego, że odbierał edukację w szwajcarskiej szkole z internatem, więc jego dzieciństwo wyglądało całkiem inaczej niż moje biedne początki. Mnie

dzieciństwo nauczyło, że nigdy nie powinnam liczyć na pomoc mężczyzny; Declan dorastał w przekonaniu, że niesienie pomocy w potrzebie jest jego obowiązkiem.

– Maggie, naprawdę chętnie z tobą pojadę – mówi. – Jeśli coś ci grozi, nie powinnaś być sama.

– Z pewnością nie będę, skoro na moim podjeździe stoją radiowozy. Ale dziękuję ci.

Kiedy odjeżdżam, wciąż stoi na werandzie i odprowadza mnie wzrokiem. Właściwie czuję ulgę, gdy w końcu znika w ciemności w lusterku wstecznym i mogę spokojnie pomyśleć o tym, co może dziać się w moim domu. Czy to możliwe, że zostawiłam włączony piecyk? Czy ktoś próbował się włamać? Cokolwiek to jest, wolę radzić sobie z tym sama.

Kiedy skręcam w prywatną drogę prowadzącą na farmę, widzę niebieskie światła migające między drzewami. Dwa radiowozy. Luther nie przesadzał: musiało się zdarzyć coś naprawdę poważnego, by oba wozy patrolowe z komendy w Purity stały się pod moim domem. Zatrzymuję się za jednym z nich i wysiadam prosto w niemal stroboskopowy blask niebieskich kogutów. Od razu dostrzegam powód, dla którego przyjechała tu policja.

Na podjeździe leżą zwłoki. Światło reflektorów oświetla twarz i od razu ją rozpoznaję. Bianca leży na plecach, wpatrzona w niebo, z rozłożonymi szeroko rękami, jakby ją ukrzyżowano. Ma na sobie te same ubrania co wtedy, gdy widziałam ją w kuchni: obcisłe czarne spodnie, dopasowaną niebieską kurtkę, sznurowane buty. W czole widnieją dwa otwory. Dwa strzały. Egzekucja.

Troje umundurowanych gliniarzy – dwaj mężczyźni i kobieta – wpatruje się we mnie w milczeniu. Wszyscy są młodzi i zdecydowanie przyzwyczajeni do wystawiania mandatów lub pomagania zagubionym

turystom. W Purity raczej nie dochodzi do zabójstw, a jeśli już się zdarzają, policja zwykle wie, kogo aresztować. Męża. Chłopaka. Ta sytuacja nimi wstrząsnęła i patrzą na mnie tak, jakbym znała odpowiedź.

– Pani tu mieszka, proszę pani? – pyta policjantka, blondynka z włosami ściągniętymi w prosty kucyk. Mimo młodego wieku emanuje pewnością siebie i to niewątpliwie ona jest tu najwyższą stopniem. Pewna siebie, ale na tyle uprzejma, by mówić do mnie „proszę pani” tonem, jakim prawdopodobnie zwraca się do babci.

– Tak. Nazywam się Maggie Bird i jestem właścicielką tej farmy. A pani...?

– Jo Thibodeau, z komendy policji w Purity. Jak pani widzi...

– Na moim podjeździe leży martwa kobieta.

Przez chwilę milczy, najwyraźniej zaskoczona tym rzeczowym stwierdzeniem faktu. Być może spodziewała się po mnie jakiejś gwałtowniejszej reakcji – krzyku, przerażenia, czegoś więcej, niż okazuję – lecz nie mam w zwyczaju tak reagować. Staram się zwykle na chłodno oceniać sytuację. Spoglądam na dłonie Bianki i dostrzegam, że są posiniaczone i czarne, a palce wykrzywione pod nienaturalnymi kątami.

– Gdzie pani była dziś wieczorem? – pyta Thibodeau.

Podnoszę na nią wzrok.

– Byłam na kolacji z przyjaciółmi, gdy zadzwonił do mnie sąsiad – odpowiadam. – Mieszka tam. – Wskazuję na chatę Luthera. – Poinformował mnie, że na moim podjeździe stoją radiowozy, więc wróciłam tu. – Spoglądam ponownie na zwłoki. – Kto ją znalazł?

Thibodeau unosi brwi, zdziwiona, że nie zachowuję się jak zszokowana babcia, za jaką mnie uznała.

– Kurier z FedExu. Przyjechał tu, żeby zostawić paczkę. To była jego ostatnia dzisiejsza dostawa.

Zerkam na werandę, ale nie ma tam paczki. Czekałam na lampy grzejące dla kurczaków, które zamówiłam na wiosnę, wygląda jednak na to, że przesyłka trochę się spóźni.

– Wie pani, kim jest ta kobieta, proszę pani? – pyta policjantka.

Znow „proszę pani”. Zaczyna mnie to irytować.

– Powiedziała mi, że ma na imię Bianca.

– Więc zna ją pani?

– Niezupełnie.

– A jej nazwisko?

– Nie podała mi go. Poznałam ją dziś po południu. Odwiedziła mnie w domu.

– Dlaczego panią odwiedziła?

Prawda jest zbyt skomplikowana, by poradziła z nią sobie małomiasteczkowa policjantka.

– Przyszła kupić świeże jajka. Wtedy widziałam ją po raz pierwszy i ostatni.

Thibodeau milczy. Być może mogłam wymyślić jakąś lepszą wersję historii, ale martini i kilka kieliszków wina pozbawiły mnie ostrości umysłu. Inne wyjaśnienie jednak – bliższe prawdy – sprowokowałoby tylko więcej pytań.

Postanawiam sama zadać jedno:

– Jak znalazło się tu ciało?

Policjantka nie odpowiada.

Patrzę na ślady pozostawione przez mojego pick-upa, przez furgonetkę FedExu i dwa radiowozy.

– Znaleźliście w pobliżu jakieś samochody? – pytam.

– Nie, proszę pani.

Gdy pochylam się, by przyjrzeć się uważnie zwłokom, Thibodeau nakazuje ostro:

– Proszę się cofnąć! Nie możemy tu niczego ruszać przed przybyciem policji stanowej.

Posłusznie robię krok do tyłu, ale zdążyłam zobaczyć wystarczająco dużo. Zmiażdżone dłonie i wyłamane palce są jednoznacznym dowodem na to, że zanim ofiarę zabito dwoma strzałami w głowę, była torturowana. Ktoś chciał wydobyć od niej informacje? Tylko dlaczego zabójca porzucił ciało na moim podjeździe? Może chciał mi w ten sposób przekazać wiadomość. Tylko że nie mam pojęcia jaką.

– O której godzinie wyjechała pani z domu? – pyta policjantka.

– Około szóstej i z pewnością nie było tu wtedy zwłok.

– To trzy godziny temu. Czy ktokolwiek może potwierdzić, gdzie pani przebywała przez ostatnie trzy godziny?

Irytują mnie te pytania, choć wiem, że musiała je zadać. Wiem też, że raczej nie uważa mnie za podejrzaną, bo nie wyglądam jak osoba, która torturowałaby kobietę, strzeliła jej dwa razy w głowę, a potem zostawiła ciało na własnym podjeździe. Wydaje się to nie tylko nieprawdopodobne, ale też nielogiczne.

– Może pani porozmawiać z Lloydem i Ingrid Slocumami – mówię. – Mieszkają przy Chestnut Street sześćset pięćdziesiąt jeden. Gościli dziś nasze kółko literackie i mogą potwierdzić, że tam byłam.

Thibodeau zapisuje nazwiska i adres w notesie i chowa go do kieszeni. Ingrid i Lloyd oczywiście potwierdzą nudną prawdę: że spotkaliśmy się, by zjeść razem kolację, wypić sporo wina i odbyć ożywioną dyskusję o podróżach Ibn Battuty. Ludzie uważają, że emeryci uwielbiają takie wieczory. Wątpię, czy policja spyta, gdzie kiedyś pracowaliśmy, bo jeśli już

przekroczysz niewidzialny próg, mało kogo interesuje, co robiłeś w poprzednim życiu.

– Zauważyłam, że ma tu pani monitoring wizyjny – mówi policjantka.

Nie dziwię się, że wypatrywała kamer: w Ameryce jest już chyba niewiele posiadłości, których nie obserwują kamery zewnętrzne firm Ring, Wyze czy Blink. Miałam jednak nadzieję, że przejrzę nagrania sama, nim udostępnię je policji.

– Owszem – przyznaję.

– Będziemy musieli zobaczyć nagrania. I powinniśmy obejrzeć wnętrze pani domu.

– Wnętrze? Dlaczego?

– Na pani podjeździe leży martwa kobieta, a nie wiemy, kim jest zabójca i gdzie teraz jest. Chcę mieć pewność, że nie ukrywa się w domu. – Policjantka przerywa i po chwili dodaje: – Obawiam się po prostu o pani bezpieczeństwo.

To rozsądne rozwiązanie, które każda samotnie mieszkająca kobieta przyjęłaby z wdzięcznością. Kiwam głową i wyciągam klucze do domu.

Thibodeau i jeden z jej podwładnych wchodzi za mną na werandę. Drzwi są zamknięte na klucz i nie widać na nich śladów włamania. Policjanci stoją za mną, kiedy wchodzę do domu i włączam światło. Wszystko wygląda tak jak trzy godziny temu. Nie wiem, co dwójka policjantów spodziewa się zobaczyć, gdy prowadzę ich do kuchni. Być może liczą na narzędzie zbrodni pozostawione na widoku, by mogli je bez trudu znaleźć, czy plamy krwi wskazujące na miejsce, gdzie torturowałam i zastrzeliłam Biancę. Widzą jednak tylko starą wiejską kuchnię, żeliwne patelnie i kilka brudnych naczyń w zlewie.

Prowadzę ich przez salon, który urządziłam z rozsądną jankeską oszczędnością. Sofę, obitą szarą wełną, kupiłam w sklepie z przecenionymi

meblami w Bangorze. Większy stolik z brzozy, mniejsze z sosny i fotel bujany znalazłam na wyprzedazach garażowych, a Declan pomógł mi je przywieźć pick-upem. Nie ma tu niczego efekciarskiego, co mogłoby przyciągnąć uwagę policjantów. Zwyczajne wnętrze, tak myśli każdy, kto mnie odwiedza. Zwyczajne, czyli spokojne, dyskretne i bezpieczne.

Prowadzę ich po skrzypiących schodach na piętro. To stary dom z wiekową instalacją ciepłą, więc na górze jest tak zimno, że muszę wkładać sweter i wełniane skarpetki. Dziś dorzucę kilka dodatkowych polan do pieca. Choć jestem zła, że policjanci naruszają moją prywatność, wiem, że jeśli nie będę z nimi w pełni współpracować, zdobędą nakaz rewizji i przyjrzą się dokładnie mojej przeszłości, a na to nie mogę sobie pozwolić. Prowadzę ich więc do wszystkich pomieszczeń po kolei. Pokoje, łazienki, garderoby.

Nigdzie nie ukrywa się zabójca.

Na koniec idziemy do mojej sypialni. Przez okno widzę radiowozy zaparkowane na podjeździe. Mój dom jest teraz miejscem zbrodni, co raczej nie pomaga w zachowaniu anonimowości.

– Dobrze, proszę pani, wszystko wygląda w porządku – mówi Thibodeau. – Nic nie powinno pani grozić. – Myśli, że wyświadczyła mi przysługę, potwierdzając, że dom jest bezpieczny. – A teraz chcielibyśmy zobaczyć nagranie z kamer monitoringu.

To nie jest prośba, lecz rozkaz. Nie chcę jej udostępniać nagrań, zanim nie przejrzę ich sama, nie mogę jej jednak zbyć. Idziemy na dół, do komputera stacjonarnego w kuchni, tego, którego używam do prowadzenia spraw związanych z farmą: do zamawiania kurczaków, sprzedaży jajek, zakupu karmy. Nie ma tu żadnych tajnych informacji, nic wartego ukrycia; nawet moje hasło jest śmiesznie proste: FarmaBlackberry431#. Wpisując je, nawet nie próbuję tego ukrywać.

Na tapecie jest zdjęcie jednego z moich konkursowych kogutów, Sir Galahada, który, niestety, poległ w starciu z bielikiem amerykańskim. Ptasi symbol naszego kraju to prawdziwa zhora mojego stada. System monitoringu zapewnia mi natychmiastowy dostęp do wszystkich moich urządzeń i tutaj sprawa nieco się komplikuje, bo kiedy wpisuję hasło, za moimi plecami stoi dwoje policjantów. Na szczęście jest to skomplikowana seria liczb i symboli i poruszam palcami tak szybko, że raczej nie są w stanie odczytać i zapamiętać wszystkich.

Otwiera się moja domowa strona bezpieczeństwa i na ekranie pojawia się obraz z szesnastu kamer umocowanych w różnych częściach domu i na budynku gospodarczym.

– A niech mnie... – mruczy policjant. – Ma tu pani niezły system.

Spodziewali się pewnie obrazu z jednej kamery, bo większości ludzi to wystarcza. Tymczasem widzą obrazy w rozdzielczości 4K ze wszystkich miejsc, przez które można wejść do domu.

– Wyjechałam około szóstej – mówię. – Więc zacznijmy mniej więcej od tej godziny.

Przewijam nagranie na 17.50. O tej porze jest już ciemno, więc kamery przełączyły się automatycznie na podczerwień. O 17.58 opuszczam dom. Zamykam drzwi, schodzę z werandy i wsiadam do pick-upa.

– No i jest – mówię, gdy na ekranie odjeżdżam. – Jak mówiłam.

Thibodeau kiwa głową.

Teraz przynajmniej nie jestem już na jej liście podejrzanych, jeśli w ogóle na niej byłam. Na nagraniu mija 18.05, potem 18.10. Nic się nie dzieje.

– O której zadzwonił na policję kurier z FedExu? – pytam.

– O dziewiętnastej trzydzieści sześć.

Ustawiam nagranie na podwójną prędkość. Nie ma sensu siedzieć tu jeszcze przez godzinę i patrzeć, jak nic się nie dzieje. I rzeczywiście nic się nie dzieje... aż do 19.05.

Pojawia się samochód, czarny SUV; słysząc jego silnik. Światła pojazdu są zgaszone i w ciemnościach widać w podczerwieni jedynie blask silnika. Zgaszone reflektory oznaczają, że kierowca wie o kamerach monitoringu; zasłonił też tablice rejestracyjne, zarówno z przodu, jak i z tyłu. Samochód zatrzymuje się przed werandą. Otwierają się drzwi, ale światła w środku się nie zapalają; musiał je wyłączyć.

Policjanci pochylają się za moimi plecami tak, że czuję ich oddech we włosach. Serce mi wali, gdy obserwuję, jak z samochodu wysiada człowiek w kapturze. I w kominiarce. W luźnych, bezkształtnych czarnych ubraniach. Moje kamery to najlepszy sprzęt dostępny na rynku, ale nawet one nie widzą, co kryje się pod tkaniną. Człowiek przechodzi na tył SUV-a, otwiera bagażnik i sięga po zwłoki. Nie słysząc żadnego dźwięku, choćby najcichszego stęknienia, gdy wyciąga je i upuszcza na ziemię. Wiem, ile trzeba mieć sił, żeby przenieść bezwładne ciało, a ten ktoś robi to całkiem swobodnie.

To musi być mężczyzna.

Robi coś, co nie ma większego sensu. Pochyla się i przewraca ciało na plecy. Dlaczego układa je w ten sposób? Żeby pamiątka, którą mi pozostawia, była jeszcze bardziej przerażająca? Zakłada pewnie, że to ja odkryję ciało, że kiedy wrócę do domu, ona będzie leżała i patrzyła na mnie niewidzącymi oczami. Nie mógł przewidzieć, że biedny kurier z FedExu pojawi się tu pierwszy.

Tak, ta niespodzianka jest przeznaczona specjalnie dla mnie. Ale nie mam pojęcia, co może oznaczać.

Na ekranie zabójca wsiada do samochodu i odjeżdża, poza zasięg kamer. Zmierza do miejsca, w którym będzie mógł odkryć tablice rejestracyjne, zdjąć kaptur i kominiarkę i stać się zwykłym mężczyzną jadącym SUV-em.

– Co to było, do diabła? – Thibodeau patrzy na mnie pytająco.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. I naprawdę nie mam. Wiem tylko, że ktoś nie pozostawił tu zwłok Bianki przypadkiem. Dobrze wiedział, że nagrają to kamery monitoringu, postarał się więc ukryć wszystko, co pomogłoby go zidentyfikować. – Ale nagranie dowodzi, że powiedziałam prawdę – dodaję. – Wyjechałam z domu koło szóstej. Jeśli potrzebuje pani potwierdzenia, może pani porozmawiać z Lloydem i Ingrid. Może pani również zadzwonić do Bena Diamonda i Declana Rose’a. Oni też byli na spotkaniu klubu literackiego.

– Tak, proszę pani. Porozmawiam z nimi.

– Pewnie chce pani plik z nagraniem z kamer?

– Policja stanowa na pewno o to poprosi.

– Więc zrobię pani kopie.

Policjanci mają już wyjść z kuchni, ale Thibodeau przystaje i odwraca się do mnie.

– Czuje się tu pani bezpiecznie?

– We własnym domu? Tak.

– Nawet po tym, co się tu wydarzyło?

– Jestem pewna, że to nie ma związku ze mną.

Przygląda mi się przez chwilę w jasno oświetlonej kuchni. W końcu mogę odczytać jej nazwisko na plakietce: *Jo Thibodeau*. Dostrzegam niepokojące podobieństwa między nami, w jej rzeczowych pytaniach i panowaniu nad sytuacją. W jej wieku ja też wierzyłam w swoje siły, ale

doświadczenie nauczyło mnie, że zbytnia pewność siebie może być niebezpieczna.

– Dlaczego pani zdaniem porzucił ciało tutaj? – pyta.

– Nie wiem.

– Rozpoznała pani samochód?

– To ciemny SUV. Połowa ludzi w Purity jeździ podobnymi.

– Nie mieszka tu pani zbyt długo, prawda?

– Kupiłam tę farmę dwa lata temu.

– A gdzie mieszkała pani wcześniej?

– Ostatnio w Reston, w Wirginii. Ale mieszkałam w wielu różnych miejscach.

– Ze względu na pracę?

– Tak.

– Co to była za praca?

– Zajmowałam się analizą importu. Pracowałam dla brokerów, specjalizowałam się w logistyce eksportu dla zagranicznych firm.

Większość ludzi, którzy dotarli do tego punktu, poznając mój życiorys, kiwała już tylko bezmyślnie głowami, co oznaczało, że reszta ich nie interesuje. Natomiast Thibodeau była coraz bardziej zaciekawiona.

– A co sprowadziło panią do Purity?

– Sama nazwa mówi za siebie, prawda? Chciałam zamieszkać w miejscu z czystą wodą i czystym powietrzem. W którym mogłabym wybrać się na spacer do lasu. Dlaczego pani o to pyta?

– Zastanawiam się, dlaczego przyjmuje pani to, co się stało, z takim spokojem. Dlaczego widok zwłok na podjeździe nie zrobił na pani większego wrażenia. Większość ludzi byłaby wstrząśnięta.

– Na ludziach w moim wieku niewiele rzeczy robi większe wrażenie.

Jej usta unoszą się lekko z jednej strony. Doskonale wyczuwa, kiedy ktoś próbuje wcisnąć jej bzdury, wie zatem, że nie mówię jej wszystkiego, ale dziś nie wyciągnie ode mnie nic więcej.

– Policja stanowa będzie chciała z panią porozmawiać – mówi.

– Proszę im powiedzieć, żeby przyjechali rano. Jest już późno i jestem wykończona.

Naprawdę jestem wykończona, ale gdy policjanci opuszczają mój dom, nie idę do sypialni. Przez okno w kuchni obserwuję, co dzieje się na podjeździe. Zastanawiam się, czy Thibodeau zdaje sobie sprawę, ile powiedziałam jej kłamstw.

„Jestem pewna, że nie ma to związku ze mną”.

To największe z moich kłamstw. Oczywiście, że ma to związek ze mną. Nie wiem tylko, jaką wiadomość miały mi przekazać zwłoki podrzucone pod mój dom. Czy miały mnie przerazić? Czy też był to prezent, coś w rodzaju zabitej myszy, którą przynosi właścicielowi kot, czyli „Zajęliśmy się twoim małym problemem?”. Mam te dwie opcje do wyboru i każda prowadzi w całkiem innym kierunku.

Uruchamiam alarm. Jeśli któreś okno czy drzwi uchylą się choćby o milimetr, będę o tym wiedziała. Idę do gabinetu. Na biurku leży mój egzemplarz *Osobliwości miast i dziwów podróży* Ibn Battuty. To fascynujący opis podróży młodego mężczyzny w czternastym wieku od Maroka przez Azję Środkową do Chin. Czy to był zwykły przypadek, że postanowiłam wybrać tę książkę jako wieczorną lekturę, czy jakiś znak? Tego wieczoru, gdy nasza grupa literacka ma dyskutować o tym dzienniku podróży, ktoś przykłada zapalną do mojego starannie zbudowanego życia, grożąc, że je spali. Podchodzę do regału, znajduję palcem zatrask z boku i zwalnim go. Cała dolna półka wysuwa się na zewnątrz i odsłania wnękę – sprytnie zamaskowaną skrytkę, którą zawdzięczam Declanowi i jego

nowo odkrytym stolarskim umiejętnościom. Emerycy potrzebują przecież hobby. Tu trzymam torbę. Na przestrzeni lat ograniczałam jej zawartość; zachowałam tylko rzeczy niezbędne do tego, by uciec z miasta i przycupnąć gdzieś na kilka tygodni. Paszporty, karty kredytowe, zwoje gotówki w różnych walutach i kilka narzędzi pracy. Narzędzi pracy, których wołałabym już nigdy nie używać.

Ale życie jest pełne niespodzianek.

Wyciągam torbę i niosę ją na górę, do sypialni. Chcę ją mieć pod ręką. Gdybym musiała uciekać, wołałabym nie szukać jej po omacku w ciemnościach.

Wiem jednak, że tej nocy nic nie będzie mi grozić. Na podjeździe jest zbyt wielu policjantów, na moim domu skupia się zbyt wielka uwaga. Choć raz jestem zadowolona, że to właśnie mnie chronią miejscowe organy porządku publicznego. Mimo to przed zgaszeniem lampki kładę na stoliku nocnym walthera. Zasłony nie blokują wpadających z zewnątrz światła radiowozów. Nawet przez grubą tkaninę widzę migoczące koguty.

Telefon wydaje sygnał powiadomienia o esemesie. To Luther.

Wszystko w porządku?

Na moim podjeździe leży martwa kobieta.

O Boże!

Prawdopodobnie będą rozmawiać z wami.

Niczego nie widzieliśmy.

Szkoda.

Po chwili telefon dzwoni. To nie Luther, tylko Declan Rose. Odbieram.

– Słyszałem, że potrzebujesz alibi – mówi.

– Policja już do ciebie dzwoniła?

– Pięć minut temu. Czarująca funkcjonariuszka policji z Purity, niejaka Jo Thibodeau, pytała, czy byłaś dziś wieczorem na spotkaniu kółka czytelniczego. Powiedziałem, że byłaś. Mam nadzieję, że prawda ci nie przeszkadza.

– Tym razem nie.

– Nic ci nie grozi, Maggie?

– Nie wiem.

Patrzę na światła migoczące za oknem i myślę o tym, że nic nie jest do końca jednoznaczne. Zawsze coś przesłania część widoku, skrywa prawdę. Myślę o torbie leżącej przy łóżku i o tym, jak łatwo byłoby stąd uciec, zniknąć z miasta, a nawet z kraju. Tylko że to jest mój dom, poświęciłam dwa lata na budowanie tego życia, wchodzenie w jego rytm. Jestem już zmęczona przeprowadzkami, zmęczona szukaniem bezpiecznej przystani. Dość. Tutaj kończą się moje wędrówki.

– Mogę do ciebie zaraz przyjechać – mówi Declan. – Spędzić noc na kanapie.

– Dlaczego?

– Żeby dotrzymać ci towarzystwa? Być twoim psem stróżującym?

Parskam śmiechem.

– Jesteś prawdziwym dżentelmenem, ale na moim podjeździe jest teraz tyłu gliniarzy, że z pewnością nie potrzebuję psa stróżującego.

– W porządku. Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała. Do czegokolwiek.

– Zadzwonię.

Przerywam połączenie i leżę w półmroku, wciąż obserwując światła za oknem. Na podjeździe leży martwa kobieta, która prosiła mnie o pomoc w znalezieniu Diany Ward. Minęło szesnaście lat, odkąd ostatnio widziałam Dianę, szesnaście lat, odkąd porzuciłam zawód, który uwielbiałam. Te lata nie były dla mnie łaskawe; widzę to, gdy spoglądam w lustro. Jestem ciekawa, jak wygląda teraz Diana.

Zamykam oczy i wyobrażam ją sobie starszą: siwiejące włosy i skóra, która traci jędrność. Nagle jej twarz znika, równie ulotna jak odbicie na wodzie, i w moim umyśle pojawia się inny obraz. To twarz, którą widzę co noc, gdy zamknę oczy, twarz, którą będę widzieć zawsze.

Twarz Danny'ego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Bangkok, 24 lata temu

Poznajemy się przypadkiem. Przynajmniej wydaje mi się, że przypadkiem. To sympatyczne, przyjazne spotkanie, od którego normalnie bym uciekała, bo z natury jestem sceptyczna wobec na pozór niewinnych motywów ludzi. Nauczyłam się tego sceptycyzmu jako dziecko, dorastając z ojcem, który prawie nigdy nie mówił prawdy, z ojcem, którego wyjazdy „na spotkanie z klientem” w dziewięciu przypadkach na dziesięć były wyprawami do baru Tinhorn na Main Street. Tam znajdowałam go zwykle wieczorem, wszczynającego awanturę po sześciu drinkach. Zdarzało się jednak, że naprawdę spotykał się z klientem, i ten jeden przypadek na dziesięć mnie dezorientował. Gdyby kłamał przez cały czas, bez wyjątku, przynajmniej miałabym w życiu jakiś pewnik. Bo możliwość, że nie jest tak źle, jak myślisz, miesza ci w głowie i rodzi nadzieję, co ostatecznie prowadzi do rozczarowania. Byłam niczym górnik w kopalni diamentów, który wali kilofem w skały, szukając skarbu w stercie gruzu. Wiesz, że ten klejnot gdzieś tam się kryje, i jesteś gotowa zmarnować życie na szukanie go.

Lecz pewnego dnia masz już dość. Pewnego dnia mówisz „Pieprzyć to!”, pakujesz się i wyjeżdżasz, jak przed wielu laty zrobiła moja matka.

Jestem na wakacjach i mam ochotę na ostrą zupę z makaronem. Na wakacjach człowiek odbiera wszystko inaczej. Świat wydaje się niemal dobry, a ludzie, którzy się uśmiechają – szczerzy. Tak nie jest, ale to tłumaczy moją lekkomyślność tamtego popołudnia. Z nieba właśnie lunął

deszcz i wszyscy szukają schronienia pod beznadziejnie małymi markizami targu przy ulicy Wang Lang. Nie mogę się wcisnąć pod daszek i już po chwili dzinsy mam z tyłu całkiem przemoczone. Ale to ciepły deszcz, miła odmiana od nieustającego żaru Bangkoku. Wyszłam z hotelu i przepłynęłam promem na drugi brzeg rzeki, specjalnie po miskę zupy od konkretnej sprzedawczynie, którą odkryłam podczas poprzedniej misji w Tajlandii. Moi współpracownicy polecili już do domu, a ja zamierzam zostać jeszcze kilka dni, żeby nacieszyć się Bangkokiem. Będę spała, do której zechcę, i jadła to, na co będę miała ochotę, i to wszystko na rachunek rządu. A tego popołudnia miałam ochotę na ostrą zupę z wołowiną z makaronem.

Sprzedawczynie podaje mi miskę i czuję smakowity zapach anyżu i cynamonu. Zupa kosztuje tylko sześćdziesiąt batów – dwa dolary – więc nie warto nawet domagać się zwrotu od Wujy Sama. Niosę miskę do jedyne wolnego stolika i siadam na niskim plastikowym stołku. Czuję się tak, jakbym siedziała przy dziecięcym stoliku, ale i tak mam szczęście, że znalazłam miejsce pod dachem. Kiedy unoszę do ust pierwszą łyżkę zupy, kątem oka widzę mężczyznę, który stał za mną w kolejce, i słyszę, jak pyta:

– Co kupiła ta pani? Mogę dostać to samo?

Podnoszę wzrok i widzę, że wskazuje na moją miskę. Tajka nie rozumie, co do niej mówi. Mężczyzna pyta ją ponownie z nutą bezsilności w głosie. Brytyjski akcent. Nie jestem ekspertką w tej kwestii, ale wiem, że nie jest to akcent z wyższych sfer. Wydaje mi się, że mężczyzna jest młodszy ode mnie, a może to tylko kwestia jego zachowania. Szeroko otwarte oczy. Spragniony wrażeń. Zachwycony każdym nowym doświadczeniem. Ma rozczochrane jasne włosy, które pewnie od miesięcy nie widziały fryzjera. Z kieszeni wystaje złożona mapa Tajlandii, a jeden

z pasków jego wyblakłego niebieskiego plecaka jest sklejoną srebrną taśmą.

Ma na sobie szorty z bocznymi kieszeniami, a na stopach sandały. Brązowa opalenizna świadczy o tym, że już od jakiegoś czasu przebywa w tropikach. Na koszulce jest napis po tajsku, który można przetłumaczyć jako *Głupi turysta*. Ciekawe, czy facet o tym wie.

Odlicza sześćdziesiąt batów, odbiera miskę z zupą i wypatruje wolnego stolika. Wszystkie są jednak zajęte, przez chwilę stoi więc z miską w rękach, zagubiony. Ulicą płynie strumień deszczówki i obmywa jego sandały, deszcz bębni o markizę. Przy moim stoliku jest wolny stołek. Mogłabym pochylić głowę i jeść dalej, udając, że go tam nie ma. Zastanawiam się nad tym przez jakiś czas.

– Możesz usiąść tutaj – odzywam się w końcu.

Deszcz szumi tak głośno, że mężczyzna mnie nie słyszy.

– Halo?! – wołam.

Odwraca się i widzi, że wskazuję na wolny stołek. Uśmiechając się szeroko, stawia miskę na stole i ugina nieprawdopodobnie długie nogi, by usiąść.

– Dzięki! – mówi. – Nie miałem ochoty jeść tego na stojąco.

– Widzę, że masz taką samą zupę jak ja.

– Twoja wyglądała tak smakowicie, że postanowiłem ją zamówić. Bo wydaje mi się, że wiesz, co robisz. – Pochyliła się nad miską, próbuje zupy i wzdycha. – O Boże.

– Naprawdę dobra, prawda?

Skupia się na smakach.

– Anyż gwiazdkowy. Cynamon. Galangal. Sos rybny i... – zaczyna kasłać, a jego twarz czerwienieje – chili.

– Tajskie chili – uściślam. – Nie najostriejsze, ale wystarczająco ostre.

Jest czerwony i poci się, ale je dalej, może dlatego, że nie chce się skompromitować na moich oczach, albo po prostu mu smakuje, choć pieką go język i gardło. Rozumiem to. Ból to potężna przyprawa, inna twarz przyjemności. Niektórzy tego potrzebują, w odpowiedniej dawce, by pamiętać, że żyją.

– Jest w tym coś jeszcze, czego nie potrafię nazwać – mówi, odkładając łyżkę. – Coś ziemistego. Metalicznego...

– Krew z wołu.

Gdy zaskoczony podnosi na mnie wzrok, widzę, że ma zielone oczy. Ich kolor i gęste jasne włosy przywodzą na myśl wikinga, który trafił do niewłaściwego wieku, na niewłaściwy kontynent.

– Poważnie? – pyta.

– Tak. – Zastanawiam się, czy wystraszyłam go na tyle, że odepchnie miskę z obrzydzeniem.

Tymczasem wybucha śmiechem.

– Wspaniale! To tłumaczy kolor. I głębię smaku.

Podnosi miskę do ust i wypija resztę zupy.

Gdy patrzę na jego pierwotną i niepohamowaną przyjemność, w mojej głowie pojawia się pewien obraz: ja z nim w łóżku, nasze ciała splecione ze sobą, wilgotne od potu.

– Zawsze starasz się rozłożyć każdy posiłek na czynniki pierwsze? – pytam.

– To irytujące, prawda?

– Po prostu bardzo analityczne. Chyba nie jesteś chemikiem, co?

– Jestem lekarzem. Chyba odruchowo przeprowadzam sekcję wszystkiego, nawet zupy z makaronem.

Widzi sceptycyzm w moim spojrzeniu, bo wybucha śmiechem. Zauważam po zmarszczkach w kącikach jego oczu, że nie jest jednak tak młody, jak myślałam. Prawdopodobnie ma mniej więcej tyle lat co ja.

– Wiem, nie wyglądam na lekarza – mówi.

– Zmylił mnie ten plecak.

Spogląda na pasek naprawiony srebrną taśmą.

– Wiele przeszedł, a ja jestem zbyt sentymentalny, żeby go wyrzucić. Towarzyszył mi przez pięć lat pracy w kilku obozach uchodźców.

– Gdzie?

– Głównie w Kenii i Sudanie. Leczyłem wszystko, od ran postrzałowych po malarię.

– Przyjechałeś do Tajlandii do pracy?

– Nie, tu jestem tylko turystą. Nigdy nie miałem okazji podróżować po Azji. Próbuję więc zobaczyć jak najwięcej świata, dopóki mogę, zanim będę musiał pojechać do Londynu i założyć krawat.

– Wygląda na to, że nie jesteś zachwycony tą perspektywą.

– Nie jestem, ale... – wzdycha – muszę zacząć zarabiać na życie.

– Dlaczego?

– Tego pytania nikt nigdy mi nie zadał.

– A potrafiłbyś na nie odpowiedzieć?

– Moja mama potrzebuje pomocy.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam.

– Jesteś bardzo dobrym synem.

– Mama jest teraz sama i nie starcza jej na rachunki. – Wzrusza ramionami. – Człowiek musi robić to, co należy, ale... – Spogląda na wózki z parującym jedzeniem, na sprzedawców i ich stoły ze stertami ziół i czerwonych papryczek chili. – Będzie mi brakowało życia z plecakiem.

– Kupiłeś tę koszulkę w Bangkoku?

Spogląda na swój T-shirt.

– Tak, u ulicznego sprzedawcy.

– Ktoś ci mówił, co jest na niej napisane?

– Kobieta, która mi ją sprzedawała, mówiła, że *Szczęśliwy turysta*.

Postanawiam nie mówić mu prawdy. On naprawdę jest szczęśliwym turystą, w odróżnieniu od niektórych skwaszonych cudzoziemców, których widzę na tarasie hotelu, wiecznie niezadowolonych i zirytowanych drobiazgami, które nie odpowiadają ich standardom.

– Chcesz jeszcze coś zobaczyć w Tajlandii? – pytam.

– Nie wiem. Mam jeszcze trzy tygodnie wolności. Może ty mi powiedz, dokąd powinienem się wybrać.

– Nie wiem, czy potrafiłabym ci w tym doradzić.

– Wyglądasz na osobę znającą cały świat, wszystkie najciekawsze miejsca, których inni turyści jeszcze nie znaleźli.

Deszcz ustał, ale z markizy wciąż kapie woda na chodnik tuż za nią. Myślę o sekretnych miejscach, które rzeczywiście znam, ale nie mogę mu o nich powiedzieć ze względu na bezpieczeństwo narodowe. Miejscach boleśnie pięknych, o straszliwej historii.

– Może Chiang Mai – podsuwam mu. – Większość turystów uwielbia to miejsce.

– A ty?

– Jest ładne. Nie tak cholernie gorące. Poza tym na pewno będzie ci tam smakowało jedzenie.

– A gdzie ty jeździsz?

– Lubię wybierać się do miejsc, w których jeszcze nie byłam.

– Na przykład?

Pociągam łyk wody z butelki i patrzę mu w oczy.

– Na Madagaskar.

Zaczyna się śmiać.

– Wiedziałem, że to powiesz! Wszyscy mówią o wyjeździe na Madagaskar jak o wymarzonej podróży, ale nie znam nikogo, kto tam był.

Teraz ja się śmieję, bo to prawda. Zawsze coś stoi na przeszkodzie. Kolejne zadanie, kolejny kryzys. Madagaskar to rzeczywiście upragniony cel na liście każdego podróżnika.

– Jesteś Amerykanką? – pyta.

– Urodziłam się i wychowałam w Stanach.

– Wygląda na to, że sporo podróżujesz. W związku z pracą?

– To jedna z zalet mojego zawodu.

– A co robisz?

Biorę następny łyk wody, zanim przedstawiam swoją wymyśloną historię.

– Zajmuję się analizą importu w firmie Europa Global Logistics.

– Europa? Jak księżyc Jupitera?

– Brawo! Większość ludzi tego nie wie.

– Czym zajmuje się twoja firma?

– Jesteśmy brokerami. Organizujemy logistykę na poziomie globalnym dla firm, które importują i eksportują. Wszystko, od sprzętu rolniczego po modę.

Najprawdopodobniej wcale go to nie obchodzi. W tym momencie większość ludzi traci zainteresowanie moją pracą i przestaje zadawać pytania. Ci, którzy są na tyle zaintrygowani, by wyszukać Europa Global Logistics w sieci, znajdą elegancko zaprojektowaną stronę zawierającą dość szczegółów, by przekonać ich, że to prawdziwa firma zatrudniająca

prawdziwych ludzi. Zobaczą też moje nazwisko i zdjęcie z podpisem: *Margaret Porter, analityczka importu, specjalizuje się w tekstyliach i ubraniach.*

– Lubisz tę pracę? – pyta.

– Dzięki niej mam okazję zobaczyć świat.

– Ale czy ją lubisz?

– Dlaczego pytasz tak, jakbyś w to wątpił?

– Widzisz... – odwraca wzrok i spogląda na wózki i stragany, na sprzedawców jedzenia i pamiątek – ci ludzie zarabiają na życie, sprzedając rzeczy, których można dotknąć albo które można powąchać czy zjeść. To wydaje się uczciwe.

– A moja praca nie?

Krzywi się.

– Przepraszam. Nigdy nie byłem przekonany do świata korporacji i pewnie dlatego moje konto bankowe jest puste. I dlatego też mama powtarza mi, żebym skończył wreszcie z pracą charytatywną.

– Zawsze możesz do tego wrócić. To jedna z rzeczy, które nigdy nie zmieniają się na tym świecie. Zawsze będą wojny i obozy uchodźców.

– To prawda. Niestety, cholerna prawda.

Milczymy przez chwilę. Nasz mały stolik jest wyspą ponurej ciszy pośród hałasu i zamieszania wypełniającego targowisko. Znów świeci słońce, po deszczu zostały tylko kałuże na gorącym chodniku, z których unosi się para.

Mój nowo poznany znajomy wstaje ze stołka i prostuje się z cichym jękiem. Dla człowieka o jego wzroście siedzenie na tak niskim stołku musiało być bardzo niewygodne.

– Muszę już chyba wrócić do hotelu i przyjrzeć się jeszcze mapie – mówi.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– W małym rodzinnym hoteliku, kilka ulic stąd. Jest czysto i przyjaźnie. Idealne miejsce dla człowieka, który musi się liczyć z każdym groszem. – Gdy zarzuca plecak na ramiona, z zewnętrznej kieszeni wypada przemoczona mapa Bangkoku. – Dziękuję za towarzystwo. I za radę, dokąd się wybrać. Było mi bardzo miło cię poznać... hm...

– Maggie.

– Maggie. – Wyciąga rękę. To okropnie staromodny gest, ale w tym momencie, wykonany przez wikinga, wydaje się niezwykle czarujący. – A ja jestem Danny Gallagher. Gdybyś była kiedyś w Londynie i potrzebowała, żeby ktoś wyjął ci drzazgę albo usunął wyrostek robaczkowy, wal do mnie jak w dym.

Gdy odwraca się, by odejść, wciąż się waham. Powinam czy nie powinienam? Mam jeszcze cztery wolne noce w Bangkoku, zanim polecę do domu. Jestem na wakacjach, bez zobowiązań, bez konkretnych planów, a minęło już tyle czasu, odkąd spałam z facetem. Już mam go zawołać, kiedy przystaje i odwraca się.

– Może spotkalibyśmy się na drinka? – pyta. Czerwieni się, bo nie odpowiadam od razu. – Przepraszam, byłem chyba bezczelny. Po prostu naprawdę miło mi się z tobą rozmawiało i...

– Tak – mówię.

□ □ □

– Bywasz czasami w Londynie? – pyta Danny.

Leżymy w moim pokoju hotelowym; nasze spocone ciała chłodzą się w podmuchu wypływającym z klimatyzatora. Mogliśmy pójść do niego albo do mnie, ale randka w tanim hotelu jakoś mnie nie kręciła, więc jesteśmy u mnie w Orientalu, ulubionym miejscu tych z nas, których opłaca rząd. Gdybym miała płacić za ten pokój z własnej kieszeni, nie byłoby mnie na to stać, ale skoro Wuj Sam stawia, to czemu nie? Widziałam, że Danny był oszołomiony, kiedy weszliśmy do lobby: odchyłał głowę i wpatrywał się w zdobiony sufit. Wciąż wydawał się skołowany, gdy wyszliśmy z windy, w której przywitał nas boy hotelowy, ale gdy tylko znaleźliśmy się w pokoju, skupił się wyłącznie na mnie, tak jak ja na nim.

Żadnych słów, tylko westchnienia i jęki, gdy ściągałymi z siebie wilgotne od potu ubrania i całując się, przechodziliśmy do łóżka. Nie potrzebowaliśmy słów: nasze ciała wiedziały, co robić, zresztą nawet gdyby do mnie mówił, nie usłyszałabym niczego poprzez rozpalone oddechy i szum krwi wypełniający moje uszy. Skądś zna wszystkie miejsca, w których chcę być dotykana, wie, jak zaspokoić głód, który ignorowałam i starałam się zastąpić pracą. Zawsze jest jakiś raport do napisania, kolejny informator, którego trzeba wyszkolić, kolejne źródło, które należy sprawdzić. Kiedy zobowiążesz się oficjalnie do tego, że nie będziesz nawiązywać relacji z współpracownikami (zresztą większość z nich i tak ci się nie podoba), musisz szukać przyjemności tam, gdzie to tylko możliwe.

Znalazłam tę przyjemność w Dannym Gallagherze, który – już to wiem – ma trzydzieści trzy lata, urodził się w Leicester i studiował w Londynie. Ale nawet gdyby nie był młodszy ode mnie, i tak czułabym się od niego starsza. Jestem mniej niewinna niż on; widzę wiele odcieni szarości w świecie, gdzie linia dzieląca dobro od zła, przyjaciół od wrogów, stale się przesuwają.

– Czasami bywam w Londynie – odpowiadam.

- Zadzwońisz do mnie, kiedy będziesz następnym razem?
- Nie mam pojęcia, kiedy tam trafię. Poza tym wtedy i tak pewnie będzie mi niezręcznie do ciebie dzwonić.
- Dlaczego?
- Może nawet nie będziesz mnie pamiętał.
- Na pewno będę cię pamiętał.
- Albo będziesz z kimś innym. Pojawię się w Londynie, a ty pomyślisz: po co ja ją, do diabła, zaprosiłem? Tak to zwykle wygląda.
- Zawsze byłaś taką optymistką?
- Śmieję się i odwracam, żeby na niego spojrzeć.
- Hej, jesteśmy w Bangkoku – mówię. – Pragniemy się. Cieszymy się tym.
- Czy to, co dzieje się w Bangkoku, musi zostać w Bangkoku?
- Danny, przecież ty mnie prawie nie znasz.
- Ale chciałbym wiedzieć o tobie jak najwięcej. – On też obraca się i leżymy zwrócenii do siebie twarzami. – Więc opowiedz mi. – Przesuwa dłonią po moim udzie i zatrzymuje się na mojej bliźnie. – Na przykład jak dorobiłaś się tego.
- To nic ważnego, naprawdę. Na studiach pracowałam na godziny jako kelnerka w barze. Ktoś wszczął bójkę, zaczęli rozbijać butelki. Oberwałam kawałkiem lecącego szkła.
- Bójka w barze? Nigdy bym się nie domyślił.
- Z pewnością nie domyśliłby się też, jaka historia kryła się naprawdę za tą blizną: zostałam trafiona odłamkiem pocisku w Karaczi.
- Więc pracowałaś w barze.
- Trafiały mi się gorsze prace.
- Gdzie?

Do tej pory starałam się nie podawać mu konkretnych szczegółów z mojego życia, przynajmniej nie tych, które zostały starannie sfabrykowane. Nie zobaczę tego człowieka nigdy więcej, więc nie ma powodu, bym mówiła mu prawdę. Wciąż jednak łączy nas bliskość, jaką odczuwają ludzie, którzy właśnie się kochali, więc wymyka mi się odrobina prawdy.

– W Georgetown. – Mieszkałam tam przez jakiś czas, choć nigdy nie pracowałam w barze.

– To w Waszyngtonie, tak?

– Tak.

– Zawsze chciałem zobaczyć Biały Dom. Warto się tam wybrać?

– Nie.

Pieści moje udo.

– Warto byłoby się wybrać, żeby cię zobaczyć – mówi. – Jeśli nie przylecisz do Londynu, moglibyśmy spotkać się gdzieś indziej.

– Nie wiem, czy to najlepszy pomysł.

Jego dłoń nieruchomieje. Danny obraca się na plecy i wzdycha ciężko.

– O Boże. Masz męża, prawda?

Mogłabym w ten sposób bez trudu przeciąć żyłkę i wrzucić go z powrotem do morza. Fikcyjny mąż to wygodna wymówka – używałam jej wielokrotnie z innymi kochankami – ale gdybym zrobiła to teraz, uznałby mnie za zdzirę. A nagle zależy mi na tym, żeby tak o mnie nie myślał.

Siada na skraju łóżka, odwrócony do mnie plecami. Blask miasta wpadający przez okno kładzie się na jego ramionach, rozświetla skórę niczym polerowaną miedź. Kiedy wyciągam rękę, by go dotknąć, nie reaguje.

– Danny?

- Powinienem wracać do siebie.
- Chodźmy na kolację. Znam tu naprawdę dobrą restaurację.
- Po co?
- Żeby coś zjeść?
- To dla ciebie nic nie znaczy, prawda?

Uważa, że spocone macanki z nieznajomą w obcym łóżku mają jakieś znaczenie. Robi mi się go żal. Żal mi jego niewinności, nieuniknionego i bolesnego przebudzenia. Z tego samego powodu chcę go tu zatrzymać, przynajmniej jeszcze na chwilę.

- Nie mam męża – mówię.

Odwraca się i patrzy na mnie; jego twarz jest niewidoczna na tle podświetlonego okna.

- Mówisz prawdę?
- Dlaczego miałabym cię okłamywać?
- Kiedy powiedziałaś, że to nie najlepszy pomysł, żebyśmy się znowu spotkali, pomyślałem...
- Powiedziałam to, bo wiem, jak kończą się takie sprawy. Kiedy poznajesz kogoś w obcym mieście, wydaje się to nowe i ekscytujące. A potem wracasz z tym do domu i uświadamiasz sobie...

- „Wracasz z tym do domu”? Jak z pamiątką?
- Tak się właśnie dzieje.

Naprawdę wiem, jak kończą się takie historie. I wiem, jak zakończy się ta. Co nie oznacza, że nie mogę czerpać z niej przyjemności.

- Zostań – mówię. – Zjedz ze mną kolację. – Głaszczę go i czuję, jak jego plecy pokrywają się gęsią skórką. – Oboje tak czy inaczej musimy coś zjeść, więc dlaczego nie zrobić tego razem?

- To musi być bardzo samotne życie – odzywa się cicho.

Moja dłoń nieruchomieje na jego plecach. Nie tego od niego oczekiwałam. Chciałam gorącego seksu i dowcipnej rozmowy, a nie tego, że postawi lustro przed moim życiem. Zrobił to, a mnie wcale nie podoba się to, co widzę.

– Bywa samotne – przyznaję. – Dlatego właśnie chciałabym, żebyś został.

– Na kolację.

– I coś więcej. Jeśli jesteś w nastroju.

Kręci głową i śmieje się ze znużeniem.

– Jasne. Czemu nie?

„Czemu nie?” Nie po raz ostatni wypowiedziemy do siebie te słowa.

A powinniśmy byli skończyć to w tym momencie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

JO

Purity, stan Maine, teraz

Jo знаła ludzi takich jak detektyw Robert Alfond z policji stanowej Maine i niemal od chwili, gdy wysiadł z SUV-a, wiedziała, że nie zapałają do siebie sympatią. Przystanął obok zwłok i jego twarz podświetlił niebieski blask kogutów z radiowozów. Był potężnym mężczyzną, a w kurtce puchowej wydawał się jeszcze większy. Nie nosił czapki ani szalika, Jo zastanawiała się więc, jak długo wytrzyma tak na mrozie. Stała kilka kroków od niego i podniosła rękę w geście pozdrowienia, ale zignorował ją i skierował się do jej podwładnego. Tak to będzie wyglądać, pomyślała. Jo Thibodeau, niewidzialna kobieta. Widział ją, oczywiście, ale pewnie pomyślał: blondynka, nieważna, i zwrócił się do mężczyzny, którego uznał za dowódcę.

Podwładny Jo natychmiast wskazał na nią. Dzięki, Mike.

– Jo Thibodeau – powiedziała, zbliżywszy się do detektywa o kilka kroków. – Po śmierci Glena Cooneya pełnię tymczasowo funkcję komendanta.

– Detektyw Alfond – przedstawił się.

– Tak, wiem. W akademii byłam na pana wykładzie o przesłuchaniach.

– Wykładzie, podczas którego przechadzał się po sali niczym kapitan

statku, wyniosły i zadufany w sobie. Wskazała głową żółtą taśmę rozpiętą wokół ciała. – Zabezpieczyliśmy miejsce zbrodni, przeszukaliśmy dom i przeprowadziliśmy wstępne przesłuchania. Dom należy do sześćdziesięcioletniej kobiety, która mieszka sama. Nie było jej tutaj, gdy podrzuciono ciało.

– Tak mówi?

– Tak jest.

– A pani wie, że to prawda?

– Przesłuchałam świadków, którzy potwierdzają jej zeznania. Potwierdziłam je również osobiście.

– Jak?

– Jeśli spojrzy pan na dom, zobaczy pan, że jest tu mnóstwo kamer. Na nagraniu z monitoringu widać, że ciało tu przywieziono. W czarnym SUV-ie prowadzonym przez mężczyznę.

– Funkcjonariuszko Thibodeau, zna pani procedurę dotyczącą śledztwa w sprawie zabójstw?

– Tak jest.

– I zna pani swoją rolę?

– Powiadamy prokuratora oraz wydział dochodzeniowy policji stanowej. Zabezpieczamy miejsce zbrodni, przeszukujemy wstępnie okolicę i zbieramy informacje od świadków. To właśnie zrobiliśmy, zgodnie z paragrafem dwieście jeden Kodeksu postępowania administracyjnego stanu Maine, dotyczącym dochodzenia w sprawie zabójstw.

Wpatrywał się w nią przez chwilę tak, jak człowiek mógłby się wpatrywać w psa, który nagle zaczął mówić. Blondynka potrafiła się odgryźć. Może Jo rzeczywiście trochę się pospieszyła, oglądając nagranie z monitoringu, zanim zrobił to detektyw z policji stanowej. Może powinna

była tylko rozpiąć taśmę i czekać, aż sprawę przejmą grube ryby, nigdy jednak nie była cierpliwą kobietą. Wiedziała, że musi nad tym popracować.

Odwrócili się, gdy para reflektorów oświetliła zwłoki i za detektywem Alfondem zatrzymał się kolejny samochód. Wsiadł z niego lekarz sądowy, doktor Wass, również wielki mężczyzna. Jakby Maine rodziło postawnych mężczyzn równie licznie jak głązy. W odróżnieniu od Alfonda, zbudowanego dość proporcjonalnie, Wass przypominał posturą kulę do kręgli, która zмага się z grawitacją, by nie potoczyć się w dół opadającego podjazdu.

– No proszę, Jo Thibodeau! – zawołał.

– Witam, doktorze.

Ostatnio rozmawiali podczas dochodzenia w sprawie śmierci Glena. Jo wciąż była mocno poruszona śmiercią komendanta i patolog traktował ją z ojcowską życzliwością. Nawet teraz, gdy tuż obok leżały zwłoki i miał przed sobą kilka godzin pracy, doktor Wass był na tyle uprzejmy, by najpierw przywitać się z nią.

– Więc teraz zastępujesz Glena.

– Staram się. – Westchnęła ciężko. – Brakuje mi go. Był dobrym człowiekiem.

– To prawda. Jak ci idzie? No wiesz, zastępowanie Glena?

– Czasem pojawiają się... wyzwania. – Na przykład praca z dupkami takimi jak detektyw Alfond, dodała w myślach. – Ale wdrażam się.

– Jestem pewny, że poradysz sobie doskonale, Jo – powiedział, po czym odwrócił się do Alfonda. – No dobrze, Bob, co tu mamy?

Kiedy mężczyźni ruszyli w stronę zwłok, Jo chciała do nich dołączyć, lecz Alfond rzucił jej spojrzenie mówiące jednoznacznie, że nie jest mile widziana w ich towarzystwie. Dlatego, że zacytowała mu paragraf z Kodeksu postępowania administracyjnego, czy dlatego, że była kobietą,

i to co najmniej o dziesięć lat młodszą od niego? Słyszała, jak powtarza Wassowi, czego się dowiedział, jakby to on przesłuchał Maggie Bird, przejrzał nagranie z monitoringu i zadzwonił do Declana Rose'a oraz Slocumów, by potwierdzić jej zeznania. Jakby to on sprawdzał pokój po pokoju w domu, gotowy stawić czoło zabójcy. Doktor Wass kiwał głową, chłonąc te informacje, nieświadomy, że są owocem jej pracy.

Co zrobiłby z tym Glen?

Doskonale wiedziała, co zrobiłby Glen Cooney. Strząsnąłby to z siebie niczym krople deszczu z płaszcza i dałby sobie spokój, bo zgodnie z Kodeksem postępowania administracyjnego stanu Maine dochodzenie przejął Alfond, nie było więc sensu przejmować się tym, co pozostawało poza ich kontrolą. Powiedziałyby jej, że zrobiła już to, co do niej należało, i czas zająć się innymi sprawami.

Zostawiła więc Alfonda i doktora Wassa i ruszyła do radiowozu. Przystanąła przy nim i spojrzała jeszcze raz na dom. W oknach sypialni, za zaciągniętymi zasłonami, panowała ciemność, ale Jo wcale nie byłaby zaskoczona, gdyby właścicielka przyglądała im się w tej chwili, bo sądząc po liczbie kamer, Maggie Bird była bardzo czujna. Jo nie potrafiła rozgryźć tej dziwnej kobiety. Przypomniła sobie, jak spokojnie zareagowała na widok zwłok leżących na podjeździe, i zastanawiała się, czy nie był to wynik szoku, który opóźnił reakcję. Może prawda dotrze do kobiety dopiero jutro i wtedy ta poczuje grozę, jaka ogarnęłaby większość ludzi na wieść, że pod ich domem leży ofiara zabójstwa.

A może Maggie Bird była tak niewzruszona, na jaką wyglądała.

Jo zerknęła na Alfonda i patologa, którzy wciąż pochylali się nad ciałem i rozmawiali o obrażeniach. Niech się skupiają na martwej kobiecie, pomyślała. Ona zamierzała skupić się na tej, która była całkiem żywa.

Przez pokryte śniegiem pole szła dziewczynka z krową. Mrużąc oczy w porannym świetle, Jo widziała, że nie jest to szczególnie duże zwierzę, lecz spokojna krowa rasy jersey. To dziewczynka była taka drobna. Jo zaniepokoiła się, bo krowa musiała jednak ważyć z trzysta kilogramów. Jo nie bała się psów ani węży, ani przerażająco szybkiej jazdy na nartach po najtrudniejszych trasach, ale gdy miała dziesięć lat, ścigał ją byk, więc od tej pory traktowała duże zwierzęta ze zdrowym respektem.

Przyglądała się uważnie, jak dziewczynka i krowa zmierzają do stajni. Żadna z nich nie prowadziła drugiej, wyglądały raczej jak przyjaciółki, które wybrały się na spacer. Gdy dziewczynka przystanęła, by pomachać Jo, zwierzę również się zatrzymało, niczym dobrze wyszkolony pies.

Jo odmachała. Słyszała, że Luther Yount sam uczy wnuczkę, co tłumaczyło, dlaczego dziecko jest rano z krową, a nie siedzi w szkole. I pewnie dlatego mała nigdy dotąd nie spotkała Jo. W odróżnieniu od dzieciaków z miejscowej szkoły średniej, które ciągle pakowały się w jakieś kłopoty, dziewczynka przebywająca głównie w towarzystwie dziadka i zwierząt domowych raczej nie miała chęci ani sposobności dopuszczać się występków. Jo poczekała, aż ta nietypowa para zniknie w stajni, po czym spojrzała na chatę i weszła na werandę.

Nim zdążyła zapukać, Yount otworzył drzwi. Jo nie była drobną kobietą, lecz gdy stanęła twarzą w twarz z brodatym potężnym mężczyzną, omal nie cofnęła się o krok.

– Pan Yount? – spytała. – Jestem Jo Thibodeau z komendy policji w Purity.

– Chodzi o to, co wydarzyło w sąsiedztwie?

– Tak.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem już z jakimś detektywem. Robertem jakimś tam...

– Chodzi panu pewnie o detektywa Alfonda z policji stanowej, która przejęła dochodzenie w tej sprawie.

– Powiedziałem mu, że nie miałem pojęcia, że stało się coś złego, dopóki nie zobaczyłem radiowozów.

– Mam kilka pytań dotyczących pana sąsiadki. Mogę wejść?

– Chyba tak – odpowiedział mężczyzna, choć nie od razu.

Nie wiedziała, czy nie miał wcześniej zatargów z prawem, a niechęć, z jaką wpuszczał ją do domu, wydała jej się zastanawiająca. W środku nie zobaczyła niczego podejrzanego. Meble w większości wyglądały na wykonane własnoręcznie przez gospodarza, a sterty opakowań wypełnionych jajkami świadczyły o tym, że hodują kury. W rogu stał stary piecyk firmy Vermont Castings, w którym paliło się drewnem. W żeliwnym garnku na blasze gotowała się woda, wypuszczając obłoki pary w suche jak pieprz powietrze.

Z sufitu zwisała pajęczyna, a gdy Jo podniosła wzrok, zobaczyła pająka kołyszącego się pod nią na nici. Sądząc po bałaganie i warstwie kurzu zalegającej w niektórych częściach chaty, Luther Yount nie przejmował się obecnością pajaków. Jedynym, co zaskoczyło Jo, było mnóstwo książek naukowych i poradników rolniczych wypełniających szczelnie regały. Rozczochrany mężczyzna w ogrodniczkach nie był do końca człowiekiem, jakim wydawał się na pierwszy rzut oka.

Usiedli przy stole, na którym stał opróżniony do połowy kubek czarnej kawy. Chętnie napiłaby się kawy, ale Yount nie zaproponował poczęstunku.

– Pana sąsiadka, Maggie Bird... – zaczęła Jo. – Jak długo ją pan zna?

– Odkąd się tu wprowadziła, czyli od jakichś dwóch lat. Kupiła farmę Blackberry od spadkobierców starej Lillian, która potrafiła być naprawdę

zrędliva, zwłaszcza gdy kozy mojej wnuczki wlażyły do jej ogrodu. Ale Maggie to dobra sąsiadka.

– W jakim sensie?

– Życzliwa. Spokojna. Nie wtrąca się w cudze sprawy.

„W odróżnieniu od ciebie”, zdawało się mówić jego spojrzenie. Jo czuła, że nawet gdyby Maggie Bird miała coś na sumieniu, ten człowiek nie wspomniałby o tym ani słowa. Dla zasady.

– Dlaczego wypytuje pani o Maggie? – spytał.

– Wczoraj wieczorem znaleziono na jej podjeździe zwłoki.

– Tak, wiem. Mogły trafić na każdy inny podjazd.

– Ale trafiły pod jej dom. A ona zareagowała na to inaczej, niż można by się spodziewać.

– A czego by się pani spodziewała?

– Była dziwnie spokojna.

– Bo to spokojna kobieta. Nigdy nie widziałem, żeby się czymś zdenerwowała. Maggie już taka jest.

Drzwi otworzyły się i z trzaskiem zamknęły. Do chaty weszła wnuczka Younta.

– Jaka jest Maggie? – spytała dziewczynka.

– Callie, to jest funkcjonariuszka Thibodeau – powiedział jej dziadek.

– Pełniąca obowiązki komendanta funkcjonariuszka Thibodeau – uściśliła Jo.

– Wypytuje o Maggie.

– Dlaczego? – spytała Callie.

– To tylko rutynowe pytania – zapewniła ją Jo, wiedziała jednak, że Yount w to nie wierzy.

Jego nieufność udzieliła się dziewczynce i ta patrzyła na policjantkę spod zmarszczonych brwi. Callie miała na sobie poplamioną kurtkę roboczą, jej gumowce pozostawiały błotniste ślady, a z włosów sterczały źdźbła słomy. Jo zastanawiała się przez chwilę, czy ta sytuacja nie wymaga interwencji opieki społecznej, bo przecież dziewczynka w tym wieku powinna być w szkole, a nie pracować na farmie.

– Czy Maggie ma kłopoty? – spytała Callie.

– Nie, kochanie – odpowiedział jej Luther.

O ile mi wiadomo, nie ma, pomyślała Jo.

– Chodzi o lisa? – pytała dalej Callie.

– O jakiego lisa?

– Zastrzeliła lisa i oddała nam go – wyjaśnił Luther. – To nie przestępstwo, bo zabijał jej kury. I kury Callie.

– Nie przyszedł tu z powodu lisa, panie Yount. Próbuję dowiedzieć się czegoś więcej o pana sąsiadce. Wygląda na to, że ma pan o niej dobre zdanie.

– W razie potrzeby zawsze nam pomaga. Kiedy kozy Callie uciekły z zagrody, Maggie biegała z nami po polu i pomagała je łapać. Szkoda, że pani tego nie widziała. Było na co popatrzeć.

– I daje mi książki – dodała dziewczynka. – Takie, które według niej poszerzą moje horyzonty. – Podeszła do biblioteczki, wyciągnęła jedną książkę i położyła ją na stole przed Jo. Był to atlas świata. – Mówi, że to mi pomoże zdecydować, dokąd kiedyś będę chciała pojechać. Powiedziałam jej, że chciałabym zobaczyć Paryż, a ona odparła, że to bardzo dobry wybór.

– W porządku, jest dobrą sąsiadką. – Jo skinęła głową. – Co jeszcze o niej wiecie?

Zapadła cisza. Yount i jego wnuczka spojrzeli po sobie, jakby oczekiwali od siebie nawzajem odpowiedzi.

– Dobrze strzela – rzucił w końcu Yount. – Od razu zdjęła tego lisa.

Jo zastanawiała się nad tym przez chwilę. Sześćdziesięcioletnia kobieta, która umie się obchodzić z bronią, nie była czymś niezwykłym w Maine, lecz Maggie Bird sprowadziła się tu niedawno, więc zdobyła tę umiejętność gdzie indziej.

– Pan też nie jest stąd, prawda, panie Yount? – spytała.

Zaskoczony tą nagłą zmianą tematu, natychmiast przyjął beznamiętny, nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Owszem – odparł.

– Dziadek sam wyremontował tę chatę – pochwaliła się Callie.

– A skąd się przeprowadziliście?

– Z Bostonu – odparła dziewczynka radośnie. – Dziadek był tam wykładowcą na MIT.

– Znaliście Maggie Bird, zanim tu zamieszkaliście? – wypytywała dalej Jo.

– Nie – odpowiedział Yount. – Poznaliśmy ją, gdy się tu wprowadziła, i nie mogliśmy sobie wymarzyć lepszej sąsiadki. Nie wiem, do czego pani zmierza, ale nie powiem o niej złego słowa.

– Ja też nie – dodała Callie.

Jo powiodła spojrzeniem od mężczyzny do jego wnuczki i z powrotem. Wiedziała, że niczego więcej się nie dowie. Jeśli tych dwoje znało jakieś kompromitujące informacje na temat sąsiadki, nie podzielią się nimi z policją.

Pożegnała się i wyszła z chaty. Przystanęła obok swojego samochodu i spojrzała w stronę farmy Blackberry. Widok był częściowo przesłonięty

przez rząd klonów rosnących przy drodze, która prowadziła do domu Maggie Bird, Jo widziała jednak dom i zaparkowanego przed nim białego SUV-a. Śledczy z policji stanowej spędzili tam cały ranek; na śniegu trzepotały resztki żółtej taśmy, ale radiowozy i inne samochody policyjne już odjechały. Do kogo należał ten biały SUV?

Wyjechała z posiadłości Luthera Younta i skręciła w drogę prowadzącą do Blackberry. Przystanęła na chwilę przy SUV-ie i zauważyła, że ma tablice rejestracyjne z Maine i jest nienaturalnie czysty jak na tę porę roku, kiedy większość samochodów pokryta jest błotem z posypanych piaskiem dróg. Na podjeździe stały dwie osoby. Pomachały do Jo, gdy wysiadła z radiowozu, więc ruszyła w ich stronę. Dwoje starszych ludzi, oboje w grubych puchowych kurtkach, w których wyglądali jak bałwany.

– Komendantka Joanna Thibodeau, jak się domyślam? – powiedziała kobieta. – Rozmawialiśmy z panią wczoraj wieczorem przez telefon. Ingrid i Lloyd Slocumowie. Maggie była u nas na kolacji.

– Wiecie państwo, że to jest miejsce zbrodni?

– Oczywiście. Dlatego tu jesteśmy.

– Słucham?

– Taśmę już zdjęto, więc uznaliśmy, że możemy podjechać i zobaczyć to na własne oczy. Maggie przesłała nam nagranie z monitoringu i chcieliśmy potwierdzić kilka szczegółów.

– Takich jak stosunkowo mało krwi – dodał Lloyd, wskazując na czerwoną plamę na śniegu.

– I te ślady bieżnika – dorzuciła Ingrid, wskazując na śnieg w innym miejscu. – Myślę, że to opony Goodyear. Będę musiała pogrzebać w sieci i znaleźć konkretny model.

– Zabito ją gdzie indziej, prawda? – powiedział Lloyd. – A jej ciało porzucono tu później. Jaki był stan stężenia pośmiertnego?

- Jezu... – mruknęła Jo. – Jesteście emerytowanymi policjantami?
- Och, nie – odparła Ingrid. – Jesteśmy amatorami. Entuzjastami zagadek kryminalnych.
- Raczej wampirami.
- Wyglądamy na wampiry?
- Oglądanie miejsc zbrodni to dla państwa rozrywka?
- Ależ skąd! Traktujemy to bardzo poważnie. Maggie jest naszą przyjaciółką i przykro nam, że ktoś wykorzystał jej podjazd jako śmietnik na zwłoki.
- Muszę z nią porozmawiać – oznajmiła Jo.
- Nie ma jej tutaj. Pojechała z Declanem Rose'em do Harbourtown Inn, żeby porozmawiać z menadżerem.
- Do Harbourtown Inn? Skąd wiedzieli...
- ...gdzie zatrzymała się Bianca? To proste. O tej porze roku w okolicy działają tylko trzy hotele. Tak się złożyło, że Lloyd zna kucharza w Harbourtown i ten powiedział mu, że ta kobieta tam spała.
- Nawiasem mówiąc, podają tam teraz całkiem przyzwoite śniadania – dodał Lloyd. – Odkąd dałem im mój przepis na zapiekane jajka.
- Jo wzięła głęboki oddech, by zapanować nad nerwami.
- Co oni właściwie robią w Harbourtown Inn?
- Próbują się dowiedzieć, kiedy i gdzie ta kobieta została uprowadzona. Jak dotąd nie znaleziono jej wynajętego samochodu, więc...
- A to skąd państwo wiecie?
- Rano na parkingu hotelowym było mnóstwo radiowozów, ale nie odholowały żadnego samochodu. Znaleźli go już?
- Jo zacisnęła usta.
- Nie wiem – odparła po chwili. – Sprawę przejęła policja stanowa.

– Och... – Ingrid pokręciła ze współczuciem głową. – To musi boleć.

Tak naprawdę boli to, że ci ludzie – cywile – wiedzą tyle samo co ja, pomyślała Jo. To niesprawiedliwe.

Choć tak naprawdę niesprawiedliwe było, że ona, komendantka policji w Purity, została właściwie odsunięta od śledztwa w sprawie zabójstwa, do którego doszło w jej rodzinnym mieście.

– Chcę, żebyście państwo opuścili teren tej posiadłości – powiedziała.

Ingrid podniosła dumnie głowę i choć nie przewyższała Jo wzrostem, a jej włosy były mocno poprzetykane siwizną, jej spojrzenie mówiło jednoznacznie, że nie warto z nią zadzierać.

– Maggie pozwoliła nam tu być.

– To miejsce zbrodni. Możecie zacierać ślady.

– Nie jesteśmy takimi ignorantami.

Lloyd położył dłoń na ramieniu żony w uspokajającym geście.

– Ingrid, kochanie, i tak już skończyliśmy.

Przez chwilę dwie kobiety mierzyły się wzrokiem, a potem Ingrid kiwnęła sztywno głową.

– Dobrze – rzuciła. – Gdyby potrzebowała pani naszej pomocy, ma pani nasz telefon.

Gdybym potrzebowała ich pomocy? – oburzyła się w duchu Jo. Za kogo oni się mają?

Kiedy odjechali, wsiadła do radiowozu i siedziała w bezruchu, wpatrzona w farmę Blackberry. Jesteś zagadką, Maggie Bird, podobnie jak twoi przyjaciele, pomyślała. Nie podejrzewała jej wprawdzie o zamordowanie kobiety, której zwłoki leżały na podjeździe, ale ta sytuacja była co najmniej dziwna. Choć w Purity dochodziło do drobnych przestępstw, zabójstwa były tu rzadkością i zwykle kwestia sprawcy

i motywu była oczywista. W dodatku chodziło o ludzi, których znała przez całe życie. Taką przewagę mają policjanci prowadzący śledztwo w swoich rodzinnych miastach: wiedzą, w których domach zanosilo się na kłopoty. W ciągu ostatnich lat zaczęli się do Purity wprowadzać przybysze z odległych miejsc, którzy prawdopodobnie wierzyli, że w tym miasteczku uciekną od wielkomijskich cen, korków ulicznych i przestępczości. Jo nie znała ich jeszcze i wiedziała, że czeka ją dużo rozmów jak ta ze Slocumami, pełnych nieufności.

Za sprawą nowych mieszkańców miasto szybko się zmieniało. Nie była pewna, czy podobają jej się te zmiany, ale nie mogła ich zatrzymać. Poza tym zdawała sobie też sprawę, że bez świeżej krwi miasteczka umierają. Musiała po prostu robić to co zawsze: mieć oczy i uszy szeroko otwarte.

Ktoś wiedział, dlaczego ciało kobiety trafiło na ten podjazd, i wcześniej czy później to wyjawí.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Diana

Bangkok, teraz

Trupia twarz patrząca na nią z ekranu komputera w kafejce internetowej w niczym nie przypominała mężczyzny, którego znała niemal dwadzieścia lat temu. Diana nie zdołała ukryć zaskoczenia, gdy ujrzała tak drastyczne zmiany.

– Gavin? – rzuciła do mikrofonu zestawu słuchawkowego.

Trup na ekranie westchnął z rezygnacją.

– Jak widzisz, czas nie był dla mnie łaskawy – powiedział.

– Nie był łaskawy dla żadnego z nas.

– Nie próbuj mnie pocieszać, Diano. Ty się bardzo starasz i to widać.

Znał ją dobrze, co było niefortunne. Zaczęła sobie uświadamiać, że karma nie jest tylko abstrakcyjnym pojęciem. Rozejrzała się po zatłoczonej kafejce. Nawet o północy siedziało tu mnóstwo turystów stukających w klawiatury. Klimatyzacja nie radziła sobie z ciepłem wydzielanym przez ciała, więc w sali unosił się zapach potu i olejku kokosowego. Pozostali klienci byli skupieni na ekranach; nikt nie zwracał na nią uwagi.

– Mam... problem – powiedziała cicho.

– Czego ode mnie chcesz?

– Kryjówki. Tylko na kilka tygodni, dopóki się nie dowiem, o co właściwie chodzi.

– A co się dzieje?

– W Paryżu próbowało mnie dopaść dwóch ludzi. Przyszli do mojego mieszkania, ale zdjęłam ich pierwsza. To może być odwet za Malte. A jeśli tak, to nie tylko ja muszę uważać.

Twarz Gavina nie zdradzała żadnych emocji. Ćwiczył zachowywanie pokerowej miny od lat; być może zamieniła się już w niezmienną maskę. A może to skutek choroby? Diana dostrzegła zieloną butlę z tlenem za jego ramieniem, ale sądząc po rzeźbionym dekoracyjnym panelu widocznym w tle, nie przebywał w szpitalu.

– Agencja pytała o Malte – powiedział.

– Kiedy?

– Skontaktowali się ze mną w zeszłym tygodniu. Zdaje się, że znów interesuje ich operacja Cyrano. Sprawdzają ponownie, co się tam wydarzyło. Pytali mnie, co z tego pamiętam.

– Po tylu latach? Dlaczego?

– Zdaje się, że dotarły do nich jakieś nowe informacje. Prawdopodobnie będą rozmawiać również z tobą.

Jeśli mnie znajdą, pomyślała.

– Kontaktowałeś się z Maggie? – spytała.

– Pewnie powinienem. Nigdy nie opowiedziałem jej całej historii. A może należało to zrobić. Może już czas, żeby poznała prawdę.

– Jaki miałoby to teraz sens?

– Jeśli ścigają cię z powodu Malty, to wszyscy mamy problem. A Maggie przede wszystkim. Wiesz, kto wysłał do ciebie tych ludzi?

– Zakładałam, że Moskwa.

– Być może powinnaś rozważyć inne możliwości.

Uniosła brwi.

– Co masz na myśli? Co słyszałeś?

– Hardwicke.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– To niemożliwe – rzuciła.

– Agencja jest innego zdania.

Zszokowana Diana zachłysnęła się głośno. Powiodła wzrokiem po turystach stukających w klawiatury, wpatrzonych w ekrany.

– Potrzebuję czasu, żeby to rozgryźć, Gavin – odezwała się cicho. – Gdybyś załatwił mi jakąś kryjówkę do czasu...

– Nie mogę.

– Nie możesz? Czy nie chcesz?

– Sama sobie na to odpowiedz.

Nie spodziewała się tak zimnego odrzucenia, ale też nie była zaskoczona. Po Malcie rozstali się w niezbyt przyjemnej atmosferze, a ona nigdy nie zabiegała o lojalność współpracowników. Nie widziała takiej potrzeby.

Aż do teraz.

– Nie potrzebujesz mojej pomocy – powiedział Gavin. – Ty zawsze sobie poradzisz. Jesteś w tym najlepsza.

– Ty też możesz być na ich liście.

– Potrafię zatroszczyć się o siebie, dziękuję. Maggie też, zapewniam cię.

Poczuła mrowienie na karku, odwróciła się i spojrzała na innych klientów kafejki. Jej uwagę przyciągnął mężczyzna z ciemnoblonde włosami, w starym T-shircie i brązowych spodniach z bocznymi

kieszzeniami. Nie różnił się niczym od wielu innych turystów w Bangkoku, ale zastanawiająca była jego reakcja na jej spojrzenie. Natychmiast odwrócił wzrok i skupił się na swoim komputerze. Przyglądał się jej, bo miał ochotę na jednonocną przygodę, czy też interesował się nią z innych powodów?

Spojrzała na Gavina.

– Zrób dla mnie przynajmniej jedną rzecz. Dowiedz się, dlaczego Agencja pyta o Malteę.

– Spytaj ich sama. Wystarczy zadzwonić.

– Nie wiem, czy to bezpieczne.

W jego oczach po raz pierwszy pojawił się cień emocji, niepokoju.

– Myślisz, że to nie Agencja za tym stoi? – spytał.

– Po Paryżu nie ufam już nikomu. Ktoś chce mnie zabić i jeśli jest to związane z operacją Cyrano, to znaczy, że nasze nazwiska wyciekły. Twoje. Moje. Maggie.

Zerknęła ukradkiem na bok i zobaczyła, że facet w brązowych spodniach znów ją obserwuje. Pomyślała, że powinna się tym zająć.

– Muszę iść – rzuciła i wylogowała się.

Opuściła kafejkę i wcale nie była zaskoczona, gdy kilka sekund później facet w brązowych spodniach wyszedł za nią. Szła powolnym, leniwym krokiem, odgrywając rolę turystki, ale od czasu do czasu zatrzymywała się, by spojrzeć na witrynę sklepową, i za każdym razem kątem oka widziała, że mężczyzna również się wtedy zatrzymuje. Utrzymywał stały dystans, ale wyraźnie ją śledził.

Czas zakończyć tę nudną grę, pomyślała.

Mimo późnej pory na głównej ulicy wciąż było zbyt wielu świadków, skręciła więc w spokojniejszą boczną uliczkę.

On również.

Tutaj było znacznie mniej ludzi, nie mógł więc dłużej ukrywać, że idzie za nią. Robił to teraz całkiem otwarcie, bezczelnie, skupiając na niej uwagę. Nie miał jednak w tym wprawy albo uważał ją za łatwy cel i uznał, że może sobie pozwolić na nieostrożność. Dojrzała alejkę po prawej. Wąską, nieoświetloną, zasłaną skrzynkami.

Skręciła w nią i przycziła się w drzwiach. Czekwała w ciemnościach, nasłuchując jego zbliżających się kroków. Był już tak blisko, że słyszała szelest nogawek spodni.

Jej atak był dla niego kompletnym zaskoczeniem.

Błyskawicznie znalazła się za jego plecami, złapała go za włosy i odciągnęła mu głowę do tyłu, by odsłonić szyję i przyłożyć do niej ostrze noża.

– Kim jesteś? – spytała.

– Ja tylko... Chciałem...

– Kim jesteś?

– Dave. Dave Barrett. – Dyszał ciężko, przerażony. – Proszę, ja tylko próbowałem...

– Kto cię przysłał?

– Nikt!

– Agencja? Moskwa?

– Co? Nie, ja...

– Powiedz mi albo ci przypierdolę.

Spanikowany, chwycił jej rękę trzymającą nóż i próbował ją odciągnąć. Był to niezdarny ruch, który niczego mu nie przyniósł, ale wkurzył Dianę i nie pozostawił jej wyboru. Zadziałały wyuczone przez lata odruchy i to, co zrobiła, było śmiertelnie skuteczne i brutalne. Przesunęła nóż na jego

pierś i wbiła czubek pod mostek, mierząc prosto w serce. Całe ciało mężczyzny zadygotało. Choć ostrze zatrzymało raptownie pracę serca, mężczyzna jeszcze na kilka sekund zachował świadomość. Wiedział, że umiera. Wiedział, że ta ciemna alejka będzie ostatnią rzeczą, jaką zobaczy w życiu.

– Kto cię przysłał? – spytała po raz ostatni.

– Nikt – wyszeptał.

Jego głowa przechyliła się powoli do tyłu, Diana się cofnęła i bezwładne ciało osunęło się na ziemię.

Rozejrzała się szybko dokoła, upewniła się, że w alejce nikogo nie ma, zapaliła latarkę i błyskawicznie przeszukała zwłoki. W kieszeniach spodni znalazła paszport, portfel i trochę drobnych, ale żadnej broni. Nawet scyzoryka. Otworzyła paszport i zobaczyła, że facet naprawdę nazywał się David Barrett, miał dwadzieścia trzy lata i pochodził z Saint Louis w stanie Missouri.

Zabiła pieprzonego turystę.

„Kiedy zabijasz niewinnego człowieka, przysparzasz sobie dziesięciu nowych wrogów”, powiedział jeden z jej instruktorów na Farmie, ale lata pracy w terenie nauczyły ją, że czasami nie da się tego uniknąć. Ten mężczyzna nie był w końcu całkowicie niewinny. Śledził ją, zainteresowany seksem albo pieniędzmi. Pospolity drapieżca.

– Mój błąd – mruknęła.

Wytarła ostrze w jego koszulę i zabrała wszystko, czego dotknęła, na czym mogła zostawić odciski palców. Potem wyrzuci to do rzeki i pozwoli, by policja wyciągnęła własne błędne wnioski.

Dopiero gdy wróciła na główną ulicę i mijała wózki z jedzeniem oraz głośne bary, jej oddech się uspokoił, a puls wrócił do normy. Choć ten incydent nie był niepotrzebny, zyskała dzięki niemu cenną informację: jej

prześladowcy nie wiedzieli, gdzie jest. Gdyby ktoś chciał ją zabić, mógł zrobić to w alejce, kiedy była zajęta turystą Dave'em.

Na razie nic jej nie groziło

Tego wieczoru dowiedziała się czegoś jeszcze, czegoś, co podejrzewała. Gavin potwierdził, że Agencja ponownie otworzyła akta operacji Cyrano. Zadawali pytania, chcieli zdobyć więcej informacji od ludzi, którzy byli w to najbardziej zaangażowani. Wiedziała, że te akta nie zostały jeszcze odtajnione, bo jako jedną z głównych agentek biorących udział w tej operacji powiadomiono by ją o tym. Czy ktoś w Agencji ujawnił ich nazwiska? Jakie jeszcze szczegóły wyciekły? Albo Gavin nie znał odpowiedzi na te pytania, albo nie był z nią całkiem szczery.

Straty mogły być znacznie większe, na jaw mogły wyjść szczegóły, które nie powinny ujrzeć światła dziennego. „Kiedy zabijasz niewinnego człowieka, przysparzasz sobie dziesięciu nowych wrogów”. Diana miała już wystarczająco wielu wrogów, nie potrzebowała kolejnych.

W końcu dotarła do rzeki Menam i wrzuciła w jej ciemne wody paszport i portfel turysty Dave'a. Tak to się kończy, kiedy chcesz napaść na niewłaściwą kobietę, pomyślała. Nie doceniając jej, popełnił błąd, który kosztował go życie.

Nie był pierwszym człowiekiem, który jej nie docenił, i nie miał być ostatnim.

ROZDZIAŁ ÓSMY

JO

Purity, Maine, teraz

Tylko raz w ciągu swojej kariery była świadkiem sekcji zwłok, lata temu, gdy szkolila się w Akademii Policyjnej Stanu Maine. Jako najniższa uczestniczka zajęć musiała stać na palcach, by zobaczyć coś ponad ramieniem kolegi. Potem doktor Wass rozciął i otworzył brzuch, uwalniając smród wnętrzności, i chłopak stojący przed Jo zemdlął.

Dzięki czemu miała już niczym niezmacony widok na skalpel patologa.

Podczas gdy wszyscy inni uczestnicy zajęć skupiali się na anatomicznych szczegółach sekcji – z ilu płatów składają się płuca, gdzie znajduje się śledziona w stosunku do wątroby? – Jo myślała mimowolnie o zmarłym i o tym, jak wyglądały ostatnie chwile jego życia. Był to bardzo stary mężczyzna z twarzą i ramionami pokrytymi plamami wątrobowymi, które przywodziły na myśl brązowy mech porastający pień sędziwego drzewa. Znalaziono go martwego w łóżku, w domu spokojnej starości, co zszokowało jego rodzinę, bo poprzedniego wieczoru wydawał się całkiem zdrowy i żwawy. W ciągu ostatniego miesiąca zmarli czterej inni pensjonariusze, wszyscy niespodziewanie, rodzina utrzymywała więc, że w placówce dzieje się coś niedobrego. Być może krążył po niej anioł

śmierci przebrany za pielęgniarkę i uzbrojony w strzykawkę z insuliną. Takie zabójstwa się zdarzały, prawda?

Patrząc na mężczyznę, Jo myślała o tym, jak się czuł, gdy oddano go na ostatnie lata życia do domu opieki i dzień po dniu musiał się wpatrywać w te same cztery ściany. Czy pragnął znów poczuć płatki śniegu na twarzy i usłyszeć chrzęst liści pod stopami, choć wiedział, że nigdy już tego nie doświadczy? I pewnej nocy pojawia się u niego pielęgniarka ze strzykawką, by zakończyć te męki. Czy było to morderstwo, czy akt miłosierdzia? Jo nie miała pojęcia. Wiedziała jedynie, że to przykre, gdy czyjeś ciało trafia do prosektorium i zostaje wypatroszone w blasku lamp, pod okiem studentów, którzy patrzą na najbardziej intymne części. Na jej twarzy musiał się pojawić wyraz współczucia, bo doktor Wass spytał:

– Dobrze się czujesz?

Dopiero po kilku sekundach uzmysłowiła sobie, że zwraca się do niej. Gdy ich spojrzenia spotkały się nad stołem, czuła, że koledzy przyglądają się jej. Czy skierował do niej to pytanie dlatego, że była jedyną dziewczyną na sali i chciał dać do zrozumienia, że jest słabsza od chłopaków? Jeśli tak było, powinna zdusić to przypuszczenie w zarodku, wzruszeniem ramion, a może nawet śmiechem.

Odpowiedziała jednak szczerze:

– Miał ciężkie życie. To smutne, że umarł w taki sposób.

– Dlaczego uważasz, że miał ciężkie życie?

Wskazała na jego rękę.

– Nie ma czubka palca wskazującego. I proszę spojrzeć na blizny na jego dłoniach. Pracował ostrymi narzędziami. Może w tartaku albo w rzeźni.

Doktor Wass nie odezwał się, ale przyglądał jej się przez chwilę, jakby starał się zapamiętać jej twarz. Jakby wiedział, że nie jest to ich ostatnia

rozmowa.

Wiele lat później, gdy spotkali się przy ciele biednego Glena Cooneya, leżącym na skraju drogi, pamiętał jej nazwisko. A wczoraj, gdy spytała, czy mogłaby obserwować sekcję zwłok kobiety znalezionej na podjeździe Maggie Bird, mimo że oficjalnie nie brała udziału w śledztwie, natychmiast się zgodził.

Wiedzieli już, jak nazywała się zmarła: Bianca Miskowa. Takiego przynajmniej używała nazwiska, gdy zameldowała się w Harbourtown Inn, a jej prawo jazdy z Kolorado nie wzbudziło w właścicielu hotelu żadnych podejrzeń. Jej karta kredytowa Mastercard działała i kobieta zapłaciła nią sto dziewięćdziesiąt pięć dolarów za pokój, zdaniem Jo oburzająco dużo jak na okres poza sezonem. Zimą goście przybywający do Purity nie mieli jednak zbyt wielkiego wyboru hoteli. Gdy kobieta się wymeldowała – około południa w dniu śmierci – zostawiła w pokoju idealny porządek. Na razie pozostawało tajemnicą, gdzie udała się potem i z kim się spotkała, a także gdzie jest jej samochód.

Drzwi prosektorium otworzyły się szeroko i wszedł detektyw Alfond, zakładając fartuch ochronny. Uszedłszy kilka kroków, przystanął i spojrzał ze zdumieniem na Jo, jakby przez pomyłkę wszedł do damskiej toalety.

– Poprosiłem komendantkę Thibodeau, by nam towarzyszyła – powiedział doktor Wass. – Zawsze przyda się dodatkowa para oczu.

Alfond bez słowa przeszedł do stołu. Nie musiał nic mówić: Jo była tylko małomiasteczkową policjantką, która miała za zadanie wypisywać mandaty, reagować na włamania i awantury małżeńskie. W tej sali była jedynie turystką, która mogła się przyglądać pracy prawdziwych fachowców i pokornie milczeć.

I właśnie to robiła, gdy patolog zdjął prześcieradło, odsłaniając ofiarę. Za życia kobieta była w doskonałej formie; miała szczupłe biodra

gimnastyczki i muskularne uda. Jo oglądała już ciało na farmie Blackberry i zauważyła połamane palce, zmalretowane dłonie i ślady po kulach w czaszce, lecz w ostrym świetle prosektoryjnych lamp te przerażające szczegóły wydawały się dziwnie nienaturalne. Sztuczne. Spojrzała na wpółotwarte oczy Bianki i podobnie jak podczas sekcji w akademii, zaczęła się zastanawiać, jak wyglądały jej ostatnie chwile. Z pewnością były wypełnione bólem wyłamywanych palców i stawów i dwa śmiertelne strzały dały jej wyczekiwaną ulgę. Musiało się to stać w jakimś odosobnionym miejscu, gdzie nikt nie słyszałby jej krzyków. Biorąc pod uwagę, że Purity otaczały ogromne połacie gęstych lasów, zabójca nie miałby większego problemu ze znalezieniem takiego miejsca. Doktor Wass rozciął żebra i podniósł mostek. Kiedy sięgał do wnętrza klatki piersiowej i wyjmował z niej lśniąca serce i płuca, Jo wciąż wpatrywała się w zmasakrowane dłonie kobiety. Czy była to kara, czy przesłuchanie?

Czego od ciebie chciał? Co miałaś mu powiedzieć?

Podniosła wzrok, bo zabrzączał interkom na ścianie.

– Tak?! – zawołał doktor Wass.

Z głośnika wydobył się głos sekretarki:

– Mam na linii biuro gubernatora.

– Oddzwonię później! Przeprowadzam właśnie sekcję.

– Właśnie dlatego dzwonią. Musi pan to przerwać.

– Co?! – Patolog ściągnął rękawiczki i podszedł do telefonu. – O co chodzi?

Jo słyszała tylko jego słowa.

– Miałem właśnie otworzyć czaszkę... To nie ma sensu... Mówili dlaczego?

Spojrzała na Alfonda: wydawał się równie zdumiony jak ona.

Wass odłożył słuchawkę i odwrócił się do nich.

– Po prostu nie mogę uwierzyć. Chcą, żebym zapakował ciało i przygotował je do transportu.

– Do transportu? Dokąd? – warknął detektyw ze stanówki.

– Do Bostonu. Ktoś inny ma przejąć zwłoki. Wygląda to tak, jakby się obawiali, że patolog z zadupia w Maine nie zrobi tego, jak należy.

– Co tu się dzieje, do diabła?! – rzucił Alford.

Doktor Wass spojrział na ciało, z którego zdążył już usunąć większość organów. Właściwie zostało niewiele więcej niż skorupa z kości, mięśnie i mózg.

– Nie mam pojęcia – odparł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Maggie

– Dziadek powiedział, że musimy cię teraz pilnować – mówi Callie.

Jestem w ich kuchni i czyścimy we dwie dwanaście tuzinów jaj, które zebrałyśmy tego popołudnia u mnie i u nich. Tworzą miłą dla oka mieszankę brązu, bieli i błękitu – te błękitne pochodzą od moich araukan. Dziś czyścimy jajka i wkładamy do opakowań, a jutro Luther zawiezie je do spółdzielni. To spokojna, niemal medytacyjna praca: zwilżanie ścierki, ścieranie drobin brudu i odchodów, układanie jajek tak, by kolory przyjemnie się równoważyły. Właśnie takiego zajęcia potrzebuję po niepokojących wydarzeniach wczorajszego wieczoru. Dziś sytuacja nie wydaje się wcale jaśniejsza. Wiemy tylko, że Bianca zameldowała się w Harbourtown Inn i że widziano ją ostatnio wczoraj w południe w recepcji, gdy się wymeldowywała. Policja przeszukała jej pokój dopiero dziś rano, gdy był już wysprzątnany, wątpliwe więc, żeby znaleźli jakieś ślady.

To, co się wydarzyło, wytrąciło mnie z równowagi, cieszę się więc, że stoję w kuchni Luthera i zajmuję się wycieraniem jajek.

– Dziadek mówi, że jeśli chcesz, możesz zamieszkać u nas – dodaje Callie. – Mogłabyś spać w moim pokoju.

– A gdzie ty byś spała?

– Na strychu.

Spoglądam w górę, na obwieszony pajęczynami stryszek, niewiele większy od wnęki, i śmieję się.

– Och, Callie! Nigdy w życiu nie wyгнаłabym cię z twojego pokoju i kazała tam spać.

– Wcale nie jest tam tak źle. Kiedy kozy mają mieć młode, zawsze śpię na strychu. – Ostrożnie odkłada jajko do opakowania. – Nawet bym chciała, żebyś u nas zamieszkała.

– Dlaczego?

– Byłoby fajnie. Jakbym miała mamę.

Obserwuję, jak podnosi następne jajko i obraca je w dłoni, uważnie mu się przyglądając. Czasami Callie sprawia wrażenie starszej, niż jest, ale w tym momencie wydaje się znacznie młodsza... i znacznie wrażliwsza. Przypomina mi inną dziewczynkę, którą kiedyś znałam, niewiele od niej starszą. Dziewczynkę równie wrażliwą i jeszcze bardziej potrzebującą opieki. Dziewczynkę, której los wciąż ciąży mi na sumieniu.

– Pamiętasz swoją mamę? – pytam.

– Tylko trochę. Dziadek mówi, że miałam trzy lata, kiedy umarła, i że duże miasto to nie jest miejsce dla małej dziewczynki, więc przenieśliśmy się tutaj.

– Twój dziadek jest mądrym człowiekiem.

– A ty? Dlaczego się tu przeprowadziłaś?

To pytanie, którego się nie spodziewałam, i nie chcę na nie odpowiadać, a przynajmniej nie zgodnie z prawdą.

– Uznałam, że czas przejść na emeryturę. Przyjechałam do Maine, żeby odwiedzić przyjaciół, i dowiedziałam się, że farma Blackberry jest na sprzedaż. I że są tu świetni sąsiedzi. – Pociągam ją żartobliwie za kucyk, a ona chichocze.

– Dziadek bardzo nie lubił starej Lillian, bo ciągle na niego wrzeszczała. Cieszy się, że teraz ty jesteś naszą sąsiadką.

– Ja też się cieszę.

Milczymy przez chwilę, skupione na czyszczeniu jajek i układaniu ich w opakowaniach.

– Dziadek z nikim się nie spotyka – odzywa się w końcu Callie. – To znaczy... z żadną kobietą. Gdybyś się zastanawiała...

Tłumię śmiech. Ta mała jest bezczelna i uwielbiam ją za to.

– Zajmuje się cały czas tobą – mówię. – To mu na pewno wystarcza.

Drzwi otwierają się i wchodzi Luther z dwiema torbami wypakowanymi po brzegi zakupami. Wykładając marchew, ziemniaki i mielone mięso, mówi:

– Spotkałem Bonnie ze spółdzielni. Mówiła, że wszystkie jajka się sprzedały, i pytała, kiedy przywiozę następne.

– Pracujemy nad tym, dziadku. – Callie zamyka opakowanie i wkłada je do plastikowej skrzynki, w której są już inne. – Co najmniej dwanaście tuzinów. To osiemdziesiąt cztery dolary.

– Sprzedadzą się w jeden dzień. Zwłaszcza z tymi niebieskimi od Maggie. – Spogląda na mnie. – Twoje kury powinny znosić je szybciej.

– Pogadam z nimi. – Uśmiecham się i zamykam ostatni karton. – Dzięki, że zawozisz je do spółdzielni.

– Pilnujecie podziału pieniędzy? – pyta.

– Już się tym zajęłam – odpowiada Callie.

Jasne, że to zrobiła. Podczas gdy ja byłam pochłonięta sprawą zwłok podrzuconych na mój podjazd, ona pilnowała interesów. Nie jest to duża kwota, jajka od moich kur są warte tylko jakieś dwadzieścia dolarów, ale

obraziłabym ją, gdybym zaproponowała, by zatrzymała moją część. Wiem, że nie chciałyby tego.

– Pójdę już do domu – rzucam i zdejmuję kurtkę z haczyka na ścianie.

– Nie zostaniesz na kolację? – pyta Callie.

Przypominają mi się jej słowa: „Byłoby fajnie. Jakbym miała mamę”. Najwyraźniej brak jej matki, przykro mi więc, że dziś nie mogę odegrać dla niej tej roli. Może kiedy indziej.

– Muszę się zabrać do gotowania, bo wieczorem odwiedzają mnie przyjaciele. Ale wciąż pamiętam o kurczaku i pierogach, które mi obiecałaś.

Callie uśmiecha się szeroko.

– Powiedz tylko kiedy. Zabiję koguta, specjalnie dla ciebie.

□ □ □

– Agencja nie chce przyznać, że Bianca była jedną z naszych, i to mnie martwi – mówi Ben.

On i Declan siedzą w mojej kuchni; na stole leżą pozostałości po kolacji. Zrobiłam potrawkę z jagnięciny, danie, którym zawsze się wspieram, gdy potrzebuję otuchy. To jeden z powodów, dla których nie mogłabym zostać wegetarianką – za bardzo brakowałyby mi tej potrawy. Wypiliśmy już jedną butelkę caberneta i większość drugiej. Ponownie napełniam kieliszki. Mam mocną głowę i jestem dumna, że potrafię dorównać w picciu mężczyznom.

– Minęła doba – mówię. – Co właściwie wiemy?

– Policja stanowa nie potwierdziła jeszcze jej tożsamości – odpowiada Declan, a na jego źródłach można polegać.

Potrafi nawiązywać kontakty z ludźmi jak nikt inny, a podczas sześciu lat pobytu w Purity zdążył zyskać przyjaciół w policji stanowej, w miejscowej straży pożarnej i w Biurze Lekarza Sądowego. Wszyscy uczymy się to robić: nawiązywać przyjaźnie i pielęgnować je niczym rośliny w ogrodzie, karmić je i podlewać, aż będą gotowe do wykorzystania. Declan jest w tym mistrzem. Być może zawdzięcza to swojej irlandzkiej urodzie albo dzieciństwu spędzonemu w szkołach z internatem, w których zdobywanie przyjaciół było umiejętnością niezbędną do przetrwania.

Odwracam się do Bena.

– A co mówią twoje źródła w Agencji?

Pociąga łyk wina i odstawia kieliszek.

– Nic.

– Co?!

– To samo w sobie jest znaczące. Być może chodzi o tak głęboko utajnione informacje, że nie mają do nich dostępu albo znają odpowiedzi, ale nie mogą mi ich ujawnić. Jeśli ta twoja tajemnicza Bianca była z Agencji, nikt tego nie potwierdza.

Zastanawiam się, co wiemy o Biance, kobiecie, która miała fałszywy dowód tożsamości i której odciski palców nie figurują w żadnej bazie danych. Która przed trzydziestoma sześcioma godzinami stała w tej kuchni i mówiła, że Diana Ward zniknęła. Diana nie obchodziła mnie wtedy i nie obchodzi mnie teraz, a jeśli spotkało ją jakieś nieszczęście, to prawdopodobnie sama jest sobie winna.

Teraz jednak Bianca nie żyje, ja zostałam wciągnięta w śledztwo w sprawie zabójstwa, a całe to zamieszanie jest powiązane z Dianą. Jak zawsze, mogłabym powiedzieć.

– Co wiemy o jej dokumencie tożsamości? – pytam.

– Miała prawo jazdy wystawione w Kolorado na nazwisko Bianca Miskowa – odpowiada Declan. – Trzydzieści trzy lata. Czarne włosy, brązowe oczy, metr siedemdziesiąt wzrostu, sześćdziesiąt kilo. Pasuje?

– Tak.

– To fałszywka.

– Dobra?

– Nasza jakość.

– Więc może jednak była z Agencji.

– Albo grała dla innego zespołu – rzuca Declan. – Czyli najprawdopodobniej dla rosyjskiego wywiadu, SWR. A oni z pewnością nie są amatorami, jeśli chodzi o wprowadzanie uśpionych szpiegów i wyrabianie fałszywych dokumentów doskonałej jakości.

– Więc kto ją zabił? – pytam. – Oni? Czy my?

Żaden się nie odzywa. Nie znają odpowiedzi. Ja też nie, przynajmniej żadnej sensownej.

– Maggie – przerywa w końcu milczenie Declan – musimy dowiedzieć się czegoś więcej o powodach, dla których ta kobieta cię szukała. Mówiłaś, że pytała o twoją byłą współpracownicę.

– Nie mogłam jej pomóc. Minęły lata, odkąd widziałam ostatnio tamtą, i nie mam pojęcia, gdzie jest.

– Ile konkretnie lat minęło?

– Szesnaście.

– To wtedy odeszłaś z Agencji, prawda?

Kiwam głową.

– I to ona jest jednym z powodów, dla których odeszłam – dodaję.

– Jednym z powodów?

– Głównym powodem.

– Kto to był? – pyta Ben. – Nie powiedziałaś nam, jak się nazywała.

Nie odpowiadam od razu. Zbieram ze stołu naczynia po potrawce i niosę je do zlewu. Przystaję tam, odwrócona plecami do przyjaciół, i patrzę na swoje odbicie w oknie. Na zewnątrz jest ciemno, widać jedynie słaby blask z chaty Luthera. Wybrałam tę posiadłość właśnie dlatego, że leży na odludziu, ale teraz to odosobnienie działa na moją niekorzyść. Jestem tu całkiem sama, kobieta z kurczakami.

Odwracam się.

– Nazywa się Diana Ward.

Albo nie słyszeli wcześniej tego nazwiska, albo potrafią idealnie ukrywać reakcje. Najprawdopodobniej nie znali Diany. W końcu jesteśmy starą gwardią, a ona była pewnie jeszcze w liceum, gdy wykonywaliśmy pierwsze zadania w terenie. Poza tym pracowali w innych działach niż ja, Declan w Europie Wschodniej, Ben na Bliskim Wschodzie. Prawdopodobnie nie widzieli Diany na oczy.

– I zniknęła? – upewnia się Ben.

– Bianca chciała, żebym pomogła ją namierzyć. Powiedziałam, że nie mam pojęcia, gdzie jest Diana.

– To prawda?

Patrzę to na jednego, to na drugiego.

– Nie wierzycie mi?

Ben parska śmiechem.

– Jak długo się znamy, Maggie?

– Trzydzieści osiem lat? Od czasów Farmy.

– Żonę znałem dłużej, ale kiedy umarła, zostało jeszcze cholernie dużo rzeczy, których o mnie nie wiedziała. Takich, o których jej nie powiedziałem, i takich, o których kłamałem.

- Ja nie kłamię – mówię.
- Ale też nie podzieliłaś się z nami całą tą historią.
- Dzielenie się starymi opowieściami nie jest częścią naszej pracy.
- Nie jesteś już w pracy. Jesteś wśród przyjaciół. Nie będziemy mogli ci pomóc, jeśli będziesz coś ukrywała.

Wracam do stołu i siadam. Znamy się od bardzo dawna. Trzydzieści osiem lat temu byłam maskotką naszego trio, zwerbowaną prosto po studiach, ale już pewną siebie. Zbyt pewną. Dorastałam, naprawiając stare traktory i pasąc owce; mieszkalam z ojcem alkoholikiem na farmie zakupionej na kredyt z zabójczo wysokimi ratami. Udało mi się uciec z Nowego Meksyku, bo nakłamałam na rozmowie kwalifikacyjnej w college'u, dostałam stypendium naukowe i trafiłam ostatecznie na Uniwersytet Georgetown, gdzie otaczali mnie sami geniusze. Najlepsze oceny i astronomiczne wyniki na testach wstępnych nie wystarczały, by wyróżnić się z tego tłumu, wierzyłam jednak, że mam w sobie coś wyjątkowego: umiejętność przetrwania i radzenia sobie w każdej sytuacji.

Obóz szkoleniowy CIA wybił mi z głowy te fantazje. Owszem, udało mi się zaznaczyć wszystkie prawidłowe odpowiedzi w dokumentach werbunkowych, ale po Farmie nie miałam już złudzeń, że jestem wyjątkowa. Pozostali rekruci byli równie wyjątkowi, bo inaczej nie zostaliby przyjęci.

– Prawda jest taka, że nie wiem, gdzie jest Diana – mówię. – I jeśli mam być szczerą, to gównu mnie obchodzi, czy żyje, czy nie.

– Czyżbym wyczuwał odrobinę rozgoryczenia? – wtrąca Declan.

– Tak.

– Co ona ci zrobiła?

Milczę przez chwilę, szukając słów, które opisałyby należycie, jak Diana rozpałała ogień, który zniszczył moją karierę. Moje życie.

– Zrobiła ze mnie zdrajczynię – odzywam się w końcu.

To znacznie bardziej skomplikowane, ale kiedy żyjesz w świecie luster, prawda zawsze jest zniekształcona. Zbyt często sami decydujemy, co chcemy widzieć, i ignorujemy to, co nie jest dla nas wygodne: dręczące szczegóły, które mącą nam spojrzenie. Pragniemy jednoznaczności, więc okłamujemy samych siebie.

Przez ostatnie szesnaście lat wmawiałam sobie, że zniszczyła mnie Diana Ward, podczas gdy zrobiłam to sama.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dwadzieścia cztery lata temu

Czemu nie? Sześć miesięcy po poznaniu Danny'ego Gallaghery szukam tanich biletów do Londynu. Czemu nie? – myślę, pakując walizkę, a potem jadąc taksówką z mieszkania w Reston na lotnisko. Nie widziałam się z Dannym od Bangkoku, od czasu jednonocnej przygody, która przeciągnęła się na całe cztery dni mojego pobytu w Tajlandii. Razem zwiedzaliśmy świątynie, opychaliśmy się ulicznym jedzeniem, pływaliśmy drewnianymi łódkami motorowymi po klongach. I oczywiście pieprzyliśmy się, uprawialiśmy szalony gorączkowy seks, możliwy tylko wtedy, gdy obie strony są przekonane, że nigdy więcej się nie zobaczą.

A jednak lecę właśnie nocą do Londynu, bo w ciągu tych sześciu miesięcy od Bangkoku nie przestałam o nim myśleć. Pocztówki, które mi przysłał, nie pozwoliły mi o nim zapomnieć. Dostałam kartkę ze słoniem z Chiang Mai, ze wschodem słońca nad świątynią z Siem Reap, z jaskinią z Kuala Lumpur, wszystkie ze związłymi opisami potraw, których próbował, i atrakcji, które zobaczył. Kiedy je czytałam, budziła się we mnie tęsknota za czasami, gdy postrzegałam świat jako radosny plac zabaw, a nie strefę działań wojennych. Potem zaczął przysyłać kartki z Londynu, widoki Tower, klejnotów koronnych i Mostu Londyńskiego. Choć żyjemy w epoce maili, wysyłał mi pocztówki, bo stało się to swego rodzaju rytuałem, który podtrzymywał naszą znajomość, i co kilka tygodni znajdowałam w skrzynce kolejną. Gdy minął miesiąc bez kartki, uświadomiłam sobie, że przywiązałam się do tego rytuału. Codziennie zaglądałam kilkakrotnie do

skrzynki i zastanawiałam się, czy brak pocztówki oznacza, że między nami koniec, bo poznał kogoś innego albo znużyła go ta jednostronna korespondencja. A może coś mu się stało.

W końcu skorzystałam z adresu mailowego, który dał mi w dniu rozstania. Do tej pory nie próbowałam kontaktować się z nim w żaden sposób, lecz po ośmiu tygodniach milczenia w końcu się zламаłam.

Za kilka tygodni przylatuję do Londynu w interesach.

Nie wybrałbyś się ze mną na kolację?

Kliknęłam WYŚLIJ, a potem wyobrażałam sobie, jak przegląda skrzynkę odbiorczą. Zobaczy moją wiadomość i będzie się zastanawiał, dlaczego po tylu miesiącach w końcu się odezwałam. Otworzy ją czy przewinie listę maili dalej?

Miałam już zamknąć laptop, gdy usłyszałam sygnał przychodzącej wiadomości.

Trzy tygodnie później lecę nad Atlantykiem. Zawsze dobrze spałam w samolocie, nawet gdy były turbulencje, ale podczas tego lotu nie mogę zasnąć i zastanawiam się, czy nie popełniam błędu. Czy na miejscu nie przywita mnie Danny całkiem inny niż kochanek, którego zachowałam w miłych wspomnieniach, z zepsutymi zębami i łysiejący. Nie zrobiłam mu w Bangkoku ani jednego zdjęcia, ani on mnie. Oboje możemy się rozczarować.

Teraz nasze spotkanie wydaje mi się skazane na niepowodzenie. Melduję się w Londynie w hotelu, biorę prysznic i kładę się do łóżka, ale tu też nie mogę zasnąć; wciąż myślę o nadchodzącym wieczorze. Mam się z nim spotkać w restauracji o ósmej. Na neutralnym gruncie. Nalegałam na to. Nie chcę, żeby przychodził do hotelu, nie chcę też pukać do drzwi jego mieszkania, bo byłoby trudno z gracją się wycofać. Zawsze staram się

planować wcześniej trasę ucieczki, niezależnie od tego, czy chodzi o pożar, czy o randkę, a restauracja to bezpieczne miejsce. Przygotowałam sobie też już odpowiednią wymówkę: „Przykro mi, że nie możemy się znów spotkać, ale jestem tu tylko przez kilka dni, a mam mnóstwo pracy”.

Zarezerwował stolik w restauracji Ballade w Mayfair. Nie znam jej, ale przecież minęło już półtora roku, odkąd byłam w Londynie, gdzie codziennie pojawiają się nowe lokale. Rzut oka na menu – i ceny – uświadamia mi, że nie jest to restauracja, do której wpada się prosto z ulicy, w dżinsach i T-shircie. Tu przychodzi się w sukni i szpilkach. Tak się składa, że wzięłam odpowiednią kreację, bo „Zawsze gotowi” to hasło, którym kierują się nie tylko skauci.

O wpół do siódmej wieczorem wstaję i zaczynam przygotowania. Wbijam się w zbroję z niebieskiego jedwabiu i buty, eleganckie, choć mają zaledwie pięciocentymetrowe obcasy, bo taka wysokość pozwala na chodzenie – a nawet bieganie – po brukowanych ulicach. Mimo makijażu wciąż mam cienie pod oczami i zmęczoną twarz, ale nic nie mogę na to poradzić. Nawet jeśli wieczór zakończy się katastrofą, nie zamierzam poddawać się bez walki.

Jadę metrem z Covent Garden do Green Park, z tłumem ludzi gotowych na wieczorną zabawę. Współpasażerowie wydają mi się bardzo młodzi, zwłaszcza gdy widzę swoje odbicie w szybie. Mam trzydzieści sześć lat, ale zgromadziłam już tyle smutnych doświadczeń, że wystarczyłoby ich na całe życie. Zastanawiam się, czy tego wieczoru dodam do kolekcji kolejne: przyleciała aż do Londynu, by spotkać księcia, który okazał się żabą. W Green Park wysiadam z metra i dołączam do strumienia pasażerów, którzy przesiadają się na linię Jubilee. Na peronie widzę dziewczyny w krótkich spódniczkach i chłopaków w kurtkach z symbolami drużyn piłkarskich; wszyscy myślą już tylko o następnym drinku. Ja jestem

zupełnie trzeźwa. Nigdy nie piję przed operacją, a właśnie tak się teraz czuję. Operacja Danny.

To tylko kolacja i być może seks. A potem? Wiem, jak dyskretnie zniknąć. To moja specjalność.

Wysiadam na Bond Street i wychodzę ze stacji prosto w świat, który sprawia wrażenie festiwalu dźwięku i światła. To zwykły sobotni wieczór w Londynie, ale jestem niewyspana i wydaje mi się, że jest zdecydowanie za głośno, za tłoczno. Za dużo wszystkiego.

Szyld Ballade jest niepozorny, omal nie przechodzę obok restauracji. Nie ma okien, niczego, co mogłoby sugerować, jaki lokal kryje się za ścianą z jasnego drewna. Zdobione polerowanym niklem masywne drzwi wyglądają jak wrota fortecy. Otwierając je, czuję się tak, jakbym szturmowała zamek.

Prosto z ruchliwej ulicy wstępuję w kokon cichej elegancji. Obok mnie w magiczny sposób materializuje się hostessa o nienagannie gładkiej skórze, z włosami przyciętymi na pazia. Ponad jej ramieniem widzę salę ze stołami nakrytymi białymi obrusami, lśniące sztucce i pięknych ludzi. Nie ma nikogo w dzinsach.

– Rezerwacja na nazwisko Gallagher – mówię do hostessy.

Nawet nie zerka na listę; pracuje w tak eleganckim lokalu, że musi wiedzieć, kto dokonywał rezerwacji i który przeznaczono mu stolik.

– Doktora Gallaghera jeszcze, niestety, nie ma. Dzwonił i powiedział, że się spóźni. Pozwoli pani, że zaprowadzę panią do stolika.

Idę za nią i wskazuje mi krzesło przy dwuosobowym stoliku w pobliżu kuchni. Nie jest to najlepsze miejsce w lokalu, ale stanowi dobry punkt obserwacyjny. Widzę stąd pozostałych gości i takiej lokalizacji sama bym szukała. Kelner przynosi kieliszek szampana, choć jeszcze niczego nie zamówiłam. To rodzaj lokalu, do którego mężczyźni przychodzą na kolację

z kobietami o dwadzieścia lat młodszymi, gdzie nikt nie podnosi głosu ani nie spogląda na ceny. Popijam szampana i zerkam na zegarek.

Danny jest już spóźniony o dziesięć minut.

Wyobraźnia natychmiast podsuwa mi najgorsze scenariusze. Miał wypadek. Został napadnięty. Stchórzył, a ja będę musiała sama zapłacić rachunek. Po latach przewidywania najgorszego stałam się pesymistką i teraz, choć siedzę w eleganckim pomieszczeniu i przyjemnie szumi mi w głowie od szampana, czuję niepokój.

Aż do momentu, gdy do sali wchodzi Danny.

To nie jest obdarty facet, którego pamiętam z zatłoczonego ulicznego targowiska w Bangkoku, gdzie siedzieliśmy przy plastikowym stoliku, jedząc zupę z makaronem. Ten Danny ma starannie przystrzyżone włosy, jest ubrany w wyprasowaną białą koszulę i garnitur, a zamiast wytartego plecaka ma skórzaną torbę lekarską z paskiem przerzuconym przez ramię. Pochyla się, cmoka mnie z dziwną nieśmiałością w policzek i siada naprzeciwko. Mimo gorących nocy, które spędziliśmy w Bangkoku, wciąż jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi. Muszę wyrzucić stary obraz Danny'ego ze swojego umysłu i na jego miejsce wstawić zaktualizowaną wersję, choć zmiany są tylko powierzchowne. Ma garnitur i krawat, ale wciąż ten sam uśmiech, który tak dobrze pamiętam.

Pochylam się do niego i mówię cicho:

– Mój Boże, Danny, co za restauracja. Obawiam się, że ta kolacja będzie cię kosztować...

– ...miesięczną pensję. Wiem. Ale jesteś w Londynie, a ja chcę to uczcić. – Rozgląda się po sali. – Jestem tu pierwszy raz. Podobno strasznie trudno zarezerwować stolik.

– Więc jak ci się udało?

– Gość, który stoi tu przy zmywaku, jest moim pacjentem i dopisał mnie do listy. – Zniża głos do szeptu. – A teraz udawajmy, że czujemy się jak u siebie.

Śmieję się, bo rzeczywiście mam wrażenie, że to maskarada, dwoje włóczęgów przebranych za ludzi z eleganckiego towarzystwa. Danny sprawia, że czuję się jak młodsza – swobodniejsza – wersja siebie, ta sprzed czasów, zanim musiałam dorosnąć. Nim otworzono mi oczy na wszystkie mroczne strony tego świata.

– Jesteś w garniturze. Nigdy bym nie pomyślała – mówię.

– Bałem się, że w ogóle o mnie nie pomyślałaś po wyjeździe z Bangkoku.

– Jak mogłabym nie myśleć? Przy tych pocztówkach...

Danny krzywi się lekko.

– Za dużo?

– Nie, to było słodkie. Nikt już teraz nie wysyła pocztówek. Kiedy przez parę miesięcy nie dostałam żadnej, uświadomiłam sobie, jak mi ich brakuje.

– Myślałem, że może cię znudziły. – Gdy patrzy prosto na mnie, w jego zielonych oczach odbija się blask migoczącej świecy. – Nie planowaliśmy raczej, że jeszcze się zobaczymy. Kiedy przysłałaś mi maila, byłem zaskoczony.

– Ja też – przyznaję.

Kelner przynosi menu i następny kieliszek szampana. Danny upija łyk i trunek pozostawia wilgotny ślad na jego wardze. Nagle w mojej pamięci pojawia się wyraźny obraz jego ust na mojej piersi, zębów na sutku; przypominam sobie szerokie dłonie trzymające mnie za biodra, gdy się we mnie wbijał. Poruszona tym nagłym zalewem wspomnień, otwieram menu. Nie ma w nim cen, więc zerkam z niepokojem na Danny'ego.

- W twoim są ceny? – pytam szeptem.
- Boisz się, że mnie na to nie stać?
- Może po prostu każdy zapłaci za siebie?
- Wyluzuj. Mam stałą pracę. Mogę to spłacić w ratach.

Śmiejąc się, odchyłam się na oparcie krzesła. Mogę wypić więcej niż większość mężczyzn, ale przy jet lagu i pustym żołądku szampan uderzył mi do głowy i alkohol pulsuje w moich żyłach. Wszystko wydaje mi się lekko rozmyte, sala wypełniona szeptami, lniane obrusy. I Danny. Nie opalony, rozczochrany Danny z Bangkoku, ale jego elegancka i równie kusząca wersja. Upijam kolejny łyk szampana.

- Opowiedz mi o tej nowej pracy – proszę.
- Życiowa konieczność.
- Nie wydajesz się zachwycony.

Danny wzrusza ramionami.

– To zwykła praktyka lekarska. Ale mam stałe godziny pracy i przyzwoitą pensję.

– I żadnych ran postrzałowych ani malarii. Nie brakuje ci tego?

– Brakuje mi wyzwania. Radzenia sobie w kryzysie mimo minimalnych środków. Ale mama się cieszy, że wróciłem do kraju. Nie zdawałem sobie sprawy, jak było jej trudno, odkąd umarł ojciec. Musiałem wrócić do domu.

– Uśmiecha się do mnie. – Bardzo chciałyby cię poznać.

Nieruchomieję na moment, z kieliszkiem przy ustach. Jego mama. Na to się nie pisałam.

- Powiedziałaś jej o mnie?
- A nie powinienem?
- Chyba nie jesteśmy na etapie „poznaj moją mamę”.

– Nie jest przerażającą kobietą, zapewniam cię. No dobrze, może trochę jest. – Robi krótką pauzę. – Ale nie jak seryjny zabójca.

Rozbawia mnie i śmieję się tak, jak nie zdarzyło mi się to od miesiący. Jestem tak na nim skupiona, że nie zauważam zamieszania po drugiej stronie sali aż do momentu, gdy na podłodze rozbija się kieliszek z winem i słycać krzyk kobiety. Oboje odwracamy się w tę stronę.

Jakiś mężczyzna, pochylając się nad stołem, obiema rękami trzyma się za gardło. Nawet z drugiej strony sali widzę przerażenie na jego twarzy, gdy próbuje złapać oddech.

Danny natychmiast zrywa się z krzesła i biegnie do niego. Podczas gdy inni goście tylko patrzą ze zgrozą na duszącego się mężczyznę, Danny staje za nim i obejmuje go rękami w pasie. Nie waha się ani przez sekundę, nie szuka właściwej pozycji; od razu przechodzi do działania: naciska pięściami brzuch mężczyzny. Trzy razy. Pięć razy. Szarpie tak mocno, że krzesło przesuwa się po podłodze.

Mężczyzna wiotczeje.

Danny uderza go w plecy, wali w niego jak w bęben, znów łapie go wpół i powtarza manewr Heimlicha. I jeszcze raz.

Mężczyzna opuszcza głowę i traci przytomność.

Danny ściąga go z krzesła i kładzie na podłodze.

– Maggie! – woła. – Potrzebuję mojej torby!

Zabieram ją z oparcia krzesła i pędzę przez salę, przed zamarłymi z przerażenia gośćmi restauracji. Kiedy Danny pospiesznie szuka w torbie narzędzi, wpatruję się w twarz nieprzytomnego mężczyzny. Wygląda na sześćdziesiąt kilka lat, ma siwe włosy i byczy kark; z pewnością zjadł w życiu mnóstwo wykwintnych posiłków, choć ten ostatni może go zabić. Szyta na miarę elegancka marynarka świadczy o tym, że mógł sobie bez problemu pozwolić na wizyty w restauracjach takich jak Ballade, ale

pieniądze nie mogą go teraz uratować. W jego krwi brakuje tlenu, pierś zastygła mu w bezruchu. Klękam przy nim i próbuję wyczuć puls w tętnicy szyjnej. Jest, choć nieregularny.

Kobieta za mną wciąga głośno powietrze.

– Co pan robi? – pyta.

Danny właśnie wyjął z torby skalpel.

Wiem, co zamierza zrobić. Nie ma wyboru, bo zanim dotrze tu karetka, mężczyzna umrze. Zabieram ze stołu lnianą serwetkę i pochylam się nad szyją mężczyzny, gotowa wytrzeć krew. Konikotomia to właściwie prosta procedura, ale jeśli wykonuje ją ktoś, kto nie ma odpowiednich umiejętności, może się zakończyć katastrofą. Widziałam coś takiego tylko raz, na błotnistym polu, gdy ratowano mężczyznę, któremu szrapnel zmiął gardło. Próbował to zrobić jego przerażony towarzysz, a że nie miał wprawy, skalpel w drżącej dłoni naciął tętnicę i doprowadził do śmiertelnego krwotoku.

Ale Danny wie, co robi. Szybko odnajduje odpowiednie punkty, przyciska skalpel do szyi i nacina więzadło pierścienno-tarczowe.

Kobieta za mną krzyczy.

– Poderżnąłeś mu gardło!

Przyciskam zwiniętą w wałek serwetkę do szyi mężczyzny; tkanina pochłania krew spływającą z rany. Tchawica jest otwarta i wypływa z niej powietrze, ale ten człowiek ma tak grubą szyję, że kiedy bierze wdech, tkanki miękkie zapadają się i blokują nacięcie. Musimy coś zrobić, żeby rana się nie zamykała.

Obok stoi kelner, który wpatruje się w nas szeroko otwartymi oczami. Podrywam się i wyciągam długopis z jego kieszeni. Błyskawicznie rozkręcam go i podaję otwartą rurkę Danny'emu.

Spogląda na mnie zaskoczony, a potem wpycha ją w ranę, otwierając nacięcie. Powietrze zaczyna swobodnie przepływać w obie strony i sine wargi mężczyzny powoli przybierają normalną barwę. Dopiero wtedy słyszymy syrenę nadjeżdżającej karetki.

Kiedy ratownicy wywożą mężczyznę z sali, porusza już rękami i nawet rozgląda się dokoła, oszołomiony, ale żywy. Danny i ja, roztrzęsieni, wracamy do stolika. Jego biała koszula jest zbryzgana krwią, a kiedy spoglądam na siebie, widzę, że jedwabna suknia również jest poplamiona. Choć przed chwilą zachowywał się z podziwu godnym spokojem i fachowością, teraz wydaje się zszokowany, jakby dopiero dotarło do niego, jak fatalnie mogło się to skończyć. Wystarczyłby jeden nieprecyzyjny ruch skalpelem, a podłoga restauracji zalałaby się krwią. Oboje w milczeniu przez dłuższy czas dochodzimy do siebie. Pozostali goście również się nie odzywają, a stolik, przy którym zadławił się mężczyzna, jest teraz pusty; zostały na nim resztki posiłku.

– Skąd wiedziałaś? – pyta mnie cicho Danny.

– Co wiedziałam?

– Czego będę potrzebował. Serwetka, długopis... – Spogląda na mnie spod uniesionych brwi. – Jakbyś już to robiła.

Myślę o tamtym dniu, gdy klęcząc na błotnistym polu, próbowaliśmy uratować życie kolegi. Pamiętam nacięcie na jego szyi, krew tryskającą z tętnicy i oczy zachodzące przedśmiertną mgłą.

– Widziałam raz, jak się to robi – mówię.

– Gdzie?

– W telewizji. To był jakiś serial medyczny.

– W telewizji?

– Tak.

Wpatruje się we mnie, jakby nie wiedział do końca, czy ma w to uwierzyć. Jeśli mi teraz nie uwierzy, to w co jeszcze zacznie powątpiewać? Kiedy uświadomi sobie, że kobieta siedząca naprzeciwko niego jest tylko iluzją?

– Doktorze Gallagher?

Oboje podnosimy wzrok na kelnera stojącego przy naszym stole. W pierwszym szalonym odruchu myślę, że wyrzuci nas z restauracji, bo zakrwawiliśmy nakrycia. On jednak kładzie przed Dannym wizytówkę.

– Jeden z gości płaci dziś za pana. Mówi, że może pan zamówić, co tylko zechce, także z listy win.

– Poważnie? – Danny spogląda na mnie z zaskoczeniem. – Przy którym stoliku siedzi?

– Wolałby porozmawiać z panem bez świadków, jeśli zechce pan zadzwonić jutro pod ten numer. Życzę udanego wieczoru. I dziękuję panu. – Patrzy również na mnie. – Obojgu państwu.

Rozglądam się po sali, zastanawiając się, który z gości był tak hojny, ale nikt nie patrzy w naszą stronę. Postanowił pozostać dziś anonimowy.

– Co jest na tej wizytówce? – pytam.

Danny spogląda na kartonik, po czym mi go podaje.

Na froncie widnieje napis *Galen Medical Concierge* i numer telefonu. Obracam wizytówkę i widzę krótki napis.

Werbujemy. Porozmawiajmy.

– Zadzwońisz? – pytam, oddając mu wizytówkę.

– Może. Pomyślę o tym. – Chowa kartonik do kieszeni. – Ale teraz wolałbym raczej pomyśleć o nas i...

– I...

Patrzy mi prosto w oczy.

– I o tym, co będzie potem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Teraz

Declan wstaje od kuchennego stołu i otwiera szafkę, w której trzymam swój skarb. Nie zwykłą jednosłodową whisky, którą kupuję w miejscowym sklepie, ale coś dla prawdziwych koneserów. Declan bywa u mnie na tyle często, by wiedzieć, gdzie ją trzymam. Wyjmuje trzydziestoletnią longmorn. Odsuwa na bok puste butelki po winie i stawia whisky z hukiem, co oznacza, że rozmowa robi się poważna. Zaciskając z determinacją usta, nalewa alkohol do trzech szklanek i przesuwając jedną w moją stronę. Nie sięgam po nią od razu, patrzę tylko, jak upijają pierwsze łyki. Polubiłam dobrą whisky na dość późnym etapie życia i jestem zirytowana, widząc, jak mój zapas znika w gardłach innych, nawet jeśli to moi najbliżsi przyjaciele.

– I co, zdecydował się na pracę w tym centrum medycznym? – pyta Ben.

– Oferta była zbyt kusząca, żeby z niej nie skorzystać. Pensja, dodatki, mieszkanie służbowe w najlepszej części Londynu. A co najważniejsze, jego matka potrzebowała pomocy przy spłacie kredytu hipotecznego. Podejmując tę pracę, mógł jej ulżyć na stare lata. Więc owszem, skorzystał z oferty. Niechętnie.

– Dlaczego niechętnie?

– Ze względu na to, co jego zdaniem prezentował sobą Galen. Takie prywatne centra medyczne to placówki dla nielicznych uprzywilejowanych ludzi. Na tyle bogatych, że mogą zrezygnować z państwowej służby zdrowia, z której musi korzystać reszta społeczeństwa. Złamią sobie palec,

a tu natychmiast magicznym sposobem pojawia się lekarz, i to ze wszystkimi lekami, których mogą potrzebować.

– Pisałbym się na to – rzuca Ben.

– Nie za ceny, jakie płacono się w Galen. – W końcu sięgam po szklanę i upijam łyk. Znajomy smak przywołuje wspomnienia z Londynu. Z dnia, kiedy po raz pierwszy piłam longmorn, z Dannym.

– Więc zatrudnił się w Galen – mówi Declan. – Jaki to ma związek z Dianą Ward?

– To wprowadziło Dianę w nasze życie. Dlatego Danny ściągnął na siebie jej uwagę. Klinika Galen prowadziła do Diany. A to prowadziło do tego, co się później popieprzyło.

– Więc opowiedz nam o tej Dianie Ward. Jak i gdzie pojawiła się w tej historii?

Odstawiam szklanę. Na języku wciąż mam cierpki smak whisky.

– W Stambule. Wszystko zaczęło się w Stambule.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Stambuł, osiemnaście lat temu

Ktoś mnie obserwuje. Zawsze ktoś mnie obserwuje: ciekawskie dzieci na ulicy, namolny sprzedawca dywanów, a może nawet agenci Millî İstihbarat Teşkilatı, w skrócie MIT, czyli tureckiej Narodowej Agencji Wywiadowczej. Choć nie mają powodu, by się mną interesować. Jestem kolejną amerykańską bizneswoman, która codziennie chodzi pieszo do swojego biura przy placu Taksim. Mimo wszystko muszę zakładać, że mnie obserwują, więc co rano, gdy budzę się w stambulskim apartamencie, przygotowuję się psychicznie do kolejnego dnia zabawy w chowanego. Nie przypuszczam, by w moim mieszkaniu czy telefonie założono podsłuch, ale zachowuję się, jakby tak właśnie było. Wydaje mi się, że starsza pani, która sprząta w kawiarni naprzeciwko, sprawdza, kiedy wychodzę i wracam, ale być może robi to dlatego, że jest wścibska. A może jednak opłaca ją MIT? Turecki wywiad lubi mieć oko na cudzoziemców, którzy mieszkają w ich kraju, a kiedy opuszczam mieszkanie i przechodzę przez zatłoczony plac Taksim, ktoś może mnie bez trudu śledzić, staram się więc wyglądać na zrelaksowaną, wręcz znudzoną.

Tego dnia, idąc rano do pracy, ziewam, ale tym razem nie jest to poza, tylko konsekwencja kolejnego wieczoru spędzonego w mieście, przesiadywania w barach i gawędzenia z przyjaciółmi. Nocami bawię się do upadłego, za dnia pracuję jak mrówka; robię to, co do mnie należy, od poniedziałku do piątku. Docieram do starego trzypiętrowego budynku, w którym mieści się Europa Global Logistics, i wchodzę po skrzypiących

drewnianych schodach na drugie piętro, do biura firmy. Tabliczka na drzwiach wygląda niepozornie; została zaprojektowana specjalnie tak, by nie robić dobrego wrażenia. Daje potencjalnym klientom sygnał, że wcale nie chcemy realizować ich zleceń. By zniechęcić ich jeszcze bardziej, przy drzwiach umieszczono zamek cyfrowy, na którym trzeba wystukać kod, by wejść do środka.

Wpisuję sześć cyfr i przechodzę przez próg.

W pierwszym pomieszczeniu stoją dwa biurka; wygląda właśnie tak, jak może wyglądać siedziba międzynarodowej firmy, która specjalizuje się w logistyce importu i eksportu. Na jednym biurku leżą formularze amerykańskiego urzędu celnego, dokumenty ISF, wymagane przy eksporcie towarów do Stanów Zjednoczonych, rachunki za transport lądowy i morski oraz książki zawierające przepisy celne różnych krajów świata. Na drugim biurku, opatrzonym plakietką z moim imieniem i nazwiskiem, *Margaret Porter*, piętrzą się sterty próbek tkanin we wszystkich kolorach tęczy: lśniące jedwabie z Tajlandii, brokaty z Belgii, bogato zdobione plecione tkaniny z Turcji. Za biurkiem stoi wieszak na ubrania z sukniami stambulskich projektantów, które mają trafić do Nowego Jorku. Teoretycznie specjalizuję się w modzie oraz tekstyliach i znam tę dziedzinę na tyle dobrze, że gdybym musiała stawić czoło biznesmenowi zajmującemu się importem i eksportem tekstyliów, poradziłabym sobie bez trudu.

Przechodzę przez pierwsze pomieszczenie do następnych drzwi, wpisuję drugi kod i wkraczam do pokoju, gdzie prowadzona jest prawdziwa działalność Europa Global Logistics. Włączam ekspres do kawy i siadam, by przeczytać ostatnie depeche z centrali, które otrzymujemy specjalnym zabezpieczonym łączem za pośrednictwem amerykańskiego konsulatu. W ciągu ostatniej doby nie wydarzyło się nic wstrząsającego, ale mój

współpracownik Gavin i ja mamy kilka mniejszych zadań, takich jak werbunek nowego informatora czy dotarcie do nowego źródła, co wymaga zgody centrali. Piszę raport, w którym wyjaśniam, dlaczego proponuję to konkretne źródło, i proszę o dodatkowe informacje, nim zrobię pierwszy krok.

Słyszę, że zjawia się Gavin, który pracuje w sąsiednim pomieszczeniu. Wchodzi do mnie i jak zwykle saltuje mi na powitanie, po czym idzie do ekspresu. Każde z nas zajmuje się swoimi sprawami. Tak zazwyczaj wygląda nasza praca: siedzimy przy biurkach, piszemy raporty i depesze. Gavin zajmuje się globalną sprzedażą „sprzętu rolniczego”, co czasem wymaga od niego podróży w głąb kraju, na tereny rolnicze blisko granicy turecko-syryjskiej. Bywa, że towarzyszę mu podczas tych wypraw, rzekomo po to, by odwiedzić fabryki tekstyliów i dywanów. Gavin jest piętnaście lat ode mnie starszy i po trzydziestu latach pracy w terenie chętnie przeszedłby już na emeryturę. Zrobiłby to, gdyby nie musiał spłacać dużego kredytu hipotecznego i gdyby dwójka jego dzieci nie studiowała na prywatnych uczelniach. Pewnie nie odejdzie z Agencji, dopóki całkiem nie zabraknie mu sił. Pracujemy razem w Stambule już od trzech i pół roku. Jak dotąd nie doszło między nami do większych awantur i raczej nie działamy sobie na nerwy.

W naszym zawodzie to sytuacja bliska ideału.

Sprawdzam szczegóły wieczornego pokazu mody, na którym dobrze zapowiadający się młodzi tureccy projektanci będą pokazywali swoje kolekcje. Wśród gości nie zabraknie dziennikarzy, eksporterów, kupców i najpiękniejszych kobiet w mieście. Ja również tam będę, bo właśnie na takich wydarzeniach powinni się pokazywać ludzie z mojej branży.

Potem potwierdzam rezerwację lotu na krótkie wakacje, które zamierzam sobie zrobić za trzy dni. Przy każdej nadarzającej się okazji

latam do Londynu, do Danny'ego, i na samą myśl, że wkrótce się z nim zobaczę, poprawia mi się humor. Nie widzimy się tak często, jak byśmy chcieli, więc po sześciu latach wciąż nie możemy się sobą nacieszyć. Rozłąka sprawia, że kochamy się bardziej. I pragniemy się mocniej. Taki układ odpowiada nam obojgu... a przynajmniej mnie. Wspólne życie wymagałoby od nas szczerości, a na takie poświęcenie nie jestem gotowa. Na razie spotykam się z nim tylko co jakiś czas w Londynie, Paryżu albo Lizbonie, a potem każde z nas wraca do swojego życia, w którym i tak mamy wystarczająco dużo zajęć.

– Jesteś gotowa na wieczór? – pyta Gavin, który stoi przed moim biurkiem i popija kawę.

Wygląda na zmęczonego; jego ciemnoblonde włosy sterczą jak puszek dmuchawca, worki pod oczami są wyraźniejsze niż zwykle. Przytłaczają go problemy finansowe i szczerze mi go żal. Przykro mi, że wciąż musi walczyć na froncie, choć tak naprawdę chciałby już cieszyć się zasłużonym odpoczynkiem w Tajlandii i popijać piwo nad rzeką.

– Słyszałam, że widownia będzie dziś pełna – mówię. – Ośmiu projektantów, muzyka na żywo, potem drinki. Zapowiada się niezłe przedstawienie.

– A co z tym drugim przedstawieniem? – Nie musi mówić nic więcej; oboje wiemy, co ma na myśli.

Kiwam głową.

– To też – odpowiadam.

□ □ □

Nigdy nie byłam fanką jazzu, ale sądząc po entuzjastycznych brawach, jakimi nagradzają zespół, Turcy za nim szaleją. Sala jest pełna; wszystkie miejsca siedzące zajęte, a kilkadziesiąt osób stoi z tyłu. Cieszy mnie tak

duża frekwencja, nie dlatego, bym miała jakiś udział w sukcesie tej imprezy, lecz dlatego, że wkrótce wyleje się stąd na ulicę wielki tłum, fala ludzi, w której łatwo stracić z oczu jedną twarz. Czekam, aż wszyscy podniosą się z miejsc i zaczną przeciskać między fotelami, zmierzając ku wyjściu na ulicę. Wtedy ruszam w innym kierunku, w stronę schodów za kulisami. Znam rozkład tego budynku. Idę na piętro i ruszam korytarzem. Mijam zielony pokój, w którym modelki zdejmują kreacje i zmywają makijaż. Na końcu korytarza jest toaleta. Wchodzę tam, przebieram się w niebieskie dżinsy i ciemną kurtkę, po czym obwiązuję głowę chustą. Wyjściem dla aktorów wymykam się na zewnątrz, na alejkę na tyłach teatru.

Słyszę głosy tłumu dochodzące od frontu budynku. Idę w przeciwnym kierunku, w głąb alejki, i za rogiem skręcam w ulicę biegnącą równoległe do tej, przy której jest główne wejście do teatru. Okryta chustą, mogę udawać Turczynkę, która wraca do domu po wieczorze spędzonym z przyjaciółkami. Nie jest to zbyt wymyślne przebranie, ale powinno wystarczyć, gdyby ktoś próbował mnie śledzić. Nie idę daleko; pokonuję kilka bocznych uliczek i docieram do celu: czarnego sedana Toyoty, zaparkowanego dokładnie tam, gdzie miałam go znaleźć.

Siadam za kierownicą, rozglądam się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nikogo nie ma, po czym odjeżdżam. Jeśli agenci MIT nie czekali tu na mnie i nie ruszą za mną samochodem, powinnam być bezpieczna, nadal jednak zachowuję te same środki ostrożności co zawsze. Skręcam w prawo i sprawdzam, czy nikt za mną nie jedzie. Ponownie skręcam w prawo i też sprawdzam. W ten sposób docieram do miejsca spotkania i zatrzymuję się tylko na moment, by czekający w mroku mężczyzna usiadł w fotelu pasażera.

Natychmiast ruszam dalej.

– Jakieś problemy? – pytam go.

– Nie – odpowiada Doku.

– Jesteś pewien, że MIT cię nie śledziło?

– Nikogo nie widziałem.

– Ile mamy czasu?

– Ile potrzebujesz. Nie spotykam się dzisiaj z nikim innym, najwyżej z butelką wódki. – To wybranka Doku.

Rozluźniam się nieco, bo wyczuwam, że on też jest rozluźniony. A może to tylko nadmierna pewność siebie? Wyczuwam alkohol w jego oddechu i wzmagam czujność. Zaczął już dzisiaj pić. Niedobrze.

– Jakieś pilne wieści? – pytam, znowu zerkając w lusterko wsteczne. Nie widzę niczego, co mogłoby mnie zaniepokoić.

– W dowództwie doszło do rozłamu – mówi. – Murat ma już dość emiratu. Uważa, że są beużyteczni, i chce wracać do domu, do walki. Zabiera ze sobą transport broni.

– Znasz szczegóły? Kiedy i którą trasą będzie jechał do Czeczenii?

– Czternastego. Trasa ta sama co zwykle, przez Gruzję, w góry.

– Skąd wziął tę broń?

– Przyłynęła tydzień temu, na statku z Tunezji.

– Kto za nią zapłacił?

– Słyszałem plotki. Mówią, że to z jakiegoś źródła w Londynie, ale kto wie, jak jest naprawdę? Pieniądze nie są jak woda. Płyną w górę, a nie w dół zbiega, od ludzi, którzy mają ich za dużo, do tych, którzy mają jeszcze więcej. – Śmieje się gorzko. – Nigdy nie do ludzi takich jak ja.

A Doku bardzo potrzebuje pieniędzy, nie tylko na własne smutne przyjemności, ale również na wspieranie owdowiałej siostry i jej sześciolatniej córki, które niedawno uciekły do Stambułu. Ma

niebezpiecznych przyjaciół, więc siostra i siostrzenica mieszkają w innej dzielnicy, dla ich bezpieczeństwa. Podobnie jak wielu innych uchodźców w tym mieście, żyją na skraju nędzy; tłoczą się w starym bloku pełnym zdesperowanych nieszczęśników.

– Co to za broń? – pytam.

– Tym razem nie są to jakieś stare, wybrakowane graty, tylko MANPAD-y, stingery FIM-92, rosyjskie igły. Bomby kasetowe i fosforowe. Towar za miliony dolarów.

Po zakończeniu zimnej wojny na czarnym rynku pojawiło się mnóstwo używanej broni. Właśnie taki towar pojedzie wkrótce z Muratem do Czeczenii. Handlarzy bronią nie obchodzi, gdzie ostatecznie trafi ich towar; jeśli tylko mogą na tym zarobić, równie chętnie sprzedadzą bazooki co mleko w proszku.

– Nie tylko ja o tym wiem – mówi dalej Doku. – Na pewno wiedzą też Rosjanie, a oni zawsze ostro pogrywają. Próbują nas poróżnić z emiratem, żeby osłabić opór. – Wzdycha z rezygnacją. – Nie wydaje mi się, żeby Murat dotarł do Czeczenii żywy. A jego broń znajdzie nowy dom, za nową cenę. Prawdopodobnie w Ameryce Południowej.

Smutek pobrzmiwający w jego głosie to najlepszy komentarz do tego, jak beznadziejne są te konflikty, jak beznadziejny stał się jego świat. Doku nie życzy Muratowi śmierci, a jednak właśnie go zdradza, bo widzi, że na dłuższą metę wszystko to i tak nie ma znaczenia. Los Murata jest już przesądzony, więc dlaczego Doku ma na tym nie skorzystać?

Zjeżdżam na pobocze i zatrzymuję samochód. To spokojna okolica, mam dobry widok we wszystkich kierunkach. Przyglądam się Doku w blasku latarni. Za każdym razem, gdy się widzimy, wygląda gorzej; jego twarz robi się coraz bardziej nalana, oczy ma spuchnięte. Wiem, że uwielbia Sambuł – wciąż mi to powtarza – i choć nienawidzi Rosjan, bo

nie może się pogodzić z tym, co robią w jego ojczystej Czeczenii, ta niechęć nie jest na tyle silna, by porzucił życie tutaj i wódkę, by wrócił w góry i walczył.

Potrzebuje więc pieniędzy, by wspierać siostrę i siostrzenicę, by pozostać w mieście, w którym wszelkiego rodzaju uciechy są w zasięgu ręki, i żeby zdobyć na to środki, jest gotowy zdradzić kilka tajemnic. Do tej pory nie przekazał nam żadnych naprawdę istotnych informacji, nic, czego i tak byśmy nie podejrzewali. Wiem o podziałach wśród czeczeńskich wojowników, wiem, że niektórzy przeszli przez granicę, by walczyć wraz z ISIS w Syrii, podczas gdy inni skupiają się nadal na konflikcie z Rosją. Doku jedynie potwierdza nasze przypuszczenia i muszę go przycisnąć i wydobyć od niego coś naprawdę wartościowego. Trzeba go zachęcać, by sięgnął głębiej, wyszperał więcej informacji. To niebezpieczna praca i żadne z nas nawet nie próbuje udawać, że ma ona coś wspólnego z honorem i uczciwością. Doku obraca się w niebezpiecznym towarzystwie, a jego wrogowie są jeszcze bardziej niebezpieczni.

Wręcam mu to, po co tu przyszedł, plik dolarów amerykańskich, i obserwuję, jak je przelicza. Choć nie różni się to niczym od transakcji z prostytutką, muszę przyznać, że go polubiłam. Myślę, że uciekł przed wojną w Czeczenii, bo w głębi serca nie jest wojownikiem, tylko wrażliwym człowiekiem o zranionej duszy. Ma oczy zbitego psa i za każdym razem, gdy nasze spojrzenia się spotykają, odwraca wzrok, jakby się bał, że jeśli będzie patrzył zbyt długo, wyciągnę kij i zacznę go okładać. Jest żałosny i wiarołomny, ale niegroźny. Chyba że zostanie osaczony i zmuszony do walki.

– Dowiedz się, kiedy dokładnie Murat ruszy w drogę – proszę. – I jaką konkretnie trasą przekroczy góry. Chcę też wiedzieć, skąd biorą się pieniądze na tę broń. Mówiłeś, że przechodzą przez Londyn.

– Mamy tam swoich zwolenników, wiesz o tym.

– Tak, wiem. – Ludzi oburzonych tym, co spotyka muzułmanów w Czeczenii. Albo po prostu takich, którym zależy na podtrzymywaniu konfliktu, bo mogą na tym dobrze zarobić. Wojna to doskonała okazja do zarobku.

Kończy przeliczać pieniądze. Upewniwszy się, że dostał całą umówioną kwotę, wsuwa banknoty do kieszeni.

– Chciałbym cię poprosić o coś jeszcze.

A więc pieniądze już nie wystarczają. Tak to zwykle wygląda. Informatorzy robią się niezadowoleni albo ich rodziny chcą więcej, albo czują, że pętla się wokół nich zaciska.

– Jeśli coś mi się stanie – mówi cicho – zaopiekuj się, proszę, moją siostrą Asmą i moją siostrzenicą.

Przebiega mnie zimny dreszcz. Podnoszę wzrok na Doku. Czyżby coś przeczuwał? Czy jest coś, o czym mi nie powiedział? Patrzy prosto przed siebie, trudno więc w półmroku wyczytać coś z jego twarzy.

– Dlaczego mnie o to prosisz? – pytam.

– Zajmiesz się nimi? Obiecuj.

– Tak, oczywiście, że się zajmę, ale nic ci się nie stanie. Jeśli tylko będziesz ostrożny.

Śmieje się cicho.

– Sama w to nie wierzysz.

Rozglądam się, ale na ulicy nikogo nie ma. Mogę go tu bezpiecznie zostawić.

– Wracaj do domu, Doku. Rano wszystko będzie wyglądać lepiej.

– Nie tutaj. Zawieź mnie do klubu.

– Nie mogę cię tam wysadzić. Zbyt wielu świadków.

- Więc zostaw mnie kilka ulic wcześniej. Nikt nas nie zobaczy.
- Późno już. Powinieneś położyć się spać.
- Powinienem. – Klepie się po kieszeni, do której schował pieniądze. – Ale ktoś bardzo potrzebuje się napić.

Nie podoba mi się to, ale wiem, że go nie przekonam. Upiera się, bym odwiozła go do jego klubu, popularnego baru nad Bosforem, miejsca spotkań tysięcy Czeczenów, którzy mieszkają w Stambule. Spędza tam co drugi wieczór, a dziś pewnie przepije połowę pieniędzy, które ode mnie dostał.

Zatrzymuję się kilka przecznic przed klubem.

- Bliżej nie mogę – rzucam.
- Dalej mam iść na piechotę?
- To przyjemny wieczór. A tobie przyda się trochę ruchu.

Wzdycha ciężko i wysiada z samochodu. Idzie w stronę Bosforu, nie oglądając się na mnie. Znów jesteśmy obcymi sobie ludźmi, których łączą jedynie koperty z gotówką i karta podarunkowa Starbucksa, za którą kupuje kawę, by zasygnalizować, że chce się ze mną spotkać. Wyciągam notes. Na wszelki wypadek zapisuję wszystkie informacje, które mi przekazał, o Muracie, stingerach i rosyjskich igłach. Mija północ; jestem zmęczona, a będę jeszcze musiała napisać i wysłać raport, na razie jednak siedzę w samochodzie i rozmyślam o tym, co powiedział Doku. Do Czeczenii trafi kolejny transport broni, a to oznacza jeszcze więcej wdów i sierot. Na świecie jest już wystarczająco dużo wdów i sierot, po wszystkich stronach.

Uruchamiam silnik i jadę w stronę Bosforu, w tym samym kierunku, w którym kilka minut temu poszedł Doku. Gdy docieram do skrzyżowania z ulicą, która ciągnie się wzdłuż wybrzeża, obok mnie przejeżdża z rykiem czarne bmw. Jedzie w stronę nocnego klubu Doku. Od razu czuję, że szykuje się coś niedobrego. Coś, co dotyczy mojego informatora.

Z oddali dobiega przeraźliwy krzyk. Głos kobiety.

Zastygam w bezruchu, rozdarta między chęcią niesienia pomocy Doku a świadomością, że powinnam trzymać się od tego z dala, pozostać niewidoczna. Wyjeżdżam z za rogu. Dwie przecznice dalej na ulicy przed klubem zebrał się tłum; słycać krzyki przerażenia. Powoli jadę w tę stronę, przypatrując się zgromadzonemu. Jestem zwykłym gapiem, który chce zobaczyć, co się stało. Bmw zniknęło bez śladu. Zamachowcy uderzyli błyskawicznie i natychmiast odjechali. Dwaj mężczyźni stojący na chodniku krzyczą do komórek i gestykują gorączkowo, próbując wezwać pomoc. Kilka osób odwraca się w moją stronę, gdy przejeżdżam obok – być może obawiają się, że znów padną strzały – ale kiedy widzą za kierownicą kobietę w czarnej chuście, odwracają wzrok. Nie powinnam tego robić. Nie powinnam pokazywać się tym ludziom, ale muszę wiedzieć, czy Doku żyje.

Nie żyje.

Leży na plecach, z rozpostartymi nogami, a po chodniku spływa czarny strumień krwi. Ludzie zasłaniają jego twarz, wiem jednak, że to Doku, bo dostrzegam podróbkę rolexa na jego nadgarstku. Był dumny z tego zegarka, choć wiedział, że podobnie jak wiele innych rzeczy w życiu to tylko imitacja. Każdy z nas udaje kogoś innego, niż jest; niektórym wychodzi to lepiej, innym gorzej. Nie potrzebuję aktu zgonu; obfitość krwi na chodniku świadczy o tym, że obrażenia Doku są śmiertelne. Jadę dalej, co powinnam była robić od początku. Jechać dalej, nie zwalniać.

„Jeśli coś mi się stanie, zaopiekuj się, proszę, moją siostrą Asmą i moją siostrzenicą”.

Jego siostra.

Skoro stał się celem ataku, jego siostra może być następna. Oczywiście niczego nie wie, ale jej śmierć byłaby dla wszystkich potencjalnych informatorów ostrzeżeniem, że nie tylko oni będą cierpieć.

Asma mieszka w Gazi Mahallesi, jednej z najbiedniejszych dzielnic Stambułu, odległej o trzydzieści minut jazdy od miejsca, w którym jestem. Nigdy jej nie spotkałam, a ona nawet o mnie nie wie, przynajmniej tak mówił Doku. Jadąc przez zatłoczone jak zawsze ulice Stambułu, zastanawiam się, co jej powiedzieć i jak wiele ujawnić. Spotykając się z nią twarzą w twarz, popełnię błąd, wiem o tym, ale nie ma czasu na inne rozwiązania. Zabiorę Asmę i jej córeczkę z bloku, wywiozę z miasta, a potem pomyślę, co robić dalej. Gavin urwie mi za to głowę, być może centrala też będzie chciała mi dokopać, ale wciąż słyszę w głowie głos Doku: „Obiecuj mi”.

Wiedział. Przeczuwał, że zginie.

Muszę je wywieźć ze Stambułu.

Nie wiem, czy Asma zna choć trochę angielski lub turecki. Czy zdołam jej wytłumaczyć, że jej brat nie żyje, a ona musi uciekać? Zastanawiam się, czy nie zadzwonić na policję i nie złożyć anonimowego zawiadomienia, że ta kobieta i jej dziecko są w niebezpieczeństwie. Tylko że wtedy pojawią się pytania, na które nie będę mogła odpowiedzieć. Poza tym i tak pewnie mnie zignorują.

Muszę to zrobić sama. Obiecałam mu.

Jestem trzy przecznice od celu, gdy dostrzegam ogniście czerwony blask. Nie, to niemożliwe, myślę. Niech to będzie inny budynek.

Skręcam za rogiem i zatrzymuję się raptownie. Blok Asmy stoi w ogniu, płomienie strzelają w niebo. Doku powiedział mi, że siostra mieszka na piątym piętrze, w budynku z windą, która nigdy nie działa, więc musi nosić zakupy po schodach. Podnoszę wzrok, liczę piętra i uświadamiam sobie, że nikt z piątego piętra nie mógł przeżyć tego pożaru.

Zakładając, że żył, gdy pożar wybuchł.

Policjant krzyczy, bym jechała dalej.

– Co się stało?! – wołam po turecku. – Co z mieszkańcami? Żyją?

Kręci głową i pokazuje, żebym jechała. Słyszę wycie syren, ale straż pożarna przyjedzie za późno, by cokolwiek uratować. Tak jak ja.

Policja każe mi jechać dalej. Nie mam wyboru, więc ruszam i mijam płonący budynek. Po raz kolejny zostawiam za sobą trupy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Tak jak podejrzewałaś.

Gavin wręcza mi raport z badań balistycznych. Minęły dwa dni od zabójstwa Doku, ale ten dokument wyciekł dopiero teraz z tureckiego wywiadu. Skupiam się na szczegółowym opisie dwóch pocisków, które wyciągnięto z ciała Doku. Wydaje się, że były to standardowe naboje AK-47, a z raportu lekarza sądowego wynika, że wystarczyłby jeden z nich, by zabić ofiarę. Na miejscu zbrodni nie znaleziono łusek, bo nie zostały wyrzucone – nie z tej broni. Wiem, co to oznacza.

– Nie słyszałaś strzałów? – pyta Gavin.

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Widziałam samochód, który mnie wyprzedził, potem usłyszałam krzyki, ale żadnych wystrzałów. Gdyby ktoś strzelał ze zwykłego kałasznikowa, słyszeliby to wszyscy w okolicy. – Podnoszę wzrok nad raportu. – Użyli pistoletu Groza. Co oznacza, że zabójca musiał być tuż przy nim.

– Cholera. – Gavin odchyła się na oparcie fotela i przeciera oczy.

Stoję przed jego biurkiem. Na zewnątrz jak zawsze panuje chaotyczny stambulski ruch, ale my jesteśmy zamknięci jak w bańce i próbujemy radzić sobie z kryzysem. Groza to broń, której nie można znaleźć na wolnym rynku. Opracowana w Biurze Projektów Specjalnych w Fabryce Broni w Tule, groza to dwulufowy pistolet kieszonkowy, do którego używa się naboji kalibru 7,62x39 mm, a co istotniejsze, który strzela bezgłośnie i nie

wyrzuca płomienia z lufy. Zabija w ciszy, co czyni z niego idealną broń dla zamachowców, stworzoną z myślą o rosyjskich siłach specjalnych. Nie po raz pierwszy jesteśmy świadkami śmiertelnej skuteczności grozy: w ciągu minionego roku od strzałów z tej broni zginęli dwaj Czeczeni, obaj prawdopodobnie zamordowani przez Rosjan.

– Nie śledzili nas – mówię.

– Jesteś pewna, że nikt was nie obserwował w miejscu spotkania? Nie pojechał stamtąd za wami?

– Nie. Zabójca musiał być już w klubie, czekał na niego. Wódka, to był słaby punkt Doku. I zamawianie jej właśnie w tym klubie. Nie umiał trzymać się z dala od tego pieprzonego klubu. Wcześniej czy później musieli go tam dopaść.

– A ten samochód, który widziałaś?

– Przyjechał, żeby zabrać zabójcę. Facet stał pewno przed klubem i czekał, aż pojawi się tam Doku. Zobaczył go i dał kierowcy sygnał, żeby po niego przyjechał. Nim ktokolwiek w tłumie zauważył, że Doku leży na ziemi i krwawi, samochód z zabójcą był już kilka przecznic dalej.

– Ktoś mógł cię tam zauważyć, na miejscu zbrodni?

– Na pewno nie. Minęłam je i pojechałam dalej.

Wracam pamięcią do tamtego wieczoru i wiem, że „na pewno” nie jest dobrym określeniem. Nie zostawia miejsca na wątpliwości i rzeczy, których wolelibyśmy nie widzieć. Myślę o ulicy, z której zabrałam informatora. Czy ktoś obserwował nas z ukrycia, gdy Doku wsiadał do toyoty? Czy to możliwe, że czekał w pobliżu i ruszył za nami, a ja nie zauważyłam go, jadąc przez labirynt bocznych uliczek?

Nie, nie jestem tak nieuważna, żeby do tego dopuścić. I mam pewność, że to nie był mój błąd. Ale i tak czuję się odpowiedzialna, bo Doku zginął w wieczór naszego spotkania, zaledwie kilka przecznic od miejsca,

w którym go zostawiłam. Zginął, bo nie protestowałam wystarczająco gwałtownie, gdy uparł się, by iść do klubu. Powinnam była zdecydowanie odmówić podwiezienia go tam i wysadzić go gdzie indziej. Był jednak dorosłym człowiekiem i sam o sobie decydował. Nie byłam w stanie zmienić jego zachowania. Nasze relacje były złożone, oboje potrzebowaliśmy czegoś od siebie nawzajem. Nie połączyła nas przyjaźń, lecz oportunizm.

Mimo to opłakuję jego śmierć, bo nie był złym człowiekiem, tylko słabym. Zostaliśmy bez dobrego informatora w tej części czeczeńskiego ruchu oporu, która działała na terenie Turcji. Pozostałe źródła były eliminowane przez Rosjan, jedno po drugim.

– Napiszę raport przed wyjazdem do Londynu – mówię.

– Centrala nie będzie zadowolona z tych wiadomości, ale nie wiem, jak inaczej miałbym im to przekazać. To, niestety, wygląda na spapraną robotę, Maggie.

Tak naprawdę chce powiedzieć, że to była spaprana robota i że to ja nawaliłam. Choć to on jest szefem placówki w Stambule, zwalnia siebie z wszelkiej odpowiedzialności. Wcale mu się nie dziwię. Ma kredyt do spłacenia i dzieci na prywatnych uczelniach, musi więc dbać o swoje finanse.

Wracam do siebie. Czuję się tak, jakby ktoś wyrzucił mnie właśnie z szalupy ratunkowej. Trudno. Przynajmniej Gavin pozwala, żebym sama napisała raport i przedstawiła to w najkorzystniejszy dla mnie sposób. Nad każdym z czeczeńskich bojowników mieszkających w Stambule wisi groźba zamachu. Rosjanie zdjęli Doku, ale były to ich prywatne porachunki.

Tyle że Doku był naszym informatorem, a ja opłakuję jego śmierć. Opłakuję też śmierć Asmy i jej córki. Były niewinne; zginęły właściwie

przypadkiem jako ofiary nieustającego konfliktu.

□ □ □

Następnego dnia rano, lecąc do Londynu, myślę o Asmie i jej małej córce. Utrwalony na zdjęciu widok ich zwęglonych ciał leżących w stambulskiej kostnicy wrył się w moją pamięć, podobnie jak wiele innych zdjęć, które już zawsze będą mnie prześladować, zdjęć innych ofiar, innych dzieci. Żeby walczyć z wrogiem, musisz znać jego metody – często makabryczne – i ta wiedza mnie przytłacza, zatruwa mi postrzeganie świata. Rozglądam się po kabinie samolotu Turkish Airlines, nie widzę jednak pasażerów popijających wino, tylko zmaltretowane ciała z Lockerbie. Gdy jadę taksówką do mieszkania Danny’ego, patrzę na ulice Londynu i wyobrażam sobie kratery po bombach w Groznm.

Kiedyś potrafiłam odsuwać od siebie koszmary, ale coraz częściej nie jestem w stanie.

Danny jest w pracy, gdy docieram do jego apartamentowca, wpisuję więc kod na klawiaturze przy drzwiach i wchodzę do mieszkania, do którego niedawno się wprowadził. Podziwiam lśniącą nową kuchnię z granitowymi blatami. Okna salonu wychodzą na prywatny ogród budynku, apartament wciąż pachnie świeżą farbą. Nie wygląda to jak typowe mieszkanie Danny’ego, a już na pewno nie przypomina jego pierwszej kwatery w Brixton, przy ruchliwej ulicy pełnej pubów i tanich knajp, tak bardzo różniącej się od tej ekskluzywnej enklawy w Knightsbridge. Przechodzę przez salon, gdzie wystawione są zdjęcia w ramkach. Jedno z nich przedstawia Danny’ego i mnie w Barcelonie: para zadowolonych zakochanych turystów. Na drugim jest matka Danny’ego, która zmarła trzy lata temu na udar. Nie znałam dobrze Julii Gallagher, lecz

podczas naszej krótkiej znajomości uznała, że jestem odpowiednią kobietą dla jej syna.

– Jesteś jedyną kobietą, o której mi mówił – wyznała kiedyś. – Jedyną, z którą będzie szczęśliwy.

W ten sposób pobłogosławiła nasz związek, choć nie wiedziała, że opiera się on na kłamstwach.

Wolę nawet nie myśleć, jak by zareagowała, gdyby dowiedziała się, że prawie nic z tego, co opowiadałam jej o sobie, nie było prawdą.

W łazience ze lśniącym marmurem wypakowuję przybory toaletowe i rozbieram się, żeby wziąć prysznic. Zerkam na swoje odbicie w lustrze: wyglądam na wyjątkowo zmęczoną i znużoną. Dostrzegam pogłębiające się zmarszczki w kącikach oczu i trochę siwizny na skroniach; nie można zatrzymać upływu czasu. Kiedy miałam dwadzieścia pięć lat, myślałam, że nigdy nie będę musiała patrzeć na taką wersję swojej twarzy. Wyobrażałam sobie, że zanim pojawią się pierwsze zmarszczki, zginę podczas misji, ale oto jestem tutaj i wyglądam co najmniej na swoje czterdzieści dwa lata. Trudne i niebezpieczne życie nie musi kończyć się wczesną śmiercią; czasami znajduje odbicie na twarzy.

Może to odpowiednia pora na zmianę. Mogłabym odejść z Agencji i przenieść się do świata Danny’ego. Zabójstwo Doku wstrząsnęło mną mocniej, niż chcę przyznać, bo prawdopodobnie byłam ostatnią osobą, z którą rozmawiał. Myślę o tym, jak umierał zaledwie kilka kroków od ulubionego klubu. Być może działałam jedynie na marginesie tej wojny, ale mimo wszystko biorę w niej udział.

– Maggie? Jesteś tu? – słyszę głos Danny’ego.

Nawet nie zakrywam się ręcznikiem, wychodzę z łazienki całkiem naga. Roześmiany, przyciąga mnie do siebie i z radością podnosi mnie nad podłogę. Minęły cztery miesiące, odkąd się ostatnio obejmowaliśmy, ale

mam wrażenie, jakby to było wczoraj. Nasze ciała doskonale do siebie pasują, niczym dwa złączone elementy układanki. Nigdy nie przyrzekaliśmy sobie wierności, ale odkąd się poznaliśmy, nie pragnęłam innego mężczyzny. Po czterech miesiącach abstynencji jestem gotowa go pożreć.

– Tęskniłaś za mną? – szepcze.

– Nie masz pojęcia jak.

– O tak, mam.

Zrzuca z siebie ubrania, gdy całując się zachłannie, przechodzimy do sypialni. Przez mgłę pożądania widzę, jak jego koszula spada na podłogę, jak kopniakiem odrzuca na bok spodnie. W jego włosach pobłyskują pasma siwizny, ale to wciąż ten sam Danny, którego poznałam w Bangkoku, ten sam mężczyzna, który nigdy nie stracił apetytu na życie i na mnie. Nim w końcu opadamy na łóżko, jestem już tak podniecona, że orgazm nadchodzi niemal natychmiast i wznoszę się do nieba.

Krzyczę i opadam z powrotem na ziemię. Czuję, jak serce mi zwalnia, a oddech się pogłębia. Och, Danny, jakże mi ciebie brakowało, przemyka mi przez głowę.

Wtulamy się w siebie i patrzymy na gęstniejące cienie, wsłuchani w odległy pomruk miasta. Liczę, ile dni i nocy spędzimy razem, nim będę musiała wrócić do Stambułu i radość ustąpi przygnębieniu. Każde spotkanie z Dannym to huśtawka nastrojów, od rozkoszy do smutku. Tym razem smutek jest o wiele silniejszy. Nie chcę stąd wyjeżdżać.

– A ja planowałam zabrać cię najpierw na kolację – mówi Danny i wzdycha. – Zaciągnąć cię do łóżka w należycie romantyczny sposób. A ty pokazujesz mi się taka, że nie sposób ci się oprzeć, i burzysz mi wszystkie plany. Bezwstydniczka.

– Nie chciałabym być przewidywalna.

– Nigdy taka nie będziesz. – Danny milczy przez chwilę, a potem dodaje cicho: – Tęskniłem za tobą, Maggie. Kiedy to się skończy?

– Kochanie się?

– Nie. Kiedy skończymy z tymi idiotycznymi rozstaniem? Ja tutaj, ty w Stambule czy gdzie tam będziesz pracować. Dlaczego żebyśmy mogli być ze sobą, któreś z nas zawsze musi najpierw zahaczyć o cholerne Heathrow?

– Moja praca...

– W Londynie nie brakuje pracy.

– Dla Anglików. Amerykanie muszą najpierw przejść przez biurokratyczne piekło.

– Nie byłoby tego problemu, gdybyśmy się pobrali.

Nieruchomieję. Nigdy dotąd nie rozmawialiśmy o małżeństwie. Przez ostatnie sześć lat żyliśmy od spotkania do spotkania, nie myśląc o niczym stałym, o niczym poza następnymi wakacjami czy następnej wspólnej przygodzie.

– Danny, czy ty mi się oświadczasz?

Śmieje się.

– Na swój niepodrabialnie niezdarny sposób, owszem – mówi. – Wiem, że nie jest to coś, co chciałabyś ode mnie usłyszeć, ale musiałem to powiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo nie znoszę, kiedy wyjeżdżasz. Nie znoszę, gdy następnego ranka nie budzę się obok ciebie. I nie mogę się pogodzić z myślą, że już zawsze tak to będzie wyglądało.

Jestem tak oszołomiona, że milczę. Po długiej chwili ciszy Danny siada na skraju łóżka, odwrócony do mnie plecami, jakbym miała go zranić na

wiele różnych sposobów, a on chciał się przed tym obronić. Wyciągam rękę i dotykam go. Jego mięśnie napinają się pod moimi palcami.

– Przepraszam – szepczę. – Nie wiedziałam, że tak ci z tym ciężko.

– A tobie nie? – Patrzy mi w oczy. – Nie przeszkadza ci, że nie widujemy się całymi miesiącami? Że nie mamy tego, co mają inne pary? Wspólnego domu, prawdziwego domu, z kotem. Może nawet z dzieckiem.

– Och, Danny...

– Nie, w porządku. Wiem, że nie tego chcesz.

– Wcale tego nie powiedziałam.

– Nie musisz. Rozumiem.

Wstaje i zaczyna się ubierać. W gęstniejącym mroku jego biała koszula faluje niczym duch.

– Uwielbiasz swoją pracę – mówi. – Podoba ci się to, że nie masz kotwicy, która wiązałaby cię na stałe z jednym miejscem. Ale ja chcę takiej kotwicy. Chcę związać z kimś życie, jak kiedyś moi rodzice. Szkoda, że nie widziałas ich nigdy razem, wtedy wiedziałabyś, o czym mówię. Nie byli bogaci, zawsze tonęli w długach, ale mieli siebie nawzajem. – Dopina koszulę i znowu siada na skraju łóżka, przygarbiony i zrezygnowany. – Nie mogę tego dłużej ciągnąć, Maggie. Nie w taki sposób.

Z ulicy dobiega głośny śmiech, irytujący i obsceniczny dźwięk w tej bolesnej ciszy.

– Jesteś pewien, że to właśnie ja jestem tą jedyną? – pytam.

– Tak.

– Przecież prawie mnie nie znasz. Widujemy się tylko kilka razy w roku.

– Więc zamieszkajmy razem, żebyśmy mogli poznać się lepiej. Mogłabyś wprowadzić się tutaj. Albo ja mógłbym się przenieść do

Stambułu.

– Zrezygnowałbyś z pracy w Galen?

– Mogę być lekarzem gdziekolwiek. Ludzie wszędzie chorują.

– Zrezygnowałbyś z Londynu dla mnie? Z tej pensji, z tego mieszkania?

– Maggie, kiedyś mieszkałem w namiocie, leczyłem uchodźców i byłem szczęśliwy. Zresztą to mieszkanie i tak nie jest moje. Należy do Galen. Nie tęskniłbym za nim i z pewnością nie tęskniłbym za tymi nadętymi palantami, którzy oczekują, że będę gotowy im usługiwać na każde skinienie. Chętnie odejdę z tej pracy, jeśli dzięki temu moglibyśmy żyć razem.

Słyszę rozgoryczenie w jego głosie. Jest znużony swoją pracą, tak jak ja swoją. Ależ z nas dobrana para! Oboje pragniemy uciec z klatek, w których sami się zamknęliśmy. Myślę o tym, jak wyglądałoby moje życie, gdybym zamieszkała tutaj jako jego żona, gdybym zrezygnowała z kłamstw, dużych i małych, gdybym w końcu była kobietą, za którą się podaję: żoną Danny’ego Gallaghery. Wyobrażam sobie, jak przechadzam się po salach British Museum tak długo, jak tylko zechcę, albo jak spaceruję brzegiem Tamizy, nie zastanawiając się, czy ktoś mnie śledzi.

Danny wzdycha.

– To szalony pomysł – mówi. – Nie powinienem był stawiać cię...

– Tak – mówię.

Odwraca się i patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Co?

– Przeprowadzę się do Londynu. I zrobmy to. Pobierzmy się.

I tak zostajemy małżeństwem. Wydaje się, że to decyzja podjęta pod wpływem nagłego impulsu, ale wcale tak nie jest. Złożyło się na to wiele rzeczy. Zabójstwo Doku. Widok mojej zmęczonej twarzy w lustrze. Smutna świadomość, że wobec wszystkiego, co dzieje się na świecie, moja praca

ma niewielkie znaczenie. Nadal będą się toczyć wojny, imperia będą upadać, a wiadomości, które wyciągam od moich informatorów, raporty, które wypisuję, trafią do rządowej maszyny, która je przeżuje i zamieni w kompost, jak ciało Doku. W odróżnieniu od tych wszystkich fałszywych przyjaźni, które uczono nas podtrzymywać, Danny jest prawdziwy. To, co mnie z nim łączy, jest prawdziwe.

– Mówisz poważnie? – pyta. – Naprawdę?

– Tak. Tak, tak, tak!

Obejmuje mnie i zamyka w długim mocnym uścisku. Czuję jego łzy na policzku i ja również płaczę. Płaczę ze szczęścia, co nie zdarzyło mi się od bardzo, bardzo dawna.

Tu jest właśnie moje miejsce. U boku Danny’ego.

□ □ □

Kiedy tydzień później wchodzę na pokład samolotu lecącego do Stambułu, mam już w głowie gotowe pismo z rezygnacją z pracy. Oczywiście nie wystarczy, że je wyślę do centrali. Będę musiała złożyć różnego rodzaju sprawozdania i przekazać komuś informatorów, których zwerbowałam w Stambule w ciągu ostatnich trzech lat. W zeszłym miesiącu minęło dwadzieścia jeden lat, odkąd rozpoczęłam pracę w Agencji, więc będę miała prawo do emerytury, kiedy skończę pięćdziesiąt pięć lat. Właśnie wtedy najrozsądniej jest złożyć wymówienie, co robi wielu pracowników rządowych, którzy w ten sposób rozpoczynają nowy etap. Moim nowym etapem będzie życie w Londynie, jako żona lekarza.

Żegnam się już w myślach ze Stambułem, gdy jadę taksówką z lotniska do mieszkania w Taksim. Już wielokrotnie żegnałam się z innymi miastami, z placówkami, lecz to pożegnanie jest słodko-gorzkie, bo uwielbiam Stambuł, energię tego miasta, historię, mieszkańców i ich uprzejmość. Ale

zostawiam to miejsce dla czegoś lepszego, dla Danny'ego, i to jest źródłem słodyczy. Obiecuję sobie, że przywiozę go tutaj na wakacje. Zabiorę go do mojej ulubionej restauracji z koftą przy alei İstiklal, zamówię dla niego słodką rakiję i będę obserwować jego reakcję, gdy zacznie jeść iskander, pide i kawałki kruchej jagnięciny.

Dochodzi północ, gdy wysiadam z taksówki przed moją kamienicą. W kawiarni naprzeciwko jest ciemno, nigdzie nie widać wścibskiej sąsiadki. Moja tygodniowa nieobecność musiała ją wybić z rytmu i choć raz nie czuję na karku ciekawskiego spojrzenia staruszki. Na schodach jest ciemno, wciskam więc przełącznik na parterze. Światło zapala się tylko na chwilę; gaśnie w momencie, gdy wkładam klucz do zamka, i stoję w ciemności. Do diabła z tymi urządzeniami oszczędzającymi elektryczność; jako Amerykanka nie lubię takich ograniczeń. Wtaczam walizkę do mieszkania, sięgam do włącznika światła i nieruchomieję.

Coś jest nie w porządku.

Jest tak ciemno, że nie widzę nawet zarysów mebli, wyczuwam jednak, że nie jestem sama. Czuję zapach obcego szamponu, słyszę przytłumiony oddech. W moim mieszkaniu ktoś jest. Próbuję przebić wzrokiem ciemność, ale wciąż nikogo nie widzę.

– Nie ma powodu do niepokoju, Maggie – słyszę znajomy głos. – To tylko my.

– Gavin? Co ty tu robisz, do cholery?!

– Nikt nie może widzieć, że z tobą rozmawiamy.

My? W końcu odnajduję włącznik i zapalam światło. Gavin siedzi w moim fotelu. Jest sztywny i skrępowany, w odróżnieniu od platynowej blondynki, która stoi przy regale z książkami. Jest młoda, nie ma jeszcze trzydziestki; jej włosy lśnią niczym srebro przy czarnym golfie. Nigdy nie spotkałam tej kobiety, ale już wiem, że jej nie lubię. Weszła nieproszona do

mojego mieszkania. Nie podoba mi się też sposób, w jaki na mnie patrzy, jakbym była jakimś okazem, który należy rozciąć i spreparować.

– Kto to, kurwa, jest? – pytam, odwracając się do Gavina.

– Maggie, wiem, że to dla ciebie duże zaskoczenie. Przepraszam za to najście, ale nie mamy pewności, czy ktoś cię nie śledzi.

– Włamaliście się do mojego mieszkania. I wystraszyliście mnie jak cholera.

– To było konieczne – odzywa się kobieta. – Nikt nie może wiedzieć, że tu jestem. – Podchodzi do mnie.

Jest młodsza ode mnie co najmniej o dziesięć lat, ale porusza się ze spokojem i swobodą kogoś, kto kontroluje sytuację, a to mnie niepokoi, bo oznacza, że to nie ja ją kontroluję.

– Spytałem ponownie – rzucam. – Kim jesteś?

– Diana Ward.

– To prawdziwe nazwisko czy przykrywka?

– A czy to ma jakieś znaczenie? Tu nie chodzi o mnie. Chodzi o ciebie.

Spoglądam na Gavina.

– Wiesz, o czym ona mówi? – pytam.

Mój szef wzdycha ciężko.

– Niestety, tak.

– Opowiedz mi o Dannym Gallagherze – mówi Diana.

Gwałtownie odwracam do niej głowę.

– Co?!

– Danny Gallagher. Mężczyzna, którego regularnie odwiedzasz w Londynie. Z którym wielokrotnie spotykałaś się w ciągu ostatnich sześciu lat. W Barcelonie, Rzymie, Paryżu i innych miejscach.

– Centrala wie wszystko o Danny. Przekazałam im te informacje, gdy zaczęliśmy się spotykać. – Musimy to robić, gdy wchodzimy w jakieś związki. Wróg czai się wszędzie, a związek z niewłaściwym człowiekiem może stanowić zagrożenie dla informatorów i operacji. – Nie mieli nic przeciwko temu, żebym się z nim widywała. Zresztą sama dobrze go sprawdziłam. Jest tym, za kogo się podaje.

– Tak, urodzony w Leicester, jedyne dziecko Franka Gallaghery, właściciela pubu, oraz jego żony Julii, oboje już nie żyją. Przez pięć lat pracował jako lekarz dla Crisis International, a teraz mieszka w Londynie. Na pozór jest całkiem niewinny, dlatego też początkowo nie wzbudził żadnych podejrzeń w centrali.

– Więc dlaczego pytasz o niego teraz?

– Bo twój informator Doku nie żyje, prawdopodobnie zamordowany przez Rosjan.

– Też tak zakładałam.

– Byłaś jego agentką prowadzącą. Dzielilo was nie więcej niż sto metrów, kiedy go zdjęto. Dlatego zaczęliśmy się zastanawiać, czy to nie ty byłaś słabym ogniwiem. Centrala poprosiła, żebym przyjrzała się bliżej tobie i ludziom, z którymi się zadajesz.

– Chwileczkę! Oskarżasz mnie o współpracę z Rosjanami?

– Niekoniecznie ciebie. Ale może kogoś tobie bliskiego.

– Danny'ego? – Parskam śmiechem. – Trafiłaś jak kulą w płot. Nie masz pojęcia, kim jest Danny.

Patrzy mi prosto w oczy.

– A ty wiesz?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Na moment – tylko na moment – słowa Diany Ward wytrącają mnie z równowagi. Potem myślę o mężczyźnie, którego pokochałam, z którym zamierzam spędzić resztę życia, i podłoga pod moimi nogami wraca do poziomu i nieruchomieje.

– Jak sama powiedziałaś, potwierdziliście, że nazywa się Danny Gallagher, urodził się w Leicester, a jego rodzice byli ludźmi, o których mi mówił. Co się tu nie zgadza?

– Chodzi o jego pracę.

– Jest lekarzem. To też potwierdziłam. Widziałam go w akcji, gdy zajmował się pacjentem. Ratował mu życie.

– No dobrze. Porozmawiajmy o jego pacjentach.

Słyszę złowieszczy ton w jej głosie. Za chwilę wszystko się rozpadnie. Usłyszę prawdę, która kryła się w ciemności, tuż poza moim polem widzenia.

Diana kładzie laptop na stoliku i obraca go tak, żebym mogła zobaczyć zdjęcie na ekranie. Przedstawia Danny'ego w czarnym garniturze z krawatem, w towarzystwie elegancko ubranych ludzi. Obok niego stoi ciemnooka piękność w lśniącej czerwonej sukni z głębokim dekoltem. Uśmiecha się promiennie do Danny'ego. Po jego drugiej stronie stoją dwaj mężczyźni po pięćdziesiątce, obaj trzymają kieliszki z szampanem. Nikt nie patrzy w obiektyw, domyślam się więc, że zdjęcie zrobiono z ukrycia, bez wiedzy i zgody fotografowanych.

– Zrobiono je siedem miesięcy temu – informuje Diana. – Podczas prywatnego przyjęcia w Lozannie. To jest właśnie doktor Gallagher, prawda?

– Tak. – Tak zaschło mi w gardle, że nie mogę przełknąć śliny. – Kim są ci ludzie? – pytam, choć tak naprawdę chcę wiedzieć tylko jedno: kim jest ta kobieta?

– Ten wyższy mężczyzna po prawej to Phillip Hardwicke, pięćdziesiąt dwa lata, Brytyjczyk. Ta ciemnowłosa kobieta to jego kochanka, Silvia Moretti, dwadzieścia sześć lat. Włoszka.

Więc jest z innym mężczyzną, nie z Dannym. Bogu dzięki, że nie z Dannym. Czuję tak ogromną ulgę, że nie od razu dociera do mnie to, co mówi Diana.

– A ten przysadzisty facet to Simon Potojew. Chyba znasz to nazwisko. Patrzę na nią.

– Potojew?

– Majątek wart około dwóch miliardów dolarów, choć wyprowadził do zagranicznych banków tyle, że sami nie wiemy do końca, ile ma.

Wszystko to zaczyna nabierać straszliwego sensu; rozumiem już, dlaczego mi o tym mówi. Rosjanie zabili Doku, a siedem miesięcy temu Danny popijał szampana z rosyjskim oligarchą. Jestem pewna, że nic ich nie łączy, ale wiem, jak wygląda to dla centrali.

– Co doktor Gallagher wie o twojej pracy w Stambule? – pyta Diana.

– Powiedziałam mu, że zajmuję się analizą importu do Europy.

– Wie, na czym naprawdę polega twoja praca?

– Nie.

– Mówiłaś mu kiedyś o swoim informatorze? O Doku?

– Nie. Nie jestem idiotką, do cholery.

– A jednak twój chłopak bawił się z rosyjskim oligarchą. Mówił ci kiedyś o tym?

– Wspominał o służbowym wyjeździe do Szwajcarii. Czasami musi towarzyszyć pacjentom podczas podróży.

– Co ci mówił o swoich pacjentach?

– Nic. Dochowuje tajemnicy lekarskiej. Klinika, w której pracuje, zapewnia klientom pełną dyskrecję.

– Mówisz o grupie Galen Medical Concierge.

– Tak. Jeśli masz dość pieniędzy, możesz sobie kupić najlepszą całodobową opiekę medyczną w Londynie. Za dodatkową opłatą zapewnią ci towarzystwo lekarza za granicą, w każdym zakątku świata.

– Niezła fucha.

– Klienci kliniki wymagają tego, co najlepsze, i gotowi są za to zapłacić.

– Czy w tym przypadku klient tak naprawdę płaci za lekarza?

Spoglądam na Gavina, potem na Dianę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Może twoje spotkanie z doktorem Gallagherem w Bangkoku wcale nie było przypadkowe, może po prostu połknęłaś haczyk. I może to o ciebie chodzi w tej grze.

Do tej pory mogłam jej słuchać na stojąco. Teraz nogi uginają się pod mną niczym dwie topniejące świece i osuwam się na sofę. Jeśli rzeczywiście dałam się oszukać Danny’emu, to co jestem warta jako agentka, skoro nie potrafię właściwie ocenić sytuacji? Jakie inne błędy popełniłam? Gorączkowo przeglądam w myślach wydarzenia z tamtego deszczowego dnia w Bangkoku, gdy się poznaliśmy. Targowisko Wang Lang, małe plastikowe stołki, na których siedzieliśmy. Potem sięgam do wspomnień z lat, które minęły od tamtego czasu, do naszych gorących nocy

w Londynie, Hiszpanii, Portugalii. Do ostatniego spotkania. Czy kiedykolwiek powiedziałam mu coś, co mogłoby się przydać wrogowi? Wspomniałam w jakikolwiek sposób o swoich informatorach, o operacjach, w których uczestniczyłam?

Nie, nie jestem tak nieostrożna. I znam Danny'ego, znam jego duszę i ciało.

Śmiało patrzę w oczy Diany.

– Danny Gallagher jest człowiekiem, za którego się podaje – powtarzam z naciskiem. – Nie szpieguje dla Rosjan. Jest lekarzem, i to bardzo dobrym. Dlaczego Rosjanie mieliby go werbować?

– Ze względu na to, kogo mógł szpiegować. A może nawet zwerbować.

– Czyli mnie.

– Musieliśmy wziąć pod uwagę taką możliwość.

– I do jakiego doszliście wniosku? Jestem spalona?

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę, po czym wzrusza ramionami.

– O ile nam wiadomo, nie zostałam zdemaskowana, nic też nie wskazuje na to, żeby ktoś dotarł do prawdy o Europa Global Logistics. Gdyby wiedzieli, że jesteś nasza, już dawno by cię zabili. Albo próbowali zwerbować.

– Nie próbowali.

Diana wpatruje się we mnie z uwagą; próbuje się zorientować, czy kłamię. Może już mnie zwerbowali. Może jestem zdrajczynią. Patrzę na nią i mam nadzieję, że wyczyta prawdę w moich oczach.

– Gdybyś naprawdę myślała, że pracuję dla Moskwy, nie byłoby cię tutaj – odzywam się w końcu. – Nie powiedziałabyś mi tego wszystkiego.

Zerka na Gavina, a ten odpowiada jej ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Kiedy Diana odwraca się do mnie, usta ma wykrzywione w lekkim

uśmiechu. To znak, że za moment ujawni prawdziwy powód tej wizyty.

– Twój związek z Dannym Gallagherem otwiera przed nami cenne możliwości – mówi. – Dzięki temu, że jest lekarzem, przebywa w towarzystwie ludzi, którzy bardzo nas interesują. Począwszy od tego człowieka. – Wskazuje na zdjęcie w laptopie.

– Potojewa?

– Nie. Phillipa Hardwicke’a.

Spoglądam na nią spod uniesionych brwi.

– Mówiłaś, że jest Anglikiem.

– Jest też najlepszym przyjacielem rosyjskich oligarchów. Muszą wyprowadzać pieniądze z Rosji, setki milionów funtów rocznie. Hardwicke pomaga im zamienić je w brytyjskie aktywa. Restauracje, hotele, biurowce. Należą do konsorcjów lub zagranicznych firm o budzących zaufanie brytyjskich nazwach, choć tak naprawdę ich właścicielami i zarządcami są Rosjanie. A ludzie, którzy tym wszystkim kręcą, tacy jak Hardwicke, zgarniają prowizję i napychają sobie kieszenie.

– Londyńska pralnia pieniędzy.

Diana kiwa głową.

– Korupcja sięga najwyższych szczebli, dlatego nie możemy nic z tym zrobić. W grę wchodzi zbyt duże sumy i zbyt wiele znanych nazwisk. Brytyjskie władze nie mogą, albo nie chcą, się tym zająć, a ci, którzy próbowali dopaść Hardwicke’a... – Kręci głową. – Nie skończyło się to dla nich dobrze.

– Co się z nimi stało?

Diana wystukuje coś na klawiaturze laptopa i na ekranie pojawia się inne zdjęcie, mężczyzny w średnim wieku. Ma sympatyczną twarz, jest w drogim garniturze. Wygląda na bankiera i okazuje się, że nim był.

– Frederick Westfield z Bank of London – mówi Gavin. – Diana właśnie mi o tym opowiedziała. Pięć miesięcy temu znaleziono jego ciało w spalonym jaguarze w Saint Albans. Zanim zmarł, zmiądzono mu stopy i dłonie. W płucach miał dym. Sekcja zwłok wykazała jednoznacznie, że go torturowano, ale jeszcze żył, gdy podpalono samochód. Władze uznały, że śmierć była wynikiem wypadku.

Diana stuka w klawiaturę i na ekranie wyświetla się kolejne zdjęcie, dystyngowanego mężczyzny w garniturze.

– Colin Chapman, HSBC – rzuca Gavin. – Wypadł ze swojego biura na dziesiątym piętrze. Uznano to za samobójstwo. – Następne stuknięcie w klawiaturę i następne zdjęcie, tym razem uśmiechniętej kobiety po czterdziestce, z jedwabną apaszką na szyi. – Angela McFaul, księgowa z Hardwicke Organization. Znaleziono ją zastrzeloną w jej domu, dostała dwie kulki w głowę. Policja orzekła, że to było włamanie, choć niczego nie skradziono. Tę trójkę coś łączyło: wiedzieli dużo o finansach Phillipa Hardwicke’a. I dzielili się tymi informacjami z brytyjskim wywiadem.

Diana znowu stuka w klawiaturę i na ekranie pojawia się zdjęcie Hardwicke’a, który tym razem patrzy prosto w obiektyw. Pozowany portret. Mężczyzna ma przeszywające spojrzenie i choć to tylko fotografia, czuję się tak, jakby mnie widział.

– To jest właśnie człowiek, o którym mowa. Prawdopodobnie osobiście kazał zabić tę trójkę, a sądząc po wynikach analizy psychologicznej, którą przeprowadzili nasi ludzie, uznał to za element działalności biznesowej.

– Powiedz mi coś więcej o tej analizie – proszę.

– Dostaniesz pełny raport. Powiem tylko, że dostał najwięcej punktów za agresję i narcyzm. W połączeniu z nieprzeciętną inteligencją czyni to z niego wyjątkowo niebezpiecznego człowieka. Kiedy uczył się w Eton, wykazywał się bezwzględnością, która przerażała nauczycieli. To człowiek,

który chce wszystko kontrolować i zawsze dostaje to, czego chce, bez względu na koszty.

Wpatruję się w zdjęcie Hardwicke'a. Na razie usłyszałam o trzech osobach zamordowanych na jego polecenie. Ile innych spotkał podobny los, choć nic o tym nie wiemy?

– Dlaczego nas to w ogóle interesuje? – pytam. – Skoro Brytyjczycy nie chcą się tym zajmować, dlaczego my mielibyśmy to robić?

– Bo te wyprane pieniądze idą nie tylko na restauracje i nieruchomości. Hardwicke inwestuje je także w najbardziej dochodowy interes na świecie.

– W broń – dopowiadam.

Kiwa głową. Obie wiemy, że handel bronią to biznes jak każdy inny i że wymaga stałego łańcucha dostaw.

– Co to wszystko ma wspólnego z Dannym? – chcę wiedzieć. – On nie zajmuje się pieniędzmi. Jest lekarzem.

– I tu właśnie widzimy szansę. Wiemy, że Phillip Hardwicke ma padaczkę, cierpi na nią od młodości. Ataki są bardzo gwałtowne, dlatego kiedy wyjeżdża z Londynu, zawsze zabiera ze sobą lekarza. Doktor Gallagher towarzyszył mu podczas kilku takich podróży, ma więc bliski kontakt z Hardwickiem. A ty masz bliski kontakt z doktorem Gallagherem. Nie moglibyśmy wymarzyć sobie lepszej sytuacji.

– Chcecie, żebym wykorzystała relacje zawodowe Danny'ego? – Kręcę głową. – Proście o zbyt wiele.

– A co planowałaś zrobić, gdybyśmy ci o tym nie powiedzieli?

– Planowałam za niego wyjść.

– Nie prosimy cię, żebyś z tego zrezygnowała. Chcemy tylko, żebyś miała oczy i uszy otwarte. I przekazywała nam wszystkie informacje dotyczące Hardwicke'a i rosyjskich oligarchów z jego otoczenia. To chyba

niezbyt wymagające zadanie. I nie będzie to zdrada. Każdy porządny amerykański obywatel powinien to zrobić.

– A kiedy już dam wam to, czego chcecie? Co potem?

– Potem będziesz mogła odjechać z mężem prosto ku zachodzącemu słońcu i żyć z nim długo i szczęśliwie. Jeśli sama mu tego nie powiesz, o niczym się nie dowie. A ty będziesz wiedziała, że dzięki twoim działaniom świat stał się bezpieczniejszym miejscem.

– I to wszystko?

– To wszystko. Dowiedz się, z kim spotyka się Hardwicke i skąd pochodzą jego pieniądze. A jeśli będziesz mogła, dowiedz się też czegoś o innych pacjentach kliniki Galen. Prawdopodobnie jest wśród nich kilku rosyjskich oligarchów. Podaj nam ich nazwiska, informacje o ich zdrowiu, wszystko, co może się okazać ich piętą achillesową i co będziemy mogli w przyszłości wykorzystać.

– Będę potrzebowała pomocy Danny’ego, żeby przejrzeć bazę danych kliniki.

– Nie. On nie może o tym wiedzieć. Nikt nie może o tym wiedzieć. Wszystko pozostaje między nami.

Spoglądam na Gavina.

– Tak to musi wyglądać – mówi, kiwając głową.

– A co z centralą? Chyba wiedzą o tym planie, prawda?

– Wie tylko kilka wybranych osób.

Unoszę brwi.

– Nie ufacie centrali?

Wymieniają spojrzenia.

– Tak będzie rozsądniej – odpowiada Diana. – Inaczej chcieliby w to wciągnąć brytyjski wywiad. Nie możemy podejmować takiego ryzyka.

– Nie ufasz Brytyjczykom.

– Pomyśl tylko, Maggie. Nie żyje dwóch bankierów i księgowa. Nie wiemy, czy nie zdradził ich ktoś z brytyjskiego wywiadu. Musimy to zrobić po cichu. – Milczy przez chwilę, po czym dodaje: – Od tego może zależeć twoje życie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Teraz

Longmorn już się skończyła. Ben i Declan opróżnili całą butelkę, a ja nie wiem, czy uda mi się kupić następną. Sięgam po szklankę i delektuję się kilkoma ostatnimi kroplami whisky. Smakują wyjątkowo słodko właśnie dlatego, że są ostatnie.

– Jezu, Maggie – wzdycha Ben. – Dlaczego nie powiedziałaś nam tego wcześniej?

– To wciąż są tajne informacje. Nie mogłam o tym mówić. – Odstawiam pustą szklankę na stół i gdy uderza głośno o blat, Ben i Declan wzdrygają się. – Nie chciałam o tym mówić – dodaję cicho.

Mimo wina i whisky, które wypiliśmy, jesteśmy zdenerwowani, bo wiemy, że w naszym miasteczku coś się zmieniło. Przywędrowało tu coś złego z mojego dawnego życia, coś, co może zatruć nasz azyl.

– Diana namówiła mnie do udziału w tej operacji – ciągnę – kwestionując moją lojalność. Przez nią zaczęłam się zastanawiać, czy spotkanie z Dannym w Bangkoku nie było nieprzypadkowe. Może Rosjanie go wykorzystali, żeby zdobyć do mnie dostęp, w nadziei że potem przeciągną mnie na swoją stronę. Diana wcale nie wykluczała, że pracuję dla nich. Nie byłabym zresztą pierwszą agentką, która dała się uwieść wrogowi.

Obserwuję twarze Declana i Bena i próbuję odgadnąć, czy mi wierzą. Kilkadziesiąt lat temu zbliżyliśmy się do siebie podczas szkolenia na Farmie i nadal uważam ich za najlepszych przyjaciół, nawet jeśli się

zdarzało, że nie widzieliśmy się całymi miesiącami, a nawet latami. Kiedy już udawało nam się spotkać, zwykle w barze lub restauracji za granicą, rozmawialiśmy o starych czasach, kiedy jeszcze wierzyliśmy, że możemy zmienić świat. Nie rozmawialiśmy nigdy... bo nie mogliśmy... o szczegółach naszych operacji. Każdy ma w życiu tajemnice, którymi nie dzieli się z nikim. Zdrada z pewnością należałaby do takich sekretów.

– Sam pomysł, że ktoś mógłby cię namówić do zdrady, jest po prostu absurdalny – mówi Ben. Patrzy na Declana, a potem na mnie. – Jeśli nie możemy ufać sobie nawzajem, to komu moglibyśmy zaufać?

– To miłe, Ben, ale wiesz, jak jest. Wszyscy wiemy. Nie powinniśmy ufać sobie nawzajem. Nie możemy sobie na to pozwolić, nie w tym biznesie. Ja nie ufam nawet sobie. A gdybym rzeczywiście dała się wciągnąć w romans agentowi, jak świadczyłoby to o mojej umiejętności oceny sytuacji? Jakie jeszcze błędy mogłam popełnić, ilu ludzi mogło zginąć dlatego, że byłam ślepa i nie rozpoznałam wroga? – Podnoszę się z krzesła i niosę szklankę po whisky do zlewu. Stoję tam przez chwilę, wpatrując się w ciemność, szukając wroga, który czasami jest zdecydowanie zbyt blisko. – Przez Dianę Ward zaczęłam kwestionować własne uczucia. Dlatego głównie mnie teraz obchodzi, czy żyje, czy nie. Całe zło zaczęło się od niej.

– Wygląda na to, że robiła tylko to, co do niej należało – mówi spokojnie Declan. – Ostrzegła cię przed człowiekiem, z którym się związałaś.

– Którego kochałam – dodaję.

– Kochałaś?

– Tak.

Odwracam się, by spojrzeć na dwóch mężczyzn siedzących przy stole w mojej kuchni. Nigdy dotąd nie dzieliłam się z nimi tymi informacjami.

Wiedzą jedynie, że odeszłam z Agencji szesnaście lat temu i że błąkałam się po świecie, szukając miejsca, w którym mogłabym zapuścić korzenie, dopóki nie skontaktował się ze mną Declan i nie namówił mnie, żebym zamieszkała w Maine. Wiedzą, że podobnie jak oni mam wspomnienia, które zachowuję tylko dla siebie.

– Kochałam Danny’ego Gallaghera. A Diana weszła nie tylko do mojego mieszkania w Stambule, ale też do mojego życia. Zmusiła mnie do dokonania wyboru. Wybieram swoją ojczyznę czy człowieka, który być może pracuje dla wroga? Żeby wykonać zadanie, musiałam wykorzystać Danny’ego, zdradzić go. Twierdziła, że tak postąpiłby każdy lojalny Amerykanin. Więc wybrałam. Choć było to bardzo bolesne, zrobiłam to, co musiałam.

– Zostawiłaś go? – pyta Declan.

– Nie. Wyszłam za niego.

Obaj wpatrują się we mnie w milczeniu. Ja nie mogę na nich patrzeć, więc znowu odwracam się do okna, czuję jednak, jak ich spojrzenia wbijają się w moje plecy niczym promienie lasera. Są moimi najlepszymi i najstarszymi przyjaciółmi, ale nawet oni nie wiedzieli, że miałam męża i że wspomnienie człowieka, z którym dzieliłam łóżce, wciąż mnie prześladowuje. To z powodu Danny’ego nie mam partnera ani nawet kochanka, bo uważam, że wciąż jest moim mężem i zawsze nim będzie.

– I co stało się potem? – pyta w końcu Declan.

Nie odpowiadam. Wciąż wpatruję się w ciemność za oknem.

– Maggie? – Podszedł do mnie tak cicho, że nawet tego nie usłyszałam, i kładzie mi dłoń na ramieniu. Nie należy do mężczyzn, którzy lubią okazywać uczucia, więc jego dotyk mnie zaskakuje. W ciągu wielu lat naszej przyjaźni to chyba najintymniejszy kontakt, do jakiego między nami doszło. Przywołuje wspomnienie dotyku Danny’ego.

Wzdrygam się, nie dlatego, że dotyk Declana budzi we mnie odrazę, lecz dlatego, że wspomnienia są zbyt bolesne.

– Jestem zmęczona. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym się już położyć.

– Oczywiście. – Ben wstaje. – Rano sprawdzimy, co u ciebie. Chodź, Declan, czas na nas.

Gdy wychodzą, zasuwam rygle i włączam system alarmowy. Stoję jeszcze przez chwilę w przedpokoju i nasłuchuję, jak odjeżdża samochód. Słyszę znajome odgłosy domu: pomruk lodówki w kuchni, tykanie zegara w salonie. Forteca jest bezpieczna, myślę.

Samotna, jak zawsze, idę na górę do sypialni.

Choć tak naprawdę nie jestem sama. Jest ze mną Danny. Zawsze jest ze mną. Zdejmuję flanelową koszulę i wieszam ją w garderobie, gdzie dotrzymuje towarzystwa innym praktycznym koszulom. Mam tam tylko dwie sukienki, których nie nosiłam już od bardzo dawna. Dotykam jednej z nich, kopertowej, z haftowanymi różyczkami. Przywodzi mi na myśl inną, która zaginęła w trakcie licznych przeprowadzek. Suknię, którą nosiłam w dniu, gdy zostałam panią Gallagher.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Londyn, siedemnaście lat temu

Bierzemy ślub w chłodny i rześki listopadowy dzień. Jestem w sukience w różyczki, sięgającej do połowy łydki, na głowie mam delikatny wianek z gipsówki, a w ręce trzymam bukiet róż, które pasują do wzoru sukienki. Oboje chcieliśmy skromnego ślubu, bo Danny nie lubi pompatycznych uroczystości, a ja wolałabym nie ściągać na siebie uwagi, postanowiliśmy więc pobrać się w ogrodzie małej wiejskiej gospody w Essex. Družbą Danny'ego jest jego kolega ze studiów, Georgie, zabawny i cudownie zwyczajny facet, zajmujący się logistyką w organizacji charytatywnej, która wierci studnie w afrykańskich wioskach. To idealista o miękkim sercu, który byłby zapewne zbulwersowany, gdyby się dowiedział, że pracuję dla CIA. Moją druhną jest Josie, teoretycznie koleżanka z Uniwersytetu Georgetown, a tak naprawdę pracownica Agencji, która przyjechała do Anglii, żeby odegrać tę rolę. Przekazano jej szczegółowe informacje o moim dzieciństwie, rodzinie i studiach, a gdyby ktoś zadał sobie ten trud i próbował pogrzebać w jej przeszłości, dowiedziałaby się, że rzeczywiście jest absolwentką Georgetown.

Powiedziałam Danny'emu, że większość moich przyjaciół jest rozproszona po świecie i nie może dotrzeć na czas do Londynu, więc pozostałymi gośćmi byli jego krewni i znajomi, głównie współpracownicy z Galen Medical Concierge. Znają wiele języków, co jest konieczne, zważywszy na międzynarodową klientelę Galen. Są wśród nich pielęgniarki, między innymi Natalia, która zna rosyjski i ukraiński,

mówiąca po arabsku Amina i francuskojęzyczna Hélène. Są także doktor Leeds i doktor Chand, a także szefowa biura Galen, Lottie Mason, której za kilka tygodni przydarzy się niefortunny wypadek. Nie śmiertelny, jak obiecała mi Diana, ale na tyle poważny, że będzie musiała zrezygnować z pracy na cały miesiąc. Przez ten czas ktoś będzie musiał ją zastąpić, a ja oczywiście chętnie podejmę się tego zadania.

Znam tu wszystkich i wszyscy znają mnie, a przynajmniej tak im się wydaje: Maggie, kobieta, którą Danny poznał w Bangkoku i którą kocha od lat, ta, która była u jego boku, gdy rozciął gardło dławiącego się mężczyzny w restauracji Ballade, i zachowała dość przytomności umysłu, by podać mu kawałek długopisu, żeby posłużył za rurkę.

Tak, wszyscy zachwycają się tą historią.

Choć nie należą do gości, Diana i Gavin są w pobliżu; udają amerykańskich turystów, którzy zatrzymali się w gospodzie. Siedzą przy stoliku w innej części sali i z trudem ich rozpoznaję: Diana ma brązową perukę, a Gavin elegancką brodę. Para ciekawskich Jankeśów, którzy przyglądają się ceremonii ślubnej w ogrodzie gospody. A tymczasem mają nadzieję, że uda im się zobaczyć Phillipa Hardwicke'a, ten jednak nie zjawia się na naszym ślubie. Ale potem będzie nas gościł na uroczystej kolacji, wydanej w jednej z restauracji należących do Hardwicke Organization. To bardzo kosztowny prezent i Danny nie chciał go przyjąć, lecz przekonałam go, że musi się zgodzić, bo inaczej Hardwicke poczuje się urażony.

Dzięki temu w końcu będę miała okazję poznać tego człowieka.

Restauracja nazywa się La Mer i mieści się w Knightsbridge. Tego wieczoru jest zamknięta dla gości z zewnątrz i zarezerwowana wyłącznie dla nas. O dziewiętnastej trzydzieści pięć Danny i ja – teraz pani Gallagher – wchodzimy do La Mer. Witają nas radosne okrzyki i kieliszki szampana

wzniesione w toaście. Czuję się jak w sztuce kabuki, którą niemal wszyscy biorą za prawdę – wszyscy prócz mnie i mojej druhny Josie, która umiejętnie zabawia gości zmyślonymi historyjkami z naszych studenckich czasów. Ani Danny, ani żaden spośród jego przyjaciół i znajomych nie mają pojęcia, kogo właśnie dopuścili do swojego kręgu. Piję szampana, uśmiecham się fałszywie i obserwuję wejście, czekając na przybycie Phillipa Hardwicke’a.

O dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć drzwi się otwierają i do restauracji wchodzi fundator tego spektaklu. Zapoznałam się z jego dossier, przejrzałam dziesiątki zdjęć, ale nic nie mogło mnie przygotować na magnetyzm tego człowieka. Jest wysoki, umięśniony niczym pantera, mimo pięćdziesięciu dwóch lat wciąż ma gęstą blond czuprynę, ale to jego oczy najbardziej przykuwają moją uwagę. Są jasnoniebieskie, zimne niczym morski lód. Nawet gdy ujmuję moją dłoń i uśmiecha się, nie widzę w tych oczach choćby odrobiny ciepła.

– Fantastycznie, że w końcu mogę cię poznać, Maggie – zwraca się do mnie. – Danny jest szczęściarzem.

– Mnie też bardzo miło pana poznać – mówię. – Dziękuję za to cudowne przyjęcie. – Spoglądam na jadalnię, na stoły nakryte białymi obrusami i lśniące sztucce. – To bardzo hojne z pana strony.

– Najlepsi zasługują na to, co najlepsze. – Uśmiecha się do Danny’ego, ale to tylko chłodny biznesowy uśmiech. Dla Hardwicke’a ta kolacja jest jedynie częścią transakcji. Dokładnie tak, jak wyczytałam w jego dossier: jest człowiekiem, który nie podejmuje jakichkolwiek działań, jeśli nie spodziewa się czegoś w zamian, a w tej sytuacji oczekuje najlepszej opieki lekarskiej, jaką może kupić.

Odrywam spojrzenie od Hardwicke’a i skupiam je na olśniewającej kobiecie, która mu towarzyszy. Rozpoznaję ją ze zdjęcia zrobionego

w Lozannie; to kochanka Hardwicke'a, Silvia Moretti. Na żywo wydaje się jeszcze piękniejsza; ma wyraziste śródziemnomorskie rysy twarzy i lśniące jak jedwab czarne włosy. Dopasowana sukienka podkreśla wszystkie krągłości jej figury. Hardwicke jakby od niechcienia trzyma dłoń na jej biodrze, dając wszystkim do zrozumienia, że ta kobieta jest jego własnością. Silvia ma na ustach uśmiech, lecz jej oczy pozostają beznamienne; nie da się wyczytać z tej pięknej twarzy ani życzliwości, ani niechęci.

Hardwicke zerka z irytacją na dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn, którzy weszli z nim do restauracji. To jego ochroniarze. Jeden zerka raz po raz na drzwi, jakby czekał, aż dołączy do nich ktoś jeszcze.

I w końcu ktoś się pojawia.

Córka Hardwicke'a, Bella, jest nastolatką, lecz już w wieku piętnastu lat doskonale wie, jak dawać wyraz swoim uczuciom. Jej gniewne spojrzenie świadczy jednoznacznie o tym, że wcale nie chce tu być. Dziewczyna przystaje na chwilę w drzwiach, jakby szukała okazji do ucieczki. W odróżnieniu od Silvii Bella nie jest piękną i wcale nie stara się podkreślić atutów, których jednak jej nie brakuje. Rude włosy okalają jej twarz niczym uszy pudła, okropnie się garbi, co tylko uwydatnia krągłość jej ramion. Różowa sukienka – z pewnością markowa i droga – podkreśla te części figury dziewczyny, które nie powinny być podkreślane. Podczas gdy jej ojciec przykuwa uwagę wszystkich zebranych, Bella kryje się w tle, skubiąc nerwowo pasek.

– Bella – rzuca Hardwicke. – Chodź, przywitaj się z żoną doktora Gallaghery.

Dziewczyna podchodzi i podaje mi wiotką dłoń. Ma jasnozielone oczy i powieki niemal bez rzęs. Przywołuje na myśl morskie stworzenie, które patrzy na mnie przez szybę akwarium. Jestem dla niej tylko jeszcze jedną

biznesową znajomą ojca, z którą musi się przywitać na jego polecenie. Z dossier Hardwicke'a wiem, że Bella jest jedynym dzieckiem z jego małżeństwa z lady Camillą Lindsey, które osiem lat temu zakończyło się rozwodem. Camilla, mieszkająca teraz w Argentynie z drugim mężem, Antoniem, wielbicielem polo, została opisana jako *kobieta o nieprzeciętnej urodzie*. Jaka szkoda, że nie przekazała tych genów córce, która z pewnością porównuje się z atrakcyjną matką. Bella uczy się w ekskluzywnej szkole z internatem dla dziewcząt w Brighton i sądząc po jej zachowaniu, zdecydowanie wolałaby być teraz tam, niż spędzać weekend z ojcem.

Słyszę zgrzyt zasuwanego rygla. Ludzie Hardwicke'a właśnie zamknęli drzwi restauracji, więc nie może tu teraz wejść nikt z zewnątrz. Ustawiają się po obu ich stronach, co oznacza, że nikt nie może stąd wyjść bez ich pozwolenia. Zostaliśmy tu zamknięci na cały wieczór, unieruchomieni przez obsesyjną potrzebę kontroli Hardwicke'a. Nic dziwnego, że jego córka wygląda na niezadowoloną; kiedy jest z ojcem, czuje się prawdopodobnie jak więzień.

Ja czuję się tak z całą pewnością.

To ma być nasze przyjęcie ślubne, ale gdy siedzę obok Danny'ego przy stole zastawionym porcelaną i różnego rodzaju kieliszkami, wydaje mi się, że nie mam na nic wpływu. Hardwicke oczywiście sam zamówił wcześniej wina. Jego pieniądze, jego wybór. Kelnerzy w eleganckich uniformach przynoszą z kuchni butelki chardonnay Domaine Chanson i napełniają kieliszki. Gdy jeden z nich dociera do Belli, przystaje i spogląda pytająco na jej ojca.

- Daj spokój, tato – rzuca dziewczyna. – Mama mi pozwala.
- Tu nie ma twojej mamy.
- Piję wino nie tylko wtedy, kiedy jestem z nią.

Hardwicke krzywi się.

– No dobrze, pół kieliszka. Ani kropli więcej.

Po nalaniu wszystkim wina kelner przechodzi do stolika, przy którym siedzą ochroniarze.

– Oni nie piją! – woła Hardwicke. – Są w pracy.

Biedni ochroniarze.

Hardwicke podnosi kieliszek.

– Zdrowie państwa młodych!

Siedzi naprzeciwko mnie, między Silvia i Bellą, nie mogę więc uniknąć jego wzroku. Wiem, kim jest, i mogę czuć się bezpiecznie tylko wtedy, gdy on nie będzie wiedział, kim jestem ja.

Wszyscy podnoszą kieliszki. Danny ściska moje kolano, uśmiecham się więc i upijam łyk wina. Jestem pewna, że to doskonały rocznik, ale prawie nie czuję smaku, bo strach ściska mi gardło. Widzę, jak Josie, moja fałszywa drużyna, śmieje się głośno po drugiej stronie stołu, odgrywając z zapalem swoją rolę. Słyszę, jak doktor Leeds zachwyca się winem. Czuję się uwięziona w tym żywym obrazie, jestem jedynie bezwolną figurą, która nie może wyrwać się z tego przedstawienia.

– Podobno poznaliście się w Bangkoku – zwraca się do nas Hardwicke.

Wpatruje się we mnie tak intensywnie, że prawie nie zauważam, jak kelner kładzie na moim talerzu przystawkę. Homar w sherry na placuszku kukurydzianym.

– Maggie to doświadczona podróżniczka, wiedziała, u kogo kupować jedzenie – mówi Danny, uśmiechając się do mnie. – Kręciłem się po targowisku i nie miałem pojęcia, co kupić. I nagle zobaczyłem, co je Maggie, zamówiłem to samo i usiadłem przy jej stoliku. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

– Cóż za pomyślny zbieg okoliczności! – komentuje Hardwicke. – Właściwe miejsce, właściwy czas. Skąd tak dobrze znasz Bangkok, Maggie?

Czuję, jak puls mi przyspiesza.

– Czasami jeździłam tam służbowo.

– Słyszałem, że zajmowałaś się importem tkanin i ubrań. W firmie z siedzibą w Stambule.

Co jeszcze o mnie wie? Zerkam na Josie. Jeśli Hardwicke wie, kim naprawdę jestem, wie również, że i ona jest oszustką, co postawiłoby nas obie w bardzo trudnej sytuacji.

– Zajmujesz się modą? – odzywa się Bella. Po raz pierwszy wydaje się mną zainteresowana. – Jesteś projektantką?

– Nie, ale współpracowałam z wieloma projektantami. Pomagałam im eksportować ich ubrania na cały świat. Przez moje ręce przechodziły najpiękniejsze suknie, jakie można sobie wyobrazić. I te materiały!

– Boże, tak bym chciała mieć taką pracę.

– Ta sukienka, którą masz na sobie, jest włoska, prawda?

Bella otwiera szeroko oczy.

– Potrafisz to rozpoznać?

Właściwie tylko zgadywałam, choć pomogło mi to, że kochanka jej ojca jest Włoszką. Poza tym to naprawdę ładna sukienka, choć nie dla Belli.

Rozmowa o modzie wyraźnie nudzi jej ojca. Hardwicke przywołuje kelnera i wskazuje pusty kieliszek.

Dziewczyna wtrąciła się do rozmowy akurat w momencie, gdy weszliśmy na niebezpieczny teren, i jestem jej bardzo wdzięczna za tę przypadkową interwencję.

Kelnerzy przynoszą kolejne przystawki, małe suflety z grzybami. Jestem pełna uznania dla pracowników restauracji, którzy potrafią podać gorące suflety dwudziestu ośmiu osobom jednocześnie, bo tyle nas jest. Kelner przynosi inne wino, pinot noir Domaine Leroy, i nalewa odrobinę do kieliszka Hardwicke'a. Ten porusza szkłem, wacha i upija łyk.

– W porządku – rzuca.

Kelner obchodzi stół, napełniając kolejne kieliszki. Zatrzymuje się przy Belli.

– Jej już wystarczy – mówi Hardwicke.

– Tato!

– Wypiłaś połowę kieliszka.

– Niecałą. Mama uważa...

– Nie obchodzi mnie, co uważa twoja matka.

– Jasne, i nigdy cię to nie obchodziło. – Bella spogląda na Silwię, lecz ta zachowuje milczenie. – Nie wiem, jak ona to znosi.

– Ona ma na imię Silvia.

Bella wstaje od stołu.

– Jak udaje ci się zapamiętać imiona ich wszystkich? – pyta i idzie do łazienki.

Przy stole zapada cisza. Silvia spokojnie upija łyk wina.

– Dziewczyna tęskni za matką – mówi. – Powinieneś pozwolić jej wrócić do Argentyny.

– Myślisz, że Camilla tego chce? – Hardwicke prychnie lekceważąco i skupia się ponownie na mnie. – Przepraszam za to przedstawienie. W towarzystwie piętnastolatki nigdy nie można narzekać na nudę. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tobie, Maggie. O Amerykance, która porzuciła wspaniałą karierę, by zostać panią Gallagher.

Danny obejmuje mnie czule.

– To była po prostu prawdziwa miłość – mówi.

Hardwicke unosi brew. Nie sędzę, by wierzył w prawdziwą miłość czy w cokolwiek, na czym nie da się zarobić.

– I co będziesz robić w Londynie? – zwraca się do mnie. – Leniuchować?

Mój świeżo poślubiony mąż parska śmiechem.

– Nigdy jeszcze nie widziałem leniuchującej Maggie.

– Więc będziesz szukać pracy, tak? – wypytuje mnie dalej Hardwicke. – Masz jakieś wyjątkowe umiejętności?

Wyczuwam w tym pytaniu podstęp. Próbuje wyciągnąć ode mnie jak najwięcej informacji i czeka, aż się potknę.

– Byłaby świetną sanitariuszką – odpowiada mu Danny. – Widziałem, jak radzi sobie w trudnej sytuacji.

– A, tak, słyszałem o tym dławiącym się człowieku w Ballade i długopisie. Bardzo sprytnie. Więc widok krwi cię nie przeraża?

– Wychowałam się na farmie w Nowym Meksyku – tłumaczę. – Drapieżniki stale atakowały nasze owce. – Spoglądam na męża. – I bardzo chętnie pracowałabym z Dannym w klinice, choćby przy wypełnianiu dokumentów.

– Naprawdę? Byłabyś zadowolona z papierkowej roboty?

Czuję się tak, jakby spojrzenie Hardwicke'a sięgało niczym macki do mojego mózgu, wciskało się we wszystkie sekretne zakamarki, rozkładało mój umysł na czynniki pierwsze.

Kelnerzy przynoszą główne danie. Idealny moment, żeby uciec od stołu.

– Przepraszam – mówię, wstając.

Idę do toalety i zamykam się w jednej z dwóch kabin. Wcale nie chce mi się sikać; potrzebuję po prostu chwili spokoju, żeby odzyskać równowagę. Wiele razy zaglądałam w oczy terrorystów, widziałam krwawe rezultaty ich działań, ale nigdy nie czułam się tak zagrożona jak przed chwilą, gdy siedziałam twarzą w twarz z Hardwickiem. Myślę o jego bankierze, który spłonął żywcem w jaguarze. O księgowej, którą zastrzelono w jej sypialni. Zostali zamordowani, bo ktoś ich zdradził. Ktoś, kto miał dostęp do tajnych informacji i wiedział, że współpracują z brytyjskim wywiadem.

Diana ma rację. Nie możemy współpracować z Brytyjczykami. Jeśli mam przeżyć, nie mogą wiedzieć o mojej roli w tej sprawie.

Czas wracać i ponownie stawić czoło Hardwicke'owi.

Otwieram drzwi kabiny i kiedy z niej wychodzę, słyszę, jak coś spada na podłogę.

– Cholera... – słyszę i spod sąsiednich drzwi wytacza się niebieska tabletki.

Podnoszę ją. Jest okrągła, z motylem odciśniętym po jednej stronie. Drzwi kabiny otwierają się raptownie i wypada zza nich Bella. Jej spojrzenie wędruje prosto ku tabletki, którą trzymam w dłoni.

– To nic takiego – mówi. – To tylko moje lekarstwo na nerwy.

Patrzę na plastikowy woreczek, który trzyma w dłoni. Zawiera jeszcze kilka takich tabletek i z pewnością nie jest to apteczne opakowanie. Dziewczyna sięga do mojej ręki, ale nie oddaje jej tabletki.

– Jest brudna – mówię.

– Nie szkodzi.

– Leżała na podłodze łazienki. Chyba nie chcesz...

– Proszę.

Gdy oddaję jej w końcu tabletkę, chowa ją do torebki, razem z pozostałymi. Najwyraźniej nie przejmuję się mikroorganizmami czającymi się w pomieszczeniu, w którym ludzie się załatwiają.

– Nikomu o tym nie powiem – zapewniam ją.

Nie wierzy mi. Widzę to po jej minie, zaciśniętych mocno ustach i nerwowych spojrzeniach, które rzuca w stronę drzwi.

– Mój ojciec... – zaczyna.

– Obsesyjnie chce wszystko kontrolować – wchodzę jej w słowo.

– Zauważyłaś?

– Trudno nie zauważyć. Z góry ustalone menu. Ochroniarze, drzwi zamknięte na rygiel.

– Och, oni – prychna lekceważąco Bella. – To Keith i Victor. Tępaki. Ciągłe wymykam się z domu, a oni nie mają o tym pojęcia.

Nastolatki. Robią nas w konia.

– Posłuchaj, Bella, nie chcę robić ci kłopotów, ale musisz na to uważać.

– Wskazuję głową na tabletki. – To ecstasy.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. Mogą mieć paskudne skutki uboczne.

– Jestem po nich szczęśliwa. Wydaje mi się wtedy, że wszystko jest w porządku, choć wiem, że nie jest.

Wyciągam rękę i dotykam jej ramienia. Jest ciepła, niemal rozgorączkowana, jakby smutek był ogniem, który płonie w jej wnętrzu.

– Bella, ja też miałam gównianego ojca, więc rozumiem. Ale kiedyś dorośniesz i wyrwiesz się, jak ja.

Na jej ustach pojawia się cień uśmiechu. Chowa woreczek do torebki i zamyka ją.

– Naprawdę nikomu nie powiesz?

– Ani słowa.

– Nawet mężowi? Bo jeśli doktor Gallagher się dowie, będzie uważał, że musi powiedzieć tacie.

– Nawet Danny’emu. – Podnoszę rękę. – Słowo skauta.

Robi zdziwioną minę, ale chyba rozumie, co znaczy „słowo skauta”, i wie, że nie zdradzę jej sekretu.

– Doktor Gallagher to miły człowiek – mówi. – Cieszę się, że za niego wyszłaś – dodaje i wychodzi z toalety.

Powoli myję ręce i wycieram je. Nie chcę, by inni się domyślili, że rozmawiałam z Bellą, że nawiązałyśmy znajomość. A tak się właśnie stało. Wiem coś więcej o Phillipie Hardwicke’u i jego rodzinie. Wiem, że jego córka go nie lubi. Wiem, że on nie kontroluje wszystkiego w takim stopniu, jak mu się wydaje.

To może się kiedyś przydać.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Sypiam z wrogiem. Jeśli mam przeżyć, to tak właśnie muszę myśleć o mężu. Lecz Danny wcale nie wydaje się wrogiem, gdy leżymy w łóżku, w małym nadmorskim hotelu na tureckim wybrzeżu. Podczas gdy inni nowożeńcy jeżdżą do Hiszpanii czy Włoch, my spędzamy tydzień w urokliwym miasteczku Gümüşlük. Nie ma tu zbyt wielu turystów i właśnie dlatego wybieram je na nasz miesiąc miodowy. Tutaj możemy się przechadzać wśród opuszczonych starożytnych ruin, pływać w turkusowej wodzie, jeść grillowane ryby i popijać je dobrym tureckim winem. Tutaj możemy być sami.

Albo na tyle sami, na ile nam pozwolą.

Obracam się na bok i przyglądam śpiącemu mężowi. Poranne słońce prześwituje przez żaluzje, kładzie się złotymi paskami na jego nagich piersiach. To skromny hotel dla niezbyt bogatych tureckich par. Pościel jest z szorstkiej bawełny, niektóre płytki na podłodze są wyszczerbione, ale jest czysto, właściciel to miły człowiek, a okna naszego pokoju wychodzą na morze. Moglibyśmy zatrzymać się w hotelu Pera Palace albo w jednym z luksusowych kompleksów wypoczynkowych w Bodrum, z marmurowymi podłogami, obsługą w uniformach i masażystkami dostępnymi przez całą dobę, ale chciałam pokazać Danny'emu taką Turcję jak tu. Tak właśnie powinna postąpić świeżo upieczona żona: przywieźć męża do romantycznego miasteczka na wybrzeżu, by pić z nim wino, kochać się z nim i udawać, że to, co ich łączy, jest prawdziwe.

Gdy podziwiam opalone ramiona Danny'ego i nowe piegi, które się na nich pojawiły niczym drobiny gałki muszkatołowej, wydaje mi się to prawdziwe, istnieje jednak ryzyko, że jeśli będę nieostrożna i zdradzę swoje sekrety, dotrą one do Hardwicke'a. Nawet w najintymniejszych chwilach muszę mieć się na baczności i zakładać, że ściany mają uszy.

Danny otwiera oczy i uśmiecha się do mnie.

– Długo nie śpisz?

– Och, całą noc. Lubię patrzeć na ciebie.

– Znów chrapałem?

– Tak, ale to urocze chrapanie. Jak mruczenie kota.

Przesuwam dłoń w dół jego piersi i po brzuchu. Jest niemal tak samo szczupły jak w dniu, gdy się poznaliśmy, choć nie da się ukryć, że czas odcisnął na nas swoje piętno. Mamy więcej siwych włosów i głębsze zmarszczki. „Póki śmierć nas nie rozłączy”, ślubowaliśmy, ale czy zestarzejemy się razem? Czy będziemy mieli taką okazję?

– Jesteś głodny? – pytam.

– Zawsze. – Obejmuje mnie ramieniem i przewraca na plecy. – Ale śniadanie może poczekać.

□ □ □

Kelner sadza nas przy stoliku na skraju tarasu, najbliżej morza. Turcy są beznadziejnymi romantykami, a on wie, że dopiero co się pobraliśmy, więc cacka się z nami niczym kochający wujek. Przynosi nam miód do jogurtu i dokłada na tacę oliwki i kawałki fety, bo zauważył, że Danny ma wilczy apetyt. Dziś wstaliśmy dość późno i na tarasie jest pusto. Choć nikt nie siedzi przy sąsiednich stolikach, odruchowo rozglądam się, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie podsłuchuje i czy nie ma osób, które pojawiły się na moim

radarze w ciągu ostatnich pięciu dni. Muszę zakładać, że Danny i ja nie jesteśmy sami, nawet podczas miesiąca miodowego. Albo ludzie Hardwicke'a, albo z Agencji mogą śledzić nasze ruchy, być może nawet nas podsłuchiwać, więc co rano, gdy Danny bierze prysznic, sprawdzam, czy w pokoju nie ma pluskiew. Jak dotąd żadnej nie znalazłam, ale to nie znaczy, że ich nie ma.

Teraz widzę na tarasie starszą brytyjską parę, która przyjechała dwa dni temu, turecką rodzinę z trojgiem dzieci i holenderskich nowożeńców. Podobnie jak my, spędzają tu miesiąc miodowy. Prawdziwy miesiąc miodowy. Czuję ukłucie zazdrości, gdy trzymają się za ręce i pochylają nad stołem, by się pocałować. W ich małżeństwie nie ma wielkich tajemnic, łączy ich czyste, szczere uczucie. Miałam nadzieję, że to samo będzie można powiedzieć o mnie i Dannym, ale przez Dianę Ward jest inaczej.

Odwracam się i widzę, że Danny uważnie mi się przygląda, co trochę mnie niepokoi. Czy to tylko kwestia światła, czy jego oczy zawsze były takie zielone?

– O czym myślisz, kochanie? – pytam.

– Że powinniśmy zostać tu jeszcze tydzień. Albo miesiąc. Albo i cały rok, bo czemu nie? Mógłbym tu być szczęśliwy.

– Nie nudziłbyś się?

– W raj? – Patrzy na morze. – Czasami myślę, że powinniśmy rzucić nasze stare życie. Wziąć plecaki i zostawić wszystko. Tylko ty i ja, obywatele świata. Znaleźć pracę gdziekolwiek... może tam, gdzie bylibyśmy potrzebni. Moglibyśmy robić coś naprawdę dobrego, jak Georgie, który kopie studnie w afrykańskich wioskach.

– Chciałbyś wrócić do pracy charytatywnej?

– Czemu nie? Moglibyśmy to zrobić razem. – Wpatruje się we mnie z taką tęsknotą, że mu wierzę.

Wierzę, że naprawdę chce uciec od pracy, w której czuje się jak w potrzasku, i chce, bym mu towarzyszyła, i przez chwilę jestem gotowa to zrobić. Ale zaraz powraca do mnie rzeczywistość.

– Każdy marzy o czymś podobnym, prawda? – dodaje Danny. – O ucieczce.

– Od czego chcesz uciec?

– Od niczego. Tak tylko gadałem.

– Nie. Powiedz mi, co cię gryzie.

Spogląda na łodzie rybackie kołyszące się w porcie.

– Nie tak wyobrażałem sobie przyszłość. Nie sądziłem, że będę pracował dla firmy takiej jak Galen. Zamiast siedzieć w okopach i ratować życie rannym, rozdaję tabletki uprzywilejowanym. Tabletki na rozbudzenie, na sen, pigułki na nastrój.

– Twoi pacjenci naprawdę są tacy męczący?

– Niektórzy... Nie, większość. Pewnie przez te gigantyczne sumy na kontach bankowych.

– Masz na myśli ludzi takich jak Phillip Hardwicke?

Gdy tylko pada to nazwisko, Danny odwraca się od morza i patrzy na mnie.

– Nie polubiłaś go, co?

– Nie podobało mi się, jak zwraca się do córki. Jeśli ten człowiek bierze jakieś leki na poprawę nastroju, to nie działają.

– On akurat potrzebuje tabletek, które mu dają.

– Na co?

– Na epilepsję. To konsekwencja urazu głowy, który odniósł jako młody człowiek. O każdej porze dnia i nocy może dostać silnego ataku. Współpracuję z neurologiem, próbujemy różnych środków i dawek, ale od

czasu do czasu wciąż ma ataki. Dlatego zawsze mu towarzyszę, kiedy wyjeżdża. Chce mieć pewność, że ktoś mu pomoże, jeśli atak będzie się przedłużał.

– Dlatego zabiera cię na Cypr w przyszłym tygodniu.

– Wolałbym nie jechać.

– Wolałbyś nie lecieć jego prywatnym odrzutowcem i nie mieszkać w eleganckim hotelu?

– To tylko praca, Maggie. Wolałbym zostać w domu z tobą. Proszę, nie rozmawiajmy już o nim. – Odkłada serwetkę. – Przejedźmy się i znajdziemy jakąś przyjemną plażę.

Pakujemy sprzęt do nurkowania i ruszamy wzdłuż wybrzeża. Droga gruntowa prowadzi na wąski półwysep, do maleńkiej zatoczki, gdzie nie ma nikogo prócz nas. Kiedy idziemy przez krzewy ku wodzie, uświadamiam sobie, że w tym miejscu można by łatwo zniknąć. Mąż mógłby się tu pozbyć niedawno poślubionej żony i nikt by tego nie zobaczył. Jak wynaturzony musi być świat, skoro takie myśli w ogóle przychodzą mi do głowy: że muszę się strzec człowieka, którego kocham?

Odkładamy torby i ręczniki i rozbieramy się do strojów kąpielowych. Piasek jest tutaj szorstki, przypomina raczej żwir, przechodzę więc ostrożnie do wody i zatrzymuję się, by założyć maskę i płetwy. Danny zanurza się jako pierwszy. Obserwuję, jak płynie przez krystalicznie czystą wodę.

Wskakuję do wody i ruszam za nim, w stronę miejsca, gdzie widzę jego płetwy. Kiedy do niego docieram, wynurza głowę.

– Maggie, spójrz w dół!

– Co tam jest?

– Zanurkuj ze mną, to zobaczysz. – Wsuwa rurkę do ust i zanurza się głową w dół.

Robię to samo.

Woda ma tu jakieś trzy metry głębokości, wystarczy więc kilka ruchów nogami, by dotrzeć do dna. Danny wskazuje na wyblakły koralowiec, od dawna już martwy i prawdopodobnie bardzo stary, sądząc po tym, co w nim tkwi: amfora. Wyobrażam sobie, że wypadła z łodzi tysiące lat temu. Być może ktoś ją wyrzucił specjalnie albo wypadła mu z rąk przypadkiem, tak czy inaczej ostatecznie spoczęła na dnie. Mijały stulecia, na brzegach morza powstawały i upadały miasta, a pod wodą koralowiec cierpliwie rósł, oplatając ten historyczny śmieć.

Gdy Danny dotyka mojego ramienia, patrzę mu w oczy przez maskę. Uśmiecha się podekscytowany tym znaleziskiem. Oboje wypływamy na powierzchnię i przebieramy w wodzie nogami, żeby utrzymać się w miejscu.

– To było niesamowite! – mówi Danny, wyjąwszy rurkę z ust. – Maggie...

– Ciekawe, co jeszcze tam znajdziemy?

– Kocham cię.

Śmieję się.

– Czy nie dlatego się ze mną ożeniłeś?

– Chciałbym, żebyśmy to zapamiętali. Żebyśmy zawsze już pamiętali tę chwilę. Obiecujmy to sobie.

Jesteśmy tu całkiem sami, nikt nie może nas słyszeć. Jedynym dźwiękiem jest plusk wody, jeśli więc kiedykolwiek ma się nadarzyć dobry moment na wyznanie prawdy, to właśnie teraz. Każda mijająca sekunda milczenia pogłębia poczucie winy. Chcę być szczerą, ale nie mogę, bo z natury nikomu nie ufam. Dzieciństwo nauczyło mnie, że jeśli zaryzykuję, spotkają mnie przykre konsekwencje.

Danny zerka na brzeg. Nad zatoczką pojawiła się para; rozkładają na plaży koc. Nie jesteśmy już sami. Dogodna chwila na wyznanie prawdy minęła.

– Chodźmy na lunch – proponuję i odpływam w stronę brzegu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Teraz

Myślę o tym tygodniu nad morzem, gdy jadę rano kubotą przez pole, wioząc wiadra wypełnione wodą, która rozchlapuje się na boki. Dziś jest dziesięć stopni mrozu, wkrótce więc na platformie pojazdu, na którą leje się woda, utworzy się warstwa lodu. Mam wrażenie, że upłynęła cała wieczność, odkąd ostatnio byłam w stroju kąpielowym i sandałach, odkąd pławiłam się w słońcu na plaży. Teraz zamiast bikini mam na sobie wełniany sweter, kurtkę puchową i gumowce z filcową wyściółką. Parkuję przy wybiegu dla kurczaków i wyłączam prąd w zasilanym z paneli ogrodzeniu. Na razie nie wypuszczam kur na zewnątrz, najpierw wnoszę za ogrodzenie karmę i wiadro z wodą. Praca na farmie jest mozolna, ale ten codzienny rytm przynosi mi ukojenie: chlupot wody w wiadrach, szelest karmy wysypującej się z worków. Kiedy jestem zajęta, nie mam czasu na rozmyślenia o tym, o czym wołałabym zapomnieć, lecz dziś rano wspomnienia nie dają mi spokoju. Gdy nalewam wodę do korytka, jej plusk przywodzi mi na myśl pływanie w Morzu Egejskim. Sypię karmę i widzę gruby piasek na tureckiej plaży; znów tam jestem, z Dannym. Otwieram kurnik i wypuszczam ptaki. Jako pierwszy wychodzi kogut; kroczy dumnie po pochylni, poruszając rytmicznie głową, niczym tancerz w dyskotece.

– Dzień dobry paniom – mówię, gdy w ślad za nim wychodzi jego harem, gdacząc i przepychając się do korytek z karmą. To kolejny ranek, gdy wszystkie są całe. Nie straciłam żadnej, odkąd zastrzeliłam lisa, ale

wcześniej czy później jego miejsce zajmie inny drapieżnik, to tylko kwestia czasu. Zawsze tak się dzieje.

Podczas gdy kury zajmują się jedzeniem i piciem, wybieram szybko jajka z ich skrzynek. Nie zostawiły ich dziś zbyt wiele, kilkadziesiąt, nawet nie opłaca się ich wieźć na rynek. Wypełniają jednak koszyk miłą dla oka mozaiką błękitu, brązu i bieli. Odstawiam go na platformę kuboty i sięgam po drugie wiadro z wodą, by napełnić do końca koryto. Do południa woda zamarźnie, więc będę musiała znowu tu przyjechać i dolać świeżej.

Chwytam za kabłąk drugiego wiadra. Gdy ściągam je z pojazdu, dzieją się dwie rzeczy, niemal jednocześnie. Czuję, jak wiadro podrywa się w mojej dłoni i nad polem niesie się głośny huk. Woda oblewa mi nogawkę spodni i buty. Z otworów po przeciwległych stronach wiadra wypływają dwa strumienie. Czas jakby zwalnia na moment, gdy mój umysł przetwarza te informacje i uświadamiam sobie, co oznaczają.

Rzucam się na ziemię i w chwili, kiedy uderzam policzkiem w śnieg, rozlega się kolejny huk. Wpełzam pod platformę kuboty i leżę tam z bijącym sercem; roztopiony śnieg wsiąka w kurtkę. W pojazd uderzają kolejne dwa pociski. Skąd one nadlatują, do cholery? Rozglądam się gorączkowo i uświadamiam sobie, że strzelec musi się ukrywać w lesie, po mojej lewej ręce.

Przetaczam się na drugą stronę kuboty, żeby oddzieliła mnie od strzelca. Szyba pęka z trzaskiem i drobiny szkła spadają na śnieg. Teraz nie ma już wątpliwości, że to nie zabłąkane kule, wystrzelone przez nieostrożnego myśliwego. Ten człowiek mierzy do mnie.

Moja strzelba leży w kabinie pojazdu.

Przykucam obok niej i otwieram drzwi po stronie pasażera.

Kule trafiają w jedną z opon. Powietrze uchodzi z niej z sykiem i felga opada na ziemię.

Gramolę się do kabiny, zabieram strzelbę leżącą między siedzeniami i wytaczam się na zewnątrz. Kiedy patrzę przez lunetę na ścianę lasu, dostrzegam ruch. Ktoś w ubraniu maskującym.

Oddaję strzał – tylko jeden, bo w strzelbie mieszczą się jeszcze tylko trzy naboje. Napastnik ma z pewnością większe możliwości, ale przynajmniej już wie, że jestem uzbrojona i nie poddam się bez walki.

Lustruję ponownie linię drzew, ale człowiek w ubraniu maskującym zniknął. Czy nadal tam jest, czy czai się między krzewami i czeka, aż wyjdę z ukrycia? Jeśli wsiądę do kuboty, odsłonię się. Poza tym i tak nie mogę jechać z przestrzeloną oponą. Przykładam oko do lunety i przepatruję las. Gdzie jesteś? Gdzie jesteś? Smagają mnie zimne podmuchy wiatru, przemoczone spodnie zaczynają zamarzać. Nie mogę kryć się tutaj bez końca, ale nie ośmielę się wybiec na otwartą przestrzeń.

Słyszę silnik nadjeżdżającego samochodu. Odwracam się i widzę minicęzarówkę zmierzającą w moją stronę. To Luther. Gdy zatrzymuje się przy mnie, wciąż mierzę ze strzelby w stronę lasu i boję się wyjść z ukrycia.

Wysiada z pojazdu i rzezi w mroźnym powietrzu.

– Co tu się dzieje, Maggie? Kto strzela?

– Nie wiem! Kładź się!

– Callie dzwoni na policję. Powinni tu być...

– Kładź się!

– Kłaść się, z moimi kolanami? Jeśli się położę, nigdy już nie wstanę. – Milknie i wpatruje się ze zdumieniem w podziurawioną kulami oponę i roztrzaskaną szybę. – Jezu kurwa Chryste. To nie jest jakiś debilny myśliwy.

– Nie. Nie wiem, kto to jest, ale na pewno nie poluje na jelenie.

Luther stoi całkiem odsłonięty, wielki, wyraźny cel, który wręcz prosi się o kulkę.

– Kto, u diabła, próbuje cię zabić, Maggie?

– Nie wiem.

Nie wiem kto, ale chyba wiem dlaczego.

□ □ □

Szkoda, że Callie zadzwoniła na policję, bo przez to znów musiałam się spotkać z funkcjonariuszką Thibodeau.

Siedzi przy stole w mojej kuchni i zadaje kłopotliwe pytania. Jej blond włosy znów są ściągnięte w ciasny kucyk, co podkreśla ostre rysy twarzy. Poranne światło odsłania szczegóły, których nie zauważyłam wcześniej: parę piegów na policzkach i bliznę nad górną wargą. Nawet w lutym jej skórę pokrywa zdrowa opalenizna, co oznacza, że lubi przebywać na zewnątrz. Czuję się tak, jakbym rozmawiała z młodszą wersją siebie, co czyni z niej niewygodną przeciwniczkę. Gdy byłam w jej wieku, wiedziałam od razu, czy ktoś mówi prawdę, czy opowiada mi bzdury. Ona też ma tę umiejętność.

– Ktoś właśnie próbował panią zabić – mówi. – I naprawdę nie ma pani pojęcia, kto to był?

– Nie dostrzegłam twarzy. Widziałam tylko...

– ...postać w ubraniu maskującym.

– Tak.

– To był mężczyzna czy kobieta? Może mi pani powiedzieć choć tyle?

– Mężczyzna.

– Skąd pani wie?

– Postura. Sposób, w jaki się poruszał.

- I chodził po lesie, żeby panią zabić?
- Na moim terenie są jelenie i inne zwierzęta.
- Widziałam, że pani teren jest oznaczony.
- Nie wszyscy przejmują się znakami ZAKAZ POLOWANIA.
- Naprawdę myśli pani, że to był zwykły myśliwy?
- Ze słabym wzrokiem – rzucam.

Jo Thibodeau zaciska usta. Nie lubi tego rodzaju żartów.

– Rozmawiałam z pani sąsiadem, panem Yountem. Twierdzi, że opona w pani minicieżarówce jest przebita kulami, a przednia szyba rozbita. On i jego wnuczka słyszeli co najmniej dziesięć, a może więcej strzałów. Kiedy do pani przyjechał, kulila się pani za samochodem.

– Nie kulila się – prostuję. – Schowałam się za kubotą i próbowałam namierzyć miejsce, z którego do mnie strzelano.

- Zachowała się pani bardzo przytomnie.
- Bo wydaje mi się, że jestem trzeźwo myślącą osobą.
- Czy kiedykolwiek była pani w podobnej sytuacji?

Zaskakuje mnie to pytanie. Nie chcę na nie odpowiadać.

– Wychowałam się na farmie – odzywam się w końcu. – Potrafię obchodzić się z bronią. Wiem też, kiedy powinnam się schować.

– Co ten atak ma wspólnego z zabitą kobietą, którą znaleźliśmy na pani podjeździe?

- Nie wiem.
- Czy ktoś, kto podrzucił jej zwłoki, mógł chcieć zabić panią?
- Nie wiem.
- Wygląda na to, że nie wie pani bardzo wielu rzeczy.
- Każdy może to o sobie powiedzieć.

– Nie pomogę pani, jeśli pani nie pomoże mnie. Muszę poznać kilka odpowiedzi, proszę pani. Ukrywa się pani przed kimś? Ucieka od czegoś?

Wszyscy od czegoś uciekamy, przemyka mi przez głowę, ale ta funkcjonariuszka z pewnością nie byłaby zachwycona kolejną nonszalancką odpowiedzią, więc tylko kręcę głową.

Rozgląda się po mojej kuchni. Widzi poranny bałagan, bo nie umyłam jeszcze naczyń po śniadaniu: tłustą patelnię na kuchence, filiżankę po kawie, talerz z okruchami tostów i żółtymi plamami po jajecznicy.

– Kiedy byłam tu ostatnio, widziałam pani monitoring – mówi. – Kamery, czujniki ruchu. To bardzo małe miasto. Nikt tutaj nie ma tak zaawansowanego systemu.

– Dzięki temu czuję się bezpieczna.

– A dlaczego nie miałyby się pani czuć bezpieczna? – Patrzy mi prosto w oczy i wiem, że ta kobieta nigdy nie da za wygraną. Jo Thibodeau będzie drażnić bez końca i choć nie pozna prawdy o mnie, jeszcze przez wiele lat będzie mi zatruwać życie.

Na szczęście ktoś puka do drzwi i przerywa przesłuchanie.

– Halo, Maggie?! – woła Declan i wchodzi do kuchni. – Nic ci nie jest?

– Właśnie odbieram od pani Bird zeznania – oznajmia Thibodeau.

– Słyszałem o tej strzelaninie.

– Panie Rose, jeśli nie ma pan nic przeciwko...

– Kto to był? Mamy rysopis? Znamy pojazd?

– ...chciałabym dokończyć tę rozmowę – mówi policjantka.

Declan spogląda na mnie.

– Gdzie to się stało?

– Na polu. Niedaleko kurnika.

Obraca się na pięcie i rusza do drzwi.

– Panie Rose! – wrzeszczy Thibodeau, ale mój przyjaciel ignoruje ją.

Wychodzi na zewnątrz i spostrzega Bena Diamonda, który właśnie zajechał przed dom. Przez kuchenne okno widzę, jak rozmawiają i spoglądają na pole. Potem ruszają przez śnieg w stronę kurnika.

– O Jezu... – wzdycha z irytacją Thibodeau. – Zadepczą wszystkie ślady na miejscu przestępstwa. – Zrywa się z krzesła i sięga po kurtkę wiszącą przy drzwiach. – Za kogo oni się uważają, do diabła?!

Nie masz pojęcia za kogo, myślę. Wkładam kurtkę i wychodzę za policjantką.

Declan i Ben są już daleko przed nami. Wiedzą, że nie powinni zostawiać świeżych śladów na śniegu, idą więc koleinami odcisniętymi przez samochód Luthera, który przywiózł mnie do domu.

– Halo! – woła Thibodeau, idąc po ich śladach. – Panowie!

Idą dalej, nawet nie odwracają głów.

– Czy oni są głusi? – mruczy policjantka.

– Wypełniają misję – odpowiadam. – Spokojnie, nie są głupi. Niczego nie zadepczą.

– Nie wiedzą, co robią!

– Wiedzą więcej, niż może się pani wydawać.

– Kim oni są, do diabła?

– Chyba powinna pani zapytać o to ich, a nie mnie.

Kiedy docieramy do kuboty, moi przyjaciele kucają przy porzuconym wiadrze i przyglądają się otworom.

Declan podnosi wzrok.

– Pocisk kalibru siedem i osiem dziesiątych milimetra – mówi.

– Skąd pan to wie? – pyta Thibodeau.

– Balistyka to moje hobby. – Declan wstaje. – Gdyby trafił w ciebie, Maggie... Dobrze, że tak się nie stało.

– Łut szczęścia – rzucam. – Facet strzelił w momencie, gdy się odwracałam.

– Ukrywał się tam? – pyta Ben, wskazując las.

– Tak. Widziałam go przez lunetę strzelby. Niedaleko tych buków.

Moi przyjaciele ruszają w stronę drzew. Thibodeau już nawet nie próbuje ich powstrzymać. Wzdycha ciężko i idzie za nimi.

Bez trudu odnajdują ślady pozostawione przez strzelca.

– Wygląda na rozmiar osiem, osiem i pół – stwierdza policjantka. – Podeszwa z wiłbramu. – Wyjmuje telefon i robi zdjęcia.

Strzelec zostawił wiele śladów, ale ten jest wyjątkowo wyraźny: na odcisku podeszwy nie leżą gałęzie, nie zasypał go śnieg niesiony wiatrem. Pozwalamy jej wykonywać pracę; stoimy z boku, gdy zbiera łuski. Mimowolnie zerkam na ślady butów Bena i Declana. Są znacznie większe niż odciski pozostawione przez strzelca; obaj mają co najmniej dziesiątkę. Choć dobrze ich znam i im ufam, nie potrafię pozbyć się pewnych nawyków, właśnie takich jak powątpiewanie w lojalność wszystkich, którzy odgrywają jakąś rolę w moim życiu, nawet tych, których kocham.

Zwłaszcza tych, których kocham.

– Widać stąd doskonale twój kurnik – mówi Ben, spoglądając spomiędzy drzew na pole. – Strzelec musiał wiedzieć, do czego mierzy.

– I celem na pewno nie był jeleni – dodaje Thibodeau, patrząc na mnie. – Strzelał do pani.

Czeka na moją reakcję. Jest pewnie rozczarowana, że patrzę w stronę kurnika i nic nie mówię. Wiem już, że to ja byłam celem, i zaczynam myśleć o tym, co powinnam teraz zrobić. Spoglądam ze smutkiem na kury, które grzebią spokojnie w śniegu. Myślę o usprawnieniach, które

zamierzałam tu wprowadzić: o solarnych podgrzewaczach wody w korycie, o drugim przenośnym kurniku, o lampach grzejnych dla nowych kurczaków, które już zamówiłam. Na farmie Blackberry znalazłam wreszcie spokój, nawet namiastkę szczęścia.

A teraz ktoś chce mi to odebrać.

Choć stoimy między drzewami, osłonięci od wiatru, mam wrażenie, że zrobiło się zimniej. Wilgotniej. Widzę obłok pary wypływający z moich ust i czuję chłód przenikający przez buty. Ben, który zwykle jest odporny na zimno, wyciąga z kieszeni wełnianą czapkę i zakłada ją na ogoloną głowę. Na czapce widnieje logo Uniwersytetu Harvarda, co wydaje mi się wyjątkowo ironiczne, bo Ben ani nie studiował na Harvardzie, ani nie ma nic dobrego do powiedzenia o tych, którzy mają dyplom z tej uczelni.

– Sprawdźmy, jak się tu dostał – mówi i wchodzi głębiej w las.

Idziemy za nim i za śladami butów pozostawionymi przez strzelca. Odszedł stąd tą samą drogą, którą przyszedł. Nikt z nas się nie odzywa, ale i tak jest głośno – śnieg skrzypi pod butami, trzaskają łamane gałązki, szeleszczą suche liście. Declan, Ben i ja jesteśmy w całkiem niezłej formie jak na nasz wiek, ale mroźne powietrze pali mnie w gardło, a kostka zaczyna mnie boleć w miejscu, w którym była pęknięta. Zastanawiam się, czy Ben i Declan też czują stare urazy, wiem jednak, że i tak nigdy by się do tego nie przyznali. Jesteśmy trojgiem starych żołnierzy i żadne z nas nie chce przyjąć do wiadomości, że powoli rdzewiejemy.

W końcu wychodzimy z lasu na drogę gruntową, która oddziela moją posiadłość od sąsiada. Thibodeau przykuca, by przyjrzeć się śladom pozostawionym w miejscu, gdzie parkował samochód strzelca. Robi zdjęcia, choć wątpię, czy pomogą w zidentyfikowaniu pojazdu, bo takie same ślady pozostawiają dziesiątki SUV-ów, które codziennie przejeżdżają przez Purity. Na tej leśnej drodze nie ma kamer monitoringu, nie

przechadzają się tędy świadkowie, którzy mogliby zeznać, kiedy ktoś tu przyjechał i odjechał. Zawsze czułam się bezpiecznie w lesie, ale dzisiejszy atak zachwiało moim przeświadczeniem, że na świecie są jeszcze jakieś bezpieczne miejsca.

Policjantka podnosi się z gracją, która budzi we mnie tęsknotę za młodością.

- Wracam na komendę i się tym zajmę – mówi.
- Nie ma pani zbyt wiele materiału dowodowego – zauważam.
- Byłoby mi łatwiej, gdyby pani coś dorzuciła.
- Powiedziałam pani wszystko, co wiem.

Nie wierzy w to, ale na razie nie będzie mnie wypytywać. Odpina od pasa krótkofalówkę, z której wydobywa się krótki sygnał, i odwraca się, by odebrać połączenie.

- Maggie – mówi cicho Declan. – To całkowicie zmienia sytuację.
- Wiem. – Wzdycham ciężko.
- Czas, żebyś się stąd zwinęła.
- Właśnie to zamierzam zrobić. – Odwracam się i patrzę w stronę domu, który będę musiała porzucić. – Ale najpierw muszę coś zrobić.

□ □ □

– Przyciągnąłem tu twój kurnik i postawiłem go przy naszej stajni – mówi Luther, nalewając mi kawy. – Callie będzie dzięki temu łatwiej zajmować się twoimi kurami. Choć nie wiem, jak uda się jej utrzymać osobno oba stada.

– Możecie je połączyć, skoro będziecie się nimi zajmować – mówię, spoglądając na jego wnuczkę.

- Mogłabym oznaczyć twoje kury sprayem – proponuje dziewczynka.

– Nie ma takiej potrzeby. Są teraz twoje.

Callie unosi brwi.

– Nie chcesz już hodować kur?

– Chcę. Uwielbiam kurczaki. Ale muszę wyjechać z Purity, a zależy mi na tym, żeby miały dobry dom. – Uśmiecham się do niej. – Twój jest najlepszy.

– Mogę się nimi opiekować, dopóki nie wrócisz, to żaden problem. A potem jakoś dojdziemy do tego, które są twoje.

– Problem w tym, że nie wiem, kiedy wrócę.

Trzymając w dłoniach kubek z przypaloną kawą, podchodzę do okna w ich kuchni i widzę przez nie Declana siedzącego w volvo, które zaparkował za moją minicieżarówką. Nie chce zostawiać mnie bez ochrony. Teraz widzi mnie przez okno i kiwa głową. Wiem, że mogę na niego liczyć, dopóki będę go potrzebować. Spoglądam w stronę mojej posiadłości, na dom widoczny zza rzędu klonów. Kiedy pół godziny temu zamykałam drzwi, wiedziałam, że być może widzę go po raz ostatni. Zbyt długo już siedzę w chacie Luthera, odwlekam chwilę, gdy będę musiała porzucić życie, które budowałam przez ostatnie dwa lata, bo teraz zagrażały mu duchy z przeszłości.

– A farma Blackberry? – pyta Luther. – Co mamy tam zrobić? Jeśli wyjeżdżasz na dłużej, to spuszczyć wodę z rur i zamknę dopływ.

– Już to zrobiłam. Nie przejmujcie się domem.

Patrzę na Callie, która siedzi przy kuchennym stole i wpatruje się we mnie nieprawdopodobnie mądrymi oczami. Wie, że dzieje się coś bardzo niedobrego, i choć nie powiedziałam jej, dlaczego muszę nagle wyjechać, rozumie powagę sytuacji. Nagle wracam myślami do innej nastoletniej dziewczynki, która mi ufała i we mnie wierzyła. Zawiodłam tamtą

nastolatkę i to, co się z nią stało, zawsze będzie mnie dręczyć. Nie pozwolę, by podobny los spotkał Callie.

– Chcę, żebyś trzymała się z dala od mojego domu, dobrze? – mówię. – Nie wchodź do środka. Nawet się do niego nie zbliżaj.

– A co z tym wielkim starym aloesem? – pyta. – Trzeba go będzie podlać.

– Nie przejmuj się tym.

– Dziadek mógłby go tu przywieźć.

– Nie, jest za ciężki.

– Ale inaczej uschnie.

– To nic.

Jest zszokowana moją odpowiedzią. Patrzy na dziadka, a potem na mnie, zdumiona zachowaniem dorosłych obecnych w jej świecie.

– Kochanie – siadam naprzeciwko niej przy stole – mogę kupić nowe rośliny, kiedy wrócę.

– A wrócisz, prawda?

– Bardzo tego chcę. Ale na razie musisz mi obiecać, że będziesz się trzymać z dala od mojego domu, na wypadek gdyby... – Milknę, bo nie wiem, jak dokończyć zdanie. Na wypadek gdyby co? Gdyby ktoś podłożył bombę? Wysadził dom w powietrze albo go podpalił? Nie mogę znieść myśli, że Callie mogłaby wtedy być w środku. Nie mam własnych dzieci, ale czuję się tak, jakby była moją córką. I jak każda matka zrobię wszystko, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Mogę do ciebie dzwonić? – pyta.

– Być może nie będę mogła odebrać telefonu.

– Dokąd jedziesz? Nie możesz mi tego powiedzieć?

– Chciałabym. Ale na razie sama nie wiem. Jeszcze nie.

Znowu patrzy na dziadka, a potem na mnie, szukając odpowiedzi na naszych twarzach. Jestem zaskoczona, gdy nagle rzuca się na mnie i zamyka w uścisku. Jej włosy pachną sianem i dymem. Gdy ją tulę, łzy napływają mi do oczu. Nie chcę poddawać się takim uczuciom; unikałam ich przez lata, a teraz ta niemądra dziewczynka Ignie do mnie jak mucha do miodu.

Czas wyjeżdżać. Natychmiast.

Próbuję odsunąć ją od siebie, ale trzyma mnie tak mocno, że mam wrażenie, że się do mnie przykleiła.

– Odrób zadanie, Callie – mówię. Nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej, bo inaczej zacznę płakać. Wychodzę na zewnątrz.

Luther idzie za mną na werandę i zamyka za sobą drzwi.

– Nie lubię zadawać pytań, Maggie, bo uważam, że to nie moja sprawa. Ale byłoby łatwiej, gdybyś mi powiedziała, przed czym uciekasz.

– Tego właśnie muszę się dowiedzieć.

– Chodzi o policję? O coś, co zrobiłaś?

– Nie, nie chodzi o policję.

– Rozumiem. – Jeśli poczuł ulgę, usłyszawszy tę odpowiedź, to nie okazuje tego w żaden sposób. Może wie, że istnieją znacznie bardziej przerażające scenariusze niż ucieczka przed prawem. – Więc o kogo?

– Wiele lat temu byłam związana z pewnym mężczyzną – mówię.

– Uczuciowo?

– Tak. A potem odkryłam, z jakimi ludźmi się zadaje.

– Z przestępcami?

– Można ich tak nazwać.

– Więc przed nim uciekasz? Przed tym mężczyzną?

W sumie to wygodne wyjaśnienie. I w pewnym sensie prawdziwe: rzeczywiście uciekam przed Dannym. Albo przed wspomnieniami o nim.

– Cóż... – Luther wzdycha. – Teraz przynajmniej wiem, z czym mamy do czynienia.

– Ty nie masz z niczym do czynienia. To mój problem i sama go rozwiążę.

– Jak?

– Z pomocą kilku przyjaciół. – Schodzę po stopniach werandy i idę do mojego samochodu. Widzę, jak Declan, mój nieodłączny strażnik, obserwuje mnie ze swojego.

– A my nie jesteśmy twoimi przyjaciółmi?! – woła Luther. – Callie i ja? Przystaję obok auta i patrzę na niego.

– Jesteście. I dlatego właśnie chcę, żebyście trzymali się ode mnie z daleka. Chcę, żebyście byli bezpieczni.

– On jest aż tak groźny? Ten mężczyzna, przed którym uciekasz?

Myślę o Dannym uśmiechającym się do mnie zza plastikowego stolika w Bangkoku. Śmiejącym się ze mną, gdy leżymy obok siebie na plaży w Turcji. Śpiewającym przy piecyku, gdy z czułością grilluje dla mnie kanapkę z serem.

– Tak – mówię cicho. – Jest.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Londyn, szesnaście lat temu

Siedzę na ławce w sali numer 17 British Museum, gdzie przychodzę często, by patrzeć na grobowiec licyjskiego władcy, Arbinasa. Niegdyś grobowiec stał w mieście Ksantos i olśniewał mieszkańców rzeźbionymi fryzami, dwudziestoma kolumnami i posągami Nereid, reprezentującymi wszystkie dobre i hojne dary morza. Na przestrzeni dwóch i pół wieku powoli popadał w ruinę, aż pewien angielski archeolog zapakował go do skrzyń i przewiózł do Londynu. Teraz stoi w sali numer 17, jako jeszcze jeden przykład łupów imperium i świadectwo, że żadne królestwo nie trwa wiecznie. Tęsknię za Turcją. Ten marmurowy monument przenosi mnie na licyjskie wybrzeże, na ciepłe plaże oblane złotym blaskiem słońca, do sadów, gdzie prosto z drzew można zrywać dojrzałe słodkie owoce. W Londynie jest deszczowe popołudnie i choć dobiega już koniec maja, wilgoć wsiąkła w moje kości tak głęboko, że nie mogę się rozgrzać. Patrzę na fryz podium, na rzeźbione postacie mężczyzn toczących bitwę. Ludzkość prawie się nie zmieniła od czasów króla Arbinasa. Wciąż tkwimy w niekończącym się cyklu konfliktów i wojen, tyle że teraz mamy broń na tyle potężną, że może zniszczyć nas wszystkich.

Nie słyszę, kiedy Diana wchodzi do sali, ale czuję drżenie powietrza i wiem, że już jest. Po chwili siada obok mnie. Przez chwilę obie milczymy, nawet na siebie nie patrzymy. Wpatruję się wciąż w posągi Nereid.

– Interesujący wybór miejsca na spotkanie – odzywa się w końcu Diana.

Przesuwam w jej stronę po ławce złożoną na pół gazetę. Jest w niej pendrive z danymi medycznymi Hardwicke'a, które kilka dni temu ściągnęłam z komputera w klinice Galen. Kiedy odsuwa do mnie gazetę, pendrive'a już nie ma. Zdążyła go schować do kieszeni.

– Coś jeszcze? – pyta.

– Oprócz dużego nadciśnienia ma padaczkę, od czasu poważnego urazu głowy w wieku dwudziestu sześciu lat. Miał krwihak podwardówkowy, który trzeba było usunąć operacyjnie.

– Jak doszło do tego urazu?

– Wjechał lamborghini rodziców w kamienny mur.

– Och, te problemy bogaczy...

– Opiekuje się nim neurolog, który dopasowuje na bieżąco leki, ale od czasu do czasu Hardwicke wciąż ma silne ataki.

– Jak często?

– Ostatni trzy miesiące temu, kiedy pracował w swoim gabinecie w Hardwicke Tower. Trwał tylko parę minut, ale zawsze istnieje zagrożenie, że atak szybko nie ustąpi, i w takiej sytuacji konieczna jest pomoc lekarza. Dlatego właśnie chce, by zawsze mu towarzyszył, kiedy wyjeżdża z Londynu. Od niedawna ma też problemy z pamięcią krótkotrwałą. To też może być skutkiem urazu głowy sprzed lat.

– To poważne?

– Ma kłopoty z zapamiętywaniem nazwisk i liczb. Na tyle często, że postanowił powiedzieć o tym Danny'emu.

Diana milknie, gdy do sali wchodzi grupka hałaśliwych uczniów z nauczycielką; ich głosy odbijają się echem od marmurowych powierzchni. Kiedy pomieszczenie wypełnia się chaosem, Diana i ja patrzymy w milczeniu na grobowiec Arbinasa, jakbyśmy kontemplowały ukryte przekazy wyrzeźbione w płaskorzeźbach.

- Patrzcie, to grecka świątynia!
- Czy ci bogowie na górze walczą ze sobą, proszę pani?!
- Możemy już przejść do następnej sali?
- Jestem głodny!

Posągi nimf i pomniki zmarłego króla nie robią na dzieciakach większego wrażenia. Chcą zobaczyć coś ciekawszego. „Gdzie są egipskie, pani Cummings?” „Czy to już nie pora na lunch?”

Znękana nauczycielka w końcu wyprowadza podopiecznych z sali, ale wciąż słyszymy ich głosy dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia.

– Kiedy Hardwicke znów będzie potrzebował usług twojego męża? – pyta Diana.

– Za trzy tygodnie. W weekend wydaje przyjęcie w Manning House, swojej wiejskiej rezydencji. Danny będzie tam, na wypadek gdyby gospodarz lub któryś z gości potrzebował pomocy lekarskiej.

– Wiesz, co to za goście?

– Tylko tyle, że to partnerzy biznesowi Hardwicke’a i ich żony. Urządza takie przyjęcia co kilka miesięcy. Typowa impreza angielskiej arystokracji: jazda konna, strzelanie do rzutków, prawdopodobnie dużo picia.

– I dużo rozgadanych pijanych języków.

– Jeśli dopisze nam szczęście.

– Będziesz tam? – pyta Diana.

– Zostałam zaproszona. Nie do końca wiem dlaczego.

Zastanawia się nad tym przez chwilę, po czym sięga do kieszeni po małą kartkę. Przesuwa ją do mnie po ławce.

Zerkam na słowa zapisane na papierze. *Heme arginate*.

– Co to jest? – rzucam.

– Lek. Dowiedz się, czy któryś z pacjentów kliniki Galen dostał ostatnio taki zastrzyk.

– Lek na co?

– Na ostrą porfirię przerywaną. To rzadka choroba metaboliczna, która od czasu do czasu objawia się silnymi bólami brzucha. Regularne przyjmowanie profilaktycznych dawek heme arginate zapobiega temu. Ten lek przechowuje się w fiolkach. Sprawdź, czy w klinice są jakieś jego zapasy.

Kiwam głową i chowam kartkę do kieszeni. Żeby zdobyć te informacje, będę musiała dostać się ponownie do systemu informatycznego kliniki, co nie powinno być jednak zbyt trudne. Wszyscy pracownicy Galen dobrze mnie już znają. Jestem żoną doktora Gallaghera, która czasami przynosi im ciasto do herbaty. A czasami pomaga im wypełniać dokumentację, zna więc wszystkie kody dostępu.

– Dlaczego potrzebujecie tych informacji? – pytam. – Kogo próbujecie znaleźć?

– Cyrano.

Odwracam się i patrzę na nią z niedowierzaniem. Doskonale wiem, o czym mówi, bo Cyrano to pseudonim uśpionego rosyjskiego szpiega, na którego Agencja poluje od lat. CIA nie wie, jakiego używa teraz nazwiska, udało się jednak ustalić, że urodził się w Rostowie, został zwerbowany i wyszkolony przez Dyрекcję S rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego, a potem wysłany na Zachód, gdzie miał przybrać fałszywą tożsamość. Dowiedzieliśmy się o jego istnieniu dzięki wiadomości przechwyconej osiem lat temu, w której po raz pierwszy pojawił się pseudonim Cyrano. Nie wiemy, jak wygląda ani czym się zajmuje; wiemy jedynie, że Cyrano powtarza się wielokrotnie w wysyłanych przez Dyрекcję S komunikatach, w których znalazły się też nazwiska dwóch obecnych członków

brytyjskiego parlamentu. Podobnie jak inni zagraniczni agenci Cyrano z pewnością ma za zadanie infiltrować środowiska związane z władzą i odpowiednio na nie wpływać, oczywiście z korzyścią dla rosyjskich interesów.

– Mamy jakieś nowe informacje na jego temat? – pytam.

– Przejęliśmy wiadomość od jego oficera prowadzącego. Jest w niej mowa o jego partnerce, która potrzebuje regularnych zastrzyków heme arginate.

– I przypuszczacie, że jest pacjentką kliniki Galen?

– Nie wiemy tego. Zarzucamy po prostu szeroką sieć, w nadziei że znajdziemy kogoś, kto przyjmuje ten środek. Klinika Galen ma wielu zagranicznych bogatych klientów, więc możliwe, że jest wśród nich ta kobieta.

Naszą rozmowę przerywają kolejni zwiedzający, którzy wchodzą do sali, dwoje trzydziestoparolatków. Amerykanów, sądząc po dzinsach i butach Nike. Wygląda na to, że Nereidy nieszczególnie ich interesują, bo po chwili przechodzą dalej.

– A wracając do tego weekendowego przyjęcia w Manning House... – odzywa się Diana. – Dowiedz się czegoś więcej o gościach.

– Dobrze.

– Będziemy obserwować drogi i sprawdzać, kto się tam pojawi. I spróbujemy dopisać do listy gości jeszcze kogoś z naszych ludzi.

– Jeszcze kogoś? – Zerkam na nią spod uniesionych brwi. – Kogo?

– Lepiej, żebyś o nim nie wiedziała. Tak będzie bezpieczniej dla was obojga.

– Macie już agenta w otoczeniu Hardwicke'a?

Diana nie odpowiada, patrzy w milczeniu na grobowiec. Poświęciłam dla niej dawne życie, a ona nie chce się ze mną podzielić tak ważną

informacją. Skoro mi nie ufa, powinnam się zastanowić, czy mogę ufać jej.

Podnoszę się raptownie z ławki.

– Jeśli macie tam kogoś innego, to tak naprawdę wcale mnie nie potrzebujecie.

– Potrzebujemy każdego. Bo w każdej chwili możemy któreś z was stracić. Wiesz, z jakimi ludźmi mamy do czynienia. Wiesz, do czego są zdolni. A może już zapomniałaś?

– Zapomniałam? – Odwracam się do niej rozwścieczona. W sali nie ma nikogo prócz nas, nikt nie słyszy, kiedy odpowiadam jej gniewnym szeptem: – Nie było cię przy tym, jak Doku wykrwawiał się na śmierć w Stambule. Ani przy tym, jak podpalili jego siostrę i siostrzenicę niczym ludzkie pochodnie. Doskonale wiem, z jakimi ludźmi mamy do czynienia.

– Więc rozumiesz, dlaczego nie mogę ujawnić, kto jest naszym agentem. Dla jego bezpieczeństwa. I twojego.

Oddzielne zadania, żebyśmy nie mogli zdradzić siebie nawzajem. Jesteśmy od siebie odcięci, musimy działać na własną rękę. Wiem, że to rozsądne rozwiązanie, ale czuję się przez to osamotniona, odizolowana. „Lepiej, żebyś o nim nie wiedziała”, powiedziała Diana, wiem więc, że to mężczyzna. Zastanawiam się, co on wie o mnie. Czy wystarczająco dużo, by narazić mnie na niebezpieczeństwo, gdyby zmusili go do mówienia? Właśnie dlatego czasem lepiej nie wiedzieć, kto jest sprzymierzeńcem, gdy pracuje się na terenie wroga. Zawsze może dojść do zdrady.

Kiedy wychodzę z muzeum, czuję się obnażona, mimo tłumu turystów, który otacza mnie ze wszystkich stron. Tutaj zawsze są turyści, Amerykanie w sportowych butach i z saszetkami na pasie, Japończycy z kijkami do selfie. Owszem, jestem tu anonimowa, ale nie czuję się bezpieczna. Dzwoni mój telefon. Na ekranie nie pokazuje się numer, ale gdy odbieram, od razu rozpoznaję głos.

– Pan Hardwicke chciałby się z panią spotkać. – To Keith, jego ochroniarz.

Przystaję na dole schodów i rozglądam się gorączkowo. Czy ktoś mnie śledził? Czy wiedzą, że przyszedłam tu na spotkanie z Dianą?

– Mówił dlaczego? – pytam, starając się zachować obojętny ton.

– Po prostu chciał z panią porozmawiać.

– Kiedy?

– Teraz. Proszę przyjść do jego gabinetu w Hardwicke Tower. Dwudzieste ósme piętro.

Zastanawiam się, o co może chodzić. Czy dowiedział się, dla kogo pracuję? Zastawia na mnie pułapkę?

– Przykro mi, ale wolałabym wiedzieć, o co konkretnie chodzi – mówię.

– Pan Hardwicke wyjaśni pani wszystko na miejscu.

□ □ □

Biurowiec Hardwicke Tower w dzielnicy Southwark ma trzydzieści pięter i z jego okien roztacza się widok na Tamizę. Odkąd przeprowadziłam się do Londynu, zjadłam w nim kiedyś kolację z Dannym i wielokrotnie mijałam go podczas spacerów wzdłuż rzeki. Nigdy jednak nie miałam okazji odwiedzić siedziby Hardwicke Organization na dwudziestym ósmym piętrze. Można się tam dostać tylko prywatnymi windami, a żeby wejść do którejś z nich, muszę wpisać się do księgi gości w recepcji, pozwolić strażnikowi, by przeszukał moją torebkę, a potem przejść przez bramkę z wykrywaczem metali. Nie jest to tylko gra pozorów: Hardwicke naprawdę obawia się o swoje bezpieczeństwo, co stało się dla mnie oczywiste podczas weselnego przyjęcia, gdy Keith i Victor zamknęli nas w restauracji.

Jadę windą sama i gdy przenosi mnie w ciszy na dwudzieste ósme piętro, przypatruję się swojemu odbiciu w drzwiach. Widzę napięcie na swojej twarzy, czuję, jak gwałtownie bije mi serce. Weź się w garść, nakazuję sobie. Uspokój się. Nie mogę pozwolić, by dostrzegł moje przerażenie. Jestem tylko żoną Danny'ego i przyjechałam tu, by porozmawiać... No właśnie, o czym? Powinnam okazywać jedynie zdziwienie. Zaciekawienie. To właśnie czułaby teraz niewinna Maggie Gallagher i to powinien wyczytać z mojej twarzy.

Rozlega się przytłumiony sygnał, gdy winda zatrzymuje się na dwudziestym ósmym piętrze.

Biorę głęboki wdech i wychodzę prosto na Keitha, który stoi przy biurku. Najwyraźniej na mnie czeka.

– Pani torebka – prosi. – Muszę ją przeszukać. – Jak zawsze jest czarujący.

– Strażnik na dole już ją przeszukał.

– Rozkazy pana Hardwicke'a.

Kładę torebkę na stole i obserwuję, jak ją przetrząsa.

– Musi pani zostawić tu telefon – mówi.

– Słucham?

– Potem dostanie go pani z powrotem. – Podsuwa mi plastikowy pojemnik. – To rutynowa procedura.

Chyba w więzieniu o zastrzonym rygorze, przemyka mi przez głowę. Wyłączam telefon i z ociąganiem wkładam go do pojemnika. Dopiero wtedy Keith wciska guzik domofonu.

– Już tu jest – oznajmia.

Chwilę później otwierają się drzwi. Staje w nich Hardwicke i patrzy na mnie.

– Wejdz, Maggie.

Posłusznie wchodzę do jego gabinetu i słyszę, jak zamyka za mną drzwi na zamek. Sytuacja wygląda coraz gorzej, ale nie mogę mu pokazać, że się boję. Patrzę więc na przeszkloną ścianę z imponującym widokiem na Tamizę.

– O mój Boże. Ogląda pan to codziennie?

– I nigdy mi się to nie nudzi. – Wskazuje na fotel stojący przed jego biurkiem z palisandru. – Usiądź, proszę.

Zajmuje swoje miejsce na tle okna. To dla mnie trochę niedogodne, bo w blasku słońca nie mogę nic wyczytać z jego twarzy, podczas gdy on widzi moją doskonale.

– Zebrałem trochę informacji o tobie – mówi.

– O mnie? – Śmieję się. – Dlaczego pana interesuję?

Przygląda mi się uważnie.

Puls gwałtownie mi przyspiesza, bo uświadamiam sobie, że tylko on i jego ludzie wiedzą, że tu jestem. Myślę o drzwiach zamkniętych na klucz. I o tym, jak łatwo człowiek może zniknąć bez śladu, nawet w Londynie.

– Lubię dobrze znać ludzi z mojego otoczenia. Lubię wiedzieć, kim są i jak trafili do mojego środowiska.

– To proste. Wyszłam za Danny’ego.

– Tak, przypadkowe spotkanie w Bangkoku. Zajmowałam się wtedy importem. – Zerka na plik dokumentów leżących na biurku. – W firmie o nazwie Europa Global Logistics.

Rzeczywiście mnie sprawdził. Ale jak dokładnie?

– Tak, zajmowałam się analizą importu, specjalizowałam się w modzie. W egzotycznych tkaninach.

– Fascynująca praca.

– Żadna praca nie jest fascynująca, kiedy człowiek zajmuje się nią przez dłuższy czas – mówię i w myślach dodaję: nawet bycie agentką CIA. – Ale miałam okazję dużo podróżować.

– I zrezygnowałaś z kariery, żeby wyjść za męża. – Unosi jedną brew i spogląda na mnie. – Naprawdę?

Wchodzimy na grząski grunt, ale udaje mi się swobodnie roześmiać.

– Wie pan, jak to jest. Prawdziwa miłość.

– Nie, nie wiem.

– Nie wierzy pan w prawdziwą miłość?

– Jestem rozwiedziony. Co o tym myślisz?

– Myślę, że Silvia jest piękną kobietą.

Hardwicke wzrusza ramionami.

– Hm... no tak.

Nie może zaprzeczyć temu, co jest oczywiste dla każdego, kto tylko spojrzy na Silwię, lecz jego lekceważący ton dowodzi, jak niewiele to dla niego znaczy. Nie jest jego pierwszą kochanką i prawdopodobnie nie będzie ostatnią.

– Naprawdę zrobiłaś to z miłości? – pyta.

– A z jakiego innego powodu miałabym za niego wychodzić?

– No właśnie! To na pewno jedyny powód?

W głowie migocze mi czerwone światło. Mogę wpaść w pułapkę, jeśli nie będę ostrożna. Serce zaczyna mi bić szybciej.

Hardwicke przygląda mi się przez chwilę, która dłuży się w nieskończoność. Czuję, że właśnie waży się moje życie, postawione na ostrzu noża.

– Naprawdę kocham męża – mówię. – I tak się składa, że podoba mi się też życie w Londynie.

– Nie tęsknisz za Stambułem? Za pracą?

– Brakuje mi regularnych zarobków, oczywiście. Przyznaję, że to trochę niekomfortowe uczucie, kiedy nie ma się własnego źródła dochodów i jest się od kogoś zależnym. Kiedy człowiek dorasta w biedzie, jak ja, pieniądze mają dla niego znaczenie. Duże znaczenie.

Dostrzegam błysk zrozumienia w jego oczach. Pieniądze to coś, co rozumie i ceni. Ociekający złotem hol tego budynku, marmurowe kolumny – to wszystko jest niemym wołaniem o uwagę i szacunek. Chce, by ludzie wiedzieli, że ma pieniądze, mnóstwo pieniędzy. O tak, w tej kwestii doskonale się rozumiemy, a przynajmniej on tak sądzi.

– Mógłby mi pan powiedzieć, o co właściwie chodzi? – proszę. – Zaczynam się czuć jak podczas rozmowy o pracę.

– Zadawanie pytań leży w mojej naturze.

– Zastanawia się pan, czy pana lekarz nie popełnił błędu, żeniąc się z niewłaściwą kobietą?

– Nie. Chodzi o moją córkę.

– O Bellę? – Unoszę brwi.

– Jest bardzo podatna na wpływy. Łatwowierna i zbyt naiwna, by wiedzieć, komu może ufać. – Odchyła się na oparcie fotela i przygląda mi się tak, jakbym była pudełkiem skrywającym tajemnicę, którą chce poznać. – Chciałbym wiedzieć, czy masz na nią dobry wpływ.

– Tak mi się wydaje.

– To ważne, jeśli chcesz przebywać w otoczeniu mojej córki. Pewnego dnia to ona będzie kontrolować to królestwo, ale na razie musi nabrać trochę rozumu. Chętnie bym się tym zajął, ale jestem tylko jej ojcem. Ty natomiast... Polubiła cię. Ciągłe wypytywanie, kiedy znów zaproszę na kolację ciebie i twojego męża.

– Nie mam pojęcia, dlaczego ma do mnie taki stosunek – mówię, chociaż dobrze wiem. To ten woreczek z niebieskimi tabletkami. Nie zdradziłam jej tajemnicy, a w oczach nastolatki to czyni ze mnie jej sprzymierzeńca. Dwukrotnie byliśmy z Dannym na przyjęciu w Hardwicke Tower i przy obu tych okazjach Bella spędziła cały wieczór u mojego boku.

– Może dlatego, że zajmowałam się modą, a to ją chyba bardzo interesuje.

– Ja też nie mam pojęcia. Zresztą ja tylko opłacam jej rachunki.

– Chętnie udzieliłabym jej paru rad związanych z modą. Mogłabym zabrać ją na zakupy.

– Byłoby dobrze, gdybyś mogła ją czymś zająć i dopilnować, żeby nie wpakowała się w kłopoty. Silvia i ja będziemy bardzo zajęci, a nie chcę, żeby chodziła naburmuszona i robiła nam wstyd przy gościach.

– Kiedy miałabym się tym zająć?

– Podczas przyjęcia w Manning House za trzy tygodnie.

– Chce pan, żebym dotrzymywała towarzystwa pana córce, tak?

– Ach... Chcesz, żeby ci za to zapłacić, tak?

– Nie, chcę tylko wiedzieć, co dokładnie miałabym robić.

– Zabawiać moją córkę. Dopilnować, żeby przyzwoicie się zachowywała.

– Jest nastolatką.

– W tym właśnie problem. Myślisz, że sobie poradzisz?

Udaję, że rozważam jego propozycję. Nie mogę okazywać zbyt wielkiego entuzjazmu, bo kto tak naprawdę chciałby się użerać z nastolatką?

– Tak, spróbuję.

Wyciąga książeczkę czekową.

– Ile za to chcesz?

- Nie musi mi pan płacić.
- Skoro będziesz dla mnie pracować, musisz dostać zapłatę.
- Nie za to. Lubię Bellę. Nie chcę dostawać pieniędzy za to, że będę jej przyjaciółką.

Mierzy mnie takim spojrzeniem, jakby wypatrywał jakiejś wady, którą przeoczył. Dla niego to, że rezygnuję z pieniędzy, nie ma sensu, a ja zastanawiam się, czy jednak nie powinnam ich przyjąć. W końcu wzrusza ramionami i odkłada książeczkę czekową na biurko.

- Jak wolisz. Ale pamiętaj, że proponowałem.

□ □ □

Dochodzi ósma, kiedy Danny wraca tego wieczoru do domu. Zjadłam już kolację, a dla niego odłożyłam porcję łososia i młodych ziemniaków do podgrzania. Siedzę na sofie i popijam whisky, gdy słyszę trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Wchodzi do salonu, wnosząc ze sobą zapach mydła, środka dezynfekującego i zmęczenia, i opada ciężko obok mnie.

- Witaj, żeglarzu – mówię.
- Boże, co za dzień! Mamy plagę norowirusów, wszyscy klienci wymiotują. Miałem aż cztery wizyty domowe, co oznacza, że pewnie też zachoruję.

Wstaję i nalewam whisky do szklanki.

- Chcesz się napić?
- Tak. I chcę wakacji.

Podaję mu szklankę.

- Biedaczysko. Podgrzeję ci kolację. A potem zarezerwuję bilety do dowolnego miejsca na ziemi, do którego chciałbyś pojechać.

– Dokądkolwiek. Byle z tobą. – Przyciąga mnie i sadza z powrotem na sofie. – A ty co dzisiaj robiłaś?

– Chodziłam po mieście.

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić.

– Kiedy?

– Koło południa. Chciałem ci powiedzieć, żebyś nie czekała na mnie z kolacją, ale chyba miałaś wyłączony telefon.

W południe siedziałam w sali numer 17 w British Museum i składałam raport Diane, ale to coś, o czym mój mąż nie może wiedzieć. Szukam w myślach innego wyjaśnienia i znajduję takie, które można potwierdzić.

– Spotkałam się z Phillipem Hardwickiem.

Czuję, jak mięśnie jego ramienia tężeją.

– Co?! Jak to się stało?

– Poprosił, żebym przyszła do jego biura.

– Dlaczego?

– Chciał porozmawiać.

– O czym?

– O córce, która podobno sprawia typowe dla nastolatki problemy. Hardwicke chce, żebym pomogła mu nad nią zapanować. Prosił, żebym ją zabawiała, kiedy będziemy w Manning House.

Danny pociąga łyk whisky.

– To jedyny powód, dla którego się z tobą spotkał?

– Tak.

– I zrobisz to?

– Mam tylko dotrzymać towarzystwa Belli. Chciał mi nawet zapłacić, ale odmówiłam.

– Jesteś pewna, że chcesz brać w tym udział, Maggie? – pyta cicho.

– Będę przecież z tobą. Weekend w domu na wsi może być całkiem przyjemny. A z Bellą poradzę sobie bez trudu.

Wzdycha i przeciąga dłonią przez włosy.

– Musisz wiedzieć, że to nie są mili ludzie. Goście, których zaprasza Hardwicke, należą do innego świata. Dla nich jesteśmy kimś w rodzaju służby.

– Nie spodziewasz się więc, że może ci się tam spodobać?

– Dla nas to nie będzie zabawa. Jestem tam, żeby zajmować się ich zasmarkanymi nosami i skręconymi kostkami.

– A ja żeby opiekować się dzieckiem.

– Na to wygląda. Swoją drogą, ta dziewczyna to rozpuszczony bachor.

– Ma piętnaście lat. W tym wieku wszystkie dzieciaki są bachorami. Ja też byłam.

Danny parska śmiechem.

– W to akurat gotów jestem uwierzyć.

Wstaję i sięgam po butelkę whisky, żeby napełnić szklanki. Kiedy wracam na sofę, Danny wpatruje się w przestrzeń. Moszczę się obok niego.

– Myślałem o dniu, w którym się poznaliśmy – mówi. – Wspominałem, jak cudownie czuliśmy się oboje, zwiedzając Tajlandię.

– Byliśmy młodszy. Biedniejsi.

– Tak, ale wolni.

– Ja miałam pracę.

– Pracę, którą uwielbiałaś. Pamiętam, jak myślałem wtedy o tobie: to kobieta, dla której domem jest cały świat. A teraz jesteś tutaj, uwięziona w tym mieszkaniu, i nalewasz mi drinki.

– Jestem z tobą, kochanie. Właśnie tu, gdzie chcę być.

– Naprawdę? – pyta tak cicho, jakby szeptał do siebie. Jakby właściwie nie chciał tego powiedzieć, ale nie mógł zachować tych wątpliwości dla siebie.

– O co chodzi? Co cię dręczy?

– Chciałbym, żebyśmy byli tacy jak kiedyś. Zanim zacząłem pracować w Galen. Zanim wciągnęły mnie pieniądze. – Oddycha głęboko. – A gdybyśmy tak rzucili to wszystko? – Odstawia szklanę z whisky i patrzy na mnie. – Wsiedli do samolotu i polecili do Ameryki Południowej? Albo do Indii? Albo dokąd tylko byśmy zapragnęli?

Mówi poważnie. Wciąga mnie w swoją fantazję, w tę kuszącą wizję wspólnej ucieczki w miejsce, w którym moglibyśmy zapomnieć o Dianie, Hardwicke’u i czających się w ukryciu ludziach z pociskami i bombami. Ale to właśnie przez nich nie mogę uciec. Muszę zostać i walczyć.

– Moje biedactwo, jesteś po prostu zmęczony – mówię. – Wyśpisz się, a rano wszystko będzie wyglądało inaczej.

Nie odpowiada, ale widzę, jak gaśnie entuzjazm w jego oczach. Czuję się tak, jakbym zabiła właśnie coś, co dawało nadzieję, zniszczyła jedyną szansę, jaką oferował nam los, ale muszę to zrobić. To mój obowiązek. Także wobec niewinnych ofiar.

– Ale bądź ostrożna, dobrze? – mówi. – Uważaj na siebie przy Hardwicke’u. I przy jego ludziach.

– Dlaczego?

– Nie ufam im. – Patrzy mi prosto w oczy. – I ty też nie powinnaś.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Widziałam zdjęcia wiejskiej rezydencji Hardwicke'a, zwykle i satelitarne, wiem więc, czego się spodziewać, ale i tak gdy widzę Manning House na własne oczy, jestem pod wrażeniem. Najpierw musimy zatrzymać się z Dannym przy kamiennej stróżówce, gdzie strażnik sprawdza nasze nazwiska na liście i dopiero wtedy pozwala nam jechać dalej, drogą z pięknymi platanami po obu stronach. W oddali widać dom wznoszący się po drugiej stronie jeziora. Zdjęcia nie oddawały należycie blasku słońca odbitego od fasady z czerwonej cegły ani szmaragdowego lśnienia trawnika wokół rezydencji. Kiedy podjeżdżamy bliżej, widzę stajnie, powozownię, ogród węzłowy, a dalej wymyślny pawilon. Czytałam, że ten pałac z czasów króla Jakuba, z siedmioma oknami wykuszowymi i attyką, wybudowano dla jakiegoś hrabiego. Zastanawiam się, co czułby hrabia, gdyby wiedział, że kilka wieków później w jego rezydencji zamieszka człowiek, który zarabia na handlu z wrogami Anglii.

– Boże, Danny – mówię cicho. – To prawdziwe zamczysko.

– W którym jest okropnie zimno i pełno przeciągów. Okna trzęsą się w ramach, a zanim z prysznicza popłynie ciepła woda, trzeba czekać całą wieczność.

– Naprawdę bardzo się starasz zareklamować mi ten weekend.

– Nieważne, jakie czekają nas tu luksusy, tak czy inaczej jesteśmy tu w pracy.

Zatrzymuje się przed rezydencją i wysiadamy z samochodu, oboje zeszywniali po długiej podróży z Londynu. Gdy Danny wyjmuje torby

z bagażnika, podnoszę wzrok i widzę, że ktoś patrzy na nas z okna. Silvia.

Otwierają się drzwi i z domu wychodzi ochroniarz.

– Doktorze Gallagher. Pani Gallagher.

– Keith. – Danny kiwa głową.

– Zatrzymają się państwo w Pokoju Fiołkowym. Jest na drugim piętrze, we wschodniej części...

– Wiem gdzie – rzuca mój mąż.

Zwykle nie odzywa się do ludzi tak szorstko. Najwyraźniej jest bardzo niezadowolony, że musiał tu przyjechać. Bierze nasze bagaże i wchodzimy do domu. Potem idąc szerokimi schodami, mijamy portrety nobliwych dam w sukniach w stylu empire i dżentelmenów siedzących na koniach, nie są to jednak przodkowie Hardwicke'a; jego rodzinna fortuna powstała dwa pokolenia temu. Została zgromadzona przez jego dziadka, który podczas drugiej wojny światowej sprytnie inwestował w przemysł zbrojeniowy.

Wojna przysłużyła się Hardwicke'om.

Na pierwszym piętrze Danny prowadzi mnie w głąb korytarza, w którym podłoga jest wyłożona dywanem. Mijamy pokoje oznaczone różnymi kolorami; na drzwiach są mosiężne tabliczki z nazwami. *Pokój Bursztynowy. Pokój Szafirowy. Pokój Różany...* Nic tak zwyczajnego czy prostego jak Pokój Niebieski czy Czerwony. Docieramy do końca korytarza, do drzwi prowadzących do tej części domu, która bez wątpienia przeznaczona jest dla służby. Klatka schodowa jest tu znacznie węższa. Mijamy pokojówkę w uniformie, która niesie naręczę świeżej pościeli, i docieramy tędy na drugie piętro.

W Pokoju Fiołkowym wszystko jest fiołkowe: zasłony, kapa na łóżku, tapeta. Spodziewałam się ciasnego wnętrza, ale pomieszczenie jest wystarczająco duże i wygodne jak dla lekarza i jego żony. Odruchowo

wypatruję kamer monitoringu, ale nie widzę żadnych. Nie jesteśmy na tyle ważni, by ktoś chciał nas kontrolować.

Okno wychodzi na kuchenny ogród i park. Między kamiennymi posągami i bukszpanowymi żywopłotami wije się zwirowa dróżka i przed lasem rozdziela się na kilka ścieżek prowadzących w różnych kierunkach. Można tu do woli spacerować.

I ukrywać się.

Danny rozpakowuje walizkę, wyjmując z niej elegancką marynarkę, krawat i buty do garnituru. Kiedy wiesz marynarkę w szafie, podchodzę do niego od tyłu i obejmuję go w pasie.

– Przynajmniej spędzimy weekend razem – mruczę.
– Zobaczysz, jak trywialne będą moje obowiązki.
– Ratujesz ludziom życie, Danny. To nie jest trywialne.
– Będę miał okazję uratować ludzkie życie tylko wtedy, jeśli ktoś nie trafi rzutką do tarczy i przypadkiem wyceluje w innego gościa.

– To byłoby ekscytujące.

Odwraca się i mnie obejmuje.

– Nie tak ekscytujące jak weekend w domu z tobą. Musimy tu siedzieć w towarzystwie ludzi, którzy mają za dużo cholernych pieniędzy i udają, że są angielskimi arystokratami. Będą strzelać do rzutek, zbyt dużo pić i jeść, a potem zaczną się domagać, żebym leczył ich kaca i niestrawność.

– Właśnie dlatego wszyscy tu przyjeżdżają? Żeby się upić i najeść?

– To też, ale przede wszystkim są tu w interesach. Załatwiają transakcje, poznają ludzi, którzy mogą im się przydać...

– Jakie transakcje? – przerywam mu.

– Wolę nie wiedzieć, więc staram się nie zwracać na to uwagi. – Zamyka szafę. – Powinnaś brać ze mnie przykład.



Zdaniem gadatliwej kucharki na kolacji mają się stawić trzydzieści cztery osoby. Podobnie jak lekarze pracownicy kuchni wiedzą wszystko o przypadłościach i chorobach gości, więc jednym z pierwszych miejsc, które odwiedzam, jest kuchnia. Mówię szefowej, że kiedyś pracowałam w restauracji i jestem ciekawa, jakie menu przygotowali na dzisiejszy wieczór. Dowiaduję się, że wśród gości jest troje wegetarian, jedna osoba uczulona na owoce morza oraz dwójka na diecie bezglutenowej. Kucharka zdradza mi również, że przed weekendem przywieziono mnóstwo skrzynek z winem, sera, rostbefu, szynki, perliczek i przepiórek. Personel kuchenny zacznie pracę przed świtem, by upiec chleb i ciasta, a potem będzie tyrać aż do północy i skończy pracę zmywaniem naczyń.

A następnego dnia z rana wszystko zacznie się od nowa.

Szefowa kuchni gotuje również w londyńskim domu Hardwicke'a, może więc mi zdradzić, że jej pracodawca lubi tradycyjne dania z mięsa i ziemniaków, Silvia, choć jest Włoszką, nie jada makaronu, a Bella oznajmiła ostatnio, że jedzenie mięsa jest niewymownie okrutne. „Ale jestem pewna, że ta zwariowana dziewczyna za chwilę znów zmieni zdanie – dodaje kobieta. – W przyszłym tygodniu nie będzie chciała jeść niczego prócz rostbefu”. Wie również, o jakiej porze rodzina je śniadanie, wie, że Hardwicke często podjada wieczorem tosty z anchois i że nie znosi pomidorów. Wszystko to nie wydaje mi się szczególnie przydatne, ale jednak to jakieś informacje.

Zawsze rozmawiaj z kucharzem.

Po wizycie w kuchni idę do ogrodu i spaceruję po żwirowej ścieżce, wśród klombów lawendy i rozmarynu i między rzędami bukszpanowego żywopłotu. Siadam na kamiennej ławce, z której mogę obserwować

samochody zajeżdżające przed dom i nowych gości. Z czarnej limuzyny wysiada bardzo otyły mężczyzna, który wygląda tak, jakby w każdej chwili mógł dostać zawału; być może Danny będzie musiał ratować komuś życie. Kiedy patrzę na tego mężczyznę, drepczącego powoli do wejścia, za moimi plecami ktoś woła:

– Wiem, dlaczego tak naprawdę tu jesteś, Maggie!

Odwracam się i widzę Bellę, która idzie do mnie ścieżką przecinającą ogród. Znowu ma na sobie różową sukienkę, tak jaskrawą, że niemal świeci w przytłumionych szarościach i fioletach ogrodu. Zgrzała się w popołudniowym słońcu; jej policzki są wilgotne i różowe, a gdy siada obok mnie na ławce, dostrzegam pot lśniący na meszku nad jej górną wargą.

– Słyszałam, jak o tobie rozmawiali – mówi.

– Kto o mnie rozmawiał?

– Mój tata i ten dupek Victor. Znam twoją tajemnicę. – Mówi to swobodnym tonem, jakby mnie informowała, że zgodnie z prognozą pogody jutro ma być deszcz.

Przed rezydencję zajeżdża kolejna limuzyna i wysiada z niej para w średnim wieku. Z domu wychodzi Keith, by ich powitać. Keith i Victor, goryle Hardwicke'a... Przypominam sobie o ludziach z jego otoczenia, którzy zmarli w tragicznych okolicznościach. Mężczyzna spalony żywcem w samochodzie, drugi wypchnięty przez okno i zastrzelona kobieta. Jeśli rozgniewasz Phillipa Hardwicke'a, słono za to zapłacisz.

Zachowaj spokój, nakazuję sobie. Traktuj wszystko z dystansem.

– Dlaczego mieliby rozmawiać właśnie o mnie? – pytam.

– Victor chciał się dowiedzieć o tobie czegoś więcej. Pytał, czy twoja obecność nie stwarza jakiegoś ryzyka.

– Ryzyka? – Parskam śmiechem. – To wariactwo.

– Bo Victor jest wariatem. Silvia go nie znosi. Mówi, że ciągle gapi się na jej piersi.

Nic dziwnego: Silvia ma bardzo ładne piersi.

Nowo przybyła para znika we wnętrzu domu, a szofer przejeżdża dalej, by zaparkować limuzynę obok innych samochodów na dziedzińcu przy stajni. Na razie przyjechało dwanaście aut; wszystkie zostały zarejestrowane przez kamery, które nagrywają obraz z dróg prowadzących do Manning House. Zastanawiam się, czy agent Diany jest już na terenie posiadłości. Chciałabym wiedzieć, kto nim jest i czy będę mogła liczyć na jego pomoc, jeśli będę musiała uciekać stąd w pośpiechu.

– O jakim ryzyku mówił Victor? – pytam.

Bella zmienia jednak temat.

– Jesteś tu ze względu na mnie – mówi.

– Tak?

– Tata płaci ci, żebyś się mną opiekowała. – Oczywiście! Nastolatki uważają, że cały świat kręci się wokół nich.

– Nie płaci mi – odpowiadam.

– Ale masz się mną opiekować, prawda?

Patrzę jej prosto w oczy.

– Owszem, twój tata prosił, żebym cię pilnowała, ale to wcale nie znaczy, że się na to zgodziłam.

– A na co się zgodziłaś?

– Przyjechałam tu, żeby spędzić weekend z mężem. Nie dostaję za to żadnego wynagrodzenia i z pewnością nie jestem tu po to, żeby ci mówić, co możesz robić, a czego nie. – Milknę na moment i spoglądam na jej sukienkę, która podkreśla to, czego nie powinna podkreślać. – Ale dam ci małą przyjacielską radę. Nie noś różowych ciuchów, Bella. Mówię

poważnie. Choćby ze względu na rude włosy powinnaś całkowicie usunąć ten kolor z garderoby.

Patrzy w dół, na swoją sukienkę, a potem podnosi wzrok na mnie i unosi brwi.

– Jeszcze nikt mi tego nie mówił.

Wzdycham głośno.

– Teraz pewnie cię wkurzyłam.

– Przynajmniej powiedziałaś mi prawdę.

– Zawsze staram się mówić prawdę. – Kiedy nie muszę kłamać, dodaję w myślach.

– Cholera! – Wstaje z ławki.

– Dokąd idziesz?

– Zedrzeć z siebie tę szmatę i wyrzucić ją do śmieci.

– To chyba bardzo droga sukienka. Powinnaś ją oddać do sklepu charytatywnego, nie uważasz?

– Dobra, niech będzie. – Rusza w stronę domu, zatrzymuje się jednak po kilku krokach i zawraca. – Mogłabyś... hm... pójść ze mną do mojego pokoju?

– Jasne. Ale dlaczego?

– Jako jedyna powiedziałaś mi, że nie powinnam nosić różowych ubrań. Może przejrzysz moje ciuchy i powiesz mi, co powinnam zatrzymać, a co wyrzucić. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, oczywiście.

Patrzę w te oczy prawie bez rzes i myślę o tym, jak musi się czuć, uwięziona w tym wielkim domu, z ojcem, który wcale się nią nie interesuje, i jego kochanką, piękną kobietą, co tylko podkreśla niedoskonałości Belli. Myślę o tym, co prawdopodobnie musi znosić w szkole i internacie, gdzie

codziennie styka się z dziewczynami, które są równie bogate jak ona, ale mają idealne włosy i figury.

– Bardzo chętnie obejrzę twoją garderobę.

Kiedy idziemy do domu, Bella pyta:

– Nie mówiłaś mojemu tacie o tabletkach, co?

– Oczywiście, że nie.

– Inni od razu na mnie kapują. Keith i Victor. Silvia. Nawet pokojówki.

– Nigdy bym ci tego nie zrobiła.

– Dzięki.

Przez chwilę patrzymy na siebie, dwie konspiratorki, które nawiązały nic porozumienia, bo obie wiedzą, jak cenne jest milczenie.

– Umiem dochować tajemnicy – mówię.

Dziewczyna uśmiecha się do mnie chytrze.

– Ja też – rzuca.

□ □ □

Ściany bogato zdobionej sypialni Belli są szmaragdowe, listwy pod sufitem i przy podłodze lśnią złotem, a łóżko ma aksamitny baldachim. To pokój godny królewskiego rodu, do czego najwyraźniej aspiruje Hardwicke, lecz jego córka stojąca przed garderobą, różowa i spocona, wcale nie wygląda na księżniczkę.

– To wszystko jest do dupy, co? – mówi. Ściąga z wieszaków dwie sukienki i rzuca je na łóżko, na rosnącą stertę ubrań, których nie chce już nosić. – Co ja sobie w ogóle myślałam, kupując to?

– To z pewnością nie jest do dupy. – Podnoszę jedną z sukienek, które właśnie odrzuciła. To dzieło włoskiego projektanta, piękny jedwab

z misternymi zdobieniami. Na pewno bardzo drogie, ale i obcisłe. – Tylko to nie jest styl, który do ciebie pasuje.

– Czyli muszę mieć coś, za czym się schowam, tak?

– Z pewnością nie powinnaś się ukrywać. Przeciwnie, powinnaś być widoczna.

– Mama tak nie uważa. – Rzuca na stertę kolejną sukienkę w różowe i pomarańczowe psychodeliczne paski. – Chyba się mnie wstydzi.

– Och, Bella, to niemożliwe.

– Nie znasz jej. Mama jest chodzącym ideałem. Zawsze taka była.

Stoi odwrócona do mnie plecami, więc nie widzę jej twarzy, słyszę jednak smutek w jej głosie, widzę też, jak garbi się przed szafą pełną ubrań, jakby zaprojektowanych przez okrutny przemysł odzieżowy specjalnie po to, by upokorzyć dziewczyny takie jak ona. Chcę wyciągnąć do niej rękę, dotknąć jej ramienia, pocieszyć ją, ale w ten sposób przekroczyłabym emocjonalną linię, zza której nie mogłabym się już wycofać. Wciąż muszę sobie przypominać, że nie jestem tu, żeby się z nią przyjaźnić. Jestem tu po to, by ją wykorzystać, a potem odejść. Nie mogę pozwolić, by nasze relacje nabrały większego znaczenia.

Patrzę za okno, z którego rozciąga się widok na podjazd ze szpalerem drzew, widzę, jak pod drzwiami zajeżdża range rover. Z domu wychodzi Keith, by przywitać nowo przybyłych, młodą parę, która przywiozła ze sobą mnóstwo bagaży.

Bella staje obok mnie.

– Nienawidzę tych weekendów – mówi, patrząc na gości. – Tych ludzi, którzy przymilają się do taty. Udają, że mnie lubią.

– A dlaczego mieliby cię nie lubić? Ja cię lubię.

– Tylko dzięki tobie da się to jakoś znieść. Gdyby cię tu nie było, wolałabym spędzić ten weekend w szkole.

– Mówiłaś o tym ojcu?

– Twierdzi, że muszę tu być, żeby poznać tych ludzi. Zapamiętać, jak się nazywają i czym się zajmują.

– Bo zakłada, że kiedyś przejmiesz jego interesy.

– Jakbym tego chciała! – rzuca i spogląda na mnie. – Wolałabym robić to co ty. Zajmować się modą.

Uśmiecham się do niej.

– Powinnaś robić to, co chcesz. To nie jest jego życie, Bella, tylko twoje.

– Nie, nie jest. – Patrzy za okno. – Mówi, że jestem jedyną osobą, której może ufać i przekazać interesy. Co mam na to odpowiedzieć?

– Mogłabyś po prostu odmówić.

– Nie znasz go.

Myli się. Znam go, i to dobrze. Wiem o nim rzeczy, o których ona nie ma pojęcia, a z pewnością przejęłyby ją grozą. Właśnie dlatego powinnam jej powiedzieć: „Uciekaj, Bella. Uciekaj szybko i daleko, zanim dosięgnie cię ta trucizna”. Ale nie mogę tego zrobić. Nie mogę jej uratować. Mogę jedynie stać z boku i obserwować niczym entomolog, jak pająk snuje sieć wokół swej ofiary.

Nie mogę się nawet zdobyć na to, by spojrzeć na tę dziewczynę, która jest pionkiem w rękach wszystkich z jej otoczenia. Podchodzę więc do jej garderoby, przeglądam ubrania i wyciągam sukienkę koktajlową z czarnego jedwabiu. Ma głęboki dekolt i rozszerzaną spódnicę.

– To – mówię. – Włóż to wieczorem.

– Mama mi ją kupiła.

– Więc twoja mama ma gust.

Bierze ode mnie sukienkę i marszczy czoło.

- Jest czarna.
- Będziesz w niej dobrze wyglądać. – Uśmiecham się. – Zaufaj mi.

□ □ □

Wieczorem Bella wychodzi na taras na tyłach domu w czarnej sukience koktajlowej; to kolor bezpieczny dla każdej figury. Ja stoję na skraju grupy gości, trzymając kieliszek ze schłodzonym różowym winem. Widzę, jak dziewczyna wychodzi przez drzwi balkonowe i nim ktoś może ją powstrzymać, bierze kieliszek białego wina z tacy i obchodzi gości szeroki łukiem, jakby odpychana jakąś niewidzialną siłą. Przygląda się stołowi zastawionemu suto jedzeniem, bez przekonania nakłada na talerz kilka szparagów i kawałków marchewki, po czym rusza w moją stronę. Po drodze zatrzymuje się przy stole z mięsem i patrzy na lśniące pieczone żeberka.

- Boże, wygląda to tak, jakby ułożyli tu połowę krowy – mówi.
- To wołowina aberdeen angus, panienko – tłumaczy kelner. – Najlepsza. Ukroić panience kawałek?
- Nie! Jestem wegetarianką. – Krzywi się z odrazą i podchodzi do mnie.
- Ładnie wyglądasz w tej sukience – mówię.
- Jak można jeść takie krwiste mięso?
- Od kiedy jesteś wegetarianką?
- Od zawsze.

Pamiętam jednak doskonale, jak na moim przyjęciu weselnym w zeszłym roku łapczywie jadła wołowinę wellington. Tyle właśnie warte są deklaracje nastolatków.

- Gdzie jest twój mąż? – pyta, patrząc na gości.

– Na górze. Jedną ze znajomych twojego ojca użądliła pszczoła i zrobił się z tego mały dramat. Cieszę się, że przyszedłeś, bo nikogo tu nie znam.

Bella moczy kawałek marchewki w dipie z serem pleśniowym.

– To ci sami ludzie co zwykle – rzuca. – Tata często ich zaprasza.

– Wiesz, kim są?

– W większości. Tata ciągle powtarza ich nazwiska i mówi, że muszę je zapamiętać. – Odgryza kawałek marchewki, po czym resztą wskazuje na dwóch mężczyzn pograżonych w rozmowie. – Ten facet to Damien Cawley, analityk kredytowy z Deutsche Banku. A ten drugi to Oleg, z Białorusi. Ma hotele na całym świecie i był na tyle miły, że w zeszłym roku urządził mi urodziny w Battenbergu. To też jego hotel.

– Znasz jego nazwisko?

– Och, nie pamiętam. Coś słowiańskiego. Jest spoko. Nawet pozwolił mi pić szampana w moje urodziny.

Dla nastolatki to najważniejsze.

Obserwuję, jak Oleg i Damien niemal dotykają się głowami, pochłonięci cichą rozmową. Pieniądze i pralnia. Podziwiam Bellę, że tyle wie o znajomych ojca. To oczywiste, że Hardwicke ją szkoli. I choć dziewczyna twierdzi, że nie interesują jej jego sprawy, to najwyraźniej nie puszczała jego nauk mimo uszu.

Po drugiej stronie tarasu kobieta, wyraźnie wstawiona, śmieje się głośno.

– Kto to? – pytam.

– Och, ona – prycha Bella. – Kiedy była tu ostatnio, zrzygała się na trawniku przy wszystkich. To było obrzydliwe. Nie wiem, dlaczego mąż jeszcze się z nią nie rozwiódł.

– A czyja to żona?

– Sandy’ego Shorehama. Parlamentarzysty. – Wskazuje na mężczyznę w okularach, który klepie żonę po ramieniu i próbuje ją uspokoić. Znam to nazwisko. Shoreham należy do ludzi, którzy są tak bezbarwni, że można ich łatwo przeoczyć, mimo że jest prominentnym członkiem partii konserwatywnej i posłem.

Przechodzi obok nas Silvia. Jej rozpuszczone czarne włosy lśnią w blasku lamp, sukienka opina wszystkie krągłości. Kilku mężczyzn odwraca się i odprowadza ją wzrokiem, ale kochanka gospodarza wydaje się nieobecna, nieświadoma ich spojrzeń. Nie widziałam dziś, żeby coś jadła; zachowanie tak szczupłej sylwetki wymaga dyscypliny.

– O cholera – szepcze Bella. – Weź mój kieliszek. Szybko.

– Co się dzieje?

– Tata. – Podaje mi kieliszek.

Biorę go w chwili, gdy Hardwicke spogląda w naszą stronę. Unosi brwi, widząc nas razem. Córka posyła mu niewinny uśmiech, jakby chciała powiedzieć: „Tak, opiekunka tu jest, wykonuje swoje zadanie”. Jej ojciec kiwa głową, odwraca się i idzie do gości.

Bella bierze ode mnie swój kieliszek i wypija resztę wina.

Żona Sandy’ego Shorehama śmieje się jeszcze głośniej, odchyła głowę i chwieje się na wysokich obcasach. Na każdym przyjęciu jest ktoś taki, gość, nad którym inni kręcą głowami, który obudzi się następnego dnia rano z okropnym poczuciem wstydu. Niemal jest mi jej żal, bo chyba rozumiem, co czuje, zmuszona do uczestnictwa w takich smutnych imprezach, by jej mąż mógł nawiązywać i pogłębiać znajomości z bankierami i oligarchami. Tak jednak prowadzi się interesy, te legalne i te nielegalne. Hardwicke tylko gromadzi ich wszystkich w jednym miejscu.

Obserwuję go, kiedy krąży między gośćmi, klepie ich po plecach, pochyla się, by ich wysłuchać, uśmiecha się do żon. Towarzyszy mu stale

Victor, człowiek, którego tak nie znosi Bella. Który gapi się bezczelnie na piersi Silvii. Właśnie spogląda w moją stronę. Wiem, że o mnie wypytywał. Jego spojrzenie mnie krępuje, odwracam się więc od niego.

I staję twarzą w twarz z mężczyzną w okularach o grubych szklach. Ma ciemne włosy, a marynarka wisi mu na ramionach, jakby niedawno schudł. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, odchodzi. Odprowadzam go wzrokiem, gdy schodzi z tarasu na trawnik.

– Kim jest ten człowiek? – pytam Bellę.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Jeden z ludzi ojca. Widziałam go tylko kilka razy.

– Wiesz, jak się nazywa?

– Stephen jakiś tam. Nie pamiętam wszystkich, których przedstawia mi ojciec. O, patrz, przynieśli desery!

Bella idzie do stołu z jedzeniem, ale ja wciąż patrzę na mężczyznę w okularach o grubych szklach. Opuszcza nisko głowę i trzyma ręce w kieszeniach, jakby próbował wtopić się w tło. Gdy znika za rogiem domu, Victor i Hardwicke schodzą z tarasu i ruszają za nim.

Dzieje się tu coś dziwnego.

Odstawiam kieliszek i okrążając gości, nie spuszczam wzroku z tych dwóch. Kiedy zatrzymują się, rozglądam się, sprawdzając, czy ktoś mnie obserwuje, nikt jednak nie patrzy w moją stronę. Nikogo nie obchodzi, co robi żona lekarza.

Schodzę na trawnik, po którym trudno chodzić w szpilkach. Wydaje się, że Victor i Hardwicke, nie śpiesząc się, zmierzają bez wahania w stronę wschodniego skrzydła domu. Idę w sporej odległości za nimi, jakbym chciała obejrzeć posiadłość. Docieram do rogu wschodniego skrzydła i przystaję w cieniu krzewu bzu. Hardwicke i Victor przecinają dziedziniec, kierując się do stajni.

– Maggie?

Odwracam się i widzę Danny’ego. Za krzewem bzu jest całkiem ciemno, nie widzimy więc swoich twarzy. Jesteśmy postaciami bez twarzy, spotykającymi się w mroku. Może zawsze nimi byliśmy.

– Co ty tu robisz? – pyta.

– Chciałam coś zabrać z samochodu. – Wskazuję głową na dziedziniec, gdzie są zaparkowane samochody gości.

– Mogę ci to przynieść. Czego potrzebujesz?

– Książki. Zostawiłam ją chyba na tylnym siedzeniu.

– Sprawdzę. Jak się bawisz?

– Doskonale.

– A jak Bella? Dobrze się sprawuje?

– Oprócz tego, że podkrađła kieliszek wina, to całkiem przyzwoicie.

A jak ofiara pszczoły?

Danny wzdycha ciężko i spogląda na okna na piętrze.

– Zachowuje się tak, jakby trzeba jej było amputować rękę. Przyniosę ci tę książkę. Do zobaczenia na tarasie.

Idzie w stronę naszego samochodu, ale nie znajdzie książki na tylnym siedzeniu, bo jej tam nie ma. To było kolejne kłamstwo, którym zwiodłam męża.

Będzie ich więcej.

□ □ □

Mija trzecia nad ranem, gdy ubieram się cicho w ciemności i wymykam z pokoju, podczas gdy Danny jest pogrążony we śnie. Nie spałam od kilku godzin, czekając, aż ucichnie brzęk naczyń w kuchni i szum wody w rurach.

Idę w dół skąpo oświetloną klatką schodową dla służby. Za kilka godzin obsługa wróci do pracy, by przygotować śniadanie, ale teraz, przed świtem, wszyscy śpią najmocniej, a na schodach i w korytarzu nie ma nikogo prócz mnie.

Wszystkie światła w kuchni są zgaszone; tylko nikłe światło z zewnątrz odbija się od powierzchni ze stali nierdzewnej. Przechodzę niemal po omacku przez mrok, mijam wielką lodówkę, zlewy i blaty, po czym wychodzę na zewnątrz, do kuchennego ogrodu.

Czas zajrzeć do stajni.

Właśnie tam zniknęli w trakcie przyjęcia Hardwicke, Victor i mężczyzna w okularach. Minęła niemal godzina, nim gospodarz i jego ochroniarz wrócili do gości. Chcę się dowiedzieć, co ich zatrzymało.

Idę ścieżką przez ogród, nad którym unosi się woń lawendy i rozmarynu, i docieram do frontowej części domu. W oknach na piętrze jest ciemno, goście śpią. Wypili wiadra wina i whisky; rano większość z nich będzie leczyć kaca sokiem pomidorowym i aspiryną, ale na razie wszędzie panuje cisza.

Idę dalej, raz po raz zanurzając się w cieniach. Chowając się za samochodami, docieram do stajni. W środku jest ciemno, nie widzę koni, czuję jednak ich zapach. I słyszę je: kopyto uderzające o ziemię, powitalne rżenie.

Włączam latarkę i snop światła pada na oko, które patrzy na mnie z boku. Co ci trzej tu robili? Raczej nie przyszli do stajni, by podziwiać konie. Przesuwam snop światła latarki po zasłanej słomą ziemi. Nie wiem, czego szukam, ale będę wiedziała, gdy to zobaczę. Kawałek dokumentu. Niedopałek papierosa z DNA palacza. Szukam wskazówki, dzięki której domyślę się, jakie prowadzono tutaj interesy.

Najpierw idę do biura zarządcy stajni. Stoją tu dwa krzesła i biurko. Na ścianach wiszą zdjęcia pięknych koni. Przeszukuję biurko, przeglądam księgę rachunkową schowaną w jednej z szuflad, ale wygląda na to, że zapisane w niej pozycje dotyczą tylko koni: rachunki od weterynarza, od kowala, za paszę. Przez głowę przebiega mi szalona myśl, że może to właśnie jest pralnią pieniędzy, może rosyjscy oligarchowie inwestują w konie. Tylko że to nie miałoby sensu. Takie hodowle nie przynoszą zysków, to skarbonka bez dna, z której niewiele można odzyskać.

Kieruję snop światła na krzesła i widzę pokrywającą je warstwę kurzu. Nikt nie siedział na nich od dłuższego czasu, co oznacza, że żaden z trzech mężczyzn tu nie wchodził.

Wracam do stajni i idę powoli wzdłuż szeregu boksów, obserwowana bacznie przez kilka koni. Są zaniepokojone tą nocną wizytą; słyszę, jak nerwowo przestępują z nogi na nogę, niektóre cicho rżą. Co ci trzej robili tu tak długo? A przede wszystkim po co tu przyszli?

Nagle dostrzegam po drugiej stronie stajni ślad pozostawiony przez coś, co ciągnięto po zasłanej słomą podłodze. Prowadzi do ostatniego boksu.

Otwieram drzwi pustej przegrody i oświetlam jej wnętrze. Światło odbija się od czegoś – od okularów leżących na podłodze. Lecz to nie ich widok sprawia, że wstrzymuję oddech. Przeraża mnie to, co widać nieco dalej: dłoń z zaciśniętymi spazmatycznie palcami.

Przesuwam snop światła wyżej, na rękę i bark. Na twarz. Jestem zbyt zszokowana, żeby się poruszyć czy oddychać; wpatruję się z niedowierzaniem w martwego mężczyznę, który leży w boksie. Jego twarz widziałam kilka godzin temu, podczas przyjęcia. Okulary musiały spaść, gdy walczył o życie. Patrzę na wystający z ust język i dostrzegam krwawe wybroczyny w oczach. Już wiem, jak umarł. Przykucam obok ciała

i świecę na szyję. Na siniec pozostawiony przez sznur, którym owinięto szyję ofiary. To była robota zawodowca.

Kim jesteś? Dlaczego Hardwicke kazał cię zabić?

Z zewnątrz docierają głosy mężczyzn, którzy zbliżają się do stajni.

Zrywam się na równe nogi, wybiegam z boksu, w którym leży ciało zabitego mężczyzny, i zasuwam rygiel. Rozglądam się gorączkowo, szukając kryjówki.

Głosy są coraz bliżej. Zaraz ktoś wejdzie do stajni i odetnie mi jedyną drogę ucieczki.

Otwieram drzwi sąsiedniego boksu, wpadam do środka i zamykam je. Nie jestem tu sama; obok mnie stoi koń, wystraszony moim nagłym wtargnięciem. Kopie w ścianę boksu i rży, zdenerwowany.

Zapalają się światła pod sufitem stajni.

Nie mogę teraz uciec. Jestem uwięziona razem ze spanikowanym koniem, który głośno tupie i rży. Kucam w rogu i kulę się, niemal wciskam się w deski.

Rozpoznaję głosy Keitha i Victora, gdy podchodzą bliżej.

– Co go tak wystraszyło? – pyta Victor.

– A co go mogło wystraszyć? Czuje trupa.

Rozlega się trzeci głos i jeszcze mocniej przywieram do drewnianej ściany.

– Po prostu go stąd, kurwa, zabierzcie – rozkazuje Hardwicke.

Słyszę skrzypienie kół. Przywieźli wózek, żeby przenieść ciało. Podobnie jak ja czekali, aż wszyscy położą się spać i nikt nie zobaczy, co robią.

Koń parska i kopie w ścianę tak mocno, że odruchowo zakrywam dłońmi głowę, próbując się osłonić przed kopytami. Skrzypią otwierane

drzwi ostatniego boksu. Są tak blisko, że słyszę, jak Victor i Keith stękają, podnosząc ciało i układając je na wózku.

– Okulary – rzuca Hardwicke. – Zabierzcie jego okulary.

Głośne dyszenie. Szelest butów rozgarniających słomę.

Zwierzę w moim boksie ponownie kopie w deski. Rzy tak głośno i przeraźliwie, jakby krzyczało.

– Co ci się dzieje? – pyta Victor. Podnoszę wzrok i widzę, jak mężczyzna wyciąga rękę i głaszcze konia po chrapach. Wystarczy, by spojrział w dół, a mnie zobaczy.

– Te zęby mogą zmiażdżyć kości – ostrzega go pracodawca. – Trzymaj się od niego z daleka.

Ręka Victora znika.

– Dlaczego go pan trzyma?

– Mnie nie gryzie. – Hardwicke śmieje się. – Wie, co by się wtedy stało.

Wózek w końcu się oddala, poskrzypując miarowo, a ja wciąż kulę się w kącie. Słyszę, że przed stajni odjeżdżają dwa pojazdy; opony chrzęszczą na żwirze i po chwili pomruk silników cichnie w oddali. Już czas, by się stąd wymknąć, choć pod sufitem stajni wciąż palą się światła. Zapomnieli je zgasić czy zamierzają tu wrócić?

Zaczynam podnosić się z kucek.

Nieruchomieję.

Ktoś wygwizduje znaną mi melodię. To Hardwicke. Dlaczego tu zostałeś? Dlaczego nie wyszedł ze stajni? Musi wiedzieć, przemyka mi przez głowę. Wie, że dzieje się tu coś podejrzanego.

Gwizdanie przesuwa się w moją stronę. To szkocka pieśń patriotyczna *Scotland the Brave*, pogodna i melodyjna. Przerażająca. Hardwicke jest coraz bliżej. Napinam mięśnie, gotowa rzucić się do walki na śmierć

i życie, ja kontra on. Muszę zaatakować szybko. Uderzenie w gardło, dźgnięcie w oko. Zaciskam już dłoń w pięść.

Gwizdanie ucicha.

Hardwicke klepie dłonią w koński bok i zwierzę rży cicho.

– Dobry konik. – Zatrzymał się przy boksie, by poklepać swojego ulubieńca. Taki z niego łaskawy pan: szafuje pieścizkami równie swobodnie jak śmiercią.

Znów rozlega się gwizdanie, ale tym razem się oddala. Gdy *Scotland the Brave* cichnie, wypuszczam z płuc drżący oddech. Gasną światła. Słychać chrzęst kroków na żwirowej ścieżce.

Czekam w mroku, aż Hardwicke oddali się od stajni – daję mu dość czasu, by wrócił do domu. Mimo to nie jestem wcale pewna, czy mogę już bezpiecznie wyjść, ale przecież nie będę tu tkwiła przez całą noc. Wkrótce załoga kuchni się obudzi i zacznie przygotowywać śniadanie. Muszę wrócić do pokoju, nim ktoś się zorientuje, że wychodziłam z domu.

Serce wali mi w piersiach, gdy wymykam się z boksu i wychodzę ze stajni. Na zewnątrz widzę puste miejsca po dwóch samochodach; jeden z nich bez wątplenia należał do zamordowanego mężczyzny. Rano można będzie bez trudu wytłumaczyć jego nieobecność. Odebrał w nocy telefon i musiał nagle wyjechać. Jednego gościa mniej na kolacji.

Skrywam się w cieniu drzew. Zrobiło się zimno, ale nie czuję tego; jestem spocona i rozdygotana. Gdzieś w mroku Victor i Keith pozbywają się ciała ofiary zabójstwa, podczas gdy w domu Phillip Hardwicke śpi smacznie w łóżku w sypialni na piętrze. Za kilka godzin wstanie nowy dzień i w Manning House znów zacznie się ruch. Służba poda śniadanie, goście będą spacerować po ogrodzie i strzelać do rzutków. Dołączę do nich, bo tego właśnie wszyscy ode mnie oczekują. To będzie piękny dzień.

Cudowny słoneczny dzień.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– To był nasz człowiek – mówi Diana.

Nie możemy już ryzykować i pokazywać się razem publicznie, jesteśmy więc w bezpiecznej kryjówce, w przeznaczonym na takie spotkania mieszkaniu, w którym wróg nie może nas zobaczyć ani usłyszeć. Żeby tu dotrzeć, musiałam najpierw kluczyć trochę po mieście; jechać metrem tam i z powrotem, potem lawirować na piechotę po bocznych uliczkach, mijać sklepy z przyborami kuchennymi, elektroniką i papierosami, by mieć pewność, że nikt mnie nie śledzi. Nie będzie już więcej rozmów w British Museum.

Stoję przy oknie, patrząc na ruchliwą ulicę w dole. Wygląda to jak normalny dzień w środku tygodnia, gdy ludzie załatwiają swoje sprawy: robią zakupy albo idą na lunch. Ja widzę jednak z wygłuszonego pokoju – tej bezpiecznej bańki – tłum otumanionych ludzi, nieświadomych, że zewsząd otaczają ich mroczne i niebezpieczne macki.

– Kto to był? – pytam.

– Nazywał się Stephen Moss. Był prawnikiem w banku UGB. Przez cały rok przekazywał informacje o podejrzanym transakcjach na kontach Hardwicke'a, ale jego przełożeni nic z tym nie robili. Był sfrustrowany ich biernością, a kiedy skontaktowaliśmy się z nim, zgodził się z nami współpracować.

– Za wynagrodzenie?

– Nie, nie robił tego dla pieniędzy.

A więc był idealistą. Tacy są najlepsi, najsolidniejsi. Ale kiedy ich tracimy, odczuwamy to najboleśniej.

Odwracam się i spoglądam na zdjęcie Stepheny Mossa, wyświetlone na ekranie laptopa Diany. Mężczyzna, którego widziałam w Manning House, był szczuplejszy, ale to bez wątpienia ten sam człowiek. Czy schudł tak bardzo z powodu choroby, czy też przez stres związany ze świadomością, że krąży bardzo blisko płomienia, który w każdej chwili może go pochłonać?

– Jego saaba znaleziono dziś rano na parkingu przy lotnisku w Leeds – informuje mnie Diana.

– A ciało?

– Dotąd go nie namierzyliśmy. Nie muszę ci chyba mówić, że to dla nas wielka strata. Dostarczał nam cennych informacji o Hardwicke’u i pomagał tropić konta, z których spływały do niego pieniądze, i te, na które robił przelewy. Znowu jesteśmy głusi i ślepi.

Przechodzi mnie zimny dreszcz. W koszmarach wciąż słyszę *Scotland the Brave*.

– Jeśli go torturowali, mógł im powiedzieć o mnie – mówię.

– Nie mógł, bo o tobie nie wiedział. Nie informowaliśmy was o sobie nawzajem.

– O nim się dowiedzieli.

– Ale o tobie nie wiedzą.

– Skąd ta pewność?

– Bo wciąż żyjesz.

– Kto go zdemaskował?

Diana kręci głową.

– To mógł być ktoś z UGB. Ktoś, kto wiedział, że Moss sprawdza konta Hardwicke’a.

– Mogli mieć kreta w Narodowej Agencji do spraw Przeszłości? Albo w którejś z innych brytyjskich agencji?

– To całkiem prawdopodobne – przyznaje. – Przez Londyn przepływa cała rzeka pieniędzy, więc być może ktoś z agencji rządowych dał się podkupić. Inaczej ani ty, ani ja nie babrałybyśmy się w tym gównie.

Siadam przy stole. Na ulicy panuje spory ruch, niczego jednak nie słyszymy, bo dźwiękochłonne ściany i okna wszystko tłumią. Patrzymy na siebie w ciszy, ponad stołem zastawionym filiżankami i dzbankiem z herbatą. Mieszkając w Londynie, musiała się w końcu poddać herbacianemu popołudniowemu rytuałowi. Ale ja mam teraz ogromną ochotę na kawę, czarną i mocną.

– Chcę zrezygnować z tej misji – oświadczam.

– Co?! – Diana podnosi raptownie głowę. – Dlaczego?

– Bo straciliście już jednego agenta, a ja nawet nie wiem, jak go zdemaskowano.

– Maggie, wiem, co czujesz. Wiem, że się boisz...

– Owszem, boję się. O Danny’ego. Nic o tym nie wie, a jeśli doborą się do mnie, dopadną i jego. Ja zgodziłam się wziąć w tym udział, ale on nie, więc nie chcę, żeby stała mu się krzywda. A poza tym to jest cholernie trudne... żyć cały czas w kłamstwie. Sypiać z człowiekiem, który nie ma pojęcia, kim naprawdę jestem.

– Taka jest natura tej pracy. Przecież o tym wiesz.

– Wiem, ale mam tego dość. Dałam wam już to, czego chcieliście.

– Jeszcze nie. Nie wszystko.

– Macie dokumentację medyczną Hardwicke’a. Wiecie, co mu dolega, wiecie, gdzie ma pieprzyki i kiedy ostatnio bolało go gardło. O to mnie

prosiliście.

– Ale straciliśmy Stephena Mossa. Nie mamy teraz informacji o finansach Hardwicke’a.

– Nie jestem jego bankierem. Nie mam dostępu do takiej wiedzy.

– Ale przyjaźnisz się z jego córką.

– Ona ma piętnaście lat i o niczym nie wie.

– Lubi cię. Pomoże ci wejść do rodziny.

– Powtarzam: ona ma piętnaście lat.

– Więc tym łatwiej zdobyć jej zaufanie.

Myślę o Belli i jej różowych ciuchach, o spragnionej atencji niezgrabnej dziewczynce. Myślę o nastolatkach i o tym, jak łatwo nimi manipulować, jak łatwo je wykorzystać. I o tym, że to podłe. W całej tej historii jest mnóstwo podłości.

– Nie potrzebujecie mnie już – rzucam. – Jeśli chcecie przyskrzyńić Hardwicke’a, pewnie już możecie to zrobić. Powiadomcie policję o zabójstwie Mossa, niech podejmą śledztwo. W stajni na pewno zostały jakieś ślady.

– Nie ma ciała, więc nie ma jak dowieść, że to było zabójstwo.

– Ale jeśli znajdziecie ciało...

– Nawet jeśli je znajdziemy, to jesteś jedyną osobą, która może poświadczyć, gdzie i jak zginął. Jesteś gotowa się ujawnić?

Myślę o Stephenie Mossie, o tym, jak rozpaczliwie musiał łapać za sznur oplatający jego szyję. Myślę też o tym, co zrobiłby Hardwicke ze mną, gdyby się dowiedział, dla kogo pracuję. Wzdycham ciężko.

– Nie – odpowiadam.

– Tak też myślałam. Zresztą nie chodzi nam tutaj o Hardwicke’a. On jest tylko trybikiem w znacznie większej maszynie finansowej. Musimy się

dowiedzieć, kto obsługuje tę maszynę na zlecenie Moskwy. Chcemy Cyrano.

Nieuchwytnego rosyjskiego szpiega. Tożsamość tego człowieka wciąż pozostaje tajemnicą, a po ośmiu latach śledztwa nadal mamy tylko szczątkowe informacje na jego temat, zebrane z przechwyconych wiadomości od jego oficera prowadzącego. Wiemy, że towarzyszy mu kobieta, która cierpi na ostrą porfirię przerywaną i musi regularnie przyjmować zastrzyki z lekiem o nazwie heme arginate. Podczas ostatniego spotkania w British Museum Diana pytała, czy w Galen mają taką pacjentkę, ale nie znalazłam dokumentów, które by to potwierdzały.

– Przekazałam wam listę gości obecnych na przyjęciu w Manning House. Może Cyrano był jednym z nich. Zaczynajcie od tego – proponuję.

– Nie było go tam. Rozpoznanie elektromagnetyczne SIGINT przechwyciło niedawno wiadomość z Moskwy – mówi Diana. – Wiemy, że Cyrano jest teraz za granicą.

– Więc życzę wam szczęścia w dalszych poszukiwaniach. – Wstaję, żeby wyjść. – Bo ja zajmę się teraz pisaniem wypowiedzenia.

– Jeszcze nie, Maggie. Wciąż cię potrzebujemy.

– Dałam wam to, co mogłam.

– Możesz zająć się jeszcze jedną rzeczą. W ostatnim komunikacie przejętym przez SIGINT wspomniano o Malcie.

Odwracam się do niej.

– O Malcie?

– Ma się tam odbyć jakieś ważne spotkanie. Negocjacje.

Nagle uświadamiam sobie, dlaczego nie mogę zrezygnować, jeszcze nie teraz.

– Hardwicke jedzie na Maltę w przyszłym tygodniu – mówię.

– Właśnie dlatego cię potrzebujemy. Twój mąż jedzie z nim?

– Tak, ale ta podróż nie ma żadnego znaczenia. Hardwicke leci tam tylko po to, żeby zabrać Bellę do Londynu.

– A co jego córka robi na Malcie?

– Jej matka, Camilla, jest tam na wakacjach. Bella chciała z nią trochę pobyc.

– Więc ty też musisz polecieć. Wkręć się jakoś do odrzutowca Hardwicke'a. Dowiedz się, czy nie leci tam z jakiegoś innego powodu.

– Na spotkanie z Cyrano, tak?

Diana kiwa głową.

– Obaj w tym samym czasie będą na wyspie. To bardzo kusząca perspektywa.

Spoglądam na jej laptop. Ekran już wygasł, lecz obraz twarzy Stephena Mossa tak mocno wrył mi się w pamięć, że wciąż ją widzę, równie wyraźnie jak jego ciało leżące w boksie w stajni, jego wystający język i wybroczyny krwi w oczach. To właśnie może cię spotkać, jeśli rozgniewasz Phillipa Hardwicke'a.

– Nie zrobię tego. Znajdźcie inny sposób.

– To nasza najlepsza szansa. Może jedyna.

– Możecie po prostu obserwować go na Malcie. Nie potrzebujecie mnie do tego.

– Nikt nie może być tak blisko niego jak Danny. Jest naszą tajną bronią.

– Jest moim mężem – prostuję.

– Maggie, naprawdę? – Diana śmieje się. – Uczucia przed obowiązkiem? Zawsze byłaś taka miękka?

Mierzymy się wzrokiem. Służę ojczyźnie od ponad dwóch dziesięcioleci. W imię tej służby opowiadałam niezliczone kłamstwa, raz po

raz przenosiłam się z jednego zakątka świata do drugiego, ryzykowałam życie. A teraz, kiedy nie chcę przyjąć tego jednego zadania, wszystkie te lata nie mają żadnego znaczenia.

– Po Malcie rezygnuję – rzucam w końcu. – Ostatecznie.

– Oczywiście. Jeśli tego naprawdę chcesz.

– Powiem ci, czego chcę: zwykłego życia z mężem. Chcę, żebyśmy oboje byli zwyczajni. Żebyśmy mieli kota, pielęgowali ogród. Spacerowali razem po ulicy, nie martwiąc się, czy ktoś nas śledzi.

– Będziesz miała to wszystko. – Diana zamyka laptop. – Ale jeszcze nie teraz.

□ □ □

Danny patrzy na mnie przez matową szybę, gdy stoję pod prysznicem i spłukuję szampon z włosów. Zwykle lubię, gdy jestem obiektem jego pożądanego zainteresowania, ale tego wieczoru mnie rozprasza. Muszę podjąć ważne decyzje, zaplanować przyszłość.

Naszą przyszłość. Nie pamiętam już, kiedy „ja” zamieniło się w „my”, a „moje” w „nasze”. Moje i jego życie łączyły się ze sobą stopniowo i powoli; nie zauważyłam nawet, kiedy zmieniły się zaimki, kiedy zaczęłam brać za pewnik to, że zawsze będzie stał u mojego boku.

Gdy wychodzę spod prysznicza, czeka na mnie z ręcznikiem.

– Ten widok nigdy mi się nie znudzi – mówi, okręcając mnie nim, po czym przypiera mnie do ściany łazienki i całuje w usta.

Choć myślami jestem gdzie indziej i rozważam różne możliwości i ich konsekwencje, moje ciało odruchowo reaguje na jego dotyk. Nigdy nie przypuszczałam, że nasze relacje tak się skomplikują. Danny miał być tylko

wakacyjną przygodą, ciepłym ciałem w gorącą tajlandzką noc, a nie kimś, w kim się zakocham. Nie kimś, kogo poślubię.

Teraz nie mogę znieść myśli o tym, że mogłabym go stracić. Co oznacza, że nie mogę mu zdradzić prawdy o tym, dla kogo pracuję i dlaczego nasze małżeństwo było częścią większego planu. Nie mogę nigdy ujawnić kłamstw, którymi go karmiłam, piramidalnych oszustw. Nie mogę mu powiedzieć, że druhna na naszym ślubie była dla mnie zupełnie obcą kobietą. O tajnych spotkaniach z Dianą. O tym, że skopiowałam dokumentację z Galen, naruszając w ten sposób nie tylko jego zaufanie, ale też tajemnicę lekarską jego pacjentów. Im dłużej będę prowadziła to podwójne życie, tym większe prawdopodobieństwo, że prawda wyjdzie na jaw, a kiedy się to stanie, Danny zwątpi w autentyczność moich uczuć, uzna, że nasze małżeństwo było oszustwem, które nie miało nic wspólnego z miłością. Czy gdybyś poznał prawdę, nadal byś mnie kochał? – przemyka mi przez głowę.

Chyba nie chciałabym tego sprawdzać.

Tego wieczoru, gdy leżę obok niego w ciemności, w końcu godzę się ostatecznie ze swoją decyzją. Wiem, co muszę zrobić, bo nic nie jest dla mnie ważniejsze od Danny'ego. Ani ta misja, ani moja kariera, ani cała reszta tego pokręconego świata. Liczymy się tylko my, on i ja. Obraca się na bok i obejmuje mnie. Tak bardzo przywykłam do jego zapachu, że biorę go teraz za swój, jakbym wchłonęła go przez skórę.

Gładzę Danny'ego po ramieniu i delikatnie budzę.

– Kochanie...

– Hm...?

– Pamiętasz, jak mówiłeś, żebyśmy się spakowali i uciekli od tego wszystkiego? Wyjechali z Londynu i zajęli się czymś innym, daleko stąd?

Powoli otwiera oczy.

– O czym ty mówisz?

– Myślałam o naszej przyszłości.

– Ojej. To brzmi poważnie.

– Bo mówię poważnie. Myślę, że powinniśmy to zrobić.

Jest już w pełni rozbudzony.

– Ostatnio nie za bardzo podobał ci się ten pomysł – przypomina mi.

– Dużo myślałam o tym, co naprawdę jest ważne. Zatrudniłeś się w Galen tylko dlatego, że twoja mama miała problemy ze spłatą kredytu. Ale ona już nie żyje, a my nie potrzebujemy tych pieniędzy. – Przerywam na chwilę, a potem dodaje: – Wiem, że nie jesteś tu szczęśliwy.

– A czego ty chcesz, Maggie?

– Na pewno nie chcę, żebyś miał pracę, której nie cierpisz, opiekował się pacjentami, których nawet nie lubisz.

– Tylko niektórych.

– W Galen dobrze ci płacą, ale to pułapka. Pacjenci uważają cię za swoją własność. Tak właśnie myślą o ludziach takich jak my. Jesteśmy dla nich tylko pionkami.

Danny milczy, ale czuję, jak jego ciało drży z ekscytacji.

– Jeśli rzucę tę pracę, będę musiał oddać to mieszkanie – odzywa się w końcu.

– I tak nigdy nie było nasze.

– Ale to oznacza, że będziemy się musieli przenieść do czegoś dużo mniejszego. Znacznie skromniejszego.

– Jeśli chodzi o mnie, to możemy zamieszkać w namiocie.

– I będziemy musieli jakoś zarabiać na życie.

– Mam oszczędności. I mogę znaleźć jakąś pracę. Zresztą nigdy nie chciałam być utrzymanką.

Parska śmiechem. Szczerym, radosnym śmiechem.

– Może ja mógłbym zostać utrzymankiem?

– A może znów zająłbyś się działalnością charytatywną? Wiem, że to lubiłeś.

– Owszem, nawet bardzo. Znów moglibyśmy podróżować. Wrócić do Tajlandii.

– Albo polecieć do Ameryki Południowej.

– Albo na Madagaskar!

Śmiejemy się oboje ze starego żartu, całkiem jak wtedy, gdy się poznaliśmy. Otacza nas noc pełna radosnych obietnic. Oboje zawsze pragnęliśmy uciec, a teraz zamierzamy zrobić to razem.

– Będę musiał złożyć wypowiedzenie. – Danny wzdycha. – Boże, to nie będzie przyjemne. Będą musieli oddać komuś moich pacjentów, zmienić cały harmonogram.

– Chyba nie będziesz pierwszym lekarzem, który odejdzie z Galen. Zatrudnią kogoś innego, jak w każdej firmie.

– Mam polecieć na Maltę z Hardwickiem. Za późno, żeby się z tego wycofać.

– Więc się nie wycofuj. Niech to będzie twoje ostatnie zadanie. Pewnie Hardwicke będzie potrzebował pomocy przy opiece nad Bellą, więc też mogę polecieć. A gdy tylko wrócimy, zaczniemy się pakować. Wsiądziemy do pierwszego lepszego samolotu i polecimy gdziekolwiek. Może tym razem uda nam się naprawdę dotrzeć na Madagaskar.

– Nieważne, dokąd polecimy. Bylebyśmy tylko byli razem. – Bierze głęboki oddech. – A teraz muszę napisać wypowiedzenie.

Ja też. Przez ponad dwadzieścia lat wiernie służyłam ojczyźnie. Wypowiedziałam ogromną liczbę kłamstw, wyskakiwałam z samolotów,

zostałam trafiona szrapnelem dla Wuja Sama. A teraz mówię: „Pieprzyć to!”. Pieprzyć Hardwicke’a, pieprzyć Cyrano i smutny stan tego świata.

Danny i ja chcemy uciec.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Jo

Purity, stan Maine, teraz

W czasie kilkuletniej kariery policyjnej Jo miała do czynienia z nierozgarniętymi myśliwymi – prawie we wszystkich wypadkach mężczyznami – którzy postrzelili się przez przypadek w stopę albo myśleli, że strzelają do jelenia, a zabili kogoś krowę. Zatrzymywała myśliwych, którzy polowali tam, gdzie nie powinni tego robić, na wyraźnie oznaczonej posiadłości lub w promieniu stu metrów od domów mieszkalnych. Kiedyś aresztowała człowieka, który podczas polowania zabił ojca, choć nie potrafiła udowodnić, że postrzelił go celowo. Glen Cooney, który był wtedy komendantem, wyjaśnił jej, że mogą oskarżyć podejrzanego najwyżej o nieumyślne spowodowanie śmierci, ale Jo jest do tej pory przekonana, że wypuścili na wolność mordercę. Co roku, gdy zaczyna się sezon polowań na jelenie, przygotowuje się psychicznie na nieszczęścia, jakie mogą się wydarzyć, gdy do lasu wejdą uzbrojeni w strzelby mężczyźni, gotowi strzelać do wszystkiego, co ma ogon.

Człowiek, który próbował zastrzelić Maggie Bird, nie polował jednak na jelenie.

Jo nie miała co do tego wątpliwości, kiedy stała wśród drzew, między którymi ukrywał się strzelec. Zebrała łuski, przeszła za śladami butów do

drogi gruntowej, na której zostawił samochód, i przesłała do stanowego laboratorium kryminalnego zdjęcia odcisków butów i opon. Może nie było to równie ekscytujące jak śledztwo w sprawie zabójstwa kobiety znalezionej na terenie posiadłości Maggie Bird, ale cieszyła się, że może prowadzić dochodzenie na własną rękę, bez nadzoru kogoś w rodzaju detektywa Alfonda. Skoro nikt nie został nawet ranny i tylko uszkodzono pojazd Maggie, incydent był zbyt błahy dla nadętego detektywa stanowego. Sprawą zajmowała się Jo, i to z ogromnym entuzjazmem.

Wsiadła do radiowozu zaparkowanego na tej samej drodze, na której stał pojazd strzelca.

Gdzie mogłeś się udać potem? – zastanawiała się. Może do miasta?

Jechała drogą prowadzącą na wschód, w stronę Purity, między pokrytymi śniegiem polami i nagimi drzewami, obok domu, przy którym stało kilkanaście rdzewiejących aut, rozmontowanych w mniejszym lub większym stopniu.

Po chwili dotarła do sklepu z artykułami dla zwierząt. Można tu było kupić nie tylko karmę czy paszę, ale także bryły soli dla koni, części zapasowe do kosiarek, a wiosną nawet małe kaczuszki, które mogły – choć nie musiały – dożyć dorosłości i odlecieć ku zachodzącemu słońcu. Zatrzymała się na parkingu, wysiadła i popatrzyła na kamerę na frontowej ścianie. Mam nadzieję, że nie jesteś tylko atrapą, pomyślała i ruszyła do wejścia.

– Cześć, Jo – przywitał ją właściciel sklepu, Vern, gdy weszła do środka. – Chcesz kupić smakołyki dla psa?

– Nie. Lucy jest na diecie. Nie powinnam jej dawać psich smakołyków.

– Moim zdaniem wcale nie jest gruba.

– Bo nie musisz jej podnosić na pakę samochodu. Jestem tu służbowo.

– W sprawie tej zabitej kobiety?

– Nie, to śledztwo przejęła policja stanowa. Chodzi o poranny incydent na farmie Blackberry. Czy twój monitoring działa? Ten nad drzwiami? Potrzebuję nagrania z dzisiejszego ranka. Mniej więcej od ósmej do dziewiątej.

Ku jej zaskoczeniu Vern parsknął śmiechem.

– Powiniennem zacząć pobierać od tego opłatę.

– Co?

– Jesteś drugą osobą, która prosi o to nagranie. – Podeszedł do komputera. – Zaraz prześlę ci plik mailem...

– Kto jeszcze o nie prosił?

– Ta miła kobieta z zarządu biblioteki. Powiedziała, że zastanawiają się nad zamontowaniem monitoringu w bibliotece, i chciała zobaczyć, czy nagranie z mojej kamery jest wyraźne. Bo może będą chcieli kupić taki sam model.

– I pokazałeś jej nagranie?

– Zrobiłem jej kopię, żeby zarząd biblioteki mógł ocenić jakość nagrania. – Umilkł na moment, bo Jo zmarszczyła gniewnie brwi. – Wydawało mi się, że to nic złego. Nic się tu przecież nie wydarzyło.

– Jak nazywała się ta kobieta?

Vern zastanawiał się przez chwilę, wydymając usta.

– No wiesz, to ta elegancka, zawsze nosi ładne apaszki. Kupiła z mężem dom przy Chestnut Street.

– Słocumowie... – Jo westchnęła.

Vern uderzył się otwartą dłonią w czoło.

– Oczywiście. Tak się nazywają.

Znowu oni, przemknęło przez głowę Jo. Dlaczego pojawiali się ciągle w nieodpowiednich miejscach? Potrafiła radzić sobie ze wścibskimi

mieszkańcami miasta, lecz Slocumowie jak dotąd byli od niej sprytniejsi.

Zadzwoił jej telefon.

– Cześć, Mike – rzuciła do słuchawki, wracając do radiowozu.

– Dzwonili ze stanowego laboratorium – powiedział. – Zidentyfikowali odciski opon samochodu strzelca.

– Mów.

– To opony Goodyear Wrangler, całoroczne, TrailRunner AT, dwieście trzydzieści pięć łamane na siedemdziesiąt pięć er piętnaście. Można ich używać w wielu SUV-ach, więc nie pomoże nam to w identyfikacji samochodu.

Goodyear... Przypomniała sobie ostatnie spotkanie ze Slocumami, na podjeździe Maggie Bird. Przyglądali się wtedy śladom opon na podjeździe, a Ingrid Slocum powiedziała: „Myślę, że to opony Goodyear”.

– Zadzwoń do laboratorium – poleciła Mike’owi. – Chciałabym poznać wyniki analizy śladów opon z podjazdu Maggie Bird sprzed dwóch dni.

– Masz na myśli tamto zabójstwo? To nie nasza...

– Wiem, że to nie nasza sprawa. Po prostu poproś o ten raport.

Czekając w radiowozie, obserwowała drogę przed sklepem z artykułami dla zwierząt i liczyła przejeżdżające nią pojazdy. Choć była to jedna z tras dojazdowych do miasta, panował tu niewielki ruch; pojawiał się mniej więcej jeden samochód na minutę, a czasami żaden nie przejeżdżał przez dwie minuty. Latem aut było znacznie więcej; turyści wybierali się do Purity na kolację albo rezerwowali miejsca na wieczorny rejs na jednym ze szkunerów, lecz w ten zimowy dzień mało kto decydował się na wyprawę do miasta.

Zadzwoił telefon i znowu był to Mike.

– Mam ten raport – powiedział. – Ślady na podjeździe Maggie Bird odpowiadały całorocznym oponom Goodyear Wrangler, TrailRunner AT,

dwieście trzydzieści... – Zamilkł. – Hej, to ten sam samochód.

– Niekoniecznie – odparła Jo. – Tylko te same opony. W okolicy na pewno jest więcej SUV-ów z oponami Goodyear TrailRunner.

– Tak, tylko jakie jest prawdopodobieństwo, że chodzi o dwa różne pojazdy?

Jo nie miała pojęcia. Takie pytanie należało zadać mechanikowi z miejscowego warsztatu, który z pewnością orientował się lepiej, ile samochodów w okolicy jeździ na oponach Goodyear TrailRunner. Powinna poinformować o tym odkryciu detektywa Alfonda, bo strzelanina na terenie farmy Maggie Bird mogła być związana z zabójstwem Bianki. Najpierw jednak Jo chciała sprawdzić, dokąd zaprowadzi ją ten trop. Glen Cooney powiedział jej kiedyś, że jeśli zostanie w Purity, nie będzie rozwiązywać interesujących spraw. Teraz jednak nadarzała się okazja na ciekawe dochodzenie i Jo cieszyła się, że może je prowadzić samodzielnie. Choć nie miała jeszcze pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Na razie wiedziała tylko tyle, że wszystkie tropy prowadzą w tym samym kierunku: ku tajemniczej Maggie Bird.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Maggie

Declan mieszka w starym domu przy wybrzeżu i choć wielokrotnie go odwiedzałam, nigdy nie byłam jeszcze na piętrze. Podobnie jak ja jest człowiekiem zamkniętym w sobie, który podzielił swoje życie na oddzielne części. Na parterze – gdzie czasami spotyka się nasz literacki klub dyskusyjny – mieści się ta publiczna część. Popijamy wtedy martini i dzielimy się plotkami w salonie, którego okna wychodzą na zatokę Penobscot, a latem obserwujemy przez lunetę szkunery powracające z wieczornych rejsów. Wielokrotnie siadałam do kolacji przy stole w jadalni Declana, zmywałam naczynia w kuchni, czasami zaglądałam do toalety, nigdy jednak nie byłam na piętrze, bo ten poziom rezerwuje wyłącznie dla siebie. Oboje staramy się zawsze wyraźnie rozdzielać te części naszego życia: piętro/parter. Prywatne/publiczne. Przed/po.

Dzisiejszy atak snajpera rozsadził jednak nasze uporządkowane życie, a przynajmniej moje. Zamieszkałam chwilowo w pokoju gościnnym na piętrze, który wygląda całkiem inaczej, niż się spodziewałam. Zakładałam, że będzie taki jak Declan: chłodny i powściągliwy, z prostymi liniami i bez zbędnych ozdób. Tymczasem witają mnie koronkowe zasłony, pikowana narzuta i stare czarno-białe zdjęcia na toaletce, świadectwo zaskakującej sentymentalności. Nie znałam Declana od tej strony.

Jedno ze zdjęć ukazuje uśmiechniętą kobietę z ciemnowłosym dzieciakiem na kolanach. Odwracam ramkę i patrzę na zapisaną tam datę. To zapewne Declan i jego matka, która zmarła z powodu pęknięcia wyrostka robaczkowego, gdy miał pięć lat. Prawie nigdy o niej nie mówi, wyobrażam sobie jednak, jak wyglądało jego dzieciństwo, pozbawione matczynego ciepła. Wiem, że kiedy miał dwanaście lat, trafił do szkoły z internatem, bo ojciec dyplomata był zbyt zajęty ogólnoswiatowymi problemami, by odgrywać rolę rodzica. Myślę o własnym dzieciństwie i wczesnej młodości, obciążonych obecnością ojca alkoholika, od którego chciałam jak najszybciej uciec. To inna wersja osierocenia, równie smutna, choć w odmienny sposób.

– Maggie, przyjechał Ben! – woła z dołu Declan. – I kolacja jest już gotowa!

Zostawiam w pokoju gościnnym rozpakowaną częściowo walizkę. Idąc po schodach na parter, mijam oprawione w ramki zdjęcia miejsc, w których pracował i mieszkał. Budapeszt. Praga. Warszawa. Zatrzymuję się przy fotografii, na której stoi przed czymś, co wygląda na kampus uniwersytecki, w otoczeniu studentów; dostrzegam polskie słowa na jednym z budynków. To Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Włosy Declana są czarne i znacznie gęstsze niż teraz, a w tweedowej marynarce wygląda na wykładowcę akademickiego, za którego oficjalnie się podawał. Wydaje się bardzo młody. Gdzie podziały się te lata, gdzie uleciała nasza młodość?

Wchodzę do kuchni i widzę, że obaj już nalali sobie szkockiej. Na kuchence bulgocze gulasz, który Declan przygotował pewnie według przepisu z czasów, gdy pracował w Budapeszcie, i dziś wyjął z zamrażarki.

– Whisky, Maggie? – pyta, otwierając butelkę.

– Od razu przechodzimy do poważnych spraw, tak?

– Bo sytuacja jest poważna.

Biorę od niego szklanę z whisky. Dziś naprawdę tego potrzebuję.

– Dziękuję – rzucam. – Za nocleg też.

– Nie możesz wrócić do domu, wiesz o tym – mówi Ben. – Dopóki nie dowiemy się, kto próbuje cię zabić i dlaczego.

– Tobie też dziękuję. Za to pocieszające podsumowanie mojej sytuacji.

– Niestety, to trafne podsumowanie. – Declan wzdycha ciężko.

Nakłada gulasz do trzech misek i przenosi je do kuchennego stołu. Nigdy dotąd nie widziałam go w fartuchu. Ten, który ma na sobie, jest czarny i ma logo linii żeglugowej Cunard – tej, do której należy statek *Queen Mary 2* – co bardzo pasuje do syna dyplomaty. Jest jedynym znanym mi mężczyzną, na którym fartuch wygląda szykownie. Siadamy przy stole i mamy przed sobą szklanki z whisky oraz miski z parującym gulaszem, mocno pachnącym papryką.

– Musimy wyteńczyć razem mózgi – odzywa się Ben – i rozgryźć tę sprawę, bo nie możemy liczyć na miejscową policję. Choć ta panna Thibodeau wygląda na całkiem bystrą dziewczynę.

– Zbyt bystrą – mówię. – Nie lubię tonu jej pytań, traktuje mnie jak podejrzaną. Może nam narobić kłopotów.

Rozbrzmiewa dzwonek u drzwi. Siadam prosto na krześle i zerkam w stronę salonu.

– To pewnie Ingrid i Lloyd. – Declan wychodzi z kuchni, by otworzyć drzwi.

– Powiedziałeś im, co się stało? – pytam Bena.

– Oczywiście. Gramy w tym samym zespole i musimy się wszyscy wspierać. Jak za starych czasów.

– Dlaczego mam wrażenie, że ci się to podoba?

– Szczerze mówiąc, wszyscy trochę się nudzimy na emeryturze. A dzięki tej sprawie będziemy mieli szansę zobaczyć, na co nas jeszcze stać. Dobrze znów czuć się potrzebnym. Wrócić do gry.

– Tyle że teraz gra toczy się o moje życie.

Declan wraca do kuchni z dwójką gości. Ingrid przyniosła laptop, a Lloyd długą kartonową rurę. Jak zawsze Ingrid ma na szyi misternie zawiązaną elegancką apaszkę, tym razem w różnych odcieniach czerwieni i ochry. Kolory jesieni. Nigdy nie opanowałam sztuki wiązania apaszek i gdy Ingrid siada przy kuchennym stole, przyglądam się skomplikowanemu węzłowi. Zazdroszczę jej naturalnej elegancji, której nie przeszkadzają ani jej siwe włosy, ani porcelanowa skóra.

– Czyżbym wyczuwał gulasz? – pyta Lloyd i idzie prosto do kuchenki, jak zawsze.

– Z kozim mięsem. Częstuj się – odpowiada Declan.

Lloyd oczywiście się częstuje. Nigdy nie miał z tym problemów. Ochoczo nabiera sobie porcję do miski i siada przy stole.

Nie wiedziałam, że zwołano na dziś spotkanie, ale wygląda na to, że Declan rozesłał sygnał alarmowy i oto jesteśmy tu wszyscy, pięcioro starych szpiegów z wieloletnim doświadczeniem. Emerytowany nie znaczy bezużyteczny. Każdy z nas ma swoje tajemnice i szczególne umiejętności.

Lloyd przełyka łyżkę gulaszu, a potem otwiera z jednej strony kartonową tubę. Wyjmuje z niej mapę i rozkłada na stole, między miskami i sztućcami. Natychmiast rozpoznaję, jaki obszar przedstawia ta mapa. To farma Blackberry i jej okolice, a także miasteczko Purity.

– Oznaczyłem wszystkie drogi dojazdowe do twojej posiadłości – wyjaśnia Lloyd, wskazując miejsca podkreślone żółtym markerem. – Wiemy, gdzie strzelec wjechał na twój teren i zaparkował na drodze gruntowej, która oddziela cię od sąsiada na południu. – Podnosi na mnie

wzrok. W kąciku jego ust czerwieni się odrobina gulaszu, świadectwo niepohamowanego apetytu. To jest jedna z rzeczy składających się na jego urok: entuzjazm, z jakim pochłania życie. – Wiesz coś więcej o tym sąsiedzie? Nazywa się Ronald Farrell, tak?

– Rzadko tu bywa – mówię. – Spotkałam go tylko raz, wkrótce po tym, jak się tu przeprowadziłam. Ma osiemdziesiąt dwa lata i przebywa na stałe w domu seniora w Rockland.

– Coś jeszcze?

– Ma syna, który mieszka w Massachusetts, i dwie córki, ale żadna z nich nie mieszka w Maine. Jego posiadłość jest objęta ochroną, zapisał ją już funduszowi powierniczemu. – Spoglądam na otaczających mnie przyjaciół. – Sprawdziłam dobrze wszystkich sąsiadów, zanim kupiłam farmę. Nie znalazłam niczego podejrzanego.

Lloyd kiwa głową.

– Zastanówmy się więc, którą drogą strzelec dostał się na twoją posiadłość.

Ben wskazuje na drogę gruntową widoczną na mapie.

– Znaleźliśmy ślady opon tutaj, gdzie zaparkował – mówi.

– Mógł się tam dostać tylko z West Fork Road, tutaj – dodaje Lloyd. – Z brukowanej drogi, która biegnie z północy na południe.

– Wszyscy to wiemy, Lloyd.

– Cierpliwości. Do West Fork Road można dojechać dwiema trasami, Pondside Road od północy i Village Road od południa. Village Road prowadzi prosto do Purity. Tutaj mógł wybrać którąkolwiek z czterech dróg wyjazdowych, a potem pojechać wzdłuż wybrzeża. Trudno powiedzieć, dokąd skierował się później, więc... – Lloyd spogląda na żonę.

– Więc zrobiłam, co do mnie należy – kończy Ingrid.

Co w jej przypadku może oznaczać wszystko i nic.

Otwiera laptop.

– W przypadku takich małych miasteczek problem polega na tym, że jest tu stosunkowo mało kamer monitoringu.

– Kiedyś uważaliśmy to za zaletę – wtrąca Ben.

– Nie w sytuacji, gdy próbujemy namierzyć zabójcę. No więc wsiadłam do samochodu i pojechałam szukać wszystkich kamer w okolicy. Przy Pondsides Road są dwa domy z monitoringiem, ale kamery skierowane są na podjazd, a nie na drogę. Natomiast przy Village Road, przy samym wjeździe do miasta, trafiłam w dziesiątkę. Kamera jest tutaj. – Zakreśliła ołówkiem miejsce na mapie. – To sklep Karmy i Pasze Simontona. Rozmawiałam z właścicielem i chętnie udostępnił mi nagranie z dzisiejszego ranka. Zobaczyłam na nim coś ciekawego. Ósma siedemnaście rano, mniej więcej w czasie, gdy strzelec uciekał. Myślę, że to ten samochód.

Odwraca laptop, by pokazać nam ekran. Wszyscy się nad nim pochylamy i patrzymy na czarną toyotę SUV widoczną na zatrzymanym obrazie. Mógł to być ten sam pojazd, z którego wyrzucono ciało Bianki na mój podjazd. Z powodu przyciemnionych szyb nie można dojrzeć niczego prócz sylwetki kierowcy.

– Nie mamy pewności, czy to człowiek, który strzelał do Maggie – zaznacza Ingrid. – Być może uciekł na północ, z dala od miasta, gdzie nie ma kamer monitoringu. Ale biorąc pod uwagę ramy czasowe, rodzaj samochodu i fakt, że kilka dni temu z podobnego pojazdu wyrzucono zwłoki, mogę określić z prawdopodobieństwem na granicy dziewięćdziesięciu pięciu procent, może nawet dziewięćdziesięciu sześciu, że to jest sprawca.

– Właśnie dlatego ożeniłem się z tą kobietą – mówi Lloyd, który wrócił do kuchenki, by nałożyć sobie drugą porcję gulaszu.

– Jeszcze nie skończyłam – rzuca Ingrid.

Przesuwa kolejne zdjęcia w laptopie, aż dociera do powiększonego. Widać na nim tylny zderzak SUV-a i tablicę rejestracyjną z Massachusetts.

– To samochód z wypożyczalni Alamo – informuje nas Ingrid. – Facet wypożyczył go cztery dni temu na bostońskim lotnisku. Legitymował się prawem jazdy wystawionym na Florydzie na Franka Sardiniego. – Spogląda na mnie.

– Nie znam nikogo takiego – mówię.

– Tak też przypuszczałam. – Pokazuje nam zdjęcie prawa jazdy. – Według danych Frank Sardini to biały czterdziestodwuletni mężczyzna, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, szatyn, brązowe oczy. Zakładam, że nie rozpoznasz tej twarzy – zwraca się do mnie.

– Nigdy nie widziałam tego człowieka.

– To niedobrze. – Declan wzdycha. – Więc mamy do czynienia z obcym człowiekiem, który przyjechał do naszego miasteczka, żeby zabić Maggie?

– Jest jeszcze gorzej – odpowiada mu Ingrid. – Prawdziwy Frank Sardini umarł czterdzieści jeden lat temu, kiedy miał cztery miesiące.

W kuchni zapada cisza. Słyszę szum krwi w uszach i czuję złowieszcze bicie serca.

– Mamy więc do czynienia z fałszywą tożsamością – mówi cicho Declan.

Ingrid kiwa głową.

– Niestety, tak.

Jest o wiele gorzej, niż myślałam. Taki poziom komplikacji tej sprawy świadczy o tym, że polują na mnie ludzie bardzo niebezpieczni. Spoglądam na przyjaciół i widzę po ich minach, że są równie zaniepokojeni jak ja.

– Maggie, potrzebujemy więcej informacji – odzywa się Ben. – Kto, do diabła, chce cię zabić?

Kręcę głową.

– Nie wiem.

– Ależ musisz coś wiedzieć. Tylko nie chcesz nam tego zdradzić.

Ben ma rację. Są rzeczy, o których nigdy nikomu nie mówiłam, bo wywołują zbyt bolesne wspomnienia. Tak bolesne, że przez lata od nich uciekałam.

– Więc zacznijmy od tego, co wiemy – proponuje Declan. – Ta sprawa ma najwyraźniej coś wspólnego z Dianą Ward, która zniknęła. – Sięga po solniczkę i przesuwa ją na środek stołu. – Grupa Numer Jeden chce ją znaleźć, wysłała do ciebie tajemniczą Biancę i prosi, byś pomogła im namierzyć Ward.

Ben przesuwa na środek stołu pieprzniczkę i stawia ją obok solniczki.

– A tutaj mamy Grupę Numer Dwa.

– Tak. – Declan kiwa głową. – Ci ludzie wysyłają Franka Sardinię... czy jak ten człowiek się nazywa, żeby pozbył się Bianki. Dwie kule w głowę. – Przewraca solniczkę. – A potem Sardinia próbuje zabić ciebie. Dlaczego?

Podczas gdy cała trójka wpatruje się we mnie, patrzę na przewróconą solniczkę i myślę o zwłokach Bianki leżących pod moim domem.

– Chcą zabić nas obie – rzucam. – Dianę i mnie.

– Wiesz, gdzie ona jest? – pyta Declan.

– Nie. Odeszłam z Agencji szesnaście lat temu, a ona kilka miesięcy później. Od tego czasu nie miałam z nią kontaktu.

– Więc dlaczego ta sprawa powraca właśnie teraz? – dziwi się Ben.

– To musi być zemsta za to, co stało się na Malcie. Za operację Cyrano.

Spoglądają po sobie. Choć akta tej sprawy pozostają utajnione, podobnie jak nazwiska biorących w niej udział agentów, moi przyjaciele z pewnością słyszeli o Cyrano, rosyjskim agencie, który przez wiele lat działał w kręgach brytyjskich elit.

– Brałaś w tym udział? – zwraca się do mnie Ingrid.

– Tak. Diana też. – Przerwywam na chwilę, po czym oznajmiam: – Ta operacja miała... nieoczekiwane konsekwencje.

Konsekwencje tak bolesne, że nigdy nie mówiłam nikomu o tej misji. Teraz też wolałabym nie otwierać starych ran, ale nie mam wyboru. Spoglądam na solniczkę, która miała reprezentować zwłoki Bianki, choć równie dobrze mogłoby to być moje ciało. Dziś zamierzali mnie zabić i z pewnością spróbują ponownie.

– Właśnie dlatego odeszłam z Agencji. Z powodu tego, co wydarzyło się na Malcie.

– Zemsta po tylu latach? – Ingrid unosi brwi. – Trzeba było wydać sporo pieniędzy, żeby cię tu znaleźć i wysłać zabójcę z fałszywą tożsamością. Chyba bardzo im zależało na twojej śmierci.

– Zakładam, że to ludzie Cyrano. Chcą odwetu za ujawnienie ich agenta. Rosjanie nie zapominają i nigdy nie przebaczą.

– Zakładasz? Chcesz powiedzieć, że to mógł być ktoś inny?

– Kto chciałby mojej śmierci? – Śmieję się ze znużeniem. – Bez wątplenia Rosjanie. – Rozglądam się dokoła. – I chyba nie ja jedna mogę to powiedzieć.

Nikt nie reaguje. Nikt nie chce.

Telefon Declana piszczy przeraźliwie. Nadstawiamy uszu.

– Czujnik ruchu – mówi gospodarz, spoglądając na ekran.

Dzwoni dzwonek u drzwi. Czyżby zabójca postanowił wejść od frontu?

– Spodziewasz się kogoś? – pyta Lloyd.

– Nie. – Declan powiększa na ekranie telefonu widok z kamery i wzdycha. – Spokojnie. To Jo Thibodeau, nasza nieustępliwa policjantka. Robi się naprawdę upierdliwa. – Wstaje, zdejmując fartuch i rzuca go na oparcie krzesła. – Spławię ją.

Słyszemy, jak otwiera drzwi. Nie ma szansy, by ją spławić.

– Chciałabym porozmawiać z Maggie Bird – oświadcza Thibodeau w progu.

– Dlaczego uważa pani, że jest tutaj?

– Bo nie ma jej u Bena Diamonda, a pana volvo stoi na ulicy, a nie w garażu. To znaczy, że w garażu jest jej pick-up.

– To nie jest odpowiednia pora – mówi Declan. – Właśnie jemy kolację.

– To nie potrwa długo.

Thibodeau wkracza do kuchni, nie zważając na jego protesty. Patrzy spod zmarszczonych brwi na naszą czwórkę siedzącą przy stole.

– Naprawdę? – zwraca się do mnie. – Po tym, co dzisiaj panią spotkało, przychodzi tu pani na przyjacielską kolację?

– Bo to są moi przyjaciele – odpowiadam.

Od razu widzi mapę rozłożoną na stole, z drogami, które Lloyd zaznaczył na żółto.

– Co to jest?

– Sprawdzaliśmy drogi dojazdowe – tłumaczy Lloyd. – Do posiadłości Maggie. Próbuje pomóc w śledztwie.

Policjantka wzdycha ciężko.

– No dobrze – rzuca. – Czy moglibyście państwo stąd wyjść? Wszyscy poza panią Bird. Chcę z nią porozmawiać na osobności.

– Nie – odpowiadam. – Wolę, żeby przy tym byli. Jak już mówiłam, to moi przyjaciele, i być może pomogą pani w śledztwie.

– Szczerze w to wątpię.

– Uważa nas pani za półgłówków? – Ingrid przeszywa ją stalowym spojrzeniem, przed którym nikt nie potrafi uciec. Nic dziwnego, że nie miała sobie równych wśród przesłuchujących agentów.

Thibodeau robi się czerwona jak burak.

– Wcale tego nie powiedziałam, proszę pani.

Declan podsuwa jej szarmanckim gestem krzesło.

– Bardzo proszę, pani komendant, może się pani do nas przysiądzie? Nie mamy tu żadnych tajemnic.

Policjantka mierzy krzesło gniewnym spojrzeniem, jakby ten staromodny gest czymś ją obrażał, w końcu jednak siada i wyciąga notes.

Wszyscy już zdążyliśmy się przekonać, że jest wyjątkowo upartą kobietą i że im bardziej będziemy się starali odsunąć ją od siebie, tym bardziej będzie naciskała.

Ben dokładnie ją sprawdził. Wiemy, że urodziła się w Purity, spędziła całe życie w stanie Maine i pracuje w miejscowej komendzie od ponad dziesięciu lat. Zna to miasteczko i jego mieszkańców lepiej, niż my kiedykolwiek będziemy je znać, i próbuje nas jakoś dopasować do tego obrazu. Choć nigdy nie uczono jej gromadzenia informacji wywiadowczych, jest wystarczająco rozsądna i bystra, by zrozumieć, że próbujemy wyprowadzić ją w pole. I pewnie zastanawia się, jak to możliwe, że pięcioro siwowłosych emerytów tak z nią pogrywa.

– Więc o co chciałaby mnie pani zapytać? – zwracam się do niej.

Otwiera notes.

– Udało nam się ustalić tożsamość strzelca. To Frank Sardini, lat czterdzieści dwa, z Orlando w stanie Floryda. Zna pani tego człowieka,

pani Bird?

– Nie – odpowiadam.

Patrzy na mnie spod uniesionych brwi.

– Nie zastanawiała się pani nad tym nawet przez sekundę – mówi.

– Bo nie musiałam.

– A może wolałaby pani nie przyznać, że zna tego człowieka?

– Niby dlaczego?

– Nie wiem! Proszę mi powiedzieć, dlaczego człowiek z Orlando przejechał taki kawał drogi, żeby strzelać do hodowczynie kurczaków?

– Pewnie powinna pani spytać o to Franka Sardiniego.

– Wciąż próbujemy go namierzyć. Wiemy, że jeździł czarną toyotą wypożyczoną w oddziale firmy Alamo w Bostonie. Samochód oddano dziś o pierwszej po południu. Tablica rejestracyjna jest widoczna na nagraniu ze sklepu z karmą. Przejeżdżał tamtędy dokładnie w czasie, kiedy sprawca opuścił miejsce przestępstwa. – Policjantka mierzy Ingrid oskarżycielskim spojrzeniem. – A pani nie powinna była się tam kręcić i prosić Verna o nagranie.

– Działałam w imieniu zarządu biblioteki.

– Tak, jasne – prycha Thibodeau.

Jestem pod wrażeniem, że zebrała te informacje znacznie szybciej, niż można by oczekiwać od funkcjonariuszki z prowincjalnego miasteczka. Nie doceniliśmy jej, co być może mówi więcej o nas niż o niej. Jakie jeszcze niespodzianki nas czekają?

– SUV, który wynajął strzelec, miał opony Goodyear TrailRunner – kontynuuje policjantka. – Takie same jak samochód, z którego wyrzucono zwłoki pod domem pani Bird. – Odwraca się do mnie. – Interesujący zbieg okoliczności, nie uważa pani?

– Sprawdziliście tego Sardiniego? – pyta Ben.

– Pracuję nad tym. Skontaktowałam się z policją w Orlando i na razie ustaliłam, że nie ciąży na nim żadne wyroki, nie ma nawet mandatów. Ale kiedy zadzwoniłam do miejsca, w którym podobno był zatrudniony, czyli do agencji ubezpieczeniowej, okazało się, że nikt tam o nim nie słyszał.

– Może dlatego, że nie żyje – mówi Ingrid.

Thibodeau odwraca się do niej.

– Co?

– Prawdziwy Frank Sardini zmarł w wieku czterech miesięcy, a przynajmniej tak wynika z jego dokumentacji medycznej. Człowiek, który wynajął samochód w Bostonie, skradł jego tożsamość, więc nie przypuszczam, żebyście zdołali go znaleźć, a tym bardziej aresztować.

– Skąd wiecie to wszystko?

– Pogrzebałam trochę w internecie. – Ingrid stuka w klawiaturę laptopa i odwraca go ekranem do Thibodeau. – Sprawdziłam akty urodzenia, akty zgonów i zadzwoniłam do Orlando.

Policjantka wpatruje się w zdjęcie prawa jazdy Franka Sardiniego. Z pewnością czuje się upokorzona, choć nie wie, że nie ma w tym pojedynku żadnych szans. Ingrid przez całe życie zajmowała się gromadzeniem informacji dostępnych w sieci i ma w Agencji źródła, o jakich funkcjonariuszka z małego miasteczka w Maine może tylko marzyć.

– Kimkolwiek jest ten człowiek, dawno już stąd odjechał – wtrąca Ben.

Thibodeau wodzi po nas wzrokiem. Patrzy na elegancką Ingrid i jej jedwabną apaszkę. Na wiecznie zadowolonego pulchnego Lloyda. Na Bena i jego ogoloną głowę. I na Declana i jego przystojną irlandzką twarz. W końcu przygląda się mnie, kobiecie, która twierdzi, że zajmuje się

jedynie hodowlą kur. Kobiecie, której ktoś podrzucił na podjazd zwłoki i do której strzelał z lasu snajper.

– Kim wy jesteście, do cholery? – pyta w końcu.

– Och, jesteśmy po prostu emerytami – odpowiada Lloyd.

– A czym zajmowaliście się wcześniej? – Thibodeau patrzy na Ingrid.

– Ja byłam sekretarką, pracowałam w międzynarodowej firmie.

– A pan? – Policjantka odwraca się do Bena.

– Zaopatrywałam hotele. Sprzedawałam meble i wyposażenie restauracji najlepszym sieciom hotelowym na całym świecie.

– A ja byłem wykładowcą historii – dorzuca Declan.

– Ja zajmowałam się logistyką importu i eksportu, jak już kiedyś pani mówiłam – oznajmiam. Jak łatwo przychodzi nam wracać do dawnych fałszywych tożsamości. Powtarzaliśmy kłamstwa tak długo, że stały się naszą drugą naturą.

W końcu Thibodeau spogląda na Lloyd'a, jedyne spośród nas, który nie pracował pod przykrywką. Jedyne, który może ujawnić, gdzie naprawdę był zatrudniony.

– Och, ja byłem tylko analitykiem – oznajmia pogodnym tonem.

– Czyli psychoanalitykiem? – dopytuje policjantka.

Lloyd parska śmiechem.

– Nie, w żadnym wypadku. Całymi dniami siedziałem przy biurku. Gromadziłem dane, analizowałem je i przekazywałem rządowi. Niezbyt ekscytujące zajęcie.

– Jesteśmy wprawdzie emerytami, ale uwielbiamy zagadki kryminalne – mówi Ingrid. – Chyba wszyscy lubią powieści detektywistyczne, prawda? Właśnie to było inspiracją dla naszego małego klubu. Jeśli człowiek naczyta się takich książek, wie całkiem sporo o policyjnych procedurach.

– Jasne – mruczy pod nosem Thibodeau, spoglądając na mapę. – I jak nazywacie ten wasz... hm... klub?

Na moment w pokoju zapada cisza. Wracam myślami do wieczoru, gdy staliśmy przy kominku u Ingrid i Lloyda, popijając drinki i rozmawiając o tajemniczej Biance.

– Klub Martini – mówię.

Moi przyjaciele kiwają głowami i uśmiechają się.

– Nie rozpraszajmy się, proszę – upomina nas Declan. – Musimy się skupić na tym – pokazuje palcami cudzysłów – Franku Sardinim.

Thibodeau wzdycha ciężko.

– Jezu, to się coraz bardziej komplikuje.

– Ale chętnie pani pomożemy – wtrąca Ingrid. – Owszem, jesteśmy emerytami, ale przez ostatnie lata nabyliśmy wiele umiejętności detektywistycznych.

– Czytając kryminały? Jasne – rzuca policjantka, po czym zwraca się do mnie: – Pani na pewno zna przynajmniej część odpowiedzi. Ktoś właśnie próbował panią zabić. Domyśla się pani, kto mógł zlecić zabójstwo?

Znów patrzę na przewróconą solniczkę, zastępującą zwłoki Bianki. Ta kobieta była kolejną ofiarą w serii zabójstw, która jeszcze się nie skończyła.

– Nie wiem kto – odpowiadam. Ale być może wiem dlaczego, dodaję w myślach.

□ □ □

W butelce, którą opróżniamy z Declanem, zostało już niewiele szesnastoletniej szkockiej ze słodu jęczmiennego. Wypiłam dziś więcej, niż powinnam.

– Możemy to dokończyć – dodaje mój przyjaciel i rozlewa whisky do szklanek.

Pozostali pojechali już do domów. Zostaliśmy tylko we dwoje i siedzimy przed jego kominkiem. Ogień już przygasł, migocze tylko nad resztkami polan. Wkrótce i tak pójdziemy spać, więc nie trzeba dokładać. Czekamy, aż płomień całkiem znikną i zostanie po nich tylko żar. Nieunikniona śmierć.

– Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy poczęstowałem cię alkoholem? – pyta.

– Myślałam, że chcesz mnie otruć.

– To nie była aż tak zła whisky. Ośmioletnia szkocka ze słodu jęczmiennego, jeśli dobrze pamiętam.

– Po raz pierwszy w życiu piłam wtedy whisky. Nie byłam przyzwyczajona, więc nie potrafiłam tego docenić. – Upijam łyk tej szesnastoletniej i delektuję się karmelowym posmakiem, który został na języku. – Boże, tak naprawdę byłam wtedy jeszcze dzieckiem. I to pod wieloma względami.

– „Gładziutka buzia”, tak cię wtedy opisał Ben. W odróżnieniu od całej reszty, bo mieliśmy już swoje lata.

O tak, Declan jest starszy niż ja. O osiem lat, ściśle mówiąc. Kiedy się poznaliśmy jako rekruci, miał trzydzieści lat i doktorat z historii Europy, cenny tytuł, który był bardzo przydatny, gdy Declan działał pod przykrywką wykładowcy uniwersyteckiego. Czas przetkał jego czarne włosy siwizną, a wokół oczu pojawiła się sieć zmarszczek, ale to właściwie tylko dodało mu uroku. Syn dystyngowanego dyplomaty teraz sam wygląda jak wysoki rangą dyplomata.

– Zastanawiałaś się kiedyś, co innego mogłabyś zrobić ze swoim życiem? – pyta.

– Zamiast pracy w Agencji?

– Tak.

– Może rzeczywiście zajmowałabym się logistyką importu. Podobała mi się ta przykrywka. – Spoglądam na niego. – A ty pewnie chciałbyś być wykładowcą historii.

– Tweedowe marynarki, renomowane uczelnie. Co siedem lat roczny urlop naukowy. Całkiem niezłe, nie?

– I te ponętne studentki, które tłoczą się wokół ciebie.

– To akurat nigdy mnie nie kusilo. Nie potrafiłbym romansować ze znacznie młodszą kobietą. – Upija w zamyśleniu łyk szkockiej. – Gdybyśmy mieli inne zawody, nigdy byśmy się nie poznali. Nie siedzielibyśmy tu razem. To smutna perspektywa.

– A tymczasem siedzimy. – Uśmiecham się do Declana. – Za co jestem wdzięczna losowi.

Milczymy, wpatrzeni w kominek. Przepalone polano opada na ruszt, wzbijając fontannę iskier.

– Co stało się na Malcie? – pyta w końcu Declan.

– Wiesz przecież. Operacja Cyrano.

– Wiem, że wtedy go zdemaskowano. Słyszałem też, że jakiś rosyjski szpieg miał dostęp do rządowych tajemnic.

– SIGINT wyłapał pierwsze sygnały. Przejął wiadomości od rosyjskiego oficera prowadzącego do agenta w Wielkiej Brytanii. Agencja i Brytyjczycy nie mieli pojęcia, kim jest. Posłem? Członkiem partii konserwatywnej? A może pracownikiem brytyjskiej Narodowej Agencji do spraw Przestępczości, kimś postawionym na tyle wysoko, że mógł udaremnić śledztwa dotyczące prania rosyjskich pieniędzy? Nie wiedzieliśmy nawet do końca, czy Cyrano to prawdziwa postać, czy tylko wymysł. Twór wywiadowczej paranoi.

– Dlaczego nie zajęli się tym Brytyjczycy? Dlaczego to my musieliśmy się za to zabrać?

– Bo wszystkie działania brytyjskiego wywiadu w tej sprawie kończyły się fiaskiem. Zginęło kilkoro ich agentów. Przez osiem lat ten człowiek pozostawał tajemnicą.

– Aż do operacji Cyrano?

Kiwam głową.

– Kierowała nią Diana Ward. Słusznie czy nie, uznano, że to właśnie ona go dopadła.

– A jaką ty odegrałaś w tym rolę?

– Wciągnęła mnie do tej operacji. Byłam tylko trybikiem w większej maszynie.

– Jesteś chyba zbyt skromna, Maggie.

– Nie byłam obecna przy tym, jak go zatrzymano. Ani przy przesłuchaniach, kiedy przewieźli go do Maroka. Tym zajmowała się wyłącznie Diana.

– Więc na czym polegało twoje zadanie?

Wzruszam ramionami.

– Wskazałam właściwy kierunek. Potem ona przejęła sprawę.

– Kiedy ostatnio z nią rozmawiałaś?

– Na Malcie. Nigdy potem nie próbowała się ze mną kontaktować, a ja tym bardziej tego nie chciałam. Nie było powodu. Dzień po tym, jak zatrzymali Cyrano, złożyłam rezygnację.

– Powiesz mi dlaczego?

– Nie. – Zabrzmiało to bardziej szorstko, niż zamierzałam.

Declan nie odzywa się.

Wpatruję się w żar migoczący w kominku, ale czuję, że Declan obserwuje mnie uważnie. Jest jednym z moich najstarszych przyjaciół, być może najlepszym, dzieli nas jednak wznoszony przez lata mur tajemnic. I blizn.

– Cyrano został zatrzymany szesnaście lat temu – mówi. – Myślisz, że to naprawdę może być zemsta? Po tak długim czasie?

– Zadaliśmy Rosjanom silny cios. Zlikwidowaliśmy londyńską pralnię pieniędzy, ujawniliśmy korupcję na najwyższych szczeblach brytyjskiej władzy. Nic dziwnego, że Moskwa chce odwetu.

– Tylko dlaczego zwlekała z tym aż do teraz?

– Być może dlatego, że dopiero teraz poznali nasze nazwiska. Bianca powiedziała mi, że niedawno w Agencji doszło do przecieku, ktoś włamał się do plików dotyczących operacji Cyrano. Było tam też moje nazwisko. Potrzebowali trochę czasu, żeby mnie znaleźć, bo zmieniłam je i przez ostatnie kilka lat żyłam na walizkach. Mieszkałam w Kostaryce, Meksyku, podróżowałam po Azji. A potem odebrałam twoją wiadomość z zaproszeniem do Maine. Wydawało się, że odnalazłeś nirwanę.

– Może trochę przesadziłem.

– Nie, nie przesadziłeś. Naprawdę czuję się tu jak u siebie. A właściwie czułam się do czasu, aż podrzuciono mi zwłoki. Przykro mi, że ściągnęłam uwagę wroga na ten cichy zakątek na końcu świata. Czuję się tak, jakbym zdemaskowała nas wszystkich.

– Damy sobie radę. Jak zawsze.

– Nie zawsze. W tym tygodniu pożegnałam się ze wszystkimi iluzjami dotyczącymi mojej nietykalności, jakie dotąd udawało mi się zachować. – Wypijam resztkę whisky i wstaję. – Późno już. Pogadamy jeszcze rano. I dziękuję ci bardzo, Declan. Nie tylko za ten wieczór, ale za... wszystko.

– Ty zrobiłabyś dla mnie to samo.

Uśmiecham się do niego. Tak, zrobiłabym. Wychodzę z salonu i jestem już na schodach, gdy słyszę, jak woła za mną:

– Wiesz, że możesz tu zostać, Maggie?! Tak długo, jak tylko zechcesz.

– Uważaj na to, co proponujesz.

– To duży dom, może za duży dla mnie. Lubię twoje towarzystwo.

A ja twoje, przemyka mi przez głowę.

Przez drzwi widzę, jak siedzi przy kominku, ze wzrokiem skierowanym w żar. Nie patrzy na mnie. Znamy się niemal od czterdziestu lat i zawsze miałam go za oziębłego intelektualistę. Choć otworzył przede mną swój dom, wciąż czuję dzielący nas dystans, jak w każdej relacji między ludźmi, których zasadą jest nikomu nie ufać.

– Na pewno się nad tym zastanowię – mówię.

Wchodzę do swojego pokoju i zatraskuję drzwi. Zamykam je też na klucz, z przyzwyczajenia, choć czuję się bezpiecznie w tym domu, bo tylko moi przyjaciele i Jo Thibodeau wiedzą, że tu jestem. Declan ma nowoczesny monitoring i podobnie jak ja jest uzbrojony. Tego wieczoru widziałam, jak wyjmował z sejfu pudełko z nabojami i napełniał nimi dwa magazynki. Wydaje się całkiem spokojny, ale z pewnością i on odczuwa zdenerwowanie.

Mój telefon wibruje. Przyszła odpowiedź na zaszyfrowany mail, który wysłałam wczesnym popołudniem.

Możemy się spotkać. Bangkok. Szczegóły później.

Wiem, czym powinnam się teraz zająć. Muszę znaleźć kobietę, którą gardzę. Była na Malcie i zna odpowiedzi. Diana Ward będzie wiedziała, kto próbuje nas zabić.

Ale gdy zamykam oczy, znów myślę o Dannym. Pamiętam, jak patrzył na mnie tamtego dnia rano, gdy pakował się po raz ostatni. Jak pochylał się, by pocałować mnie na pożegnanie. Jak inaczej wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy wtedy uciekli tak, jak planowaliśmy, gdybym odrzuciła to ostatnie zadanie i nie poleciała na Malte.

Właśnie tam wszystko się rozpadło. Na Malcie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Malta, szesnaście lat temu

Choć Bella Hardwicke miała takie same rude włosy i nieskazitelną cerę jak matka, nie odziedziczyła po niej, niestety, łabędziej szyi i fantastycznej figury. Trudno nie porównywać ich ze sobą, kiedy siedzą naprzeciwko mnie przy stole – piękna matka ze swoim brzydkim kaczątkiem. Choć dzień jest gorący, na ogrodowym tarasie willi wynajmowanej przez Camillę, ocienionym winoroślą, panuje przyjemny chłód. W kamiennej fontannie chlupocze woda i unosi się nad nią lekka mgiełka, która płynie w naszą stronę; w gałęziach drzewa pomarańczowego świergoczą ptaki. Na wyspie, na której zdecydowanie brakuje zieleni i w krajobrazie dominują kamienie i beton, ten były klasztor jest cudownym azylem, oddalonym od zatłoczonej Valletty.

– Nie wiem, dlaczego nie mogę po prostu odwieźć cię do Londynu moim odrzutowcem – mówi Camilla. – Wygląda to tak, jakby twój ojciec mi nie ufał.

– Tato mówił, że tak czy inaczej musi tu przylecieć. – Bella przesuwa widelcem truskawki leżące na jej talerzu.

Domyślałam się, że nie lubi truskawek, bo nie zjadła dotąd ani jednej. Układa je na talerzu tak, że wyglądają jak mur warowny.

– Miał jakiś inny powód, żeby tu przylecieć? – pyta Camilla.

– Podobno musi się z kimś spotkać. Dlatego wylecimy dopiero jutro. Tu nie chodzi wcale o mnie, tylko znów o jego pracę. – Bella wzdycha

i odkłada widelec. – Po drodze pewnie znów będę musiała wysłuchać kolejnego wykładu o biznesie. Zawsze rozmawia ze mną o pieniądzach.

Camilla wyraźnie łagodnieje, spoglądając na córkę. O tak, doskonale wie, jakie są priorytety jej byłego męża.

– To dlatego, że rozumiesz, o czym mówi – wyjaśnia córce. – Masz lepszą głowę do liczb niż ja, kochanie.

– Ale ja nie chcę rozmawiać o pieniądzach. Wolałabym mówić o tym, co będziemy dziś robić. – Bella zerka na mnie. – Tak się cieszę, że przyjechałaś! Chciałam, żeby mama cię poznała.

– Bella nieustannie o pani opowiada, Maggie. – Camilla ma przyjazną minę, ale czuję, że nie do końca mnie akceptuje. Jestem w końcu częścią świty jej byłego męża, a tym samym niekoniecznie można mi zaufać.

– Maggie zajmuje się modą – mówi Bella.

– Zajmowałam się – poprawiam ją. – W dawnej pracy.

– A teraz pracuje pani dla Phillipa? – pyta Camilla.

– Nie. Przyleciałam tu z mężem, lekarzem. Pan Hardwicke poprosił mnie, żebym dotrzymywała towarzystwa Belli.

– Bo nie interesuje go nic, co mam do powiedzenia – burczy dziewczyna.

– Taki już jest twój ojciec – mówi jej matka. – Wszystkich tak traktuje. Gdybym wiedziała, jakim jest człowiekiem, kiedy... – Milknie i spogląda na ogród, na otaczające błękitny basen marmurowe posągi.

Willa jest znacznie przyjemniejsza niż sterylny hotel w Valletcie, w którym ja i Danny zatrzymaliśmy się razem z ludźmi Hardwicke'a, i z pewnością dość duża, by wszyscy się tu pomieścili, ale po bolesnym rozwodzie byli małżonkowie trzymają się od siebie z dala.

– Przywiózł ze sobą tę kobietę? – pyta mnie Camilla.

– Silvie? – Kręcę głową. – Nie, została w Londynie.

– A Keith i Victor?

– Tak, przylecieli.

Camilla krzywi się z niesmakiem.

– Dyludyludi i Dyludyludam. Nigdzie się bez nich nie rusza. A swoją drogą, jak się układa między nimi? Między Phillipem i tą kobietą?

– Och, mamó – jęczy Bella. – Nie rozmawiajmy o niej. Proszę.

– Masz rację. – Camilla wzdycha. – Oczywiście, że masz rację. Zastanawiam się tylko, jak długo to tym razem potrwa.

– Dłużej niż ostatnio – odpowiada dziewczyna. – Silvia przynajmniej nie zachowuje się wobec mnie jak suka.

– Bella...

– Ale to prawda. Ta ostatnia była...

– Musimy żyć dalej. Ja też często muszę sobie to powtarzać. To jedyne rozsądne wyjście.

Bella odchyła się na oparcie krzesła i krzyżuje ręce na piersiach. Przez chwilę siedzimy w milczeniu, podczas gdy w koronach drzew ćwierkają wróble, a służąca przychodzi z tacą, by pozbierać naczynia po śniadaniu. Czekam, aż odejdzie, po czym zwracam się do Belli:

– Jakie interesy ojciec ma na tej wyspie?

– Nie pytałam. Wiem tylko, że dzisiaj wieczorem z kimś się spotyka.

– Z kim?

– Z kimś. – Wzrusza ramionami.

„Z kimś”. Zerkam na Camillę, ta jednak właśnie nalewa sobie kawy i nie słucha naszej rozmowy.

– Ale to oznacza, że mamy cały dzień – rozpromienia się Bella. – Więc chodźmy na zakupy!

– Nie mogę, kochanie – mówi jej matka. – Po południu mam się spotkać z twoim ojcem. Może zamówicie taksówkę i pojedziecie same do miasta?

Bella zrywa się z krzesła.

– Idę po torebkę! – woła.

Camilla i ja siedzimy w milczeniu, gdy dziewczyna znika we wnętrzu willi. Dopiero wtedy jej matka pyta:

– Płaci pani za to? Żeby była pani jej przyjaciółką?

– Ani grosza. – Patrzę jej prosto w oczy. – Jestem jej przyjaciółką.

– Dlaczego?

– Tak się składa, że lubię Bellę.

– I to jest jedyny powód, dla którego Phillip tu panią zaprosił? Bo lubi pani Bellę?

– Mój mąż i tak musiał tu przylecieć, a że nigdy nie byłam na Malcie, chętnie się z nim wybrałam.

To przynajmniej wydaje jej się sensowne. Bardziej sensowne niż to, że mogłabym być przyjaciółką jej córki. Choć Bella ma bardzo bogatą rodzinę, jej życie jest naprawdę smutne: ojciec ledwie ją toleruje, a matka traktuje z litością. Nic dziwnego, że dziewczyna tak bardzo garnie się do innych.

– Wygląda na to, że nie ma zbyt wielu przyjaciółek – mówię.

– I nie znajdzie żadnych w tej okropnej szkole.

– Więc dlaczego tam jest?

– Phillip mówi, że to „kształtuje charakter”. Sam sporo wycierpiał w szkole z internatem, więc jego córka też musi cierpieć.

– To chyba nie świadczy dobrze o jego ojcowskich uczuciach.

– On jej nie wychowuje, tylko próbuje z niej stworzyć klon samego siebie, kogoś, komu będzie mógł przekazać ster. Przygotowuje ją do tego,

odkąd nauczyła się liczyć. Dla niego wszystko jest biznesem. Odkryłam to zbyt późno.

Obserwuję, jak dosypuje cukru do kawy i stuka łyżeczką o skraj filiżanki. Wróbel z drzewa pomarańczowego odpowiada jej głośnym świergotem.

– Jak długo byliście małżeństwem, jeśli mogę spytać?

– Osiem lat. Czyli o jakieś siedem i pół roku za długo. Kiedy się rozwodziliśmy, chciałam, żeby przyznano mi opiekę nad Bellą, ale Phillip nigdy nie zrzeka się własności, cokolwiek to jest. Nawet jeśli tak naprawdę tego nie chce. Dobrze, że zgodził się chociaż, by mnie odwiedzała. – Camilla pochyła się nad stołem i dodaje cicho: – Jeśli naprawdę jest pani jej przyjaciółką, proszę na nią uważać.

Unoszę brwi.

– Co ma pani na myśli?

– Ludzi, z którymi on się zadaje. Przerażają mnie. Zawsze mnie przerażali.

– Chodzi pani o Keitha i Victora?

– Skąd! – Macha lekceważąco ręką. – Oni są pionkami. Chodzi o innych.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– O ludziach, z którymi Phillip prowadzi interesy. Proszę trzymać Bellę z dala od nich. Jeśli stanie się coś złego, jeśli jakiś interes mojego byłego męża skończy się katastrofą, nie powinno jej być w pobliżu ojca.

– Nie może mi pani powiedzieć czegoś więcej?

– Lepiej będzie, jeśli tego nie zrobię. Dla nas obu. – Przygląda mi się przez chwilę. – To prawda? Nie płaci pani za towarzyszenie Belli?

– Proponował, ale nie chciałam brać jego pieniędzy.

- A więc jest pani pierwszą osobą, która nie skorzystała z takiej okazji.
 - Nie wszystko na tym świecie można kupić.
 - Phillip by się z panią nie zgodził. – Podnosi wzrok, bo z domu wychodzi Bella.
 - Jestem gotowa, Maggie! – woła. – Jedziemy na zakupy!
- Wstaję od stołu.
- Dziękuję za kawę.
 - A ja dziękuję pani za to, że jest pani przyjaciółką mojej córki. – Po krótkiej przerwie dodaje cicho: – Jeśli rzeczywiście pani nią jest.

□ □ □

– Tak się cieszę, że tata cię tu zaprosił – mówi Bella, gdy idziemy wąskimi uliczkami Valletty. – Nie chciała tu przyjechać żadna z moich szkolnych koleżanek, a mama... – Wzrusza ramionami. – Hm... mama to mama.

- Zawsze przyjeżdża tu latem?
- Nie, w zeszłym roku była na Korsyce. Ucieka przed zimnem.
- Przecież w Argentynie nie jest zimno.
- Teraz jest tam zima.
- Ale to nie jest taka zima jak w Anglii.
- Mama uważa inaczej. Im goręcej, tym bardziej jest zadowolona. Ja nie znoszę upałów, ale ona jest jak jaszczurka.

Bella zatrzymuje się przy wózku ulicznego sprzedawcy i przygląda się taniej biżuterii. Zapomniała kapelusza i jest teraz niepokojąco czerwona, a na jej opuchniętych policzkach lśni pot. Wygląda jak błyszcząca różowa piłka plażowa.

– Co o tym myślisz? – pyta, podnosząc parę filigranowych metalowych kolczyków.

– Myślę, że były tańsze na straganie przy drugim końcu ulicy.

– Mieli tam takie same?

– Identyczne.

– Nic nie ujdzie twojej uwagi, co?

To prawda. Nie uszło mojej uwagi, że rano w lobby hotelu siedział Gavin i udawał, że czyta gazetę. Zauważyłam też Dianę w hotelowej restauracji, kilka stolików od miejsca, gdzie Hardwicke i Keith jedli śniadanie. Zespół Diany zamieszkał w tym samym hotelu co my. Luksusowa kwatery jak na taką operację, ale za wszystko płaci Wuj Sam.

– Och, nieważne. – Bella odkłada kolczyki na wózek. – Chyba i tak mi się nie podobają. – Spogląda na rozpalone słońce. – Boże, ale gorąco.

– A ty za chwilę będziesz miała poparzoną skórę. Powinnaś nosić kapelusz.

– Mama ciągle mi to powtarza.

– Chcesz pojechać do hotelu i trochę ochłonić? Czy mam cię zabrać z powrotem do mamy na lunch?

– Nie do mamy. – Dziewczyna się krzywi. – Nie znoszę tego, co gotuje jej kucharz. Tylko nudne sałatki i grillowana ryba. Wiesz, na co naprawdę mam teraz ochotę?

– Na co?

– Na hamburgera z frytkami. Podadzą nam to w waszym hotelu?

– Myślałam, że jesteś wegetarianką.

– Próbowałam. Ale to naprawdę trudne.

Śmieję się głośno.

– Dobrze, niech będzie hamburger.

Idziemy krętymi brukowanymi ulicami i wachlujemy się dłońmi; obie jesteśmy spocone. Wyprawa na zakupy okazała się niezbyt udana, Bella niesie tylko jedną torebkę z jedwabną chustą. Przypominam sobie jej garderobę w Manning House, wypełnioną wartymi fortunę sukienkami, które wcale do niej nie pasowały. To zdecydowanie spory postęp. Uczy się wybierać to, co naprawdę może się jej przydać.

Trwa właśnie ta leniwa część popołudnia, gdy jest już dawno po lunchu, ale jeszcze za wcześnie na kolację, więc gdy docieramy do hotelu, w restauracji jest pusto. Hostessa prowadzi nas na zewnątrz, do stolika na tarasie, z którego rozciąga się widok na morze. Bella natychmiast sięga po menu i tak bardzo skupia się na zamawianiu wymarzonego hamburgera, krwistego, z frytkami, że nawet nie zauważa, kto jeszcze jest na tarasie. Dostrzegam Keitha siedzącego w przeciwległym rogu, co oznacza, że w pobliżu musi też być jego pracodawca. Rozglądam się i widzę go – siedzi przy stoliku z Camillą, tuż za szeregiem palm w donicach. Żadne z nich się nie uśmiecha; patrzą na siebie jak szachiści prowadzący zażarty pojedynek. Liście palm częściowo ich skrywają, nie tłumią jednak głosów.

– ...cholernie niebezpieczny biznes! Nie chcę, żebyś ją w to wciągał – mówi Camilla.

Słyszając głos matki, Bella podnosi wzrok i wzdycha ciężko.

– O Boże, oni tu są.

– Udawaj, że ich nie ma – radzę jej.

– Łatwo ci mówić. Może powinniśmy stąd wyjść.

Nie chcę wychodzić. Chcę słyszeć, co mówią.

– Już złożyłaś zamówienie – przypominam jej. – Po prostu ich ignoruj i zjedz lunch.

Teraz mówi Hardwicke, znacznie ciszej. Słyszę tylko:

– Nie tak się umawialiśmy.

– Ona nie jest szczęśliwa.
– Potrzebuje stabilności.
– Czyli szkoły z internatem? Nienawidzi jej.
– Musi się przekonać, jak działa ten świat. Ja właśnie tak się tego nauczyłem.

– Życie to nie obóz dla rekrutów! Chcę zabrać ją do Argentyny.

– Nie tak się umawialiśmy.

– Wcale się z tobą nie umawiałam. Zażądałeś tego.

– To nie mój problem, że masz niekompetentnych prawników.

Spoglądam na parę, która mierzy się wściekłymi spojrzeniami, i myślę: nic dziwnego, że Silvia została w Londynie. Nie wyobrażam sobie bardziej wybuchowej sytuacji niż obecność byłej żony i aktualnej kochanki mężczyzny na jednej wyspie.

Bella skrywa twarz w dłoniach, jakby dręczył ją okropny ból głowy.

– Boże, niech już przyniosą tego hamburgera.

– Udawaj, że ich nie znasz. To właśnie robiłam, kiedy byłam w twoim wieku.

– Mówisz o swoich rodzicach?

– O ojcu. Kiedy był pijany i widziałam, jak zatacza się na ulicy, szłam dalej.

– Nigdy mi o nim nie opowiadałaś.

– Bo nie ma o czym opowiadać.

– Nie lubisz mówić o sobie, prawda?

– Nie jestem zbyt interesująca.

– Widzisz? Znów to robisz. Unikasz mówienia o sobie.

A więc zauważyła. Czasami zapominam, jak spostrzegawcze potrafią być nastolatki. Zerkam na jej rodziców.

- Nie przepadają za sobą, co? – rzucam.
- Dlatego właśnie nigdy nie wyjdę za mąż.
- Nigdy nie mów nigdy.
- Chyba że poznam kogoś takiego jak twój mąż.
- On już, niestety, jest zajęty. – Uśmiecham się.
- Chcę mężczyzny, który patrzyłby na mnie tak, jak on patrzy na ciebie.

Te słowa sprawiają, że milknę na chwilę. Czasami trzeba spostrzegawczej nastolatki, by dojrzeć prawdę. Ukrywam się za masą kłamstw, okazuje się jednak, że Bella dostrzegła jedyną prawdziwą rzecz w moim życiu: że Danny i ja szczerze się kochamy. Ciekawe, co jeszcze widzi i czego się domyśla. Zauważyła już, że unikam jej pytań, że nie dzielę się żadnymi sekretami. Z pewnością byłaby głęboko zraniona, gdyby poznała ten największy: że nasza przyjaźń jest tylko fikcją.

Kelner przynosi w końcu jedzenie i Bella natychmiast rzuca się na hamburgera. Bierze go w obie ręce i podnosi do ust, gdy jej matka mówi do byłego męża:

- I przytyła cztery kilogramy. Jak mogłeś do tego dopuścić?

Bella nieruchomieje, choć hamburger dotyka jej ust.

– Moim zdaniem wygląda całkiem zdrowo – odpowiada Hardwicke. – Jakie to ma znaczenie, ile waży?

– Czy ktokolwiek z twojego otoczenia zwraca na nią uwagę? Może ta kobieta?

- Silvia nie ma z tym nic wspólnego – protestuje Hardwicke.

– No tak, oczywiście. Dlaczego miałyby ją to obchodzić? Dostaje przecież to, czego chce. – Camilla odsuwa krzesło od stołu i wstaje. – Bella jest twoją córką. Przynajmniej spróbuj jej okazać trochę czułości. Jeśli tego

nie potrafisz, powinna być ze mną. – Odchodzi od byłego męża i nagle widzi nas, siedzące kilka stolików dalej.

– Cześć, mamó – mówi Bella, jakby wystraszona.

Matka spogląda z dezaprobatą na jej posiłek.

– Hamburger? Bella...

– Byłam głodna.

– Następnym razem zamów sałatę. – Rzuca nienawistne spojrzenie w stronę Hardwicke'a. – Rano wylatujesz z ojcem. Powinnaś wrócić do willi i się spakować.

– Właśnie zaczęłam jeść.

– Możesz to wziąć na wynos. Chodźmy.

Dziewczyna patrzy na nietkniętego hamburgera i odkłada go z westchnieniem.

– Chyba już nie jestem głodna. – Przygnębiona, wstaje od stołu i zwraca się do mnie: – Dziękuję, że zabrałaś mnie na zakupy.

– Zobaczymy się jutro na lotnisku – mówię.

Gdy Camilla i jej córka wychodzą z restauracji, Hardwicke wciąż siedzi sztywno wyprostowany przy stole. Musi być wściekły, że choć ma tyle pieniędzy i tak wielką władzę, nie może kontrolować kobiet w swoim życiu. Jest zwrócony ku morzu, widzę tylko jego sylwetkę na tle lśniącego horyzontu. Nie widzę jego twarzy i przegapiam moment, gdy to się zaczyna – gdzieś w jego mózgu rodzi się iskra, która wznieca elektryczną burzę w korze mózgowej.

Pierwszym sygnałem świadczącym o tym, że dzieje się coś niedobrego, jest karafka, która spada ze stołu i rozbija się o podłogę tarasu.

Roztargnienie, myślę w pierwszej chwili, potem jednak widzę, jak Hardwicke pochyla się na bok i spada z krzesła, ciągnąc za sobą obrus,

rozrzucając porcelanę i sztucce. Wszyscy goście na tarasie odwracają się do niego. Patrzą zszokowani, jak mężczyzna leży, dygocząc.

Keith natychmiast zrywa się z krzesła. Klęka obok pracodawcy i krzyczy do telefonu:

– Doktorze Gallagher, szef ma atak! Na tarasie restauracji!

Dwaj kelnerzy stoją jak sparaliżowani, podczas gdy ciałem Hardwicke'a wciąż wstrząsają niekontrolowane drgawki. Dostrzegam odłamki szkła leżące obok jego głowy i wstaję, by odrzucić je kopniakiem na bok, ale już się skaleczył; na podłodze pojawia się smuga świeżej krwi. Słyszę zgrzyt odsuwanych krzeseł, gdy ludzie wstają i podchodzą bliżej, by oglądać ten upokarzający spektakl.

– Wynoście się stąd, wszyscy! – wrzeszczy Keith. – Zróbcie mu miejsce, do kurwy nędzy!

Odsuwam na bok krzesła, zwijam w wałek obrus ściągnięty ze stołu i podkładam go pod głowę Hardwicke'a. Przeraza mnie gwałtowność ataku. Jak długo mogą trwać te konwulsje? Ile jeszcze minie czasu, nim zaczną pękać kości albo ustanie akcja serca?

Nagle słyszę głos Danny'ego. Mój mąż każe się wszystkim odsunąć, gdy z torbą lekarską przeciska się przez tłum. Klęka obok mnie.

– On krwawi – mówię.

– To może poczekać. – Otwiera plastikowy pojemnik i odsłania dyszę. – Przytrzymaj mu głowę!

Obiema rękami łapię za głowę Hardwicke'a. Krew skleja jego włosy i brudzi mi palce. Patrzą mu prosto w oczy. Są na wpół otwarte, odwrócone białkami do góry. Nogi uderzają głucho o podłogę. Jak łatwo byłoby go zabić tu i teraz, myślę. Poderżnąć mu gardło albo udusić go poduszką. Wtedy stałoby się zadość sprawiedliwości, a świat stałby się lepszym

miejszem. Tymczasem pomagam mężowi utrzymać tego potwora przy życiu.

Danny sprawnie wprowadza dyszę do nozdrza Hardwicke'a i naciska guzik.

– Co mu podajesz? – pytam.

– Midazolam. Nie zatwierdzono go jeszcze do takiego zastosowania, ale wcześniej mu pomagał.

Wystarczyło, by mój niewzruszony mąż wypowiedział spokojnie tych kilka słów, a odzyskałam równowagę.

– Co się tu stało? – chce wiedzieć Danny. – Co wywołało ten atak?

– Nic. Siedział przy stole i patrzył na morze.

Danny spogląda na stół.

– Blask słońca. Odbicia na wodzie.

– To może wywołać atak?

– Tak, migotanie światła. – Wpatruje się w Hardwicke'a, który powoli przestaje dygotać. – W porządku, chyba nie będzie potrzebował drugiej dawki. Dajmy mu jeszcze chwilę, niech się ocknie. Teraz obejrzę ranę na głowie.

Słyszę wycie syreny.

– Kto wezwał karetkę? – pyta Keith.

– Ja, proszę pana – odpowiada jeden z kelnerów.

– Nie potrzebuje jej!

– Nie wiedziałem...

– Dobrze, już dobrze – wtrąca Danny i uśmiecha się uspokajająco do kelnera. – Ten pan miał już takie ataki, ale pan oczywiście o tym nie wiedział. Maggie, możesz mi podać trochę gazy?

Grzebię w jego torbie, szukając sterylnej gazy, i dostrzegam etykietę. Opakowanie jest niepozorne – biały karton z wydrukowanym na czarno składem – ale nazwa lekarstwa wręcz do mnie krzyczy. Wielokrotnie zaglądałam już do tej torby i wiem, jakie lekarstwa i narzędzia nosi mój mąż. Dziś po raz pierwszy widzę heme arginate.

– Maggie? – rzuca Danny.

Podaję mu zwitek gazy. Obserwuję, jak rozrywa folię i przyciska opatrunek do głowy Hardwicke’a. Na białej bawełnie pojawia się krwawa plama.

Cyrano jest na Malcie.

Wbiegają ratownicy medyczni z noszami. Kiedy docierają do Hardwicke’a, ten otwiera już oczy i rozgląda się oszołomiony.

– Zabierzmy go do pokoju – mówi Danny.

– Nie do szpitala? – pyta ratownik.

– Nie musi iść do szpitala. Przenieście go na górę, do jego apartamentu.

Wszyscy skupiają się na Hardwicke’u, więc nikt nie zwraca uwagi na mnie. Nie obchodzi ich, że idę z nimi do windy ani że jestem tuż za nimi, gdy wysiadają na czwartym piętrze.

Nie zauważają, gdy przechodzę za nimi do apartamentu Hardwicke’a.

Nie byłam tu wcześniej. Pokój, w którym śpimy z Dannym, jest piętro niżej i nie miałam powodu, żeby tu wychodzić z windy. Nikt z zespołu Diany nie mógł się tu dostać, bo nie wpuszczają tu personelu hotelowego, a w apartamencie zawsze jest Keith lub Victor. To jedyna szansa, żeby tu zajrzeć. Apartament składa się z trzech sypialni, drzwi dwóch z nich – prawdopodobnie Keitha i Victora – są zamknięte. W salonie stoją fotele i sofa, obite żółto-kremowym jedwabiem. Na stole widzę wielką misę z owocami. Jest tu też dobrze zaopatrzony barek z whisky i szampanem

i wielki telewizor zawieszony na ścianie. Przeszklone drzwi prowadzą na balkon z widokiem na ocean.

W rogu stoi biurko, a na nim leży laptop.

Zaglądam przez otwarte drzwi do sypialni Hardwicke'a. Wszyscy są zajęci przenoszeniem go na łóżko i nadal nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Podchodzę do laptopa i wciskam klawisz, by go wybudzić. Na ekranie pojawia się okienko na hasło, którego oczywiście nie znam, ale za laptopem leży rozdzielacz portów USB. W jednym z nich tkwi pendrive.

Słyszę skrzypienie kół noszy. Ratownicy szykują się do wyjścia, nie mam więc czasu, żeby zastanawiać się nad następnym ruchem czy rozważać konsekwencje. Widzę tylko szansę.

Wyjmuję pendrive z gniazda, chowam do kieszeni i wychodzę z apartamentu.

Korzystam ze schodów. Kiedy docieram na trzecie piętro, widzę po drugiej stronie korytarza wózek z przyborami do sprzątnia, ale sprzątaczką pracuje w pokoju. Nie widzi mnie, gdy przechodzę do apartamentu numer 302, gdzie jest Diana. Pukam do drzwi.

Otwiera i patrzy na mnie ze zdumieniem. Przeciskam się obok niej do środka.

– Co ty tu robisz? – rzuca. – Nie powinnaś...

Podaję jej pendrive.

– Skopiuj to. Natychmiast.

– Co to jest?

– Wyjęłam to z komputera Hardwicke'a.

Od razu przechodzi do laptopa i wsuwa pendrive do gniazda USB. Komputer Hardwicke'a był chroniony hasłem, ale zawartość pendrive'a jest

dostępna. Patrząc z bijącym sercem, jak kolejne pliki wgrywają się na laptop.

– Co to za pliki? – pyta Diana, marszcząc brwi.

– Nie wiem. Po prostu wyciągnęłam to z jego komputera. Muszę odnieść, zanim się zorientują, że zniknęło.

– Czy to możliwe, żeby cię...

– Cyrano jest tutaj. Na Malcie.

Odwraca się i wbija we mnie wzrok.

– Co?! Skąd wiesz?

– W torbie lekarskiej Danny’ego jest opakowanie z heme arginate. Musiał zabrać je z Londynu. Nigdy wcześniej nie widziałam w niej tego leku .

Pliki – opatrzone jakimiś dziwnymi nazwami – wciąż się kopiują. Zerkam na zegarek. Szybciej. Szybciej. Dlaczego to tyle trwa, do cholery?! Muszę wrócić na górę, do apartamentu Hardwicke’a, i podłączyć pendrive do rozdzielacza. Nawet jeśli uda mi się to zrobić niezauważenie, pozostanie jeszcze jeden problem: jak usunę z jego laptopa komunikat, że sprzęt został nieprawidłowo odłączony? Może w zamieszaniu związanym z atakiem zignorują to. Zresztą takie silne ataki mogą pozostawiać luki w pamięci. Właśnie na to liczę: że Hardwicke uzna, że sam popełnił błąd.

Kopiowanie zakończone. Wreszcie.

Diana wyjmuje pendrive z gniazdka i podaje mi go.

– Czy Danny mówił, dla kogo ma to heme arginate?

– Nie. I nie rozumiem, dlaczego ma ten lek. O ile mi wiadomo, Hardwicke jest jego jedynym pacjentem na Malcie.

– Więc będziemy go śledzić. Jeśli Cyrano jest na tej wyspie...

– ...to Danny doprowadzi nas prosto do niego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Kiedy idę na czwarte piętro, czuję się tak, jakbym niosła w kieszeni tykającą bombę. Jeśli ludzie Hardwicke'a znajdą przy mnie pendrive, rzeczywiście może się okazać bombą, bo przypieczętuje mój los. Będą wiedzieli, że to ja zabrałam go z komputera.

I uznają, że należy mnie wyeliminować. Najpierw jednak zrobią wszystko, co w ich mocy, by wyciągnąć ode mnie prawdę.

Czuję, że bomba tyka jeszcze głośniejszy, gdy idę korytarzem do apartamentu Hardwicke'a. Drzwi są zamknięte. Na klucz. Serce bije mi jak młotem, a ręka drży, gdy podnoszę ją, by zapukać.

Otwiera Victor. Nigdy za mną nie przepadał i teraz przygląda mi się podejrzliwie. Czy też to tylko moja niespokojna wyobraźnia?

– Chciałam sprawdzić, jak się czuje pan Hardwicke – mówię.

– Śpi.

– Mogę porozmawiać z mężem? Muszę mu powiedzieć...

– Wyszedł.

– Ale był tutaj.

– Musiał wyjść z Keithem, żeby się z kimś spotkać. Wrócą obaj przed kolacją.

– Dokąd poszli?

– Pani Gallagher, proszę zejść do baru i napić się czegoś, dobrze? Mam pracę. – Zamyka mi drzwi przed nosem.

Wyszli, żeby się z kimś spotkać.

Wracam na schody i zbiegam na parter. Nie widzę nigdzie Danny'ego.

Wypadam na zewnątrz. Na podejździe stoi czarny mercedes, ale nie ma w nim mojego męża.

Wyciągam telefon i wysyłam Dianie wiadomość: *Wyszedł. Ktoś musi go śledzić.*

Wtedy ich dostrzegam: Keith i Danny z torbą lekarską idą zatłoczoną ulicą.

Nie ma tu nikogo, kto mógłby ich śledzić. Muszę się tym zająć sama.

Pendrive wciąż jest w mojej kieszeni, ale nie mam czasu, żeby się martwić tym, jak i kiedy dostarczę go z powrotem do apartamentu Hardwicke'a. Skupiam się na dwóch mężczyznach idących ulicą. Mój mąż chyba nie zdaje sobie sprawy, że jest śledzony, bo nie przystaje ani razu, by obejrzeć się za siebie. To Keith zatrzymuje się na rogu i wodzi dokoła wzrokiem.

Zostałam zmuszona do prowadzenia niebezpiecznej gry. Jeśli mnie zauważy, zorientuje się, że idę za nimi.

Zwalniam i pozwalam, żeby się oddalili, gdy idą nadmorską promenadą. Nie mam się tu gdzie schować, żadnych bram ani sklepów, do których mogłabym czmychnąć. Odległość jest moim jedynym sprzymierzeńcem; nie spieszę się, ale wciąż widzę cele, mimo że są już bardzo daleko.

Idą do przystani.

Na wodzie kołysze się las masztów, poruszonych falą pozostawioną przez motorówkę, która przepływała przez przystań. Gdy Danny i Keith wchodzi na pomost, muszę się zatrzymać. Na nim już naprawdę nie miałabym gdzie się ukryć. Obserwuję sfrustrowana, jak idą dalej, w stronę czekającej na nich motorówki.

Dopiero gdy odpływają, wbiegam na pomost. Motorówka nie płynie daleko; kieruje się prosto ku superjachtom cumującym w przystani. To cała

flota, przeznaczona wyłącznie dla spragnionych zabawy bogaczy.

– Czy to oni? – słyszę głos.

Odwracam się i widzę Gavina. Tak bardzo skupiałam się na Dannym i ochroniarzu, że nawet nie zauważyłam, jak kolega pospieszył mi z pomocą.

– Tam. – Wskazuję na jacht, do którego dobiła właśnie motorówka.

Gavin podnosi do oczu lornetkę.

– Wchodzą na pokład.

– Jak się nazywa ten jacht?

– Zobacz sama – mówi, podając mi lornetkę.

Spoglądam na rufę i widzę wyraźnie wymalowany napis: *Wyglodniały*.

– Chyba znaleźliśmy Cyrano – mówi Gavin.

□ □ □

Zrobiłam to, po co przyjechałam na Maltę. Teraz mogę się spakować, wsiąść do samolotu i uciec od tego wszystkiego. Dokładnie to powinnam zrobić, bo wykonałam swoje zadanie, a operacja Cyrano właśnie się dla mnie skończyła. Za dwie godziny zespół Diany wkroczy na pokład *Wyglodniałego*, jachtu należącego do biznesmena i miliardera, sir Alana Hollowaya, który co prawda prowadził wcześniej drobne interesy z Hardwickiem, ale dotąd nie budziło to żadnych podejrzeń. Dopiero teraz Agencja skupiła się na niejasnych początkach biznesów Hollowaya i jego zadziwiająco szybkiej wspinaczce na szczyty brytyjskiej socjety. Gdy ten człowiek znajdzie się na pokładzie samolotu, który zabierze go do więzienia w Maroku, Rosjanie zorientują się, że ich agent został zdemaskowany. Uznają oczywiście, że zdradził go ktoś z otoczenia Hardwicke’a.

A ten nie będzie musiał długo się zastanawiać, by zdać sobie sprawę, że to moje dzieło.

Powinnam być już w samolocie, lecieć gdzieś, gdzie nie znajdą mnie Rosjanie ani on. Najbezpieczniej byłoby zniknąć, ale to oznaczałoby, że Danny musiałby ponieść karę za moje poczynania, a do tego nie mogę dopuścić.

Dlatego czekam.

Na zewnątrz jest już prawie ciemno, gdy słyszę, jak Danny otwiera drzwi. Wchodzi do pokoju i stawia torbę na toalecie. Milczy, więc domyślam się, że coś jest nie tak. Coś się zmieniło.

– Gdzie byłeś? – pytam.

– Musiałem się kimś zająć.

– Hardwicke źle się czuje?

– Nie mówię o Hardwicke’u. Chodzi o kogoś innego.

– Masz na Malcie innego pacjenta?

– To pacjentka, mieszka na jachcie i potrzebowała pomocy lekarza. Hardwicke poprosił mnie, żebym poszedł ją zbadać.

– Na jachcie? I jak było?

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Po prostu jestem ciekawa. Nigdy nie byłam na...

– Masz to, Maggie? – pyta cicho.

– Co?

– Pendrive.

Milczę przez kilka sekund, bo nie wiem, co mu odpowiedzieć.

– O czym ty mówisz? – odzywam się w końcu.

– Zniknął pendrive podłączony do komputera Hardwicke’a. Zawiera ściśle tajne informacje finansowe. Keith i Victor przetrząsają właśnie cały

apartament.

– Dlaczego pytasz o to mnie?

– Bo byłaś tam. I widziałem cię przy komputerze.

– Jak mogłeś...?

– W sypialni Hardwicke’a jest lustro. Kiedy przynosiliśmy go z noszy, zerknąłem w nie i zobaczyłem ciebie. Widziałem cię przy jego komputerze, ale wtedy nie miało to dla mnie znaczenia. Dopiero potem, kiedy dowiedziałem się, że szukają pendrive’a, zrozumiałem, że to mogłaś być ty.

– Wzdycha, zmęczony i rozczarowany. – Jeśli to masz, muszę im to jakoś oddać, zanim zaczną zadawać pytania. Zanim zaczną cię szukać.

Nogi uginają się pode mną i opadam na fotel.

– Powiedziałeś im, że widziałeś mnie przy komputerze? – pytam cicho.

– Nic im nie mówiłem. Proszę, pozwól, żebym się tym zajął. Zanim będzie za późno.

Patrzę w oczy w męża. Wierzę, że mnie kocha, że ożenił się ze mną, bo chciał spędzić ze mną całe życie. Ale jeśli się mylę, jeśli tak naprawdę jest człowiekiem Phillipa Hardwicke’a, to za chwilę wydam na siebie wyrok śmierci.

Sięgam do kieszeni, wydaję pendrive i kładę go na jego dłoni.

– Dziękuję – mówi i odwraca się do wyjścia.

– Co zamierzasz zrobić?

– Nie wiem. Wsunąć mu to do kieszeni albo wrzucić pod łóżko. Po ataku zawsze przez jakiś czas jest oszołomiony, więc może uwierzą, że to przemijająca niepamięć padaczkowa. Że sam wyjął z komputera pendrive, a potem o tym zapomniał.

– Czyli nie powiesz nic o mnie?

– Nie. – Przystaje przy drzwiach. – Ale kiedy wrócę, porozmawiamy. I powiesz mi wszystko.

Wychodzi, a ja nie ruszam się z fotela. Właśnie teraz jest czas na ucieczkę, zanim wróci, zanim powie Hardwicke’owi, że go zdradziłam. Nie mogę się jednak poruszyć. Jestem przykuta do fotela, unieruchomiona niczym skazaniec czekający na egzekucję. Nie obchodzi mnie, czy za chwilę ktoś strzeli mi w głowę, bo to by oznaczało, że Danny mnie zdradził, a to byłoby gorsze od śmierci.

Na dworze jest już całkiem ciemno, ale nie włączam światła. Słyszę śmiech i muzykę z restauracji poniżej i zastanawiam się, czy Danny wróci. Martwię się, że jemu również grozi niebezpieczeństwo, bo jest moim mężem. Do tej pory Diana i jej ludzie na pewno weszli już na pokład *Wyglodniałego*, a sir Alan Holloway jest już w rękach Agencji, podobnie jak jego towarzyszka, której nieuleczalna choroba doprowadziła nas do niego.

Uciekaj stąd, pakuj walizki i wynoś się z Malty! – krzyczy głos w mojej głowie, a jednak wciąż siedzę w fotelu, gdy do pokoju wchodzi Danny. Zamyka drzwi i stoi w ciemności.

– Maggie?! – woła.

– Jestem tutaj.

Nie włącza światła. Być może nie chce mnie widzieć.

– Załatwiłem to – rzuca. – Udało mi się wsunąć mu pendrive do kieszeni. Pomyślał, że po prostu zapomniał, kiedy go tam włożył.

– A więc już po wszystkim. Czy to koniec?

– Jeśli chodzi o pendrive, to owszem.

Widzę tylko jego sylwetkę; stoi na środku pokoju, jakby bał się podejść bliżej. Jakby bał się, że skoczę na niego z pazurami.

– Wybrałem się na długi spacer – mówi. – Musiałem się przygotować na to, co mi powiesz.

– Jesteś gotowy tego wysłuchać?

– Niezupełnie. Bo zakładam, że nie będzie to nic dobrego.

– Usiądź. Proszę, kochanie.

– Jest aż tak źle?

– Obawiam się, że tak.

Wzdycha i siada na łóżku.

– Mam tylko nadzieję, że to będzie prawda.

□ □ □

Siedzimy oboje w ciemności i wyznaję mu wszystko. Wolę nie widzieć jego twarzy, gdy ujawniam kłamstwa, którymi go karmiłam, o tym, kim jestem i dla kogo pracuję. Odkrywając każdy z tych sekretów, czuję jednak, jak pozbywam się stopniowo brzemienia oszustwa, które dręczyło mnie od tak dawna. Mówię mu, dlaczego potrzebowaliśmy informacji o Phillipie Hardwicke’u, wyjaśniam, dlaczego ten człowiek jest niebezpieczny. Opowiadam mu o Stephenie Mossie, którego ciało znalazłam w stajni Hardwicke’a, i o innych ludziach, których ukarał za niełojalność: kulami z pistoletu, wypchnięciem przez okno, torturami i spaleniem żywcem.

Mówię mu o Cyrano, na którego jachcie dzisiaj był.

– To są bestie w ludzkiej skórze, Danny. Podsycają nienawiść, uzbrajają terrorystów. Zarabiają na krwi i cierpieniu niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci na całym świecie, sprzedając nielegalne bomby kasetowe, amunicję fosforową, gaz paralizujący... wszystko, na co jest popyt i na czym mogą zarobić. Jesteś lekarzem, bo chcesz ratować ludzkie życie. Ja kieruję się tym samym. Wykonuję tę pracę, ponieważ wierzę, że pomagam przywracać

pokój na świecie. I uważam, że czasami cel uświęca środki. Dlatego musiałam zbliżyć się do Phillipa Hardwicke'a, nawiązać przyjaźń z Bellą i wkroczyć do tej rodziny. Dlatego musiałam ukraść ten pendrive. Musieliśmy się dowiedzieć, skąd pochodzą pieniądze Hardwicke'a i dokąd trafiają. Dzięki temu będziemy mogli ustalić tożsamość innych ludzi służących tej wojennej maszynie i wyeliminować ich. Robiłam to w słusznej sprawie.

- I dlatego musiałaś mnie wykorzystać.
- Musiałam się dostać do danych medycznych pacjentów Galen.
- Dlatego za mnie wysłałaś? Żeby uzyskać dostęp do tych plików?
- Wysłałam za ciebie, bo cię kocham.
- Skąd mogę wiedzieć, czy to prawda?
- Nie możesz. Ale ja mogę ci to powtarzać codziennie do końca życia.

Kocham cię.

– Do końca życia... – Wypowiada te słowa tak, jakby recytował tekst w obcym języku. – Naprawdę myślisz, że tak to będzie wyglądać? Ty i ja razem, dopóki śmierć nas nie rozłączy?

– Właśnie tego chcę, Danny. Dlatego mówię ci to wszystko. Nie powinnam nikomu zdradzać tych informacji, ale robię to, bo cię kocham. Chcę ci zaufać. I proszę, jeśli możesz, spróbuj zaufać mnie.

Danny oddycha głęboko.

– Nie wiem – mówi.

Siedzimy w ciemnościach i przez chwilę żadne z nas się nie odzywa. Po tym, co się między nami zdarzyło, po tylu moich kłamstwach „Nie wiem” to najlepsze, na co mogę liczyć. Niepewność oznacza, że być może Danny mi przebaczy i nasze małżeństwo przetrwa.

Ale najpierw musimy przetrwać tę noc.

Choć dzielimy łóżko, nie dotykamy się. Leżymy obok siebie i nie możemy zasnąć, podczas gdy mijają kolejne godziny. W końcu na zewnątrz zaczyna się robić jasno.

O świcie Danny wstaje i ubiera się. Gdy słyszę, jak zasuwa walizki, siadam prosto.

– Ja też powinnam się spakować – mówię.

– Nie. – Siada na łóżku obok mnie. – Musisz zostać tutaj, Maggie. Wrócę do Londynu sam.

– Co? Dlaczego?

– Lepiej, żebyś trzymała się z dala od Hardwicke'a. Nie chcę, żebyś była przy nim.

– Co mu powiesz? Co powiesz Belli?

– Że chciałaś zostać tu kilka dni i pozwiedzać wyspę.

– A co z tobą?

– Muszę z nim wrócić. Tego ode mnie oczekuje i nie mogę się wycofać.

– Nie, Danny! Polećmy dokądś, ty i ja. Możemy wsiąść do pierwszego lepszego samolotu i uciec gdzieś, gdzie nas nie znajdzie.

– Muszę wrócić do Londynu, Maggie.

– Tylko dlatego, że on tego od ciebie oczekuje?

– Nie. Dlatego, że potrzebuję побыć w samotności. Bez ciebie.

Wpatruję się w niego. W blasku porannego słońca widzę wyraźnie, jak zmieniła się jego twarz od czasu, gdy przed laty poznaliśmy się w Bangkoku. Widzę więcej siwych włosów i zmęczenie w jego oczach. I właśnie teraz, gdy się ode mnie oddala, kocham go bardziej, niż kiedykolwiek mogłabym kogoś pokochać.

– Ile czasu potrzebujesz? – pytam cicho.

– Nie wiem. Muszę wszystko przemyśleć. Żeby zdecydować, co z tym zrobimy.

Użył liczby mnogiej. To chyba coś znaczy, prawda?

Pochyliła się i całuje mnie delikatnie w czoło.

Nie wierzę, że to pożegnalny pocałunek, nie dopuszczam do siebie takiej myśli.

– Zadzwoń. Obiecuję – mówi. – Może nie dziś, ale zadzwonię, kiedy będę gotowy.

Gdy wychodzi z pokoju, leżę na łóżku zwinięta w kłębek, choć tak naprawdę chciałabym się spakować i pojechać z nim na lotnisko, gdzie czeka odrzutowiec Hardwicke’a. Jak mógłby mnie powstrzymać, gdybym wsiadła do tego samolotu i poleciała z nimi do Londynu?

Ale mogę też zrobić to, o co mnie poprosił. Dać mu czas i przestrzeń, których potrzebuje, by podjąć decyzję, i wierzyć, że nasza miłość to przetrwa.

Dotykam czoła w miejscu, w którym mnie pocałował, rozkoszując się wspomnieniem dotyku jego ust. Całował mnie mnóstwo razy, ale to wspomnienie jest wyjątkowo wyraźne. Muszę się go trzymać, bo to ostatni pocałunek Danny’ego.

Trzy godziny później odrzutowiec Phillipa Hardwicke’a eksploduje nad morzem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Jo

Teraz

Biuro nieruchomości Betty Jones mieściło się od zawsze w zadbanym białym budynku i było jedną z nielicznych firm działających przy Main Street, które utrzymały się od czasów dzieciństwa Jo. Pamiętała, jak wchodziła na prowadzące do wejścia schody i naciskała dzwonek, który brzęczał metalicznie, gdy ktoś otwierał drzwi, i do dziś go nie wymieniono. Jo i jej ojciec kilkakrotnie korzystali z usług Betty Jones; za jej pośrednictwem sprzedali dom jej pradziadka i farmę stryjecznej babki, a także kupili trzypokojowy domek dla Jo oraz przyczepę dla ojca nad jeziorem Hobbs Pond. Jeśli w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu lat jakaś posiadłość w Purity zmieniała właściciela, to zawsze uczestniczyła w tym Betty Jones. Nie zamierzała przechodzić na emeryturę i nadal trzymała w garści cały rynek nieruchomości w okolicy.

Gdy zabręczał dzwonek przy drzwiach, podniosła wzrok znad biurka. Choć miała już siedemdziesiąt cztery lata, nadal farbowała włosy na czarno, nosiła żakiet i białą bluzkę z kołnierzem i wciąż z ekscytacją wyczekiwała nowych transakcji.

- Witaj, Jo! – zawołała. – Jak tam na zewnątrz, robi się cieplej?
- Jeszcze nie.

– Ludzie mówią, że w tym roku wiosna przyjdzie wcześniej.

– Ludzie mówią wiele rzeczy.

– Jak idzie remont kuchni twojego ojca?

– Słyszałaś o tym?

– W sklepie z narzędziami. Pete twierdzi, że twój tata kupił tę nowomodną kuchenkę indukcyjną. Wiesz, remont kuchni zwykle się zwraca, kiedy człowiek sprzedaje mieszkanie, ale nie każdy jest gotów zrezygnować z kuchenki gazowej. Owen powinien być wziąć to pod uwagę.

– Tato na razie nie zamierza się przeprowadzać, ale jeśli kiedyś zechce, na pewno zwróci się z tym do ciebie. Posłuchaj, Betty, zastanawiałam się...

– A twój brat? Ciągłe pracuje na północy?

Jo wzięła głęboki oddech, bo zdała sobie sprawę, że musi trochę przyhamować. „Najpierw pogaduszki, potem poważna rozmowa”, mówił jej zawsze ojciec; w ten sposób próbował ją przekonać, żeby nie przechodziła od razu do konkretów. Nie należała do ludzi, którzy przystają na ulicy, by poplotkować z sąsiadami, i wiedziała też, że często rozumiano to opacznie jako nieżyczliwość. A tak naprawdę miała niewiele do powiedzenia. Tym razem jednak mogła się podzielić wieściami o bracie.

– To był dla Finna trudny tydzień. W tym roku lód jest znacznie cieńszy i jakiś dzieciak na skuterze śnieżnym wpadł do stawu. Finn musiał wydobyć ciało.

Betty pokręciła głową.

– Okropna praca.

– Do tego go szkolono.

– Pozdrów go ode mnie. A kiedy będzie już gotowy do kupienia domu, będę miała dla niego parę ciekawych propozycji.

Wystarczy tych obowiązkowych pogaduszek, pomyślała Jo.

– Betty, zastanawiałam się, czy nie mogłabyś mi pomóc w pewnej sprawie.

– Szukasz nowego domu? Twój robi się za ciasny?

– Nie, chciałam dowiedzieć się czegoś o nowych ludziach w mieście. Prawdopodobnie pomagałaś im kupić domy.

– Pewnie tak. Kogo masz na myśli?

– Na przykład Maggie Bird.

– O tak. Kupiła farmę Blackberry, która wcześniej należała do Lilian. To była niezbyt skomplikowana transakcja.

– A Declan Rose? Ben Diamond? Ingrid i Lloyd Slocumowie?

Betty uśmiechnęła się.

– Tak, pomagałam im wszystkim.

– I co możesz mi o nich powiedzieć?

– Jakieś dziesięć lat temu sprzedałam Diamondom dom przy Maple Street. Żona zmarła rok później... chyba dostała udaru, biedaczka. Potem sprzedałam Slocumom dom przy Chestnut Street. Są przyjaciółmi Bena Diamonda i kiedy przyjechali tu do niego z wizytą, spodobało im się u nas tak bardzo, że też postanowili się tu przeprowadzić. Trochę później dołączył do nich Declan Rose. Kupił posiadłość na wybrzeżu, nad samym oceanem. Dom był w kiepskim stanie, wymagał gruntownego remontu, ale konstrukcja była zdrowa. Słyszałam, że to teraz prawdziwe cacko.

– Więc wszyscy znali się wcześniej, zanim się tu przeprowadzili?

– Na to wygląda. Starzy przyjaciele z Wirginii.

– Mogę zobaczyć ich umowy kupna?

Betty zmarszczyła brwi.

– Chwileczkę... To policyjne śledztwo? Co oni zrobili?

– Nic. Chciałabym po prostu dowiedzieć się o nich czegoś więcej. No wiesz... poznać lepiej nowych mieszkańców.

– Wszyscy są emerytami. A Diamond ma co najmniej siedemdziesiąt lat. Nie wyobrażam sobie, żeby mogli się wpakować w jakieś kłopoty.

– Bo się nie wpakowali. Zaufaj mi.

Betty przyglądała się jej przez chwilę; prawdopodobnie zastanawiała się, co jest dla niej ważniejsze: lojalność wobec klientów czy długoletnia znajomość z Jo i jej krewnymi. W małym miasteczku można się szybko zorientować, komu należy wierzyć, a komu nie, a rodzina Thibodeau, zamieszkująca tę okolicę od wielu pokoleń, nigdy nie zawiodła jej zaufania.

– Skopiuję ci te umowy – zdecydowała w końcu Betty.

□ □ □

Tego wieczoru Jo wyjęła z zamrażarki kilka starych klopsów, a z szuflady wygrzebała przywiedłe marchewki i ziemniaka, który już zaczął wypuszczać pędy. Nie miała pewności, czy może go bezpiecznie zjeść. Powinna to sprawdzić w internecie albo spytać tatę; był emerytowanym nauczycielem biologii i pewnie znał odpowiedź, tego dnia pojechał jednak do Greenville, by odwiedzić Finna. Ale czy stary ziemniak naprawdę mógł być trujący? Obrała go i pokroiła, a gdy gotował się w garnku na kuchence, usiadła przy stole, by przejrzeć skserowane dokumenty z biura Betty.

Umowy kupna nieruchomości nie zawierały zbyt wielu informacji o nabywcach. Większość szczegółów dotyczyła posiadłości – lokalizacji, roku budowy, powierzchni, dodatkowego wyposażenia. Oczywiście nie było informacji o byłym zatrudnieniu kupujących, ale z dokumentów wynikało, że Maggie Bird i jej przyjaciele mieszkali wcześniej mniej więcej w tej samej okolicy w stanie Wirginia: ona i Declan Rose w Reston,

Slocumowie w McLean, a Ben Diamond w Falls Church. Należeli do tej samej społeczności i pewnie dlatego tak dobrze się znali. Wszyscy kupili domy w Maine za gotówkę; żadne z nich nie musiało zaciągać kredytu, co choć nie zdarzało się często, nie było zaskakujące. W porównaniu z Wirginią nieruchomości w wiejskiej części Maine były tanie, więc za dom w McLean można było bez trudu kupić posiadłość w Purity.

Na razie Jo nie udało się dowiedzieć zbyt wiele o tej osobliwej grupie emerytów. Nie znalazła informacji w mediach społecznościowych, bo żadne z nich nie miało konta na Facebooku, Twitterze czy Instagramie – a przynajmniej nie pod swoim nazwiskiem. Wyszukiwanie w Google’u przyniosło jednak kilka rezultatów. Declan Rose rzeczywiście uczył kiedyś historii, jak twierdził; jego nazwisko znajdowało się na starej liście wykładowców uniwersyteckich w Europie Wschodniej. Nazwiska pozostałych pojawiły się tylko w niedawnym artykule w lokalnej gazecie – wymieniono ich jako darczyńców biblioteki miejskiej w Purity. Przed przyjazdem do Maine byli niewidzialni.

Jo spojrzała jeszcze raz na umowy. Co mogło łączyć nauczyciela historii, człowieka, który zajmował się sprzedażą sprzętu do hoteli, sekretarkę, specjalistkę od logistyki importu i analityka rządowego?

Analityka. Przypomniała sobie, co Lloyd Slocum mówił o swojej pracy: „Całymi dniami siedziałem przy biurku. Gromadziłem dane, analizowałem je i przekazywałem rządowi. Niezbyt ekscytujące zajęcie”.

Analityk rządowy, który mieszkał w McLean w Wirginii.

Odsunęła gwałtownie krzesło, omal nie przytrzaskując nim łapy psa. Wystraszona Lucy szczeękła.

– Jestem idiotką – powiedziała do niej Jo. Wyłączyła kuchenkę i sięgnęła po kurtkę wiszącą przy drzwiach. – Chodź, Lucy. Przejedziemy się.

Lloyd Slocum otworzył jej drzwi w białym fartuchu i kuchennej rękawicy. Jo poczuła zapach piekącego się mięsa. Nawet Lucy, która została w samochodzie, musiała wyczuć tę smakowitą woń, bo zaskomlała żałośnie.

– Dobry wieczór, pani komendant – przywitał ją. – Jaki jest powód pani wizyty?

– Mogę wejść?

– Oczywiście, oczywiście. Przepraszam, skupiłem się na risocie. Trzeba na nie bardzo uważać.

Zaprosił ją gestem do domu i ruszył do kuchni. Poszła za nim i przez chwilę obserwowała, jak miesza w garnku z gotującym się ryżem. Szkoda, że nie miała w domu mężczyzny, który by dla niej gotował. Pomyślała o swojej kolacji: mrożonych klopsach i być może trującym ziemniaku z pędami. Z zazdrością spojrzała na świeżo posiekane zioła leżące na desce i liście sałaty w osuszaczu. Wiedziała, że powinna jeść więcej sałaty, ale nawet jeśli miała w lodówce warzywa, zapomniała o nich do czasu, aż nie nadawały się do jedzenia.

– Gdzie jest dziś pana gang? – spytała.

– Mój gang?

– Pan Rose. Pan Diamond. Maggie Bird. Jak to wy siebie nazywacie? Klub Martini?

– Nie jestem ich nadzorcą. Próbowала ich pani odwiedzić?

– Nikogo z nich nie ma w domu. Wygląda na to, że wyjechali z miasta. Wie pan może dokąd?

Lloyd nadal mieszał risotto, nieporuszony jej pytaniami.

– Jak już mówiłem, nie jestem ich nadzorcą.

– Więc może wie pan przynajmniej, gdzie jest pana żona?

– Ingrid jest na górze, szuka czegoś w komputerze.

– Jest w tym na pewno dobra.

– W wyszukiwaniu? O tak.

– Pan pewnie też, panie analityku. W CIA, prawda?

Nadal mieszał w garnku, jakby jej nie słyszał.

Pomyślała, że będzie go musiała oficjalnie przesłuchać, bo inaczej nic od niego nie wyciągnie.

– No więc? – spytała. – To prawda, tak?

– A czy ja zaprzeczyłem?

– Ale pan nie potwierdził. Czy to jakaś ściśle tajna sprawa? Wolno panu powiedzieć mi prawdę?

– Wolno mi, choć wolałbym tego nie robić. Ale skoro jest pani przedstawicielką prawa, to przyznam, że byłem zatrudniony jako analityk w Centralnej Agencji Wywiadowczej. To może brzmieć tak, jakbym był kimś w rodzaju Jamesa Bonda, ale tak naprawdę całymi dniami siedziałem przy biurku. Piłem mnóstwo kawy i uczestniczyłem w wielu spotkaniach.

– A pana żona, sekretarka?

Lloyd znieruchomiał na moment.

– Była bardzo dobrą sekretarką – odparł w końcu.

– I kim jeszcze?

– Musiałaby pani spytać ją.

– Jeśli powie mi prawdę, będzie potem musiała mnie zabić?

Lloyd westchnął ze znużeniem.

– Nigdy nie uważałem tego dowcipu za zabawny.

Rozległ się brzęczyk timera. Lloyd otworzył piekarnik i w kuchni rozeszła się cudowna woń pieczonej wieprzowiny. Wyjął naczynie

żaroodporne z mięsem i postawił je na płycie kuchenki. Jo spojrzała łakomie na kruchą skórkę, lśniąca od tłuszczu. Jezu, gdzie znajdzie męża, który będzie jej gotował?

– Czy to wszystko, o co chciała pani zapytać?

– Pana przyjaciele... reszta gangu... Oni też pracowali dla CIA?

– Dlaczego pani pyta?

– Myślę, że to ma związek z atakiem na Maggie Bird.

Lloyd znowu zajął się mieszaniem risotta. Nie patrzył na nią. Minęło kilka sekund, podczas których drewniana łyżka zatoczyła parę kółek w garnku.

– Porozmawiam o tym z... hm... gangiem – powiedział w końcu.

– Gdzie teraz są?

– Tego nie mogę zdradzić.

– Więc pan wie?

– Może.

– Ale nie chce mi pan powiedzieć?

Odłożył drewnianą łyżkę i odwrócił się do niej. Owszem, miał na sobie fartuch, i to poplamiony tłuszczem, i miał już tyle lat, że mógłby być jej ojcem, ale zza grubych szkieł okularów patrzyły na nią oczy człowieka, z którym wolałaby nie zadzierać.

– Powiem pani to, czego powinna się pani dowiedzieć, wtedy, gdy będzie to pani potrzebne, pani komendant. Mój gang zbiera właśnie dodatkowe informacje. Wymaga to trochę czasu i zachodu, ale kiedy będziemy mieli pełniejszy obraz, zastanowimy się, czy go pani nie przedstawić.

– Zastanowicie się?

– Potraktujemy to jako przysługę. Lubimy pomagać. – Na jego twarzy pojawił się uśmiech, Jo wiedziała jednak, że dzisiaj nic więcej od niego nie wyciągnie.

Wykiwana przez bandę staruszków, pomyślała, gdy jechała do domu.

Ale może nie były takich staruszków. Poza tym właściwie wcale nie byli tacy starzy. Pomyślała o swoim dziadku, który w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat wciąż rąbał drewno, i o sześćdziesięciosiedmioletnim ojcu, który nadal wspinał się na Tumbledown, nie przystając nawet po drodze dla złapania oddechu. Ingrid i Lloyd Slocumowie mieli koło siedemdziesiątki i wyglądało na to, że wciąż są w formie. W tych siwowłosych głowach kryły się całe skarbnice tajemnic, którymi nie zamierzali się z nią dzielić.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Maggie

Bangkok, teraz

Ktoś mnie śledzi.

Czuję czyjeś spojrzenie na karku, gdy przechodzę przez targowisko Wang Lang. Przystaję co chwila, żeby obejrzeć oferowane towary. Stragan z jedwabnymi chustami zapakowanymi w szeleszczącą folię mieni się feerią barw. Kobieta, która je sprzedaje, wygląda na bardzo starą; brakuje jej dwóch przednich zębów, a jej pomarszczona brązowa skóra przypomina zwierzęcą. Oczy Tajki są jednak jasne i czujne, gdy obserwuje, jak przeglądam jej kolekcję. Właściwie wcale nie chcę kupować kolejnej chusty, bo mam już kilkanaście w domu, ale w końcu decyduję się na jedną, utrzymaną w spokojnych odcieniach szarości. Naprawdę lubię ten kolor, bo jest anonimowy. Targuję się trochę, zbijam cenę do sześciuset batów i odchodzę z zawieszoną na nadgarstku foliową torebką. Nie spieszę się, jestem po prostu turystką na wakacjach, jedną z wielu osób, które przechadzają się po targowisku w typowych strojach: sandałach i szortach z bocznymi kieszeniami. Młodzi turyści są w większości wyżsi niż kiedyś. A może to ja się skurczyłam, gdy posiwiwały mi włosy i zeszywniały stawy? Z pewnością nie budzę takiego zainteresowania jak te dziewczyny

o gładkiej skórze. Kiedyś musiałam się bardzo starać, by nie wyróżniać się w tłumie. Teraz to żaden problem, bo naprawdę jestem niewidzialna.

Dla każdego prócz dwóch mężczyzn, którzy mnie śledzą.

Nie próbuję ich zgubić, gdy spaceruję po targowisku. Zawsze lepiej udawać, że niczego się nie podejrzewa, bo kiedy do śledzących dociera, że zostali wypatrzeni, zmieniają się zasady. Gra staje się wtedy znacznie trudniejsza.

Docieram do tej części targowiska, gdzie stoją wózki z jedzeniem, i zwalniam, nie ze względu na tę zabawę w kotka i myszkę, ale dlatego, że to właśnie tu poznałam Danny'ego. Po tylu latach to miejsce wygląda tak samo i takie same są też zapachy unoszące się znad wózków. Wciągam w nozdrza woń anyżu i cynamonu, bazylii i kolendry i widzę Danny'ego, jak stoi ze starym plecakiem, w T-shircie z tajskim napisem oznaczającym *Głupi turysta*. I jego uśmiech – nikt nie uśmiechał się do mnie tak jak Danny i dlatego przepadłam. Patrzą na małe plastikowe stoliki; siedzieliśmy przy takim naprzeciwko siebie i jedliśmy pikantną zupę. Nagle ogarnia mnie smutek; zalewa mnie fala emocji tak potężna, że chwiję się na nogach. Targowisko zamienia się w wir kolorów przetykanych złotymi liśćmi. Głosy cichną i nikną w oddali. Nie zwracam już uwagi na otaczających mnie ludzi, nie obchodzi mnie, czy jestem śledzona. Nie obchodzi mnie nawet, czy ktoś wciągnie mnie w boczną uliczkę i wpakuje mi kulę w głowę.

Jeśli teraz umrę, to w ostatnich chwilach będę miała przed oczami twarz Danny'ego zachowaną we wspomnieniach. Nie powinnam była tu przychodzić. Nie powinnam była przyzywać duchów.

Powietrze jest gęste i lepkie, przesycone chmurą pary, potu i przypraw. Odwracam się od straganów, idę na oślep w głąb alejki i w końcu stoję przed witryną. Widzę suknie w sklepie, jedwabne ubrania zawieszane na

bezgłowych manekinach. Biorę kilka głębokich oddechów, przełykam łyżę i wpatruję się w szybę, jakbym podziwiała wystawione wewnątrz stroje. Widok mojej twarzy sprawia mi niemal fizyczny ból. Gdyby na świecie nie było luster, moglibyśmy przez długie lata żyć iluzją, że wcale się nie zmieniliśmy, że nasze twarze są o dziesiątki lat młodsze niż w rzeczywistości, ale ta witryna brutalnie pozbawia mnie złudzeń. Mam sześćdziesiąt lat i widzę każdy rok z nich w swoim odbiciu. Widzę też dwóch mężczyzn, którzy śledzą mnie od momentu, gdy wyszłam z hotelu. Jeden stoi za wózkiem z lodami, drugi udaje, że przygląda się figurkom zwierząt wykonanym ze sznurka. Żaden nie patrzy w moją stronę, ale wiem, że skupiają się na mnie, i jestem im za to wdzięczna.

W końcu Ben spogląda na moje odbicie w witrynie i wzrusza ramionami. Jest czerwony jak indyk, a jego łysa głowa lśni od potu. W Maine jest dzisiaj pięć stopni mrozu, a żadne z nas – Ben, Declan ani ja – nie przywykło jeszcze do upałów panujących w Bangkoku. Kiedy byliśmy młodszy, mogliśmy przeskakiwać z jednej strefy czasowej do drugiej, wychodzić z samolotu, wpadać do baru i następnego dnia rano przystępować śmiało do akcji. Te czasy już minęły – widzę zmęczenie na twarzach przyjaciół. Nie ma chyba niczego równie smutnego jak troje starych szpiegów, którzy próbują udowodnić, że wciąż dają sobie radę.

Kręcę głową, dając im znak, że czas wracać. Upał i jet lag nas pokonały, ale dzięki wyprawie na targowisko przynajmniej czegoś się dowiedzieliśmy: nikt inny nie próbuje mnie śledzić. Eskortowana przez Bena i Declana, idących kawałek za mną, wracam do hotelu, żeby się przespać.

Gdy zapada zmrok, w końcu otrząsam się z tropikalnej ospałości, wychodzę więc na zewnątrz, w aksamitną tajlandzką noc. Dostrzegam przyjaciół na skraju tarasu; stoją przy poręczy. Ben, odwrócony do mnie plecami, patrzy w stronę rzeki; jego łysa głowa lśni lekko w mroku. Declan patrzy w moją stronę, na pozór rozluźniony, a w rzeczywistości czujny i gotowy do działania. Obserwują wspólnie okolicę, wiedzą zatem, że nadchodzę, żaden nie odzywa się jednak ani słowem, dopóki nie przystaję obok nich.

Declan podnosi drinka w powitalnym geście. Słyszę brzęk kostek lodu w jego szklance i czuję cytrusową woń ginu z tonikiem.

– Wyspałaś się? – pyta.

– Tak. Boże, całkiem zapomniałam o tym cholernym upale. A wam udało się zdrzemnąć?

– Starzejemy się, Mags – prychna cicho. – Drzemki to obecnie stały element naszego planu dnia.

– Co oznacza, że teraz powinniśmy się przejść – wtrąca Ben, odwracając się do nas.

– Mały spacerek powinien wystarczyć. – Declan upija łyk ginu z tonikiem.

Grzechot kostek lodu i chlupot wody w rzece działają na mnie niczym wehikuł czasu. Przenoszą mnie prosto do wieczorów, gdy przyjeżdżałam do tego miasta w ramach różnych misji, stałam nad tą samą rzeką i wciągałam w nozdrza powietrze przesycone spalinami z łodzi pływających po Menam. Gdyby tylko ten sam wehikuł mógł mnie przenieść do mojego młodszego ciała, do Maggie, która nie potrzebuje popołudniowych drzemek i której nie bolą kostki, gdy chodzi zbyt długo. Której włosy są wciąż ciemne i lśniące.

Gdy Ben opiera się o poręcz, światła przepływającej łodzi odbijają się barwnym blaskiem od jego łysiny.

– Cóż, wygląda na to, że nic nie złapało się w naszą sieć – mówi.

– To dopiero pierwszy dzień – przypomina mu Declan. – Może znajdziemy coś jutro.

– Albo zmarnujemy tylko czas – rzucam. – Może nie jestem już celem. Może przestali mnie szukać. Teraz poradzę sobie sama, więc możecie wracać do domu. Albo poopalać się na plażach Phuket. Przeżyć drugą młodość.

– To nie to samo, gdy jedyne kobiety, które na ciebie patrzą, są babkami – odpowiada Ben.

– A co macie przeciwko babkom?

– Nie zostawimy cię samej – oznajmia Declan. – Przynajmniej dopóki nie dowiemy się, co się tu dzieje.

– To nie wasza wojna, chłopcy. Tylko moja.

– Czyli nasza.

– Nie jesteśmy już trzema muszkieterami. Proszę. Wracajcie do domu.

– Jezu, Maggie! – Declan wzdycha ciężko. – Ile cię trzeba przekonywać, że nie przyjechaliśmy tu na wakacje? Zawsze ochranialiśmy siebie nawzajem. Nawet gdy mieszkaliśmy na przeciwległych krańcach świata, wiedzieliśmy, że możemy na siebie liczyć. – Patrzy mi prosto w oczy. – I to się nie zmieniło.

– Nie chcę, żeby stała się wam krzywda.

– Więc powiedz nam, o co tu chodzi – prosi Ben.

Stoimy naprzeciwko siebie w ciemności, troje starych przyjaciół, którzy powinni ufać sobie nawzajem, ale są zbyt doświadczeni przez los, by się na to zdobyć.

– Sama chciałabym wiedzieć – odzywam się w końcu.

– Opowiedziałaś nam o Malcie. O Hardwicke’u. Zataiłaś coś przed nami?

– Wiecie tyle samo co ja.

– Wiemy, że Diana Ward zniknęła – mówi Ben. – Wiemy, że ktoś chce, byś ją znalazła. A ktoś inny nie chce, żebyś ją znalazła, więc wysła człowieka z fałszywą tożsamością, który ma cię powstrzymać.

– Tak, to pokrótce podsumowuje sytuację.

– Ale co to wszystko oznacza? Kim są ci ludzie? Dlaczego szukają Diany? A może tak naprawdę chodzi im o coś innego?

– Nie mam pojęcia. – Odwracam się do rzeki i wzdycham. – Całkiem jak za cholernych starych czasów.

□ □ □

Jest już dobrze po północy, gdy wymykam się z hotelu i zmierzam okreśną trasą na przystań Sathorn. Tym razem jestem sama, przez co czuję się jednocześnie bezbronna i wolna.

O tej porze na ulicach są już tylko nieliczni turyści, w większości pijani. Dzięki temu łatwiej mi zorientować się, czy ktoś mnie śledzi, ale i tak kluczę bocznymi uliczkami i raz po raz zmieniam kierunek. Zatrzymuję się przed witryną i patrzę na odbicie, by sprawdzić, kto jest za mną. Może nie jestem już tak sprawna jak kiedyś, ale nie zapomniałam o koniecznych procedurach, które tak głęboko wryły się w umysł, że teraz są właściwie odruchami.

Nikt mnie nie śledzi.

W końcu docieram do przystani, gdzie zawsze można znaleźć motorówkę do wynajęcia. Na wodzie kołysze się tylko kilka łodzi i niektóre są w opłakanym stanie. Jeśli ktoś jest gotowy o tej porze przewozić

pasażerów, musi być naprawdę zdesperowany, więc wszyscy właściciele łodzi spoglądają na mnie z nadzieją, gdy się do nich zbliżam. Wybieram tego, który wygląda najbardziej rozpaczliwie: jest chudy jak patyk i powinien raczej trafić do szpitala, niż wozić turystów w górę i w dół rzeki. Dzisiaj zarobi tyle, ile zwykle udaje mu się zebrać w ciągu dwóch tygodni.

Wchodzę na jego łódź i witam go po tajsku, co wprawia go w zdumienie. To kolejna z moich nieco już zapomnianych umiejętności, wciąż jednak pamiętam najważniejsze słowa, które przetrwały gdzieś w mrocznych zakamarkach pamięci. Nie chcę, by inni przewoźnicy mnie słyszeli, więc instruuje go po cichu, dokąd ma płynąć. Kiwa głową i uruchamia silnik dwusuwowy. To stary rupieć, który wyrzuca z siebie gryzące spaliny, ale jest pewnie używany od pół wieku, więc właściciel zna każdą jego część.

Gdy płyniemy w górę rzeki, woda ciągnie się przed nami niczym jedwabista czarna wstęga. Mijamy hotele, centra handlowe i wieżowce, współczesną fasadę starego miasta, którego główną arterią jest ta rzeka wraz z dopływami i klongami. Zmierzamy ku konkretnemu kanałowi, który znajduje się po tej stronie rzeki co dzielnica Thonburi.

Przewoźnik wpływa w odpowiedni kanał, na którym nie ma żadnej łodzi, i zbliża się do zamkniętej śluzy. Gdy czekamy, aż poziom wody opadnie, wodzę wzrokiem wzdłuż obu brzegów i zauważam, że w oknach domów jest ciemno. To zaleta podróżowania rzeką w nocy. Gdyby ktoś mnie śledził, musiałby płynąć łodzią, a na tych maleńkich kanałach nie miałyby się gdzie ukryć.

Otwiera się śluza i płyniemy dalej.

Klongi to inny świat. Widzę sylwetki palm i bananowców, bujnej jak w dżungli roślinności, która karmi ludzi mieszkających na brzegach i daje im schronienie. Słysząc tylko warkot naszego silnika – przytłumione

turkotanie, które niesie nas przez mrok. Po każdym zakręcie kanał robi się coraz węższy; brzegi zbliżają się do siebie. Przewoźnik nie wie do końca, dokąd właściwie zmierzamy, podpowiadam mu więc, gdzie ma skręcać i gdzie zwolnić. Minęło wiele lat, odkąd ostatnio tędy płynęłam, a instrukcje, które otrzymałam mailem, są niezbyt przydatne w tym mrocznym świecie. Czy skręciliśmy tam, gdzie należało? Czy nie przegapiliśmy czegoś?

Wreszcie widzę z przodu po prawej jasnopomarańczowy blask lampy stojącej na pomoście. Pokazuję ją przewoźnikowi.

Kieruje łódź ku oświetlonemu miejscu i cumuje. Wręczam mu gruby plik gotówki, a potem przechodzę po desce na pomost. Nie widzę twarzy właściciela łodzi, ale wiem, że musi być zadowolony z opłaty. Na tyle zadowolony, by zachować dyskrecję. Kiedy odpływa, widzę, jak podnosi rękę w geście pozdrowienia.

Kiedy warkot jego silnika cichnie w oddali, stoję, wpatrując się w ciemność, i nasłuchuję cykania owadów oraz odległego pomruku miasta. Nawet tutaj, na klongu, nie można uciec od tego odgłosu. Spoglądam na krzewy i dostrzegam kolejną pomarańczową lampę. To drogowskaz.

Idę ścieżką ukrytą częściowo za winoroślami, które opadają jak kaskady z gałęzi. Dopiero gdy docieram do drugiej lampy, widzę dom osłonięty drzewami. To zgrabna drewniana budowla na palach, z typowym dla Tajlandii stromym dachem. W oknach pali się światło. Oczekuje mnie.

Przy schodach zatrzymuję się i rozglądam. Roślinność jest tu gęsta, trudno więc odgadnąć, czy ktoś kryje się w cieniach, ale nie mam wyboru; zabrnęłam za daleko. Wchodzę po schodach do bogato rzeźbionych drzwi, tak masywnych, że mogłyby strzec wejścia do domu olbrzymów, lecz kiedy się otwierają, stoi za nimi drobna jak dziecko Tajka. Dostrzegam siwiznę

w jej włosach i uświadamiam sobie, że wcale nie jest dzieckiem, tylko kobietą w moim wieku, dumnie wyprostowaną mimo brzemia lat.

– Jestem Maggie – mówię.

– Oczekuje pani. Proszę wejść.

Gdy wchodzę do domu, zamyka drzwi na zasuwę i idzie pierwsza, stając po wypolerowanej tekowej podłodze. Spoglądam na jej białe stopy i zdaję sobie sprawę, że popełniłam typowy dla ludzi Zachodu grzech – weszłam do domu w butach – kobieta nie komentuje tego jednak. Mijamy dwa rzeźbione w drewnie słonie i wazon wypełniony orchideami *Dendrobium*. Odsuwa drzwi i zaprasza mnie gestem do środka.

Wchodzę do pokoju i zatrzymuję się raptownie, zszokowana tym, co widzę. Tajka wycofuje się i zamyka drzwi, by zapewnić nam prywatność, ale przez moment jestem zbyt zdumiona, by cokolwiek powiedzieć. Mężczyzna siedzący na wózku inwalidzkim w niczym nie przypomina mojego współpracownika i szefa, którego zapamiętałam. Gavin jest stary i straszliwie wychudzony; ciało niemal całkiem zniknęło z jego twarzy, a nabrzmiałe żyły na skroniach przywodzą na myśl wijące się robaki. Dostrzega moją przerażoną minę i wzdycha z rezygnacją.

– Starość nie jest dla mięczaków – mówi. Jego głos stał się cienki i chrapliwy. Może to choroba tak bardzo wycieńczyła tego człowieka.

– Czas nie był łaskawy dla nikogo z nas – odpowiadam.

– Ty przynajmniej wciąż stoisz o własnych siłach. Właściwie wyglądasz całkiem dobrze, Maggie.

Nie mogę powiedzieć mu prawdy: „A ty wyglądasz jak śmierć”. Najwyraźniej już od jakiegoś czasu ciężko choruje. W jednym kącie pokoju stoi łóżko szpitalne na kółkach, dostrzegam też nebulizator i butle z tlenem. W drugim znajduje się centrum komunikacyjne, wyposażone w laptop

i kilka telefonów. Być może choroba uwięziła go w ciele, ale nie odcięła od reszty świata.

– Nie wiedziałam – mówię.

– O moim marnym stanie?

– Wiedziałam tylko, że przeniosłeś się do Bangkoku.

– To była dobra decyzja, właśnie ze względu na mój stan. W tym kraju są świetni lekarze, w Stanach nigdy nie byłoby mnie stać na taką opiekę. A jeśli potrzebuję jakiegoś specjalnego sprzętu albo lekarstw, mogę je kupić na czarnym rynku. – Wskazuje głową na drzwi, które przed chwilą zamknęła Tajka. – Doskonale się mną opiekuje. W odróżnieniu od mojej żony, Donny, która wystąpiła o rozwód, gdy tylko poczułem pierwsze skurcze w nodze. Lekarze nazywają to fascykulacjami. To medyczna nazwa tego, co się ze mną działo.

– Co to za choroba?

– Stwardnienie zanikowe boczne. Powoli postępująca odmiana, szczęśliwie dla mnie. Stephen Hawking żył z tym przez dziesięciolecia, więc może i mnie się uda. Ciało się rozpada, ale mózg pracuje na pełnych obrotach.

Rozglądam się; myślę o ironii losu, jaką musi być dla niego życie w tych czterech ścianach po latach pracy w różnych miejscach na świecie, wydaje się jednak, że przywykł do nowych okoliczności. Nawet w obliczu strasznej rzeczywistości ludzie się nie poddają.

A leki zawsze trochę pomagają.

– Byłem zaskoczony, kiedy odebrałem twoją wiadomość – mówi. – Po tym, co stało się na Malcie, nie sądziłem, że jeszcze się ze mną skontaktujesz.

– Ja też nie.

– Jak ci się żyje na emeryturze?

– Dobrze... Normalnie. Właściwie wolałabym teraz być w domu i opiekować się moimi kurami.

– Boże, jakże nisko oboje upadliśmy.

– Nie uważam tego wcale za upadek. Lubię kury, czego nie mogę powiedzieć o ludziach, z którymi pracowałam.

– Włącznie ze mną?

– Nie wykluczając ciebie, Gavin. Interpretuj to, jak chcesz.

– Masz pełne prawo tak myśleć. Nie byłem zbyt sympatycznym kolegą, prawda? I w odróżnieniu od kur nawet nie znosiłem jajek.

Gdy zaczyna kaszleć, słyszę charczenie w jego piersiach.

– Chcesz, żebym wezwała pomoc? – pytam.

Kręci głową. Przykro słuchać, jak rzezi, ale w końcu atak ustępuje i Gavin opada wyczerpany na oparcie wózka.

– Prawdopodobnie właśnie tak to się dla mnie skończy, zapaleniem płuc. Ale jeszcze nie teraz. – Podnosi wzrok. – Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, Maggie. Przez lata chciałem ci to powiedzieć, ale nie wiedziałem jak. Im człowiek jest bliżej grobu, tym wyraźniej widzi pewne sprawy. Teraz rozumiem doskonale, dlaczego się od nas odcięłaś. Cieszę się, że w końcu się z nami skontaktowałaś.

– Nie miałam wyboru, bo dopadli mnie w Maine.

– Kto cię dopadł?

– Nie wiem. Pojawiła się u mnie kobieta, jakaś Bianca, i spytała, czy wiem, gdzie jest Diana. Zakładałam, że przysłała ją Agencja. Powiedziałam, że nie mogę jej pomóc, i spławiłam ją. Tego samego wieczoru pod mój dom podrzucano jej zwłoki. Była torturowana, a potem ją zastrzelono.

– Piękna wizytówka. I nie wiesz, kto ją przysłał?

– Prawdopodobnie ten sam mężczyzna, który dwa dni później próbował mnie zastrzelić, gdy karmiłam kury. Gdyby w ostatniej chwili nie pojawił się mój sąsiad, nie byłoby mnie tutaj. Ten człowiek ma fałszywą tożsamość, przejętą po zmarłej osobie, i doskonale podrobione dokumenty.

– Jezu... Myślisz, że to ktoś z naszych?

– Nie wiem. Dlatego skontaktowałam się z tobą.

– Dlaczego sądzisz, że cokolwiek o tym wiem?

– Bo wkrótce po tym, jak Diana zniknęła, namierzono ją tutaj, w Bangkoku. Założyłam więc, że przyjechała tu z powodu ciebie.

– Tylko dlatego, że tu mieszkam?

– Daj spokój, Gavin! – irytuję się. – Byłeś tam z nami, na Malcie.

– Byli też inni. Musieliśmy zaangażować cały zespół, żeby zgarnąć Cyrano z jachtu.

– Ale tylko ty zajmowałeś się tym z nami od początku. Ty, ja i Diana. Nie ufała Brytyjczykom, bała się przecieków, więc poza nami nie chciała w to nikogo włączać.

– Mam o to do siebie żal.

– O co?

– Że stałem z boku, kiedy cię w to wciągała, choć zdawałem sobie sprawę, że nie można jej ufać. Operacja rozpędziła się jak pociąg, a jej nie obchodziło, kogo może rozjechać po drodze.

Przez moment siedzi w milczeniu, z opuszczoną głową, oddychając ciężko. Potem obraca wózek, podjeżdża do laptopa i porusza myszką, żeby go wybudzić.

– Skoro próbujesz ją znaleźć, pewnie będziesz chciała wiedzieć, jak teraz wygląda – mówi.

– Masz jej najnowsze zdjęcia?

– Obrazy z wideorozmowy z zeszłego tygodnia. Nie chciałem spotkać się z nią osobiście.

– Dlaczego?

– Wiem, że jej nie znosisz. Ja też. Odszedłem z Agencji dwa miesiące po tobie, bo Malta wszystko zatrzymała. Po katastrofie samolotu Hardwicke'a trudno było mi tam zostać.

– Tobie było trudno? Ja straciłam tam męża.

– I ci niewinni ludzie, którzy wtedy zginęli, zawsze będą mi leżeć na sumieniu. Twój mąż. Córka Hardwicke'a. Kiedy zgarnęliśmy Cyrano, wiedzieliśmy, że Rosjanie będą się mścić. Powinniśmy byli zrobić coś, żeby ochronić tych ludzi, kiedy tylko dowiedzieliśmy się... – Przerzywa i odwraca wzrok.

– Czego się dowiedzieliście?

Nie odpowiada.

– Czego się dowiedzieliście, Gavin?

Z ociąganiem spogląda mi w oczy.

– Gdy wchodziliśmy na jacht Alana Hollowaya, zdążył wysłać ostatnią wiadomość do swojego oficera prowadzącego. SIGINT przechwycił kilka minut później odpowiedź Moskwy.

– Jak brzmiała ta odpowiedź?

– *Ojczyzna jest wdzięczna. Zdrajca za to zapłaci.*

– Zdrajca – powtarzam cicho. To ja byłam zdrajczynią.

– Założyli, że Hollowaya zdradził Hardwicke albo ktoś z jego otoczenia. Zemścili się, podkładając bombę w samolocie. To była również wiadomość, ostrzeżenie, że każdy, kto podejmie działania przeciwko Moskwie, poniesie brutalne konsekwencje.

– Śmierć Danny’ego była tylko skutkiem ubocznym. Podobnie jak śmierć Belli. I pilotów. – Analizuję przez chwilę to, co usłyszałam od Gavina. – Powiedziałaś, że kilka minut po waszym wejściu na jacht Hollowaya SIGINT przechwycił wiadomość od oficera prowadzącego.

– Tak.

– A kiedy wy się o tym dowiedzieliście?

– Ja usłyszałem o tym kilka dni później, podczas przesłuchania.

– A Diana? Kiedy ona się dowiedziała?

Nie otrzymuję odpowiedzi.

– Gavin?

Wzdycha ciężko.

– Ją poinformowano o reakcji Moskwy o północy. Wkrótce po tym, jak zatrzymaliśmy Cyrano.

– O północy? To znaczy, że Rosjanie mieli kilka godzin na podłożenie bomby w samolocie Hardwicke’a. Diana wiedziała, że będą chcieli się zemścić. Dlaczego mnie nie ostrzegła? Dlaczego nie podjęła jakichś działań?

– Powinna była cię ostrzec. Powinna była znaleźć jakiś sposób, żeby nie pozwolić wejść na pokład tobie i twojemu mężowi, ale nie chciała, żeby Hardwicke nabrał podejrzeń, pozwoliła więc, by samolot wystartował. Uznała, że zrealizowała misję. Schwyciła Cyrano i została doceniona. Kiedy dowiedziałem się o przechwyconej wiadomości z Moskwy, byłem oburzony. I wkrótce potem odszedłem z Agencji.

– Nie wiedziałam o tym.

– Byłaś zdruzgotana, Maggie. Gdybym ci powiedział, że mogło być inaczej, cierpiałabyś jeszcze bardziej. Gdybyś wiedziała, że mogliśmy nie wpuścić Danny’ego do samolotu Hardwicke’a.

– Ale Diany to nie obchodziło – mówię cicho. – Nic jej to, kurwa, nie obchodziło.

– Właśnie dlatego kiedy w zeszłym tygodniu poprosiła mnie o pomoc, odmówiłem. Nie była szczęśliwa. – Stuka w klawiaturę laptopa i na ekranie pojawia się zdjęcie. – Możesz ją zobaczyć.

Patrzę ponad jego ramieniem. To nie jest wyluzowana, pewna siebie blondynka, którą zapamiętałam. Ta Diana Ward jest głodna i zaszczuta, ma zapadnięte oczy. Ma nierówno ostrzyżone brązowe włosy, które prawdopodobnie sama przycięła.

– Jest przerażona – rzuca Gavin. – Widać to na jej twarzy.

– Diana Ward, którą znaleźliśmy, niczego się nie bała.

– Najwyraźniej dużo się zmieniło.

Wpatruję się w twarz kobiety, której ambicje doprowadziły do śmierci Danny'ego. Nie jestem święta, czuję więc cichą satysfakcję, widząc, jak zemścił się na niej los. Chcę, żeby cierpiała, i jestem ostatnią osobą na ziemi gotową przyjść jej z pomocą.

– Prosiła mnie o jakąś kryjówkę, w której mogłaby przeczekać parę tygodni – oznajmia Gavin. – Potrzebowała gotówki, paszportu.

– Sama może to sobie bez trudu załatwić. Wie, jak przetrwać.

– Nie z tymi ludźmi na karku.

Dostrzegam pot lśniący na górnej wardze Gavina.

– Jesteś wystraszony – mówię.

– I ty też powinnaś się bać. Kilka tygodni temu centrala skontaktowała się ze mną w sprawie operacji Cyrano. Pytali, co pamiętam z Malty, jak schwytaliśmy Cyrano, jak przeprowadziliśmy operację.

– Dlaczego właśnie teraz, po tylu latach?

– Bo to wróciło na radar Agencji. Niedawno ktoś włamał się do plików z aktami tej sprawy, bez autoryzacji. Na razie nie wiedzą, kto ani dlaczego to zrobił.

– Pewnie Rosjanie.

– Tak, to możliwe, że Moskwa chce się dowiedzieć, do jakiego stopnia zdekonspirowano ich agenta. Po tym włamaniu Agencja przyjrzała się ponownie operacji i interesom Phillipa Hardwicke'a. Znaleźli coś zaskakującego. Jego zagraniczne konta... przynajmniej te, o których wiemy... zostały opróżnione. W ciągu pięciu lat wyprowadzono z nich setki milionów dolarów.

– Nie wiedzieli o tym wcześniej?

– Po schwytaniu Cyrano i śmierci Hardwicke'a zamknęli sprawę i rok później, gdy zaczęły znikać pieniądze, nikt nie obserwował kont.

– Nie miałam o tym pojęcia.

– Bo Agencja ci nie ufa. Byłaś tak blisko Hardwicke'a, że zastanawiali się, czy cię nie zwerbował. Czy wciąż nie stoisz po jego stronie.

– Przecież on nie żyje.

– Tak wszyscy myśleliśmy. Że Hardwicke zginął nad Morzem Śródziemnym. Monitorowaliśmy dalsze wypadki, obserwowaliśmy, co się działo. Sprawa była bardzo głośna, angielskie tabloidy pisały o katastrofie na pierwszych stronach. Zamieszczano w nich zdjęcia lady Camilli, ubranej na czarno, szlochającej na pogrzebie córki, członków parlamentu i arystokratów żegnających Hardwicke'a. Potem wszystko przycichło, jak zawsze, a Agencja zajęła się czymś innym. Wróciła do tego, dopiero kiedy ktoś włamał się do akt operacji Cyrano. Wraku samolotu nie wydobyto i znaleziono tylko dwa ciała, Victora Martela i jednego z pilotów. Ale przecież nikt nie mógłby przeżyć takiej katastrofy.

– Więc kto opróżnił konta Hardwicke'a?

– To ciekawe, prawda? Hasła dostępu do kont miał tylko Hardwicke. Więc może wcale nie wsiadł do tego samolotu. I wciąż żyje.

Świat nagle wiruje mi przed oczami. Cofam się o krok i próbuję się opanować.

– Jeśli on żyje... – zaczynam, ale nie mogę dalej mówić. Nie jestem nawet w stanie skupić wzroku na Gavinie. Utknęłam w pętli czasowej, wróciłam do chwili, którą chciałam wyrzucić z pamięci. Do momentu, gdy dowiedziałam się o katastrofie samolotu. – Jeśli nie było go na pokładzie, to Danny... być może on... – Nie ośmielam się wypowiedzieć tego słowa, ale oboje wiemy, jak brzmi: „żyje”.

Gavin kręci głową, ale czuję, jak rośnie we mnie nadzieja.

– Maggie – mówi cicho. – Radzę ci zapomnieć o tej rozmowie i wrócić do domu. Do swoich kur. Nie próbuj szukać Diany. Zostaw ją własnemu losowi.

– A co z Dannym? Jeśli on...?

– Minęło szesnaście lat. Gdyby żył, chyba odezwałby się do ciebie, prawda?

– Muszę znać prawdę!

– Już ją znasz, Maggie. W głębi serca. Mam rację?

Wpatrując się w niego, przypominam sobie ostatni dzień na Malcie: jak Danny się ze mną pożegnał, jak dowiedziałam się, że w samolocie Hardwicke’a była eksplozja i że Danny nie żyje. Czułam jego śmierć, równie wyraźnie jak potężny cios pięścią w brzuch. Byłam tak zszokowana, że w pamięci pozostały mi tylko mgliste urywki tego, co działo się potem. Wiem, że wsadzono mnie do odrzutowca i ewakuowano dla mojego bezpieczeństwa, że dotarłam do Waszyngtonu w nocy i we mgle rozpaczyszłam do czekającego samochodu.

Gavin ma rację. Wiedziałam w głębi serca, że Danny oszedł, bo wyczuwałam jego nieobecność w świecie, niczym czarną otchłań, która pożerała całe światło, wszelką radość.

Gdyby przeżył, na pewno by mnie szukał. Wiem o tym. I znalazłby mnie.

– Po prostu żyj dalej – radzi mi cicho Gavin. – Wróć do domu.

– Nie mogę wrócić do domu. Właśnie tam będą mnie szukać. Jeśli to Hardwicke, to znaczy, że chce mnie zabić. Że chce zabić nas wszystkich.

Milknę, gdy rozlega się uporczywe brzęczenie.

Odsuwają się drzwi i do pokoju wchodzi Tajka. Rozmawia cicho z Gavinem. Ten kiwa głową i patrzy na mnie.

– Nie ma powodu do obaw – uspokaja mnie. – Przyjechał mój człowiek z dostawą.

– Z dostawą? O tej porze?

– Tego typu transakcji nie dokonuje się za dnia. Mój dostawca robi się bardzo nerwowy w towarzystwie obcych ludzi, więc schowaj się, proszę. On szybko wyjdzie.

– Narkotyki?

– Na czarnym rynku można dostać wszystko, ale w Tajlandii kary są wyjątkowo surowe, jeśli cię złapią. Nie odmówiłabyś umierającemu człowiekowi środków przeciwbólowych, prawda? To nie potrwa długo. Zapłacę mu i odprawię go.

Kobieta przechodzi przez pokój i przesuwa panel, odsłaniając ukryty za nim magazynek. Gdy wchodzi do środka, zasuwuje panel. Przez kratkę nad drzwiami wpada trochę światła, na tyle, że mogę odczytać napisy na znajdujących się tam pudełkach. Artykuły medyczne. Na kartonach widnieje nazwa miejscowego szpitala, z którego je pewnie wykradzono. Bogaty człowiek z Zachodu może tu dostać wszystko.

Słyszę, jak kobieta rozmawia z dostawcą po tajsku. Jej głos jest coraz bliżej, gdy prowadzi przybysza do pokoju Gavina. Nie wydaje się wcale zaniepokojona. Dostawca odpowiada jej coś po tajsku.

Słysząc kroki w pokoju.

– Gdzie jest Somsak? – pyta po angielsku Gavin.

– Nie może przyjść ta noc. Prosi ja to pan dać.

– Następnym razem, kiedy zmieni plany, powinien mi o tym powiedzieć. Rozumiem, że cena się nie zmieniła?

– Nie, nie zmienić.

– Sprawdźmy, co przyniosłeś.

Słyszę syk rozcinanego kartonu i na moment zapada cisza.

– Nie rozumiem – rzuca Gavin tuż przed tym, jak rozlega się zdławiony tłumikiem strzał.

Pierwszy pocisk przebija ścianę mojej kryjówki i niemal ociera się o moje ramię. Drugi przelatuje niżej, obok mojej kostki. Przez otwory do magazynku wpadają teraz dwa strumienie światła, niczym dwa laserowe promienie.

Słyszę paniczny pisk kobiety. To jedyny dźwięk, jaki z siebie wydaje, nim trzecia i czwarta kula trafiają w jej ciało.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Stoję w całkowitym bezruchu, wstrzymując oddech, świadoma, że jedno skrzypnięcie, jeden szelest zdradzą moją obecność. Czy zabójca wie o tym magazynku ukrytym za ścianą? Czy zdaje sobie sprawę, że w domu jest trzecia osoba, wciąż żywa?

Nie mam żadnej broni, nie mam szans w starciu z tym człowiekiem. Brak walthera na moim biodrze jest niemal równie dotkliwy jak brak kończyny, ale przyleciałam do Bangkoku bez niego, bo podróżowanie z bronią w bagażu to najlepszy sposób na zdemaskowanie się.

Kroki zbliżają się do mnie i zatrzymują. Czy on widzi szparę? Czy widzi, że kule przebiły tu ścianę na wylot i wpadły w pustą przestrzeń? Gdybym wyjrzała przez jeden z dwóch otworów, być może zobaczyłabym zabójcę, wolę się jednak nie ruszać, by mnie nie usłyszał. Poprzez łomot własnego serca słyszę, jak mężczyzna krąży po pokoju. Słyszę klikanie klawiszy na klawiaturze, gdy pisze coś na laptopie Gavina. Wzdycha z irytacją. Nie może się do niego włamać bez hasła.

Potem słyszę trzask zamykanego laptopa i szelest kabla przesuwającego się po podłodze. Kroki oddalają się i po chwili całkiem cichną.

Jeszcze długo po tym nie ośmielam się wydać jakiegokolwiek dźwięku. Stoję nieruchomo w mroku przeszytym dwoma promieniami światła. Dobrzy łowcy są cierpliwi – może ten jest gdzieś w domu i czeka, aż ofiara wyjdzie z ukrycia. Bolał mnie plecy i łydki od długiego bezruchu. Przysuwam się do dziury przy moim ramieniu i wyglądam przez nią.

Widzę krew rozbryzganą na przeciwległej ścianie. Na podłodze leży ciało Tajki, zwinięte w kłębek, jakby próbowała chronić swoje najważniejsze organy. Nie widzę Gavina.

Przesuwam się nieco, żeby dojrzeć większą część pokoju, i uderzam przypadkiem w jedno z pudełek. Coś spada na podłogę ze stukotem, który wydaje mi się ogłuszający. Zerkam na plastikową strzykawkę, która wylądowała u moich stóp. Taki drobiazg. Tak fatalny błąd. Nasłuchuję kroków powracającego zabójcy. Czekam, aż odsunie drzwi i odsłoni moją kryjówkę.

Wokół panuje jednak cisza.

Drżącymi dłońmi odsuwam panel, tylko odrobinę. I widzę kałużę krwi u moich stóp. Gdy otwieram kryjówkę szerzej, dostrzegam źródło krwi: ciało Gavina przechylone bezwładnie na wózku inwalidzkim. Ma szeroko otwarte usta, jakby zastygłe w grymasie zdumienia. Zniknął jego laptop, ale poza tym chyba wszystko jest na miejscu.

– Przykro mi, Gavin – szepczę.

Nie mogę ominąć krwi rozlanej na podłodze, kiedy przechodzę przez pokój, i moje buty zostawiają czerwone ślady. Broń i kamery monitoringu nie są ochroną przed kimś, komu się ufa, przebiega mi przez głowę. Gavin i opiekująca się nim kobieta myśleli, że wiedzą, kogo wpuszczają. Przechodzę nad Tajką do korytarza. W domu panuje cisza. Martwa cisza. Mijam wazon z orchideami i rzeźbione słonie i docieram do drzwi.

Wychodzę na zewnątrz w noc i wciągam zapach wilgotnej ziemi i gnijącej roślinności. Lampy, które wciąż się palą, prowadzą mnie do klongu. Przekradając się ścieżką przez dżunglę w stronę wody, uderzam czubkiem buta w coś, co najpierw biorę za korzeń drzewa.

Spoglądam w dół i widzę, że to noga leżąca na ścieżce. Między krzewami widać zarys reszty ciała, leżącego tam niczym roślina, która

wyrośla właśnie z ziemi. To musi być Somsak, dostawca Gavina. Jeszcze jedna ofiara wojny, w której ten człowiek nie brał nawet udziału.

Przestępuję ponad zwłokami i idę dalej. Tak właśnie wygląda moje życie: zostawiam za sobą trupy i idę dalej.

Przy pomoście nie ma łodzi. Jeśli zabójca przypłynął tu rzeką, zdążył uciec. Zastanawiam się, ile czasu minie, nim ktoś znajdzie ciała i wezwie policję. Czy mężczyzna, który mnie tu przywiózł, powie śledczym o nocnym rejsie, o hojnej białej kobiecie, która zapłaciła mu gotówką? Zastanawiam się też, czy policja mogłaby mnie jakoś wytropić, i dochodzę do wniosku, że nie byłoby to łatwe. Wynajęłam łódź przy pomoście obok hotelu. W Bangkoku jest mnóstwo białych turystów, a prócz hojnego napiwku wręzonego przewoźnikowi niczym się nie wyróżniałam. Teraz to jedna z moich supermocy: łatwo mnie zapomnieć.

Będę jej teraz potrzebowała, bo czeka mnie długi spacer do hotelu.

□ □ □

– Jesteś idiotką, Maggie – mówi Declan.

Stoi w moim pokoju i nie chce wyjść, mimo że ściagam z siebie brudne ubrania. Jestem zbyt stara na fałszywą skromność i zbyt zmęczona, więc nie obchodzi mnie, że się na mnie gapi, gdy zdejmuję buty, a potem spodnie i rzucam je na ubłoconą stertę na środku pokoju. Declan i ja nigdy nie byliśmy kochankami i nie widział mnie rozebranej, ale co mam ukrywać, skoro moje ciało jest mapą starych blizn i szkód wyrządzonych przez słońce? Rozpinam koszulę, ale on wciąż nie wychodzi. Nawet się nie odwraca, tylko patrzy na mnie gniewnie, gdy dorzucam koszulę do stosu ubrań cuchnących klongiem.

– Ben i ja szukaliśmy cię przez kilka godzin – dodaje.

– Powinniście byli spać.

- Dlaczego nie odbierałaś telefonu?
- Wyłączyłam go. Nie chciałam, żeby mnie namierzono.
- Nigdy byśmy nie znaleźli twojego ciała, gdyby...
- Przecież wróciłam.

Mierzy mnie wzrokiem i nagle się odwraca, jakby dopiero teraz zorientował się, że stoi przed nim półnaga kobieta. Kobieta, która z pewnością wygląda fatalnie po paru godzinach marszu bocznymi ulicami i taplaniu się w kanałach. Nie odważyłam się skorzystać z taksówki ani łodzi w obawie, że ktoś mógłby zapamiętać moją twarz. Skąd mogłam wiedzieć, że przyjaciele wielokrotnie do mnie dzwonili i szukali mnie w okolicy?

Declan nie chce wyjść z mojego pokoju, bo boi się, że znowu mogłabym im uciec. Przyjechaliśmy do Bangkoku jako zespół, a ja zadziałałam na własną rękę i omal nie przypłaciłam tego życiem. Przechodzę do łazienki, zamykam drzwi i zdejmuję bieliznę. Chcę zmyć z siebie smród potu i błotnistej wody. Odkręcam prysznic i ustawiam temperaturę wody tak, że niemal mnie parzy.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś, że wychodzisz?! – wrzeszczy Declan zza zamkniętych drzwi.

Ignoruję go i wchodzę pod prysznic. Zamykam oczy pod strumieniem wody i czekam, aż zmyje ze mnie cuchnący brud.

– Po tylu latach znajomości nadal nam nie ufasz?

Może, odpowiadam mu w myślach. Może nie umiem nikomu ufać.

W końcu zakręcam wodę i owijam się ręcznikiem. Kiedy wychodzę z łazienki, Declan wciąż jest w pokoju, nadal gotowy do kłótni.

- Musiałam zrobić to sama – mówię.
- Dlaczego? Żebyś mogła umrzeć sama?

– Taki warunek postawił Gavin. Powiedział, że się ze mną nie spotka, jeśli nie przyjdę sama. Poza tym nie chciałam, żeby tobie i Benowi coś się stało, gdyby sprawy przybrały niebezpieczny obrót.

– Przecież właśnie po to tu jesteśmy. Żeby cię chronić.

Gdy wyciągam z torby czyste ubrania, w końcu się odwraca, by dać mi odrobinę prywatności, kiedy wkładam majtki i czystą koszulę.

– To nie jest wasza wojna – mówię, zapinając guziki. – Ta sprawa zrobiła się zbyt skomplikowana, zbyt niebezpieczna. Wracaj do domu.

– I co miałbym tam robić?

– Siedzieć przy kominku. Pić whisky. Cieszyć się emeryturą.

Parska śmiechem i odwraca się do mnie, choć nie zdążyłam się jeszcze ubrać.

– Mam siedzieć na wózku i gnić za życia? Takiej życzysz mi emerytury?

– Nie potrzebujesz wózka.

– Ale ten dzień kiedyś nadejdzie. Dla nas wszystkich. Na razie chodzę o własnych siłach, mam jasny umysł i nie chcę spędzać tych ostatnich dobrych lat, przyglądając się walce z boku. Dla ludzi takich jak my, którzy działali na pierwszej linii, emerytura jest jak pogrzebanie żywcem. Teraz mam powód, by wrócić do akcji, i od lat nie czułem się tak przydatny, tak pełny życia.

– Więc jesteś tu, żeby uciec przed nudą?

– Nie! Nie chodzi o to! Jestem tu, bo masz kłopoty. Bo w końcu znów pojawiłaś się w moim życiu i jeśli cokolwiek ci się stanie...

– Co?! – rzucam.

Przez chwilę patrzy na mnie w milczeniu.

– Cholera... – mruczy i rusza do drzwi.

– Declan?

– Ubierz się, na miłość boską. I nie pokazuj się nigdzie, dopóki nie wrócimy.

– A dokąd się wybieracie?

– Ben i ja mamy coś do zrobienia.

Wychodzi z mojego pokoju i zatrząskuje za sobą drzwi.

Wpatruję się w nie, drżąc w chłodnym strumieniu powietrza z hotelowego klimatyzatora. Czy tylko sobie wyobraziłam to, co przed chwilą się tu stało, czy Declan próbował powiedzieć, że coś do mnie czuje? Rozmyślałam o naszej długiej wspólnej historii, o szkoleniu, przez które przeszliśmy razem, znosząc najgorsze, co mogło nas spotkać na Farmie. Myślę o wieczorach, gdy piliśmy razem z innymi rekrutami, zawsze jako grupa, nigdy tylko we dwoje.

Byliśmy czworgiem muszkieterów, on, Ben, Ingrid i ja. Declan nigdy nie dał mi do zrozumienia, że jestem dla niego kimś szczególnym, ale byłam wtedy maskotką naszej grupy, młodszą od niego o osiem lat, raczej kimś w rodzaju siostry, którą zawsze traktował po dżentelmeńsku. Mnie wysłano do Azji, a jego do Europy Wschodniej i przez lata kontaktowaliśmy się jedynie mailowo. Tylko co jakiś czas udawało nam się spotkać, gdy miejsca naszego działania się pokrywały. Zawsze jednak byliśmy tylko przyjaciółmi, współpracownikami. Nic romantycznego, nigdy. Potem poznałam Danny'ego i Declan zniknął gdzieś w tle, chwilowo zapomniany. Nie powiedziałam mu, że wyszłam za mąż, bo nie wiedziałam, czy to małżeństwo było prawdziwe, czy stanowiło tylko część operacji. A po Malcie wzmianka o Danny'ym byłaby zbyt bolesna, nawet w rozmowie z przyjaciółmi. Uciekając przed rozpaczą i wyrzutami sumienia, włóczyłam się po świecie, przenosiłam z kraju do kraju i nie chciałam, by ktokolwiek mnie znalazł.

Aż do dnia, gdy Declan przysłał mi mail.

Ben i ja wylądowaliśmy w dobrym miejscu. Ingrid i Lloyd też się tu sprowadzili. Miasteczko jest spokojne i przyjazne. Dużo drzew, dużo przestrzeni.

Spodobałoby Ci się tu. Może cała grupa znów powinna się zejść.

Dostałam tę wiadomość w chwili, gdy desperacko szukałam bezpiecznej przystani, miejsca, gdzie mogłabym odbudować życie i zrzucić poobijaną skorupę okaleczonej starej Maggie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ten mail był czymś innym niż zwykłym zaproszeniem.

Teraz wracam myślami do aluzji i sygnałów, które przegapiłam. Spojrzeń, które rzucał mi ponad drinkami. Spędzanych razem weekendów, letnich wędrówek albo poszukiwań mebli na wyprzedażach garażowych. Było tego naprawdę bardzo dużo, ale wolałam to ignorować, bo nie byłam gotowa zostawić Danny'ego.

Być może nigdy nie będę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Diana

Rzym

Świat mnie osacza, pomyślała, popijając chianti w barze przy via dei Volsci. Siedziała przy stoliku w rogu, plecami do ściany, trzy kroki od tylnego wyjścia. Tak właśnie wyglądało teraz jej życie, bo Agencja chciała ją wsadzić do więzienia, a Phillip Hardwicke próbował ją zabić.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Hardwicke może nadal żyć, ale tylko tak dało się wytłumaczyć ostatnie wydarzenia. To prawda, spieprzyła sprawę na Malcie, i teraz musiała stawić czoło konsekwencjom. Poradziłaby sobie z zagrożeniem ze strony Agencji – wystarczyłoby, żeby wyprzedzała ich zawsze o krok do czasu, aż wyczyści historię swoich finansów – ale w przypadku Hardwicke’a sytuacja wyglądała gorzej. Musiał mieć ludzi, o których nic nie wiedziała, dość pieniędzy, by nadal prowadzić interesy, i wystarczająco dużo powodów, by pragnąć jej śmierci. Upływ czasu z pewnością nie ostudził jego wściekłości. Znała jego profil psychologiczny; wiedziała, co spotkało tych, którzy zaszczyli mu za skórę. Oglądała pośmiertne zdjęcia jego ofiar, czytała o tym, jak byli torturowani. Wiedziała, że narcystycznych socjopatów pokroju Hardwicke’a napędza pragnienie zemsty i że będzie ścigał bez wytchnienia tych, którzy doprowadzili do wpadki na Malcie. Za odpowiednie pieniądze można kupić

wszystko, łącznie z dostępem do ściśle tajnych archiwów CIA, a jeśli dotarł do akt operacji Cyrano, to poznał nazwiska wszystkich agentów, którzy brali w niej udział.

Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy ją znajdzie.

Podniosła kieliszek z winem do ust i znieruchomiała, bo do baru weszło dwóch mężczyzn. Przystanęli w drzwiach i rozglądali się po sali. Czy szukali jej? Sięgnęła pod stół, do pistoletu, który leżał na jej kolanach. Ostatnio zawsze miała go pod ręką, gotowy do strzału. Gdyby musiała użyć go w barze, byłby to niestety publiczny spektakl, w odróżnieniu od śmierci turysty Dave'a w Bangkoku, którego ciało zostawiła w ciemnej bocznej alejce. Tu byłoby wielu świadków i zaczęłaby ją ścigać policja, powiększając tylko grono prześladowców, przed którymi musiała uciekać.

Trzymając palec na spuście, obserwowała, jak młodzi mężczyźni wchodzą do zatłoczonej sali. Serce biło jej gwałtownie, wyprzedzając rytm muzyki, która płynęła z głośników nad barem. Czas zwolnił. Jej nerwy były napięte jak postronki, każdy obraz, każdy dźwięk wydawał się wzmocniony: grzechot lodu w shakerze czy lśnienie plamy na stole. Podniosła broń z kolan i już miała ją unieść i wymierzyć, gdy dwie kobiety zawołały:

– *Qui, Enzo! Siamo qui!*

Mężczyźni odwrócili się do nich i pomachali. Uśmiechnięci szeroko, podeszli do stolika, przy którym siedziały ich znajome, i pocałowali się z nimi na powitanie.

Diana odetchnęła z ulgą i odłożyła pistolet na kolana.

Obserwowała przez chwilę dwie pary pijące wino; zazdrościła im swobodnego śmiechu, normalnego życia. Będą pić i tańczyć, a potem wrócą do domu, by smacznie spać w swoich łóżkach, czego ona być może już nigdy nie zrobi. Pomyślała o czekających ją latach, wypełnionych

wiecznym niepokojem i nieprzespanymi nocami, gdy będzie nasłuchiwać kroków zabójcy na schodach.

Jej śmierć będzie bez wątpienia okrutna, zastanawiała się tylko, gdzie i kiedy do niej dojdzie. Za tydzień, za rok? Za dziesięć lat?

Dopóki Hardwicke będzie żył, jego ludzie nie przestaną jej szukać.

Nie widziała drogi ucieczki z tego koszmaru.

Chyba że zabije go pierwsza.

Zapłaciła za drinka i wyszła z baru. Wiedziała, że czas ruszyć na polowanie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Jo

Purity

– Stary nie znaczy niedołączny, Jo – powiedział Owen Thibodeau, smażąc bekon na nowej kuchence indukcyjnej. – Wam, młodym, wydaje się, że wiecie wszystko, ale my, starzy, mamy doświadczenie z całego życia. Nie lekceważ nas.

– Nigdy nie mówiłam, że lekceważę starszych ludzi – odparła.

Ojciec odwrócił się i spojrzał na nią znad zsuwających się na nos okularów.

– Ale nie doceniłaś tych szpiegów, co?

– Wiedziałaś, że są szpiegami?

Owen roześmiał się i odwrócił z powrotem do patelni i skwierczącego bekonu.

– Nie miałem pojęcia. Może właśnie dlatego nazywa się ich szpiegami.

– Tylu nowych ludzi wprowadza się do miasta, a ja nic o nich nie wiem. Wszystko tak szybko się zmienia.

Obserwowała, jak jej ojciec smaży swoją codzienną porcję sześciu plastrów bekonu. Choć jego dieta obfitowała w tłuszcz i cholesterol, w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat wciąż był szczupły i żyłasty, podobnie jak wszyscy mężczyźni rodu Thibodeau, podczas gdy kobiety w tej rodzinie

zwykle miały szerokie biodra i ciężkie uda wiejskich dziewczyn. Jo żałowała, że nie odziedziczyła po ojcu smukłej sylwetki jak jej brat, który objadał się pizzą i cheeseburgerami i był bardzo szczupły.

– Betty Jones uważa, że zainstalowanie kuchenki indukcyjnej było błędem – powiedziała Jo. – Mówi, że przy sprzedaży twój dom straci przez to na wartości.

– Nie zamierzam sprzedawać domu.

– Uważa, że ludzie wolą kuchenki gazowe.

– Prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie, co myśli Betty Jones. – Owen postawił przed córką talerz z jajecznicą. – Ludzie nigdy nie są gotowi na zmiany. Jak myślisz, dlaczego twoja matka tak długo ze mną wytrzymała?

Powiedział to z uśmiechem i Jo pomyślała, że dobrze znów widzieć go w dobrym nastroju, który rzadko mu się zdarzał, odkąd dwa lata temu zmarła jej matka. Pod tym względem kobiety z rodziny Thibodeau też miały gorzej niż mężczyźni: umierały zbyt młodo.

– Kiedy umrę, zostawię ten dom tobie – oznajmił ojciec. – Razem z kuchenką indukcyjną i całą resztą.

Jo uniosła brwi.

– A co z Finnem?

– Twój brat dostanie przyczepę nad Hobbs Pond. Betty uważa, że ten dom jest wart mniej więcej tyle samo co przyczepa, więc nie ma problemu.

– Przestań o tym mówić, tato. Będziesz żył wiecznie.

– Chciałbym tylko doczekać czasu, kiedy oboje będziecie mieli partnerów i dzieci. – Usiadł przy stole z talerzem z dwoma sadzonymi jajkami i pięcioma plasterkami bekonu. – Kiedy to się stanie, Jo?

– Kiedy do miasta przyjedzie księżę z bajki.

– Może już tu jest.

– Jeśli tak, to wciąż ma postać żaby – prychnęła i zabrała się do jedzenia jajecznicy i smażonych ziemniaków. Ojciec zawsze przygotowywał jej to śniadanie, gdy przychodziła do niego rano, ale tym razem dodał do ziemniaków kawałki papryki. Musiała je wybierać i przesuwać na skraj talerza.

– Nie lubisz papryki? – spytał.

– Lubię, tylko z nią ziemniaki smakują inaczej.

Roześmiał się.

– Nigdy nie lubiłaś zmian. Pamiętam, jak miałaś cztery lata i wpadłaś w histerię, kiedy mama kupiła nowe prześcieradło.

– Stare było jeszcze całkiem dobre.

Zadzwoił jej telefon; spojrzała na ekran i zobaczyła, że to Mike.

– Masz dziś wolne – przypomniał jej ojciec. – Naprawdę chcesz odebrać?

– Mike nie dzwoniłby dziś do mnie, gdyby naprawdę nie musiał. – Odebrała połączenie. – Cześć, co się dzieje?

– Chyba cię potrzebujemy, Jo – powiedział jej podwładny.

– Dlaczego? Gdzie jesteście?

– U Luthera Younta. Jego wnuczka zaginęła.

□ □ □

Kiedy zatrzymała się na podjeździe, stały tam już oba radiowozy z komendy w Purity. Mike wezwał też drugą zmianę; przed domem stało czterech policjantów, którzy próbowali uspokoić Luthera Younta.

Gdy wysiadła z samochodu, na twarzy Mike'a pojawił się wyraz niekłamanej ulgi, że ktoś inny będzie musiał radzić sobie z Yountem, który

płakał i krzyczał: „Zróbcie, kurwa, coś!”. Mike odłączył się od pozostałych policjantów i odciągnął Jo na bok.

– Ostatnio widział wnuczkę około siódmej rano, kiedy wyszła z domu do stajni, żeby zająć się zwierzętami. Długo nie wracała, więc poszedł jej szukać i znalazł...

– Tylko tracicie czas! – wrzasnął Yount, po czym spojrzał na Jo. – Pani! Pani ma być nową komendantką policji?! Co pani, kurwa, robi w sprawie mojej Callie?!

Podeszła do niego z wyciągniętymi rękami i dłońmi skierowanymi w dół, jakby próbowała uspokoić niebezpieczne zwierzę.

– Proszę pana, musimy najpierw dowiedzieć się, co się stało. Być może po prostu oddaliła się od domu i...

– Nie! Oni ją zabrali!

– Skąd pan wie, że ktoś ją zabrał?

– Jo – wtrącił cicho Mike. – Musisz pójść do stajni.

– Przepraszam, panie Yount – rzuciła i ruszyła za Mikiem. Jeszcze zanim dotarli do stajni, zauważyła, że stało się tu coś złego. Krowa chodziła po podwórku, ciągnąc za sobą luźny sznurek. Choć mogła uciec, trzymała się w pobliżu, czujnie ich obserwując. Poprzedniej nocy było zimno i nie padał śnieg, ziemia pokryła się więc twardym lodem; nie mogli liczyć na to, że znajdą jakieś ślady i dowiedzą się, kto ostatnio wchodził do stajni i z niej wychodził. Drzwi budynku były szeroko otwarte i z wnętrza dochodziło gdakanie kur i beczenie kóz. Nie były to odgłosy zadowolenia, lecz niepokoju.

– W środku – powiedział Mike.

Słyszając jego złowieszczy ton, na chwilę zatrzymała się w drzwiach stajni. Gdy weszła do środka, zobaczyła kury biegające luzem po słomie

i trzepoczące skrzydłami. W zagrodzie w rogu stajni kozy, które zbiły się w ciasne stadko, wyglądały na przerażone.

Jo spojrzała na ścianę i zrozumiała, czego się boją.

Patrzyło na nią ślepię zabitej szaro-białej kozy, która leżała bezwładnie na ziemi. Zwierzęciu poderżnięto gardło i krew z przeciętej arterii zbryzgała sosnowe deski. Jo szła powoli przed siebie, wstrzymując oddech i nie patrząc na kozę. Do ściany nad truchłem przybito gwoździem kartkę z napisem drukowanymi literami:

MALTA

ŻYCIE ZA ŻYCIE

– Co to znaczy? – spytał cicho Mike.

Jo przełknęła głośno ślinę.

– Nie mam pojęcia – odparła.

– *Życie za życie*. – Mike spojrzał na nią. – Proszę o coś w zamian?

– A może chodzi o zemstę. Odwet za coś, co zrobił Luther Yount? „Ty zabrałeś moje, ja zabieram twoje”.

Na zewnątrz zrobiło się jakieś zamieszanie. Trzasnęły drzwi samochodu i ktoś krzyknął:

– Nie możecie tu być! To miejsce zbrodni!

Jo wyszła ze stajni i zobaczyła swoich podwładnych spierających się z Lloydem i Ingrid Slocumami.

– Co tu się dzieje? – spytała, podchodząc do nich.

– Ci ludzie właśnie przyjechali – powiedział policjant. – Chcą z tobą rozmawiać.

– Słyszeliśmy o tym, co się stało, na kanale policyjnym – wyjaśniła Ingrid. – Doszło do porwania?

– Dlaczego tu państwo przyjechaliście? – spytała Jo.

– Możemy pomóc. To może być powiązane...

– Powiązane z czym? – zdziwił się Mike.

– Pani komendant wie, o czym mówię – odpowiedziała mu Ingrid.

Funkcjonariusze spojrzeli na przełożoną.

– Chcę tylko, żeby moja Callie wróciła! – zawołał Luther. – Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie. Jeśli ci ludzie mogą pomóc, pozwólcie im na to!

Jo spojrzała w stronę farmy Blackberry. Tam zaczęło się to wszystko, od zwłok podrzuconych pod dom. Potem ktoś próbował zabić Maggie Bird, a teraz zniknęła jej czternastoletnia sąsiadka. Jo nie miała wątpliwości, że porwanie dziewczynki jest częścią tej układanki. Słocumowie dzięki swoim koneksjom i nieprzeciętnym umiejętnościom być może pomogą jej połączyć ze sobą elementy.

– Chodźcie ze mną – rzuciła.

Wprowadziła ich do stajni, gdzie w kącie zagrody wciąż tłoczyły się przerażone kozy. Przez chwilę ani Lloyd, ani jego żona nie odzywali się. Wpatrywali się w kartkę przybitą do zakrwawionej ściany.

– Z pewnością niezbyt subtelne – stwierdziła Ingrid w końcu. – Myślisz, że mogła to zrobić SWZ?

– Nie. Nie sądzę, żeby to Rosjanie zostawili tę wiadomość.

– Czym jest SWZ? – spytała Jo.

Zignorowali ją.

– To wezwanie do działania – powiedziała Ingrid. – Tak bym to odczytała.

– O czyje życie proszą w zamian? – spytał Lloyd.

– Ja mogę się tylko domyślać. Ale Maggie będzie wiedzieć.

– Czy możecie mi powiedzieć, co się tu dzieje, do cholery? – wypaliła zirytowana Jo.

– Później – odparła Ingrid i wyciągnęła z kieszeni telefon. – Najpierw muszę zadzwonić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Maggie

Bangkok

Zbliża się wieczór, gdy Declan dzwoni do mojego pokoju i prosi, żebym spotkała się z nimi na dole, na tarasie.

Kiedy tam schodzę, on i Ben siedzą przy stole nad rzeką i popijają już gin z tonikiem. Jest za ciepło na cokolwiek innego niż gin z tonikiem, więc zamawiam to samo.

Gdy kelner przynosi drinki dla mnie i moich przyjaciół, ciszę przerywa jedynie grzechot kostek lodu. Declan ma nieprzenikniony wyraz twarzy. Do perfekcji opanował sztukę skrywania uczuć, w odróżnieniu od Danny'ego, w którym mogłam czytać jak w otwartej książce. Do tej pory zakładałam, że w życiu Declana były jakieś kobiety, bo i dlaczego miałyby ich nie być? Jest jednak niezwykle dyskretny i nigdy nie zwierzał mi się ze spraw osobistych.

Teraz też schował się za maską. Odnoszę wrażenie, że patrzę na niego przez kilka warstw matowego szkła, które rozmazują i zniekształcają jego prawdziwy obraz. Ben z pewnością wyczuwa napięcie między nami, lecz udaje, że skupia się na wygrzebywaniu orzeszków z miski. Odzywa się dopiero wtedy, gdy kelner zostawia nas samych.

– A więc jednak żyjesz.

– Cudem – odpowiadam.

– Wiesz, że szukaliśmy cię przez kilka godzin. To nie było w porządku, Maggie. Wymknęłaś się bez słowa. Nie odbierałaś telefonu.

– Przepraszam.

– Myśleliśmy już, że będziemy musieli wyławiać twoje ciało z rzeki. Declan wpadł w panikę.

Spoglądam na Declana. Nie wygląda na spanikowanego, ale odwraca wzrok.

– Co robiliście przez cały dzień? – pytam.

– Wynajęliśmy łódkę i pływaliśmy po klongach – mówi Ben. – Widzieliśmy co najmniej kilkunastu policjantów na terenie posiadłości Gavina. Gospodyni rano znalazła ciało. Gavin był kiedyś agentem, więc CIA obserwuje uważnie śledztwo, na wypadek gdyby to zabójstwo było związane z jego pracą wywiadowczą. Według ich informatorów miejscowa policja nie szuka nikogo o rysopisie, który pasowałby do ciebie. Chyba nie wiedzą, że byłaś w tym domu.

Co oznacza, że przewoźnik nie rozmawiał z nimi. Albo nie słyszał jeszcze o tym, że zabito trzy osoby, albo gruby plik banknotów, który mu dałam, kupił jego milczenie.

– A co wie policja? – pytam.

– Zabójca zabrał komputer Gavina, więc nie ma nagrań z monitoringu. Policja uważa, że sprawa jest związana z miejscowym czarnym rynkiem. Znaleźli na terenie posiadłości ciało znanego dilerą, a w domu zapas nielegalnych środków.

– To były rzeczy na jego prywatny użytek – mówię. – Był chory, umierający.

– Ale hipoteza o czarnym rynku odwraca uwagę od ciebie. Zabójstwa na zlecenie są w Bangkoku tanie. Wystarczy, że wkurzysz jakąś grubą rybę

z czarnego rynku, i natychmiast ściągną płatnego zabójcę z prowincji Chonburi. Wystarczy dziesięć tysięcy dolarów, żeby się pozbyć konkurenta. Jeśli policja uważa, że chodziło właśnie o to, możesz spokojnie wracać do domu.

– Przynajmniej jedna dobra wiadomość. – Wzdycham z ulgą.

– Czy to możliwe, że ty doprowadziłaś do niego zabójcę?

– Nie. Byłam bardzo ostrożna. Jestem pewna, że nikt mnie nie śledził.

A Gavin czuł się zagrożony, zanim tam przyszedłam.

– Dlaczego? – pyta Declan.

Wciąż odczuwam dzielący nas dystans. Schował się do swojej skorupy, w której nie mogę go dosięgnąć. W której go nie zranię.

– Diana Ward kontaktowała się z nim niedawno. Prosiła go o pomoc. Mówiła, że ktoś próbuje ją zabić, i chciała, żeby znalazł jej bezpieczną kryjówkę. Odmówił.

– Ostro.

– Paskudne zaszłości. Zrozumiałbyś, gdybyś musiał z nią pracować.

– Kto próbuje ją zabić? – wtrąca Ben.

– Prawdopodobnie ta sama osoba, która poluje na mnie. Phillip Hardwicke.

Wpatrują się we mnie ze zdumieniem. Milkniemy, gdy obok przepływa łódź pełna tańczących turystów, pulsująca głośną rytmiczną muzyką. Sięgam po drinka, ale kostki lodu już się roztopiły; gin z tonikiem zrobił się wodnisty i słaby. Czuję się tak, jakbym też się roztopiała; mój umysł jest otępiały od żaru i zmęczenia.

– Hardwicke żyje? – mówi Ben. – Nie było go w samolocie, w którym doszło do eksplozji?

– Najprawdopodobniej. Co oznacza, że w tym wszystkim może chodzić o zemstę. Jeśli Hardwicke dotarł do akt operacji Cyrano, to zna każdy jej szczegół, nazwiska wszystkich zaangażowanych. Dlatego Gavin nie żyje, a Diana ucieka. Jest taką paranoiczką, że nie ufa nawet Agencji.

– Więc ty też pewnie nie powinnaś – mówi cicho Declan. W końcu patrzy na mnie, naprawdę na mnie patrzy. – Nie możesz wrócić do domu, Maggie. Nie teraz.

Może nigdy, przemyka mi przez głowę.

Myślę o farmie Blackberry i nagle ogarnia mnie tak ogromna tęsknota za domem, że czuję fizyczny ból, równie realny jak skurcze żołądka. Tęsknię za widokiem pól za kuchennym oknem. Za głośnymi rurami, za szronem na oknach i skrzypieniem śniegu pod butami. Tęsknię za moimi kurczakami.

– Muszę pomyśleć, co powinnam zrobić – odzywam się po chwili.

– Powiem ci, co powinnaś zrobić: ukryć się gdzieś, podczas gdy my go wytropimy i zneutralizujemy zagrożenie – doradza mi Declan.

– A jeśli nam się nie uda? – Patrzę na Bena. – Naprawdę myślicie, że troje starych szpiegów może się mierzyć z kimś o takich możliwościach i środkach jak Hardwicke? Jeśli on ma informatora w Agencji...

– Zgadzam się z Declanem – przerywa mi Ben. – Musisz zniknąć.

– Skontaktowałem się już ze starym przyjacielem z Singapuru – dodaje Declan. – Z kimś, komu ufam jak sobie. Ma dobrą kryjówkę, miejsce, w którym nikt cię nie znajdzie.

– Tym miała być moja farma. Bezpieczną kryjówką. – Patrzę na rzekę Menam, na grubą warstwę roślinności, która unosi się na powierzchni wody niczym puszysty dywan, na widok tak bardzo różniący się od moich ukochanych pól i lasów w Maine. – Potrzebowałam długich lat, żeby

znaleźć miejsce, które mogłabym nazwać domem. Zapuściłam w końcu korzenie i nie chcę ich wyrwać.

– To tylko tymczasowe rozwiązanie, Maggie.

– Co? – Spoglądam na Declana. – Nigdy już nie wrócę do domu, prawda?

Nie odpowiada, ale w jego milczeniu kryje się odpowiedź. Znow jestem bezdomna, pozostawiona na łasce losu, jak po Malcie.

Obok przepływa kolejna łódź; jej silnik warczy tak głośno, że początkowo nie słyszę dzwonka telefonu na kartę, który mam w plecaku. Tylko kilka osób na świecie zna ten numer, a dwie z nich siedzą obok mnie. To numer zarezerwowany na sytuacje kryzysowe, więc Ben i Declan podnoszą na mnie wzrok, zaniepokojeni. Obserwują mnie, gdy wyciągam telefon i patrzę na ekran.

To Ingrid.

□ □ □

Brak jakichkolwiek więzi rodzinnych, dzieci, męża czy kochanka ma tę zaletę, że człowiek musi się martwić jedynie o siebie. Każda ukochana osoba to słaby punkt w twojej zbroi. Jeśli nikim się nie przejmujesz, możesz być nieustraszona, bo świat nie może cię zniszczyć, tak jak kiedyś niemal zniszczył mnie. Zrozumiałam to, gdy straciłam Danny’ego, i przez lata starałam się do nikogo nie przywiązywać; przyzwyczałam się do życia pozbawionego głębszych uczuć.

Tylko że uczucia często rodzą się niepostrzeżenie. Możesz nie zauważyć niewielkiej ilości oksytocyny, która uwalnia się w twoim organizmie, gdy sąsiad macha do ciebie na powitanie albo gdy jego wnuczka rozpromienia się na twój widok, kiedy wchodzisz do ich kuchni. W ciągu tych poranków, które spędziłam przy ich stole, popijając okropną

kawę; kiedy redukowałyśmy z Callie płyn z klonów, żeby powstał syrop; w czasie śnieżycy, gdy wyciągali z zasy my samochód, w letnie popołudnie, kiedy wnuczka Luthera i ja ścigałyśmy zbiegłe kozy – przez ten czas połączyły nas nici przywiązania i uczucia. I teraz jestem nimi splątana, muszę pomóc Lutherowi i Callie.

Ona ma tylko czternaście lat.

Myślę o Belli, która nie żyje już od dawna, a jej szczątki leżą gdzieś na dnie Morza Śródziemnego razem ze szczątkami Danny'ego. Mogłam ją uratować. Mogłam ostrzec tę dziewczynę przed jej ojcem i pomóc jej uciec od niebezpiecznego świata, w którym żyła. Nie zrobiłam tego jednak, bo była bardzo użyteczna. Bella nie żyje z powodu mojej bierności.

Nie pozwolę, by to samo spotkało Callie.

Kiedy chowam ubrania do torby, wspominam siebie w jej wieku: byłam niezależna, pracowałam już na zmiany w barze, by spłacić rachunki ojca piętrzące się na kuchennym blacie. W wieku czternastu lat byłam już dorosła, ale Callie nie. Jest wciąż dziewczynką.

Malta. Życie za życie. Tak brzmiała wiadomość przybita do ściany stajni nad zabitym kozą. Jej sens nie mógłby być jaśniejszy. Jest adresowana do mnie. Porwali Callie, żebym zrobiła to, czego ode mnie chcą. To dla nich nic nowego; wiedzą, że będę współpracować tylko wtedy, jeśli uwierzę, że dotrzymają umowy.

– Nie możesz wrócić do domu – mówi Declan.

– Jeśli Callie mnie potrzebuje, to muszę tam być. – Zwijam koszulkę i wpycham ją do torby.

– Ben i ja się tym zajmiemy. My możemy wrócić, ale ty musisz się trzymać z dala od Maine.

– I siedzieć beczynn timer przy telefonie?

– Jedź do Singapuru i nie wychylaj się. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby znaleźć tę dziewczynkę. Ty nie możesz brać w tym udziału. Nie w sytuacji, gdy jesteś prawdziwym celem.

Mój telefon brzęczy – przyszedł esemes od Ingrid. To odpowiedź, na którą czekałam przez ostatnie dziewięć godzin. Czytam ją, odwracam się bez słowa i podchodzę do okna.

W Bangkoku właśnie wzeszło słońce, ale w moim domu jest siódma, ciemny zimowy wieczór. Luther Yount musi odchodzić od zmysłów. Pewnie zastanawia się, czy wnuczka nie jest zziębnięta albo głodna... i czy w ogóle żyje. Bardzo chciałabym być teraz w Purity, pomagać mu w poszukiwaniach, ale Declan ma rację. Nie mogę wrócić do domu. Muszę wykonać ważne zadanie i pojechać w całkiem inne miejsce. To jedyny sposób na uratowanie dziewczynki.

Odwracam się do Declana.

– Zgoda – rzucam. – Polecę do Singapuru.

– To dobrze. – Wzdycha z ulgą. Myśli, że wygrał ten spór. – Ben czeka na dole w taksówce. Najbliższy samolot do Singapuru wylatuje o dwudziestej drugiej piętnaście. Postarajmy się, żebyś do niego wsiadła.

Na lotnisko jedziemy w milczeniu. Ben siedzi z przodu, a ja z tyłu, z Declanem. Nie patrzymy na siebie, nie mówimy tych rzeczy, jakie powinno mówić dwoje starych przyjaciół, którzy za chwilę się rozstaną, być może po raz ostatni. Godzę się już z myślą, że to mogą być nasze ostatnie wspólne chwile. On i Ben wrócą do Maine i będą szukać Callie, podczas gdy ja zmierzam do innego miejsca, na spotkanie, którego prawdopodobnie nie przeżyję.

Ale sama się na to zgodziłam. *Życie za życie.*

Przez lata uważałam Declana jedynie za przyjaciela, dobrego i lojalnego. Dopiero teraz, w jesieni naszego życia, uświadamiam sobie, ile

sygnałów przegapiłam. To kolejna pozycja dopisana do długiej listy rzeczy, których żałuję: nigdy nie dałam mu szansy.

Na lotnisku obaj stoją obok mnie przy stanowisku Singapore Airlines, gdy kupuję bilet, pokazuję fałszywy paszport i odbieram kartę pokładową.

– Mój przyjaciel będzie czekał na twój telefon – mówi Declan, odprowadzając mnie do bramki bezpieczeństwa. – Będziesz u niego bezpieczna, Maggie.

– Tylko znajdźcie Callie, dobrze?

– Jasne. – Uśmiecha się. – Wygląda na to, że wróciliśmy do gry.

Nie całujemy się, poprzestajemy na uścisku. Odchodzę i dołączam do kolejki do bramek bezpieczeństwa. Dopiero gdy jestem już po drugiej stronie, oglądam się za siebie. Moi przyjaciele zniknęli, przeszli do innego terminalu, by wsiąść do samolotu lecącego do Bostonu. Odczekuję jeszcze kilka minut, by mieć pewność, że naprawdę poszli. Dopiero wtedy wracam do kas biletowych, bo nie lecę do Singapuru.

Ponownie wyciągam paszport oraz portfel i kupuję bilet w jedną stronę. Do Mediolanu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Como, Włochy

Żółtobrązowe ściany willi, która przycupnęła na górskim zboczu nad jeziorem Como, lśnią niczym złoto w blasku popołudniowego słońca. Dom jest otoczony wypielęgnowanymi ogrodami, baśniową krainą sztucznie kształtowanej roślinności, żywopłotów i trawników opadających aż do brzegu jeziora. Patrząc przez lornetkę na kilka pojazdów zaparkowanych przed willą, które widać przez otwartą bramę. Są wśród nich dwie ciężarówki. Kilku mężczyzn wyładowuje krzesła i stoły z jednej z nich i niesie je do ogrodu. Przez bramę przejeżdża furgonetka cateringu i po chwili pracownicy przenoszą z niej do domu tace z jedzeniem i skrzynki z winem. Sądząc po liczbie krzesel ustawianych wokół stołów, w przyjęciu weźmie udział co najmniej sto osób.

Patrząc na drogę prowadzącą do bramy willi. Nie widzę nigdzie ochroniarzy, nikogo, kto powstrzymałby nieproszoną kobietę wchodzącą do ogrodu i mieszającą się z tłumem. Giacomo Lazio, właściciel willi, prawdopodobnie nie obawia się zamachu. Zbił majątek na produkcji luksusowej bielizny damskiej, a taki biznes raczej nie wymaga ochrony, choć w tak imponującej willi powinien się znaleźć co najmniej jeden strażnik.

Dzięki esemesowi, który dostałam w Bangkoku od Ingrid, wiem, że mieszka tu Silvia Moretti. Ingrid potrafi znaleźć każdego człowieka i nie potrzebowała nawet całego dnia, by się dowiedzieć, że była kochanka Phillipa Hardwicke'a dzieli obecnie łóżce z człowiekiem starszym od niej

o dwadzieścia dwa lata. Silvia jest już dobrze po czterdziestce i z pewnością zachowała olśniewającą urodę, ale jej okres użyteczności jako kochanki jest ograniczony. Zegar tyka.

Sądząc po tej willi, dobrze o siebie zadbała. Otrząsnęła się po tragedii związanej ze stratą Phillipa Hardwicke'a i ustawiła się w związku z Giacomo Laziem. Kiedy tracisz jednego bogatego kochanka, po prostu znajdujesz następnego.

Wyładowano ostatnie stoły i obsługa zamyka tylne drzwi ciężarówki. Tymczasem przez bramę przejeżdża kolejna furgonetka – z kwiaciarni. Pracownicy wyjmują wazon z wielkimi kolorowymi kompozycjami kwiatowymi. Odkładam lornetkę i patrzę w górę, na bezchmurne niebo. Dzień jest wyjątkowo ciepły jak na koniec lutego, ale nocą nad jeziorem Como bywa bardzo zimno. Mimo to nie można się pokazać na eleganckim przyjęciu we flanelowej koszuli, niczym drwal.

Uruchamiam silnik wynajętego samochodu. Czas wybrać się do sklepu i kupić suknię.

□ □ □

O dziewiątej wieczorem na wąskiej drodze prowadzącej do willi Giacomo Lazia parkuje sznur samochodów. Zostawiam swój na dole i idę w górę z bocza na piechotę, mijając liczne ferrari, maserati i mercedesy. Docieram do szeroko otwartej bramy z kutego żelaza, której pilnuje tylko dwóch mężczyzn w uniformach. Uśmiechają się do mnie na powitanie i uchylają czapek. Nie widzę uzbrojonych ochroniarzy, żadnej broni, tylko dwóch ciemnowłosych czarusiów, którzy wołają *Buona sera!*, gdy przechodzę przez bramę. Branża kobiecej bielizny jest znacznie przyjemniejsza niż świat, do którego przywykłam. Moje wysokie obcasy chwieją się na płytach chodnikowych, gdy idę w górę podjazdu. Minęło już

sporo czasu, odkąd musiałam nosić szpilki, i już czuję, że robi mi się pęcherz. Tęsknię za butami roboczymi, džinsami i flanelową koszulą, ale dziś wieczorowa suknia jest moją zbroją; jej zielony jedwab ociera się o nogi, gdy zmierzam kamienną ścieżką ku dźwiękom muzyki i gwarowi rozmów. Może nie jestem już gorącą laską, ale wciąż mam szczupłe biodra i jędrne ramiona, wiem też, jak nosić suknię.

Ścieżka prowadzi na taras na tyłach domu, oświetlony wiszącymi lampionami, które kołyszą się na wietrze wiejącym od jeziora. Biorę kieliszek szampana z tacy przechodzącego obok kelnera i przesuвам się wzdłuż krawędzi tarasu, obserwując twarze gości. Nie są to ludzie z takich kręgów, jakie zazwyczaj inwigilowałam. Ci są młodszy, modniejsi i znacznie atrakcyjniejsi. Zamiast siwowłosych dyplomatów, bankierów i polityków widzę mężczyzn z gęstymi czarnymi włosami i kobiety na tyle olśniewające, że mogłyby chodzić po wybiegach na pokazach mody. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, bo i dlaczego miałyby zwracać? Jestem tylko anonimowym gościem, który przechadza się po tarasie, i nic mnie nie wyróżnia. Mijam zespół, który gra dudniący elektroniczny hałas, uchodzący w tych czasach za muzykę. Częstuję się miniaturowymi kanapkami z różnymi rodzajami wędzonych ryb, bruschettami, serami i szynką parmeńską. Zapomniałam już trochę włoskiego, ale nadal pamiętam dość, by rozumieć fragmenty rozmów, które docierają do moich uszu.

„W którym hotelu się zatrzymałaś?”

„Słyszałaś, że Paolo się wyprowadził? Jest zdruzgotana”.

„Jestem na tej okropnej nowej diecie. Zabiłabym za kieliszek wina”.

W końcu dostrzegam osobę, której szukałam – otacza ją krąg gości. Włosy ma krótsze niż dawniej, ale wciąż kruczoczarne, a jej figura jest równie olśniewająca jak przed laty. Czerwona suknia z dzianiny jest bezlitosna; opina każdą krągłość, nie skrywa najmniejszej fałdki czy

nadmiaru ciała. Albo czas był dla Silvii wyjątkowo łaskawy, albo ciężko pracowała, by zachować tak idealne ciało.

Odwracam się, żeby mnie nie zauważyła.

Rozsuwane szklane drzwi willi są otwarte na całą szerokość, by pracownicy cateringu mogli swobodnie krążyć między kuchnią a tarasem. Wykorzystuję to i przemykam się do domu.

W eleganckim wystroju wnętrza dominuje biel, a jedyne plamy koloru, które przyciągają uwagę, to rzeźby z ceglaspomarańczowego szkła i obraz w różnych odcieniach turkus i złota. Moje obcasy stukają głośno na białym marmurze. Zdejmuję buty i cieszę się, że chodzę boso. Kilka sekund później jestem już w głębi korytarza, poza zasięgiem wzroku gości. Jeśli natknę się tu na kogoś, powiem, że jestem starszą panią z małym pęcherzem, która koniecznie musi znaleźć toaletę. Żadne z drzwi w korytarzu nie są zamknięte, zaglądam więc za nie i widzę łazienkę – oczywiście w białym marmurze – pokój gościnny i schowek na bieliznę. Wygląda na to, że nie ma tu żadnych sekretnych miejsc.

Za drzwiami na końcu korytarza jest wielka sypialnia. Wchodzę do środka i zatraskuję za sobą drzwi. Tu też rządzi biały marmur, tworzący wnętrze, które pewnie można by nazwać wyszukanym, ale mnie wydaje się zimne i beznamiętne. Czy to odbicie gustu Silvii, czy przejęła tę sypialnię razem z nowym kochankiem?

Okulary do czytania z granatowymi oprawkami, leżące na jednej z szafek nocnych, wskazują na to, że Silvia śpi po drugiej stronie łóżka. Przechodzę tam i otwieram szufladę szafki. W środku jest jej paszport i typowe kobiece drobiazgi: krem do rąk, maseczka na oczy, waciki.

Sięgam głębiej i z tyłu szuflady trafiam na wysłużony notes z adresami. Strony są pomięte, a niektóre wpisy wyblakły. Choć większość z nas przechowuje teraz dane kontaktowe w wersji cyfrowej, to tylko nieliczni są

gotowi wyrzucić stare, zapisywane odręcznie notesy. Przerzucam strony do *H* i znajduję nazwisko, którego nie mogło tu zabraknąć: Hardwicke. Są tu numery telefonów jego i Belli, ale to stare wpisy, sięgające czasów, gdy Silvia była jego kochanką. Nie ma żadnych nowych, zaktualizowanych numerów telefonów czy adresów. Ten notes zastygł w czasie.

Odkładam go na miejsce, gdy słyszę, jak nagle otwierają się drzwi sypialni.

Nie mam czasu, żeby się schować czy choćby zasunąć szufladę. Padam więc na podłogę i leżę, przyciskając twarz do białego marmuru. Słyszę kroki w pokoju. Zaglądam pod łóżko i widzę parę męskich butów przechadzających się w tę i we w tę. Rozmawia przez telefon po włosku i wydaje się wzburzony. Mówi o jakiejś pomyłce. Chce wiedzieć, kto jest odpowiedzialny.

Buty przysuwają się do łóżka i materac ugina się pod ciężarem siadającego mężczyzny. Widzę, że to buty z brązowej skóry, bez wątpienia bardzo drogie – jeden z nich nieustannie stuka podszwą w podłogę. Mężczyzna jest zbyt pochłonięty rozmową telefoniczną, by zauważyć, że coś się w sypialni zmieniło. Podnoszę wzrok na szafkę Silvii, na wysuniętą szufladę. Pod łóżkiem jest zbyt ciasno, żebym się pod nie wsunęła. Jeśli tu przyjdzie, by zamknąć szufladę, zobaczy mnie.

Znów otwierają się drzwi sypialni. Tym razem widzę wysokie obcasy. To Silvia.

Nie patrz na szafkę nocną, zaklinam ją. Nie patrz w tę stronę.

Chce wiedzieć, dlaczego Giacomo Lazio opuścił przyjęcie. Nawet tutaj, po drugiej stronie łóżka, czuję napięcie między nimi.

– Chwileczkę! – rzuca opryskliwie po włosku jej kochanek.

– To twoje przyjęcie – odwarkuje Silvia.

– Mam problem. W fabryce.

– Ci ludzie są twoimi przyjaciółmi, nie moimi.

– Dobrze, już dobrze. – Materac syczy, gdy Lazio wstaje. – Idę.

Patrzę, jak ich buty wychodzą z sypialni, i drzwi zamykają się z trzaskiem.

Serce wali mi w piersiach, gdy wstaję. Zasuвам szufladę, przemykam się na palcach do drzwi i przykładam do nich ucho. Nie słyszę żadnych głosów, niczego prócz odległego dudnienia muzyki. Uchylam lekko drzwi i wyglądam na korytarz.

Jest pusty.

Kiedy włożywszy szpilki, wracam na taras, serce bije mi już w normalnym tempie. Sięgam po kieliszek szampana i wchodzę w morze pięknych kobiet z perfekcyjną cerą oraz mężczyzn w garniturach szytych na miarę. Lecz nawet tutaj, w tym małym rajku nad jeziorem Como, życie Silvii i jej kochanka nie jest doskonałe, sądząc po ich rozmowie w sypialni. Dostrzegam siwowłosego Giacomo Lazia, który rozmawia z kilkoma osobami, ale nie widzę jego kochanki. Przesuwam wzrokiem po tłumie i w końcu ją namierzam. Idzie schodami w stronę jeziora. Jest sama.

Ruszam za nią.

Kamienne schody prowadzą na wypielegnowany trawnik, który ciągnie się do samej wody. Znajduję Silvię stojącą na brzegu. Jest odwrócona do mnie plecami; jej sylwetkę podkreśla srebrzyste odbicie z tafli wody. Wpatruje się w przystań niczym kobieta uwięziona po niewłaściwej stronie jeziora, marząca tylko o tym, by znaleźć się na przeciwległym brzegu.

Nie słyszy, kiedy do niej pochodzę, a gdy mówię „Witaj, Silvio”, wzdryga się i odwraca do mnie.

– Kim...? Czy my się znamy? – pyta.

– Nie pamiętasz mnie, prawda? – Nic dziwnego. Minęło zbyt wiele lat, a ja byłam tylko pionkiem w jej życiu, kimś tak nieważnym, że ledwie

zarejestrowała moje istnienie.

– Przykro mi. Nie pamiętam.

– Byłam żoną doktora Gallaghera. Lekarza Phillipa. Danny był w samolocie, w którym doszło do eksplozji. Obie kogoś straciłyśmy tamtego dnia. Przynajmniej tak mi wmówiono.

Kręci głową.

– Nie rozumiem. Dlaczego pani tu jest? Dlaczego po tylu latach przychodzi pani do mojego domu i...

– Phillip Hardwicke żyje, prawda?

Milknie raptownie. Stoimy w cieniu, nie widzę więc wyrazu jej twarzy, ale jest nieruchoma jak posąg.

– Nie – szepcze.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Przecież on nie żyje.

– Chcę, żebyśmy w to wierzyły.

– W samolocie była bomba. Wszyscy zginęli. Siedem osób.

– Ale w morzu znaleziono tylko dwa ciała. Nie wiemy, kto jeszcze był na pokładzie, kto mógł w ostatniej chwili wyskoczyć z samolotu.

Obejmuje się ramionami. Nawet w półmroku widzę, że się trzęsie.

– Gdyby żył, wiedziałabym o tym. Czułabym to. I na pewno by się ze mną skontaktował. Dlaczego miałby mi pozwolić wierzyć, że nie żyje?

– Przekonał wszystkich, że zginął – mówię. – On gdzieś jest, Silvio. Pewnie zmienił nazwisko, może nawet twarz.

– Nie. Nie, to nieprawda! Nie zostawiłby mnie, nie pozwoliłby mi tak cierpieć!

Słyszę w jej głosie autentyczny ból i uświadamiam sobie ze zdumieniem, że wcale nie udaje. Naprawdę nie wie, że Hardwicke żyje.

– Kochałaś go – mówię z niedowierzaniem.

Odwraca się twarzą do wody i mówi cicho:

– Oczywiście, że go kochałam.

– A czy on kochał ciebie?

– Myślałam... – Opuszcza głowę. – Wierzyłam, że tak. Wierzyłam w wiele rzeczy.

– I nigdy się z tobą nie skontaktował? Po katastrofie samolotu nie miałaś od niego żadnych wiadomości?

– Nie.

– Domyślasz się, gdzie może być?

– Na dnie morza. Wierzyłam w to wtedy i wierzę w to teraz. – Spogląda na mnie. – Dlaczego zadajesz mi te pytania? Kim ty naprawdę jesteś?

Przez moment wpatrujemy się w siebie, dwie kobiety, których życie splotło się w jednej tragedii i na zawsze pozostaną w żałobie.

– Jestem żoną Danny’ego Gallaghera – odzywam się w końcu. – To wszystko, co potrzebujesz wiedzieć.

Odwracam się i wchodzę po kamiennych schodach na taras; wracam do tłumu pięknych ludzi w pięknych ubraniach. Ta wizyta uświadomiła mi jedno: Silvia naprawdę nie wie, gdzie jest Hardwicke. I wierzy, że on nie żyje.

Nie wiem, gdzie go szukać.

Większość ludzi, którzy muszą się ukrywać, mimowolnie wraca do miejsc, które zna, ale Hardwicke jest zbyt bystry, by popełnić taki błąd. Skoro pozostał w ukryciu przez tyle lat, musiał nie robić tego, czego można by się po nim spodziewać. Nie mógł tylko się powstrzymać przed skorzystaniem ze swoich zagranicznych kont. Być może potrzebował tych pieniędzy na przetrwanie, ale niewykluczone, że znów prowadzi interesy.

Tak czy inaczej, sięgnięcie do tych kont było jego wielkim błędem. Wskazówką, że żyje.

Zastanawiam się nad swoim kolejnym krokiem. Nie mogę wrócić do domu i być może nigdy nie będę mogła. Na razie żyję w zawieszeniu, jak po śmierci Danny'ego. Przenoszę się z miejsca na miejsce, szukając przystani, w której mogłabym zostawić starą Maggie i stać się kimś nowym, kimś, kogo nie będą dręczyły myśli o tym, co mogło się stać. Gdybym nie przyjęła tego ostatniego zadania na Malcie, gdybyśmy z Dannym uciekli, teraz byłibyśmy razem, mielibyśmy siwe włosy i jeszcze głębsze zmarszczki od śmiechu. Wyobrażam sobie nas w jakimś ciepłym miejscu, może w Ameryce Południowej, w wiosce, w której biegają kury, kozy i bose dzieci.

Tymczasem wychodzę sama za bramę willi. Zostawiam za sobą muzykę, śpiew i gdybanie, idę w dół z boczka do samochodu. Na stopach mam już odciski; chętnie wyrzuciłabym szpilki i szła dalej boso po ostrym żwirze. Chcę czuć ból. Potrzebuję go jako pokuty za moje grzechy. W końcu docieram do auta zaparkowanego za czarnym ferrari. Wyjmuję z torebki pilota i otwieram samochód.

W tym momencie słyszę chrzęst żwiru na drodze. Ktoś jest tuż za mną.

Odwracam się i staję twarzą w twarz z Dianą Ward. Mierzy z pistoletu w moją pierś.

– Cześć, Maggie. Co za niespodzianka!

– Schowaj broń – rzucam. – Jesteśmy po tej samej stronie.

– Naprawdę? – Wskazuje głową na mój samochód. – Wsiadaj. Ty prowadzisz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Kościół to ostatnie miejsce, w którym szukałabym kryjówki Diany Ward, ale właśnie tu mnie przyprowadziła wyboistą drogą: do zniszczonej kamiennej budowli na szczycie wzgórza. W blasku reflektorów widzę zabite deskami okna i gęstwinę winorośli na ścianach. Wyłączam silnik i ogarniają nas nieprzeniknione ciemności. W okolicy nie ma żadnych domów, żadnych świateł. Żadnych świadków.

Diana omija frontowe drzwi i prowadzi mnie do bocznego wejścia. Wygląda na to, że ukrywa się tu na tyle długo, że poznała dokładny rozkład budynku.

Gdy zapala lampę naftową, widzę, że kościół nie był wykorzystywany jako świątynia już od bardzo długiego czasu. Ławki są połamane i porzucane, niektóre z nieosłoniętych deskami witraży rozbite, a pod belkami wiszą gęste jak zasłony pajęczyny. Niedaleko miejsca, gdzie niegdyś znajdował się ołtarz, jest mały stolik, a na nim plecak, resztki kanapki i opróżniona do połowy butelka wina. To dogodna kryjówka, najwyraźniej dawno temu opuszczona, ale położona na tyle blisko willi, że można stąd obserwować poczynania Silvii i jej gości. Właśnie dlatego Diana wybrała to miejsce nad Como; przyjechała z tego samego powodu co ja. Wie, że Hardwicke żyje, i zakłada, że Silvia wie, gdzie się ukrywa.

W kamiennym kościele jest chłodniej niż na zewnątrz. Diana jest w czarnych dżinsach i polarowej bluzie, podczas gdy ja mam na sobie tylko jedwabną suknię wieczorową i cienki szal. Okrywam nim szczelnie ramiona, gdy stoję naprzeciwko niej, w migotliwym blasku lampy. Nie

opuściła broni i wylot lufy przywodzi mi na myśl oskarżycielskie trzecie oko, które wciąż się we mnie wpatruje.

– Dlaczego jesteś w Como? – pyta.

– Z tego samego powodu co ty. Myślałam, że Silvia mi powie, gdzie jest Hardwicke.

– Kto cię tu przysłał?

– Ty. W pewnym sensie...

– Nie opowiadaj bzdur.

– Ktoś z Agencji pojawił się w moim domu w Maine. Kobieta. Powiedziała, że zniknęłaś i możesz potrzebować pomocy.

– Jesteś tu, żeby mi pomóc?! – Jej śmiech odbija się echem od kamiennych ścian kościoła i rozdziela na śmiech kilkunastu na wpół oszalałych Dian. – Maggie przybywa na ratunek!

– Gównu mnie obchodzi, co się z tobą stanie. Ale Gavin nie żyje. Zamordowano go w Bangkoku kilka dni temu. Byłam tam, kiedy to się stało. Ty i ja jesteśmy prawdopodobnie następne na liście.

Pistolet w jej nieruchomej ręce wciąż jest wycelowany w moją pierś.

– Czy Gavin ci powiedział, dlaczego to się dzieje?

– Hardwicke żyje – odpowiadam. – To zemsta za Malte.

Nie wydaje się zaskoczona.

– Wiesz z całą pewnością, że to prawda? Że on żyje?

– Agencja tak uważa.

– Jaki mają na to dowód?

– Z jego kont zniknęły pieniądze. Dużo pieniędzy. Tylko on znał hasła do tych kont.

W końcu opuszcza broń. Jest rozczochrana, ma zapadnięte policzki. Widzę w jej twarzy paranoję, która rodzi się z braku snu i ze strachu.

Przechadza się tam i z powrotem obok lampy naftowej.

Wkurzam się, że zachowuje się, jakbym była powietrzem, ale też cieszę się, że już nie mierzy do mnie z pistoletu.

– Musimy zneutralizować Hardwicke’a – odzywa się w końcu. – Musimy pracować razem.

– Jak na Malcie? – Śmieję się gorzko. – Myślisz, że mogłabym ci zaufać?

– Dopadłyśmy razem Cyrano, prawda?

– A ty zabiłaś mojego męża.

Przystaje i patrzy na mnie, lecz szybko odwraca wzrok.

– To był nieszczęśliwy wypadek – mówi. – Żałuję, że nie mogłam mu zapobiec.

Zanim się odwraca, udaje mi się dostrzec w jej oczach prawdę: cień poczucia winy.

– Mogłaś temu zapobiec – rzucam.

– Przecież nie mogliśmy wiedzieć o bombie...

– Gavin zdradził mi całą prawdę. Wiedziałaś kilka godzin wcześniej, że Rosjanie zaatakują, i nie przyszło ci do głowy, żeby mnie ostrzec. Pozwoliłaś, żeby samolot, na którego pokładzie siedział mój mąż, wystartował.

– Zagrożenie, o którym była mowa w wiadomości z Moskwy, nie było konkretne.

– Na tyle konkretne, że powinnaś podjąć jakieś działania.

– Nie mogłam mieć pewności.

– Nie. Po prostu cię to nie obchodziło! – Mój głos wraca do mnie jako krzyk cierpienia i bólu. Dławiłam ten krzyk od lat. Gdy echo w końcu cichnie, ja i Diana przez chwilę wpatrujemy się w siebie w milczeniu.

I nagle ciszę przerywa narastający warkot. To odgłos zbliżającego się pojazdu.

Zaniepokojona Diana podrywa głowę.

– Śledzili nas. Kurwa, śledzili ciebie.

Gasi lampę i sięga po plecak. Ciemności rozprasza teraz jedynie światło wpadające przez wybite okna: nikły blask z miasteczka odległego o półtora kilometra.

– Daj mi broń – szepczę, gdy kucamy w mroku.

– Zamknij się.

– Jeśli chcą nas zabić, będziesz potrzebowała mojej pomocy. Razem może uda nam się ich powstrzymać. Daj mi broń.

Wystarczyło tylko parę sekund, by rozważyła różne opcje i zrozumiała, że mam rację. Potrzebuje mnie. Słyszę, jak grzebie w plecaku, i po chwili wciska mi w dłoń pistolet. Kaliber dziewięć milimetrów. Nie to samo co mój wierny walther, ale wystarczy.

Ktoś szarpie frontowymi drzwiami, ale są zamknięte na klucz. Może to tylko dozorca? Boże, oby to był jakiś nieszkodliwy staruszek, który chce sprawdzić, kto zamieszkał w starym kościele. Potem słyszę zdławiony tłumikiem strzał i trzask pękającego drewna. Trzy kopniaki i drzwi się otwierają. Dostrzegam sylwetki dwóch mężczyzn wchodzących do środka. Nie, jest ich trzech.

Diana się nie waha. Oddaje cztery strzały, jeden po drugim. Najpierw słyszę jęk bólu, a potem odpowiadają ogniem.

Obok mojej twarzy przemyka ze świstem pocisk i rozbija butelkę wina na stole.

Diana strzela jeszcze dwa razy, po czym wycofuje się i chowa w gęstym mroku. Zostawia mnie, żebym sama stawiała czoło napastnikom. Oczywiście. W ten sposób działa ta kobieta. Zna rozkład tego kościoła, zna

wszystkie możliwe kryjówki, a ja mogę tylko za nią iść i mieć nadzieję, że zmierza do miejsca, w którym będziemy mogli skutecznie się bronić. Moje obcasy stukają zbyt głośno, więc zrzucam buty.

Ledwie dostrzegam sylwetkę Diany w ciemnościach.

Kule odbijają się od ścian i kamienne odłamki uderzają mnie w twarz. Napastnicy idą za nami; słyszę, jak jeden z nich wpada na ławkę. Trzykrotnie strzelam na oślep w tym kierunku, a potem gonię Dianę.

Wybrała jedyną drogę odwrotu: wspina się na spiralne schody, które prowadzą pewnie na dzwonnicy. Ruszam za nią i czuję, jak w moją stopę wbija się poluzowany gwóźdź. Krzywiąc się z bólu, kuśtykam w górę. Spiralna klatka schodowa jest zbyt wąska, by dało się tu oddać celny strzał; liczę jedynie na to, że zdołam dotrzeć na samą górę i stamtąd spróbujemy powstrzymać napastników. Pokonuję ostatnie stopnie i wchodzę na szczyt dzwonnicy. Diana kuca przy ścianie. Blask dopływający z miasteczka wydobywa z mroku jej ściągniętą strachem twarz i odbija się od broni w jej ręce.

Bez słowa kucam obok niej i razem czekamy na prześladowców. Nie mam wyboru; muszę walczyć u boku kobiety, którą gardzę.

Słyszę gwałtowne bicie swojego serca i odgłosy kroków na schodach.

W półmroku pojawia się cień.

Diana i ja otwieramy ogień, lecz nasze pociski uderzają w kamień. Znalazłyśmy się w potrzasku, ale mamy też pewną przewagę. Stąd możemy powstrzymać ich ataki.

Tylko że kończy mi się amunicja.

Gdy ze świstem tuż obok mnie przelatuje pocisk, rzucam się na bok i uderzam ramieniem w stare deski podłogi. Przykucam i gorączkowo wodzę wzrokiem po dzwonnicy, szukając jakiejś alternatywnej drogi

ucieczki; uświadamiam sobie jednak, że mogę najwyżej sama odebrać sobie życie, rzucając się na widoczny daleko w dole parking.

Więc tak właśnie skończę, bosa i osaczona, z kobietą, która zniszczyła mi życie i swoimi decyzjami sprzed piętnastu lat doprowadziła nas w to miejsce.

Rzucam bezużyteczną broń. Nie wierzę w życie pozagrobowe, nie wierzę, że heroiczna śmierć zapewni mi miejsce w Walhalli. Wiem tylko, że bezsensowna walka jedynie przedłuży męczarnię, wolę więc pogodzić się z losem, zamiast poddawać się panice. Lecz Diana nie jest gotowa na śmierć. Przysuwa się do mnie i pyta z przerażeniem:

- Co jest, kurwa? Twój pistolet...
- Nie mam już amunicji. To koniec.
- Nie. Jeszcze nie.

Atakuje z prędkością kobry i zaciska ramię na mojej szyi. Tracę równowagę, gdy szarpie mnie do tyłu. Jestem jej tarczą, ofiarą z mięsa i kości, która osłoni ją przed kulami. Do samego końca myśli tylko o sobie, choć teraz nie ma to już żadnego znaczenia, bo za moment i jej zabraknie naboju.

Na wieży pojawia się sylwetka mężczyzny, potem następna. Diana odsuwa się do tyłu, ciągnąc mnie ze sobą, ale w końcu przywiera plecami do balustrady i nie może się już cofać dalej.

- Dogadajmy się! – woła. – *Voglio fare un patto!*

Mężczyźni milczą, ale nie opuszczają broni.

– Mam pieniądze – mówi Diana. – Mogę wam dać dwadzieścia milionów dolarów! Oddam wam wszystko, tylko mnie puśćcie!

Ma dwadzieścia milionów dolarów? – przemyka mi przez głowę.

Choć jestem na granicy życia i śmierci, mój umysł zaprzęta teraz jedynie to, co przed chwilą usłyszałam. Przesuwam fragmenty układanki

i czuję, jak zaczynają się ze sobą łączyć. Myślę o milionach dolarów wyprowadzonych z zagranicznych kont Hardwicke'a przez kogoś, kto musiał znać hasła. Myślę o szwankującej pamięci Hardwicke'a, jego problemach z zapamiętywaniem liczb, nazwisk i dat. W jednej chwili wszystko układa się w zrozumiałą całość. Gdzie przechowywał hasła? Musiał je mieć pod ręką, w notesie albo telefonie.

Albo w pendrivie. Takim jak ten, który dałam Dianie do skopiowania na Malcie. Kolejny element układanki trafia na swoje miejsce.

Diana miała hasła do kont, ale nie mogła z nich skorzystać, dopóki żył Hardwicke. Zauważyłby, że pieniądze zniknęły z jego kont, musiała go więc zlikwidować. Okazja nadarzyła się sama; wystarczyło tylko nie przeszkadzać Rosjanom, którzy chcieli dokonać zemsty. Pozwoliła, by jego samolot wystartował, by Hardwicke poleciał ku swojej śmierci, i nie obchodziło jej, kto z nim zginie.

Na schodach słyhać kroki kolejnego napastnika. Wspina się w równym, niespiesznym tempie, w ponurym rytmie nadchodzącego kata.

– Dwadzieścia milionów dolarów! – powtarza Diana. Zdesperowana, rozluźnia uścisk na mojej szyi. Wyrywam się i odsuwam na bok, poza jej zasięg. Stoi teraz całkiem odsłonięta, pozbawiona tarczy z mojego ciała. – To więcej pieniędzy, niż moglibyście kiedykolwiek zarobić – dodaje. – Możecie zabrać ją. Zabijcie ją. Puśćcie mnie, a...

Trzask pocisku wylatującego z tłumika przerywa jej w pół zdania. Głowa Diany odlatuje do tyłu, a ciało opada na balustradę wieży. Przez kilka sekund wydaje się, że tam pozostanie, że nie wychyli się za żelazną poręcz. Potem jednak grawitacja bierze górę, Diana wygina się do tyłu i leci w ciemność.

Nie widzę, jak upada, ale słyszę to całkiem wyraźnie: głuchy odgłos ciała uderzającego o beton.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Z mroku zalegającego na schodach dzwonnicy powoli wynurza się ludzka postać. Jestem pewna, że za moment ujrzę Phillipa Hardwicke'a, ale to kobieta. Mężczyźni odsuwają się na bok, by ją przepuścić. Podchodzi do balustrady i patrzy w dół. Choć minęło szesnaście lat, odkąd ją widziałam, od razu rozpoznaję szerokie biodra i krągłe ramiona. W świetle księżyca pobłyskują rude włosy poruszane wiatrem.

– To nie były jej pieniądze – mówi i odwraca się do mnie. W dłoni trzyma pistolet, którym właśnie zabiła Dianę. Teraz lufa skierowana jest na mnie. – W końcu poznałam odpowiedź. To była ona.

– Bella – mamroczę. – Jak to możliwe?

– Dzięki matce – odpowiada. – Nie żyłabym, gdyby nie ona.

– Nie było cię w samolocie.

– Nie pozwoliła mi pojechać na lotnisko, nie po tym, jak dowiedziała się o nalocie na jacht Alana Hollowaya. Mama wiedziała o interesach ojca z Rosjanami i zdawała sobie sprawę, do czego są zdolni. Kiedy samolot spadł do morza, bała się, że mogą jeszcze polować na mnie. Żeby pokazać, co staje się z rodziną człowieka, który ich rozzłości. Więc zabrała mnie swoim odrzutowcem do Argentyny.

– Nie miałam pojęcia, że żyjesz. Był przecież pogrzeb, twoja matka w nim uczestniczyła.

– Musieliśmy urządzać pogrzeb. To była jedna wielka mistyfikacja, a ona wiedziała, jak to zorganizować.

– Przez cały ten czas... Nie miałam pojęcia, że jesteś z nią.

– Aż do dnia jej śmierci. – Głos Belli drży, lufa jej pistoletu kieruje się ku podłodze.

– Boże, przykro mi, Bella – mówię. – Kochała cię. Zawsze chciała dla ciebie tylko tego, co najlepsze.

– W odróżnieniu od ciebie. – Podnosi broń i znowu celuje we mnie. – Kiedy w końcu dotarłam do akt operacji na Malcie, poznałam prawdę o tobie. – Jej głos jest ostry jak potłuczone szkło. – I o tym, co zrobiłaś.

– Naprawdę byłam twoją przyjaciółką.

– Przyjaciółką?! – Śmieje się głośno i gorzko. – Wykorzystałaś mnie. Byłaś gotowa wysłać mnie na śmierć.

– Ja też miałam być w tym samolocie! Zginęłabym razem ze wszystkimi.

– Ale nie wsiadłaś do niego, prawda?

– Wsiadł mój mąż! Człowiek, którego kochałam. Myślisz, że pozwoliłabym mu polecieć, gdybym wiedziała, co się stanie?

Bella milczy przez dłuższą chwilę.

– Nie – odpowiada w końcu cicho. Odwraca się do balustrady i patrzy w dół na parking. – Boże, byłam taka głupia.

– Miałaś tylko piętnaście lat. Nie wiedziałaś, kim naprawdę był twój ojciec.

– Nie mówię o ojcu. Mówię o tobie. O tym, kim ty byłaś. Nie miałam pojęcia, dla kogo pracowałaś. Potem odkryłam, że ktoś dobrał się do kont mojego ojca, choć tylko ja znałam hasła. Nazywał je „kluczami do królestwa”. Kazał mi je zapamiętać, bo sam miał problemy z pamięcią. Ktoś zabrał pieniądze z kont, a ja nie mogłam dojść do tego kto. Dopóki nie dowiedziałam się o operacji Cyrano.

– Jak?

Wzrusza ramionami.

– Wszystko można kupić, Maggie. Lojalność. Dostęp. Zawsze znajdzie się ktoś gotowy sprzedać tajemnice, nawet w waszej CIA. – Odwraca się do mnie. – Tylko ty zostałeś przy życiu. Chciałabyś coś jeszcze powiedzieć przed śmiercią?

– Jak mogło do tego dojść, Bella? Jak mogłaś się tak zmienić?

– Konieczność – rzuca. – Znam nazwiska i wiem, jak je wykorzystać. Ojciec mnie tego nauczył.

– Nie jesteś prawdziwą Bellą. Znałam całkiem inną dziewczynę i cieszyłam się, że byłam jej przyjaciółką. Możesz mi wierzyć albo nie, ale tak właśnie było.

– Więc teraz poznaj nową Bellę. W końcu jestem córką swojego ojca.

Nie wierzę w to. Kiedy na nią patrzę, nie widzę Phillipa Hardwicke'a, tylko niewinną piętnastoletnią dziewczynkę. I myślę o innej niewinnej dziewczynce, której życie zależy teraz ode mnie.

– Kiedy będzie już po wszystkim, kiedy ze mną skończysz, wypuścisz Callie?

– Tę dziewczynę?

– Ma tylko czternaście lat.

– Czy to naprawdę ważne, co się z nią stanie?

– *Życie za życie*. Jeśli ja umrę, ona będzie żyć. Czy nie o to mnie prosiłaś? Dlatego tu przyjechałam: żeby dokonać wymiany. Moje życie za jej życie.

Przez chwilę tylko przygląda mi się, a ja przypominam sobie dziewczynkę, którą kiedyś była. Samotną, niezdarną, niepewną swojego miejsca w świecie. Najwyraźniej już znalazła to miejsce. Śmierć ojca zamieniła ją w tę pewną siebie, ale zgorzkniałą istotę, żądną zemsty Medeę, która uważa, że jedno morderstwo musi pociągnąć za sobą następne. Jakie

mam prawo wyprowadzać ją z tego przekonania? Byłam częścią maszyny, która doprowadziła do śmierci jej ojca i sześciu innych ludzi, wśród nich mojego męża. Ta sama maszyna zniszczyła życie Belli. Dziewczynka, którą niegdyś znałam, zniknęła i po części ponoszę za to winę. Próbowałam uciec przed wyrzutami sumienia, ale to niemożliwe. Zabiorę je ze sobą do grobu.

Stoję dumnie wyprostowana. Jestem gotowa.

– Przepraszam za wszystko, Bella. Wiem, że teraz nie ma to dla ciebie znaczenia, ale naprawdę mi przykro.

Podnosi pistolet do mojej głowy.

Patrzę jej w oczy i czekam na strzał. Nadchodzi, Danny, już prawie jestem. Mijają sekundy, lecz nadal stoję i na nią patrzę. Chcę, by zrozumiała, kim jestem: przyjaciółką, która nie chciała jej nigdy skrzywdzić. Przyjaciółką, która poniosła stratę równie głęboką i wyniszczającą jak ona.

Odwraca się do swoich ludzi.

– Idźcie. Zostawcie nas.

Po chwili wahania znikają w mroku klatki schodowej.

Bella powoli opuszcza broń. Podchodzi do balustrady i raz jeszcze patrzy na ciało Diany leżące w dole.

– Była gotowa cię zabić – mówi.

– Nigdy nie była moją przyjaciółką.

Mija kolejna chwila. Teraz, gdy Bella na mnie nie patrzy, mogłabym zaatakować i odebrać jej broń, lecz wiem, że nie potrafiłabym tego zrobić. Nie mam serca zdradzić jej ponownie.

– Życie za życie – mówi cicho. Odwraca się do mnie. – Przeprowadziłaś mi Dianę Ward. Powiedzmy, że jesteśmy kwita.

– Bella...

– Żegnaj, Maggie. Obyśmy nie spotkały się nigdy więcej.

Odwraca się i znika na schodach. Słyszę echo jej kroków, gdy schodzi z wieży.

Nagle uginają się pode mną nogi. Osuwam się na podłogę i kulę się; cała drzę, choć nie z zimna, ale z szoku po tym, co się wydarzyło. Śmierć była tak blisko, że czułam jej oddech na karku. Jestem zdumiona, że wciąż żyję. Od tej pory każda kolejna chwila, każdy oddech będą darem, który wcale mi się nie należy, na który nie zasługuję. Chłód przenika przez cienką suknię, bołą mnie stopy, lecz te niedogodności to w istocie błogosławieństwa, bo jeśli je czuję, to znaczy, że żyję.

W końcu podnoszę się i wyglądam za balustradę. W dole widzę Bellę i jej ludzi wychodzących z kościoła. Mijają obojętnie ciało Diany, zmierzając do samochodu.

– Co z Callie?! – wołam.

Bella przystaje i patrzy w górę, ale nie odpowiada.

– Obiecałaś! Życie za życie! – krzyczę. – Co z tą dziewczynką?

Bella i towarzyszący jej mężczyźni wsiadają do auta i odjeżdżają.

Choć wciąż niepewnie trzymam się na nogach, powoli idę schodami na dół. Nie mam pojęcia, gdzie są moje buty i torebka z pilotem do auta. Z niepokojem myślę o długiej drodze do wioski, którą będę musiała pokonać bosą.

Ale znosiłam już gorsze rzeczy.

Drzwi kościoła są otwarte. Kuśtykam do wyjścia i widzę na podłodze swoje buty i torebkę, pozostawione w miejscu, w którym nie mogłam ich nie zauważyć. Jeszcze jeden – ostatni – gest litości ze strony Belli. Podnoszę torebkę i od razu wyczuwam, że jest cięższa. Sięgam do środka i znajduję telefon, którego tam nie było. Bella pozostawiła otwarty kanał

komunikacyjny między nami. Mam tylko nadzieję, że zrobiła to w celu, o którym myślę.

Wychodzę na parking i spoglądam na ciało Diany, leżące na plecach, na żwirze splamionym krwią. W jej czole jest otwór po pocisku. Policja będzie wiedziała, że nie był to samobójczy skok z wieży.

Muszę być daleko stąd, kiedy ją znajdą.

Wsiadam do wynajętego samochodu i odjeżdżam. Znowu zostawiam za sobą zmarłych.

□ □ □

Właśnie świta, gdy docieram do Mediolanu. Nie melduję się w hotelu, tylko jadę prosto na lotnisko Malpensa, przebieram się w toalecie i siadam w kawiarni, by czekać cztery godziny na lot do Londynu, skąd polecę do Bostonu. Adrenalina już opadła, czuję więc otepiałe zmęczenie. Kiedy byłam młodą kobietą, mogłam pracować przez czterdzieści osiem godzin bez chwili snu, ale już nią nie jestem. Zamawiam espresso za espresso, żeby zachować przytomność umysłu. Raz po raz wyciągam telefon pozostawiony w mojej torebce i sprawdzam, czy nie nadeszła wiadomość, na którą czekam.

Na razie nic.

Zastanawiam się, czy znaleziono już ciało Diany i do jakich wniosków dojdzie miejscowa policja. Mafijne porachunki? Napad rabunkowy? Zazdrosny kochanek? Wezmą pod uwagę wszystkie typowe motywy, wątpię jednak, by kiedykolwiek zbliżyli się do prawdy. Żal mi policji, bo brakuje im wyobraźni, by zrozumieć choćby połowę tego, z czym się spotykają.

Życie za życie. Ja dotrzymałam umowy. Teraz czas, by zrobiła to Bella.

Dopijam espresso i wstaję. Do lotu zostały dwie godziny. Czas wrócić do domu i uratować Callie.

□ □ □

Podróż z lotniska Logana do Purity trwa cztery godziny; jest jedenasta wieczorem, kiedy w końcu docieram na obrzeża miasteczka. W momencie, gdy do niego wjeżdżam, słyszę sygnał nadchodzącej wiadomości, na którą czekałam. Bella jakimś sposobem wie, że jestem już blisko domu. Czuję niepokój, kiedy uświadamiam sobie, że mnie śledzi, że znała każdy mój ruch w drodze z jeziora Como do Mediolanu, stamtąd do Londynu i Bostonu, i potem na północ do Maine. Czuję niepokój, ale nie strach. Gdyby chciała mnie zabić, zrobiłaby to nad Como.

Zerkam na telefon i natychmiast zapominam o zmęczeniu. Nie śpię już prawie od czterdziestu ośmiu godzin, ale wiadomość na ekranie sprawia, że moje wyczerpane ciało znów jest gotowe do działania.

Wciskam pedał gazu.

Piętnaście minut później stoję przed opuszczonym domem przy Connor Road. Kilkakrotnie mijalam tę posiadłość, ale jest tak zarośnięta chwastami i krzewami, że nigdy dotąd nie widziałam budynku. Światło mojej latarki odsłania łuszczącą się farbę i przegniłą werandę. Wiem, że nikt nie mieszka tu od bardzo dawna, widzę jednak świeże ślady opon w śniegu na podjeździe.

Czuję zapach dymu. Ktoś rozpalił ogień.

Serce wali mi jak młotem, gdy wchodzę na zapadającą się werandę. Nie boję się o siebie, myślę tylko ze strachem o tym, co znajdę w środku. Drzwi nie są zamknięte na klucz. Kiedy je popycham, otwierają się ze skrzypieniem i odsłaniają jedynie ciemność.

– Callie?! – wołam.

Wchodzę do domu i natychmiast orientuję się, że choć na zewnątrz jest kilka stopni mrozu, tutaj jest całkiem ciepło, niemal przyjemnie. Omiotam snopem światła salon: pomieszczenie bez mebli z podłogą wyłożoną sosnowymi deskami i z pajęczynami pod sufitem. Oświetlam ceglane palenisko, jest tam jednak tylko niezamieciony popiół. Przechodzę przez pokój i dotykam cegieł. Są zimne.

A jednak w domu jest ciepło. Skąd dochodzi to ciepłe powietrze?

Podłoga skrzypi pod moimi stopami, gdy przechodzę z salonu do kuchni. Oświetlam stare sosnowe blaty, szafki z otwartymi drzwiczkami, brązowy od brudu zlew. Dostrzegam piecyk na drewno i gdy przysuwam się bliżej, czuję bijące od niego ciepło. W kącie jest sterta drewna. Ktoś ogrzewał ten dom.

– Callie?!

Odpowiada mi ledwie słyszalny dźwięk. Jęk dochodzący gdzieś z bliska. Odwracam się i blask latarki oświetla drzwi spiżarni. Są otwarte.

Podchodzę do nich od razu, bo wiem, że za nimi znajdę Callie. Wiem, że jest bezpieczna. Oświetlam wnętrze pomieszczenia. Jest, przywiązana do krzesła, z ustami zaklejonymi srebrną taśmą.

Kiedy ją uwalniam, zarzuca ręce na moją szyję i przywiera do mnie jak ośmiornica. Zsikła się, czuć od niej pot, mocz i dym, ale żyje. Jest rozdygotana, przerażona, lecz żywa.

– Jesteś tu! – woła. – Wiedziałam, że przyjdiesz. Po prostu wiedziałam!

– Oczywiście, że tu jestem. Jestem z tobą, kochanie.

Tulę ją mocno i kiedy chlipie w moich ramionach, też zaczynam płakać. Nie płakałam od bardzo, bardzo dawna, a gdy już zaczęłam, nie mogę przestać. Płaczę nad Callie i nad innymi, którzy przeze mnie cierpieli. Nad Doku i jego rodziną, nad Gavinem, Bellą i Dannym.

Przede wszystkim nad Dannym.

– Chcę do dziadka – mówi dziewczynka. – Chcę wrócić do domu.

– Wrócisz. – Obejmuję ją w pasie i stawiam na nogach. – Ale jeszcze nie teraz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Jo

Jo otworzyła z rozmachem drzwi na korytarzu, wpadła do szpitalnego oddziału na pierwszym piętrze i podeszła do dyżurki.

– Gdzie jest Callie Yount? – spytała.

– W sali dwieście jeden – odparła pielęgniarka – Najpierw jednak muszę zadzwonić do lekarza.

Ale Jo maszerowała już w głąb korytarza.

– Hej, nie może pani tam tak po prostu wejść! – zawołała za nią pielęgniarka. – Proszę poczekać!

Jo zapukała szybko dwa razy i otworzyła drzwi, zatrzymała się jednak w progu.

Dziewczynka spała.

Pomieszczenie było oświetlone tylko lampką nocną ze słabą żarówką. W półmroku Jo dostrzegła Luthera Younta, siedzącego na krześle przy łóżku. Miał na sobie flanelową górę od piżamy, a jego zmierzwiłe siwe włosy lepiły się do spoconego czoła. Prawdopodobnie tak jak Jo zerwał się z łóżka i pojechał prosto do szpitala.

Teraz jednak był całkiem rozbudzony i spoglądał na nią gniewnie.

– Nie teraz. Musi odpocząć – powiedział. – Proszę jej nie budzić.

– Gdzie ją znalezione? Jak tu dotarła?

– Później. Ważne, że jest cała i zdrowa. Nie zrobili jej krzywdy.

– Kto nie zrobił jej krzywdy?

– Maggie opowie pani całą resztę. Proszę rozmawiać z nią.

– Gdzie ona jest?

– Właśnie wyszła. Może jeszcze uda się ją pani złapać.

O tak, do cholery, zaraz ją złapię, postanowiła Jo.

Zbiegła po schodach na parter i wypadła na parking. Kobieta, której szukała, właśnie otwierała drzwi swojego pick-upa.

– Maggie! – zawołała Jo. – Maggie Bird!

Kobieta odwróciła się do niej i westchnęła ciężko, wypuszczając z ust obłoczek pary.

– Proszę. Nie teraz.

– Owszem, teraz. Powinna pani była zadzwonić do mnie, gdy tylko się pani dowiedziała.

– Przecież zadzwoniłam. Czy nie dlatego pani tu przyjechała?

– Ratowanie tej dziewczyny było naszym zadaniem.

– Jasne. I przyjechalibyście tam z wyciem syren. Nie wiedziałam, jak wygląda sytuacja, wolałam więc załatwić to delikatnie.

– Ale przez to straciliśmy szansę na schwytanie sprawców.

Maggie pokręciła głową.

– Nigdy nie mieliście takiej szansy. Proszę mi wierzyć, ludzi, którzy ją porwali, dawno już tutaj nie ma.

– Powie mi pani, kim są?

– Gdybym znała ich nazwiska, na pewno bym pani powiedziała.

Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu i wstęgi pary wypływające z ich ust łączyły się w mały obłoczek. Owszem, mieszkały w tym samym mieście i oddychały tym samym powietrzem, ale dzieliła je

nieprzekraczalna przepaść, bo Maggie była osobą z zewnątrz, obcą istotą ze świata odległego o lata świetlne od swojskiego Purity w stanie Maine. Być może pewnego dnia się zaprzyjaźnią i zaczną sobie ufać, ale to jeszcze nie był ten dzień. Na razie były przeciwniczkami w grze, której reguły Jo wciąż próbowała zrozumieć.

– O co właściwie chodziło z tym porwaniem? – spytała. – Musi mi pani powiedzieć.

– Na razie to muszę się położyć spać. – Maggie otworzyła szerzej drzwi pick-upa i usiadła za kierownicą. – Wpadnij do mnie jutro, Jo. Powiem ci wszystko, co mogę zdradzić.

Uruchomiła silnik i odjechała.

– Jak to: „co mogę zdradzić”?

Oczywiście nie doczekała się odpowiedzi, co w przypadku Maggie Bird było niemal regułą.

Jo stała sama na parkingu, wpatrzona w oddalające się światła samochodu. Z nieba spłynął płatek śniegu, a potem następny, niczym umierające motyle opadające na ziemię. Dochodziła druga w nocy. Jo była zziębnięta i nie marzyła o niczym innym jak o powrocie do domu i ciepłego łóżka, wiedziała jednak, że śnieg przykryje wkrótce ślady opon pozostawione przy domu, w którym więziono Callie Yount.

Z każdą upływającą minutą coraz grubsza warstwa puchu zacierała istotne ślady porwania. Jo musiała zabezpieczyć miejsce przestępstwa, wezwać techników kryminalistyki i znaleźć odpowiedzi na pytania... na wiele pytań. Jej łóżko, choć bardzo kuszące, musiało poczekać, bo mieszkańcy Purity na nią liczyli. Może nie była błyskotliwa, ale wiedziała, że ludzie z jej miasteczka chcą mieć pewność, że zawsze będzie należycie wykonywała pracę. I dlatego, wzdychając ciężko, wsiadła do samochodu i zrobiła to co zawsze.

Zabrała się do pracy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Bella

Stała przy oknie i patrzyła na swój ogród. Znów padał deszcz, zimny i siekący, który tak często nękał ten odludny zakątek Szkocji, widziała już jednak znaki świadczące o tym, że wiosna w tym roku nadejdzie wcześniej niż zwykle. Choć był dopiero luty, z ziemi wychynęły już liście żonkili; w marcu ogród wypełni się złotymi pąkami.

Tak, Ziemia zmieniała się coraz szybciej. Wielkie rzeki Europy i Azji wysychały i stawały się strumieniami, lasy deszczowe w Ameryce Południowej płonęły, atole koralowe na Pacyfiku niknęły pod wodą, bo podnosił się poziom oceanów. W różnych zakątkach świata wybuchały konflikty, a to oznaczało okazje do zarobienia dużych pieniędzy, które pozwalały wpływać na wyniki zagranicznych wyborów, rozpalały stare i nowe waśnie, wzniecały rewolucje.

Gdy Bella była dzieckiem, nie interesowały jej ogrody, teraz jednak, kiedy pielęgnowała własny, miała świadomość, że patrzy na mikrokosmos większego świata, w którym nigdy nie można być pewnym, czy dożyje się następnego dnia, a nieprzyjaciel kryje się niezauważony w cieniu i czeka na okazję, by cię zaatakować i unicestwić. Właśnie tę fundamentalną regułę przekazał jej ojciec: ktoś zawsze czeka, by zająć twoje miejsce, więc trzeba robić to, co konieczne, by utrzymać przewagę.

Nawet jeśli oznaczało to porwanie czternastoletniej dziewczynki.

Bella wiedziała, że matka nie pochwalałaby takich działań, ale już jej nie było. Sześć lat temu pokonał ją nowotwór mózgu, którego nie dałoby się wyleczyć za żadne pieniądze świata. Teraz Bella była sama, nie musiała więc przejmować się dobrotliwymi radami matki i robiła to, co konieczne, by utrzymać swoje miejsce przy stole. Sztuki przetrwania uczył ją najlepszy z nauczycieli. Wykorzystała fundamenty położone przez ojca i zbudowała własną sieć.

Usłyszała pukanie do drzwi i odwróciła się do asystenta.

– I? – spytała.

– Dziewczynka wyszła ze szpitala. Jest już w domu z dziadkiem.

– A nasz zespół?

– W samolocie do domu.

– Więc możesz im zapłacić.

– Oczywiście.

Kiedy asystent wyszedł z pokoju, Bella odwróciła się z powrotem do okna wychodzącego na ogród. Deszcz przybrał na sile i krople wody mieszały się z drobinami zamrożonego śniegu, który bębnił, spadając na ceglany chodnik. Zastanawiała się, czy tam, gdzie mieszka Maggie, pada teraz śnieg. Sprawdziła na mapie położenie Purity i zauważyła, że stan Maine graniczy z Kanadą. Nie potrafiła zrozumieć, że można chcieć spędzać emeryturę w takim miejscu, na mroźnej północy. Wyobrażała je sobie jako krainę śnieżyc, zasp i zimnych wiatrów, gdzie trudno przeżyć zimę.

Właściwie Maggie nie powinna już żyć. Powinna była umrzeć nad Como, z kulą w mózgu, bo po przylocie do Włoch Bella była gotowa wykonać na niej egzekucję. Lecz na wieży kościoła, gdy przystawiła pistolet do głowy Maggie i spojrzała w jej oczy, nie potrafiła pociągnąć za spust. Uświadomiła sobie, że ta kobieta również jest ofiarą, że jej życie

legło w gruzach, gdy eksplozja bomby rozerwała samolot nad Morzem Śródziemnym. Ojciec Belli bez wahania pociągnąłby za spust, ale ona postanowiła tego nie robić.

Być może była podobna do matki bardziej, niż sądziła.

Tym razem cię oszczędziłam, Maggie, ale jeśli kiedyś znów się spotkamy, nie gwarantuję, że będę równie łaskawa, pomyślała.

Nie przypuszczała, że się spotkają, choć z pewnością obie będą świadome, że ta druga istnieje, nawet jeśli zachowają bezpieczny dystans: Maggie w miasteczku na wybrzeżu Maine, a ona w swoim świecie cieni i anonimowości. W świecie ojca. Jako piętnastolatka była nieporadną nastolatką, ale nigdy nie była głupia. Słuchała i chłonęła nauki, które przekazywał jej ojciec. Wiedziała, jak walczyć o przetrwanie, i zamierzała skorzystać z tej wiedzy w przyszłości, by odzyskać pieniądze skradzione przez Dianę Ward, sięgać po nowe zdobycze i skonsolidować swoją władzę.

Czy popełniła błąd, darując Maggie życie? Nie wiedziała. Ojciec z pewnością byłby na nią wściekły, że pozwoliła jej odejść, i być może pewnego dnia Bella pożałuje tego momentu słabości i sentymentalizmu. A poza tym w każdej chwili mogła przecież naprawić ten błąd.

Wiem, gdzie mieszkasz, Maggie. Zawsze mogę zmienić zdanie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Maggie

Kiedy siedzimy w piątkę wokół stołu, wydaje się, że życie wróciło do normy.

O piątej po południu Ingrid i Lloyd jako pierwsi pojawili się bez zapowiedzi w moich drzwiach; przynieśli musakę w żaroodpornym naczyniu, jeszcze ciepłą. Dziesięć minut później przyjechał Ben z ryżem po persku i jagnięciną, a potem dołączył do nas Declan z fasolką szparagową posypaną siekanymi migdałami. Mnóstwo jedzenia to coś, co zawsze przynoszą przyjaciele w sytuacjach kryzysowych, gdy straciło się kogoś czy złamało nogę. I oto są, moi przyjaciele wpadający z nieoczekiwaną, lecz mile widzianą wizytą. Wygląda na to, że znów jesteśmy razem, dzielimy się przepisami i plotkami, wracając w błyskawicznym tempie do normalności. Bangkok i jezioro Como wydają mi się teraz równie odległe i nierealne jak senny koszmar.

Ale to wydarzyło się naprawdę, a Diana nie żyje. Według źródeł Declana policja w Como uważa, że Amerykanka, której ciało znaleziono przy opuszczonym kościele, z kulą w głowie, została prawdopodobnie zabita przez miejscowych gangsterów, gdy przypadkowo weszła do ich kryjówki. Zapewne pozostaną przy takiej hipotezie, bo szukanie prawdy wymagałoby zbyt wiele zachodu. Jak to policja.

– Mamy teraz nowy problem, z którym musimy sobie poradzić – mówi Ben.

– Jaki? – pyta Ingrid.

– Co zrobić z Bellą Hardwicke.

Wszyscy patrzą na mnie, bo jako jedyna znam Bellę... a raczej znałam ją w innym życiu, nim poczucie straty i rozgoryczenie zamieniły ją w kobietę, która przystawiła pistolet do mojej głowy. Mogła mnie zabić w dzwonnicy i miała dość powodów, by to zrobić. Postanowiła jednak pozostawić mnie przy życiu. Muszę wierzyć, że gdzieś w głębi, skryta pod bliznami, żyje ta piętnastoletnia dziewczynka, którą kiedyś znałam i lubiałam.

– Ona nie jest naszym problemem – mówię.

– Zajęła miejsce Phillipa Hardwicke’a – przypomina mi Ingrid.

– Ale nie jest Phillipem Hardwickiem.

– Więc kim jest?

Nie znam odpowiedzi. Wiem tylko, że mogła mnie zabić, a nie zrobiła tego. Jej ojciec nie byłby równie litościwy.

– To już nie nasza sprawa – rzucam. – W końcu jesteśmy na emeryturze.

– Maggie ma rację – wspiera mnie Declan. – Poinformowaliśmy Agencję o Belli, więc teraz to ich sprawa. Niech sami się tym zajmą.

– Moglibyśmy pomóc – zauważa Ingrid. – Gdyby nas poprosili.

To coś, z czym musimy się pogodzić: żyjemy w świecie, który uważa, że jesteśmy już nieudolni i niepotrzebni. Nowe pokolenie patrzy tylko w przyszłość, nie zważając na przeszłość i to, czego mogłaby ich nauczyć. Czego my moglibyśmy ich nauczyć.

Przynoszę pięć szklanek i otwartą przed chwilą butelkę trzydziestoletniej whisky Longmorn, prezent od Ingrid, która znalazła

źródło tego cudownego napoju w Leith, w Szkocji. Ta butelka to sygnał, że przechodzimy do poważnej rozmowy. Pierwszą szklankę podaję Declanowi, który jak dotąd prawie się nie odzywał. Unika mojego spojrzenia, bo wciąż czuje się urażony, że po raz drugi ich oszukałam i poleciałam do Włoch bez jego wiedzy, choć dobrze wie, dlaczego to zrobiłam. To była moja walka i nie chciałam, żeby jemu stała się krzywda.

Ale teraz muszę się mierzyć z konsekwencjami. Trzeba czasu, by mi wybaczył, żebyśmy odbudowali wzajemne zaufanie. Dodaję to do długiej listy kwestii, które musimy sobie wyjaśnić.

Lloyd podnosi szklankę w toaście.

– *Cin cin! Alla vostre salute!*

– *Cin cin!* – odpowiadamy i upijamy pierwszy łyk.

Rozlega się sygnał alarmowy, co oznacza, że ktoś wszedł na mój teren.

– Spodziewasz się kogoś? – pyta Ben.

Wstaję od stołu.

– Chyba wszyscy wiemy, kto to.

Otwieram drzwi, gdy Jo Thibodeau podnosi rękę, żeby zapukać. Wygląda tak, jakby nie spała od kilku dni. Ma podkrążone oczy, jej kucyk się rozsypał i luźne kosmyki blond włosów okalają jej twarz. Czuję niemal zapach zmęczenia, którym emanuje.

– Pani Bird – mówi. – Mam kilka pytań.

– Oczywiście – odpowiadam. – Proszę wejść.

Przechodzi za mną do kuchni i patrzy na gości siedzących przy stole.

– Dlaczego nie jestem zaskoczona, że znów trafiłam na zebranie Klubu Martini?

Declan, szarmancki jak zawsze, podsuwa jej krzesło.

– Zapraszamy, pani komendant. Proszę usiąść i dołączyć do nas.

- Whisky? – proponuje Lloyd.
- Jestem jeszcze na służbie.
- A czy kiedykolwiek nie jest pani na służbie? – pytam.
- Czy możemy przejść do innego pokoju i porozmawiać?
- To są moi przyjaciele – odpowiadam. – Chciałabym, żeby słyszeli wszystko, co powiemy.

Thibodeau wzdycha ciężko. Jest zbyt zmęczona, żeby się ze mną spierać, poza tym wie, że i tak niczego nie wskóra, opada więc na krzesło, które podsunął jej Declan.

W świetle lampy nad stołem jej twarz wydaje się wycieńczona i starsza, niż wskazywałyby na to jej trzydzieści dwa lata. Choć nie znamy się długo, zaczęłam doceniać jej upór i wytrwałość. Nie jest sprinterem, lecz maratończykiem, który posuwa się naprzód, stawiając jedną stopę przed drugą i stale skupiając się na celu. Nie może nas przechytryć, ale może nas zamęczyć i pewnie byłaby dla nas problemem, gdybyśmy stali po przeciwnych stronach. Na razie tak nie jest i chyba obie o tym wiemy.

– Policja stanowa sprawdziła wiadomość, którą pani dostała, tę z informacją o miejscu pobytu dziewczynki – oznajmia. – Nie są w stanie ustalić, kto ją przysłał.

- Mówiłam pani, że im się to nie uda – przypominam jej.
- Pani wie, kto ją przysłał.
- Pewnie porywacze.
- Dlaczego tak nagle postanowili ujawnić to miejsce? Ktoś zapłacił okup za Callie?
- Nic mi o tym nie wiadomo.

Thibodeau rozgląda się po twarzach moich przyjaciół.

- Czy ktokolwiek z was to wie?

– Skąd moglibyśmy mieć taką wiedzę? – odpowiada Lloyd niewinnym tonem.

– Czy ja kiedyś usłyszę od was jakąś normalną odpowiedź?

– Myślę, że to by się pani przydało – mówi Declan i niemal magicznym gestem podsuwa jej szklanekę z whisky.

Policjantka spogląda na karmelową pokusę zamkniętą w szkle, a my przyglądamy się jej, ciekawi, czy się podda.

– A niech to... – mruczy. Upija łyk i natychmiast zanosi się kaszlem. Najwyraźniej nie ma doświadczenia w picciu whisky, ale przy odrobinie zachęty się nauczy.

– Jak się czuje Callie? – pyta Declan.

Thibodeau ociera usta.

– Całkiem nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności. Nie zrobili jej krzywdy.

– Co pamięta?

– Miała zawiązane oczy, więc nie widziała twarzy porywaczy. Sądząc po głosach, było ich dwoje, mężczyzna i kobieta. Karmili ją, dbali, żeby było jej ciepło, i nie grozili jej. Nie mamy pojęcia, dlaczego ją porwali. – Spogląda na mnie. – Może pani wie?

Oczywiście, że wiem. Nigdy nie chodziło o to, by skrzywdzić Callie; Bella chciała mnie zmusić, bym wyszła z ukrycia. Ale ta informacja do niczego nie przyda się Thibodeau, bo ludzie, którzy porwali Callie, są teraz poza zasięgiem policjantki. Podobnie jak kobieta, która zleciła porwanie. Jak małomiasteczkowa funkcjonariuszka, pracująca w spokojnym zakątku Maine, mogłaby się mierzyć z Phillipami Hardwicke'ami tego świata? Dlatego właśnie ja i moi przyjaciele postanowiliśmy tu zamieszkać. Przez większość życia służyliśmy ojczyźnie, walcząc na ukrytych polach bitew,

eliminując takie potwory jak Hardwicke. Teraz potrzebujemy spokoju. Zasługujemy na to.

– Przykro mi – odpowiadam. – Naprawdę nie mogę pani powiedzieć nic więcej.

– Tak. Wiedziałałam, że tak będzie.

Jej radio ożywa i słyszymy głos dyspozytora: „Wszystkie jednostki, dziesięć-trzydzieści jeden, dziesięć-trzydzieści jeden. Dwa-cztery-dwa Birch Road...”.

Thibodeau nie traci czasu na żegnanie się z nami. Zrywa się na równe nogi i rusza do drzwi. Kilka sekund później słyszymy, jak jej samochód odjeżdża.

– Dziesięć-trzydzieści jeden – powtarza Ingrid. – To radiowy kod przestępstwa w toku. Może moglibyśmy pomóc? To nasz obywatelski obowiązek, nie uważacie?

Zastanawiamy się nad tym, ponownie napełniając szklanki. „Przestępstwo w toku”. Czy istnieje jakieś miejsce, w którym nie dochodziłoby do czegoś takiego? Przekonaliśmy się już dawno, że nawet wioski i małe miasteczka nie są odporne na problemy tego świata. Jeśli bomba atomowa spadnie na Waszyngton, wiatry przyniosą radioaktywny pył do naszego cichego zakątka. Jeśli w Europie upadnie jakiś kraj albo wybuchnie wojna na Dalekim Wschodzie, fale zniszczenia dotrą w końcu także i do Purity w stanie Maine. Nie możemy przed tym uciec. Nikt nie może.

– Cokolwiek to jest, Jo Thibodeau z pewnością sobie poradzi – mówię.
– A jeśli będzie potrzebowała naszej pomocy, to wie, gdzie nas znaleźć.

OD AUTORKI

Inspiracją dla *Wybrzeża szpiegów* była pewna osobliwa tajemnica dotycząca mojego miasteczka w Maine, którą odkryłam kilka lat temu. Wkrótce po tym, jak w nim zamieszkaliśmy, mój mąż otworzył gabinet lekarski i gdy pytał swoich pacjentów o ich poprzednie zawody, rozmowa wyglądała czasem tak:

Lekarz: „Jak pan zarabiał na życie?”.

Pacjent: „Pracowałem dla rządu”.

Lekarz: „A co pan robił dla rządu?”.

Pacjent: „Nie mogę o tym rozmawiać”.

Gdy zdarzyło się to po raz któryś, mąż uświadomił sobie, że miejscowych emerytów łączy jakiś dziwny sekret. W końcu ujawnił nam go lokalny agent nieruchomości: „Och, wszyscy pracowali kiedyś dla CIA”. Odkryliśmy, że tylko na naszej krótkiej ulicy mieszka dwóch emerytowanych agentów. Dlaczego tak wielu z nich przeprowadziło się do naszego miasteczka, liczącego zaledwie pięć tysięcy mieszkańców? Czy dlatego, że czuli się bezpiecznie anonimowi na pełnej lasów północy, z dala od celów rakiet atomowych? Dlatego że nasze miasteczko opisano kiedyś obszernie (a przynajmniej tak twierdził agent nieruchomości) w czasopiśmie dla emerytowanych szpiegów? A może dlatego, że dawniej w Maine mieściło się mnóstwo kryjówek wykorzystywanych przez CIA? To tylko kilka z teorii, które słyszałam, nigdy jednak nie udało mi się ustalić jednoznacznej odpowiedzi, bo ludzie, którzy ją znają, nie mogą – albo nie chcą – o tym mówić. Ze względu na ich wiek i siwe włosy często

w ogóle nie zwracamy na nich uwagi. Są po prostu sąsiadami, których widzimy w miejscowej kawiarni, którzy robią zakupy w tym samym sklepie co my i życzą nam na poczcie dobrego dnia. Wtapiają się w tło tak umiejętnie, że nigdy się nie zastanawiamy, kim kiedyś byli ani jakie tajemnice zabiorą ze sobą do grobu.

Niepozorni emeryci z tajemniczą przeszłością to fascynujący materiał na bohaterów powieści i tak narodziło się *Wybrzeże szpiegów*. Chciałam napisać o agentach wywiadu, którzy nie wyglądają jak James Bond, lecz są jak moi sąsiedzi i prowadzą spokojne emeryckie życie... dopóki nieoczekiwanie nie dosięgnie ich mroczna przeszłość i będą musieli przywołać stare umiejętności, choć przypuszczali, że już nigdy nie będą im potrzebne.

PODZIĘKOWANIA

Tchnienie życia w nowy zestaw postaci to zawsze onieśmielające wyzwanie, jestem więc wdzięczna wszystkim, którzy pomogli mi wprowadzić do tego świata Maggie Bird i Klub Martini. Meg Ruley, Rebecca Scherer i jej niezrównany zespół z agencji literackiej Jane Rotrosen wspierali mnie od początku, gdy *Wybrzeże szpiegów* było jedynie mglistą koncepcją. Podczas wzlotów i upadków mojej kilkudziesięcioletniej kariery pisarskiej zespół Rotrosen wiernie mi kibicował, ratował mnie dobrymi radami, życzliwością, a czasami również odrobiną martini. I nigdy też nie odwodził mnie od realizacji najdziwniejszych nawet pomysłów na książki. Dzięki tej swobodzie, która pozwalała mi rozwijać skrzydła, pisanie powieści nadal sprawia mi przyjemność.

Moja amerykańska redaktorka, Grace Doyle, pomogła mi pogłębić tę historię, służąc mądrymi i wrażliwymi radami, dziękuję więc jej, Allyson Cullinan, Megan Beattie i całemu zespołowi Thomas & Mercer za opiekę nad *Wybrzeżem szpiegów*. Dziękuję również mojej fantastycznej brytyjskiej redaktorce, Sarah Adams, oraz Alison Barrow, Larry'emu Finlayowi, Emmie Burton, Frankiemu Grayowi i całemu – zawsze entuzjastycznie nastawionemu – zespołowi z Transworld Books.

Sięgając nieco bliżej, dziękuję serdecznie Danie Strout, która nauczyła mnie doceniać naprawdę dobrą whisky, zawsze pomocnym paniom z mojego klubu śniadaniowego, mojemu synowi Adamowi za fachowe rady dotyczące broni palnej oraz drugiemu synowi Joshowi za magiczne sztuczki, których dokonywał z kamerą. I jak zawsze dziękuję mężowi Jacobowi, który trwa przy mnie na dobre i na złe. Trzydzieści trzy lata temu

zrobiliśmy krok w nieznane, przeprowadzając się do Maine. Jesteśmy wielkimi szczęściami, że możemy nazywać to miejsce domem.